

Powieści *Jonathana Kellermana*

ALBUM MORDERSTW

BAGNO

BOMBA ZEGAROWA

CIAŁO I KREW

CICHA WSPÓLNICZKA

DETEKTYWI

DIABELSKI WALC

DOKTOR ŚMIERĆ

IMPULS

KIEDY PĘKA TAMA

KLINIKA KLUB

SPISKOWCÓW

NAD KRAWĘDZIĄ

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

OBSESJA

OCZY DO WYNAJĘCIA

PAJĘCZYNA

POKRĘTNY UMYSŁ

POTWÓR

SELEKCJA

TERAPIA

TEST KRWI

UNIK

W OBRONIE WŁASNEJ

WŚCIEKŁOŚĆ

Z ZIMNĄ KRWIĄ

oraz

Jonathan & Faye Kellerman

PODWÓJNE ZABÓJSTWO

BOSTON, SANTA FE

MIASTA ZBRODNI

BERKELEY, NASHVILLE

JONATHAN

KELLERMAN

DOWÓD

1

*Ja mówię prawdę. Oni kłamią. Ja
jestem silny. Oni słabi. Ja jestem
dobry. Oni źli.*

To nie była żadna robota, ale Doyle przynajmniej coś zarabiał.

Po co ktoś bulił piętnaście doliców za godzinę, trzy godziny dziennie, pięć dni w tygodniu za pilnowanie pustej skorupy potwornego domiszcza jakiegoś bogatego idioty, tego Doyle nie kapował.

Rozejrzenie się zajmowało mu piętnaście minut. Jeśli szedł powoli. Resztę czasu siedział, jadł obiad i słuchał Cheap Trick na walkmanie.

I myślał o tym, że byłby prawdziwym gliną, gdyby nie wysiadło mu kolano.

Firma mówiła „idziesz tam i tam”, on robił, co mu kazali.

Nie miał już prawa do renty, zgodził się na pół etatu bez dodatków. Sam płacił za pranie munduru.

Raz podsłuchał, jak dwóch innych rozmawiało za jego plecami.

„Kuśtyk ma fart, że w ogóle coś dostał”.

Jakby to była jego wina. Miał we krwi pół promila, nawet się nie zbliżył do dopuszczalnego limitu. Drzewo wyskoczyło nie wiadomo skąd.

„Kuśtyk” Doyle poczuł falę gorąca na twarzy i w piersi, ale jak zwykle nic nie powiedział. Któregoś dnia...

Zaparkował taurusa na łysym kawałku ziemi tuż przy ogrodzeniu, poprawił koszulę.

Siódma rano, wszędzie cicho, nie licząc krakania głupich wron.

Dzielnica bogatych idiotów, ale niebo w takim samym nędznym od-cieniu mlecznej szarości jak w Burbank, gdzie mieszkał Doyle.

Na Borodi Lane było pusto. Jak zwykle. Doyle rzadko kiedy kogoś tu widywał, jeśli już, to pokojówki i ogrodników. Nadziani durnie płaci-li, żeby mieszkać w tej okolicy, ale nigdy tu nie przebywali, jedna po-tworna posiadłość obok drugiej, ukryte za wielkimi drzewami i wyso-kimi bramami. Chodników też nie było. O co w tym wszystkim w ogóle chodzi?

Co jakiś czas środkiem ulicy przebiegała z nieszczęśliwą miną jakaś wychudzona blondynka w dresie z Rodeo Drive. Nigdy przed dziesiątą, ten typ śpi do późna, je śniadanie w łóżku, potem masaż i tak dalej. Wylegają się w satynowej pościeli, obsługiwane przez pokojówki i lo-kajów, dopóki nie wykrzeszą dość energii, żeby ruszyć swoje chude tyłki i długie nogi.

Truchta sobie taka środkiem jezdni, a tu wypada jakiś rolls i bęc. To by dopiero było.

Doyle wyjął z bagażnika pudełko na drugie śniadanie pomalowane w kamuflujący wzór, ruszył w kierunku dwupiętrowej skorupy ze sklejki. Drugie piętro to ten kretyński zamkowy element - wieża. Niedokończony szkielet domu, w zamyśle wielkiego jak... jak zamek z Disneylandu.

Dom z bajki. Doyle pomierzył krokami, wyszło mu co najmniej dwa tysiące metrów kwadratowych. Osiem tysięcy metrów działki, może dziesięć.

Konstrukcja obita sklejką - Doyle'owi nie udało się ustalić dlaczego. Wszystko stało i teraz było szare, pokrzywione, poznaczone za-ciekami rdzy z gwoździ.

Obrzydliwe szare niebo przeciekało przez gnijące belki. W upalne dni Doyle chował się w kącie, w cieniu.

Z tyłu, na rozjechanym przez spychacze gołym placu stała stara tojka, zostawiona przypadkiem, wciąż z całą chemią. Drzwi się nie do-mykały i Doyle czasem znajdował kupę kojota, mysie odchody.

Kiedy go przycisnęło, sikał po prostu na ziemię.

Ktoś zapłacił tyle forsy, żeby postawić dom z bajki, a potem ni stąd, ni zowąd przerwał budowę. Bądź tu mądry.

Dzisiaj Doyle przywiózł dobre drugie śniadanie, kanapkę z pieczoną wołowiną od Arby'ego; szkoda że nie ma na czym podgrzać sosu.

Otworzył pudełko, powąchał. Nieźle. Podeszedł do bramy z siatki... co to, do...

Durna brama była uchylona, na ile pozwalał łańcuch, czyli sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów. Dość, żeby ktoś się przecisnął, oczywiście nie jakiś spaślak.

O wiele za długi łańcuch nigdy nie pozwalał porządnie ściągnąć skrzydeł bramy, więc i kłódka na nic by się tu nie zdała, ale Doyle zawsze go zwijał, żeby zabezpieczenie przynajmniej wyglądało na mocne.

Jakiś idiota przy nim grzebał.

Doyle mówił firmie o łańcuchu, nie zareagowali. Po co zatrudniać zawodowca, jeśli nie słucha się jego porad?

Wsunął się przez szparę, ładnie poprawił łańcuch. Zostawił pudełko z drugim śniadaniem na betonowych schodach i zaczął obchód. Stał na środku parteru, zawołał: „Halo!” i nasłuchiwał echa. Zrobił to pierwszego dnia, spodobało mu się; trochę jak trąbienie w tunelu. Teraz weszło mu to w nawyk.

Sprawdzenie, czy na parterze wszystko w porządku, nie zajęło mu dużo czasu. Przestrzeń była olbrzymia, wielka jak... jak... tu i tam stały już ścianki działowe, ale w większości niedokończone, więc miał dobry widok na wszystkie strony. Jak przez kości szkieletu dinozaura. Z dołu na górę wiodły monstrualne, kręte, podwójne schody. Bez poręczy; Doyle musiał uważać, tylko tego brakowało, żeby spadł i rozpieprzył sobie coś jeszcze.

Zaczynamy, ból przy każdym kroku. Stopnie cholernie skrzypiały, ale wydawały się solidne. Można sobie wyobrazić, jak by wyglądały wyłożone marmurem. Jak... schody w wielkim zamku.

Dziewiętnaście stopni, każdy ruch okupiony cierpieniem.

Pierwsze piętro tak samo puste jak parter, wielka niespodzianka. Doyle przystanął, pomasaował kolano i popatrzył na czubki drzew po zachodniej stronie, potem znów przystanął, znów pomasaował, ale wiele to nie pomogło. Idąc w głąb domu, dotarł do drugich, mniejszych schodów, trzynaście stopni, ale bardzo krętych - zabójcze, schowane za wąską ścianką, trzeba wiedzieć, że tam są, żeby je znaleźć.

Ktokolwiek za to wszystko zapłacił, był bogatym idiotą, który nie doceniał tego, co ma. Gdyby Doyle posiadał jedną setną - dwie setne czegoś takiego, codziennie dziękowałby Bogu.

Pytał w firmie, kto jest właścicielem. Odpowiedzieli: „Nie interesuj się”.

Wspinał się po krętych schodach, każdy krok łamał mu kolano, ból promieniował aż do biodra. Doyle zaczął odliczać trzynaście stopni, jak co dzień, usiłując oderwać myśli od ognia w nodze.

Kiedy powiedział głośno „dziewięć”, zobaczył.

O Jezu.

Z łomoczącym sercem, z ustami nagle suchymi jak papier toaletowy cofnął się dwa kroki, sięgnął do prawej strony pasa ze spluwą.

Pusto.

Sam był durniem, już od dawna nie nosił pistoletu; odkąd przestał pilnować sklepów jubilerskich w śródmieściu.

Firma dała mu latarkę i koniec, a ta została w bagażniku taurusa.

Doyle zmusił się, żeby popatrzeć.

Dwoje.

Nikogo innego; jedyny plus wieżyczki, to to, że była okrągła, w większości niezadaszona, więc nikt nie mógłby się tu schować.

Doyle patrzył, poczuł skurcz żołądka.

Leżeli; on na niej, jedna jej noga zarzucona na jego plecy; to raczej jasne, co robili.

Zanim...

Doyle'owi zabrakło powietrza, jakby ktoś go dusił. Spróbował odzyskać oddech, w końcu się udało. Sięgnął po telefon.

Znalazł w kieszeni. Przynajmniej to poszło dobrze.

2

Milo dzwoni do mnie, kiedy morderstwo jest „interesujące”.

Czasami w momencie, kiedy się angażuję, ciała już nie ma. Jeśli zdjęcia z miejsca zbrodni są dokładne, to pomaga. Jeśli nie, sprawa może się zrobić jeszcze bardziej interesująca.

To miejsce zbrodni było trzy minuty jazdy od mojego domu, do tego nietknięte.

Dwa ciała splecione razem w chorej parodii namiętności. Milo stał z boku, a śledcza z biura koronera cykała fotki.

Wymieniliśmy ciche „cześć”. Milo miał byle jak przylizane czarne włosy, spojrzenie ostre. Ubranie wyglądało, jakby w nim spał, blada, dziobata twarz pasowała kolorem do szarego od smogu nieba.

Czerwcowy opar w L.A. Czasami udajemy, że to mgła znad oceanu.

Przyjrzałem się ciałom z daleka; odsunąłem się, ile mogłem, tak by nie dotknąć łuku sklejkowej ściany.

- Od dawna tu jesteś?
- Od godziny.
- Nie za często trafiasz pod ten kod pocztowy, wielkoludzie.
- Taka lokalizacja.

Śledcza od koronera usłyszała to i się obejrzała. Wysoka, ładna, młoda kobieta z prostymi ramionami w oliwkowym kostiumie. Nie spieszyła się ze zdjęciami, klękała, nachylała się, kuciała, stawiała na palcach, żeby mieć wszystkie możliwe ujęcia.

- Jeszcze kilka minut, poruczniku.
- Spokojnie - odparł Milo.

Miejscem zbrodni było drugie piętro budowy przy Borodi Lane w Holmby Hills. Ogromny szkielec planowanej rezydencji, sień dość duża, by pomieścić orkiestrę symfoniczną. Ciała znaleziono w czymś, co wyglądało na obserwatorium. Albo zamkową wieżę.

Potężne rozmiary były w Holmby regułą. Zupełnie inny świat niż moje białe pudełko nad Beverly Glen, choć w odległości spaceru. Przyjechałem samochodem, bo czasami Milo lubi myśleć i telefonować, kiedy ja prowadzę.

Wieżyczkę wieńczyło kilka belek, ale większość planowanego dachu była wciąż odkryta. Do środka wpadał wiatr. Wonny, ale zbyt słaby, by zamaskować zapach mokrego drewna i rdzy, pleśni, krwi i odchodów.

Mężczyzna na górze, kobieta pod nim, ledwie widoczna.

Jego czarne designerskie dzinsy spuszczone do pół łydki. Jedna jej smukła, opalona noga oplatała go w pasie. Na obu stopach brązowe czółenka.

Ostatni uścisk albo ktoś chciał, żeby to tak wyglądało. Ręce kobiety leżały bezwładnie rozrzucone. Ppsfiiierjtne zwiotczenie, logiczne.

Ale ta zarzucona na plecj^j^a^ae<c|aowała. Jakim cudem została na miejscu po śmierci?



Nogi mężczyzny były umięśnione, z delikatnymi, kręconymi, jasnymi włosami. On - czarny kaszmirowy sweter, ona - niebieska sukienka. Próbowałem zobaczyć coś więcej, widziałem tylko materiał. Jakiś połyskliwy dżersej. Podciągnięty powyżej bioder.

Mężczyzna miał długawe, jasnobrązowe, falujące włosy. Na kości, za prawym uchem okrągła rubinowa dziurka w otoczce czarnego prochu. Krew spływała po szyi, ukośnie w prawo, potem na sklejkową podłogę, gdzie szeroko rozpościerały się długie, ciemne loki kobiety. Wokół niej - mało krwi.

- Czy jej nogi nie powinny się rozluźnić? - spytałem.

- Jeśli ustąpiło zeszytywnienie to raczej tak - odparła śledcza, wciąż robiąc zdjęcia.

Pracowała w krypcie przy Mission Road, we Wschodnim Los Angeles; udało się jej zachować rumiane policzki kogoś, kto lubi piesze wędrówki. Dużo trupów na świeżym powietrzu? Tuż przed trzydziestką albo tuż po trzydziestce, rude włosy wysoko związane w kucyk, jasne błękitne oczy; dziewczyna z farmy pracująca po ciemnej stronie życia.

Odłożyła aparat, pochyliła się, dwiema rękami ostrożnie uniosła tułów mężczyzny, zajrzała w powstałą pięciocentymetrową szczelinę. Noga damulki opadła jak źle rozstawione składane krzesło.

- Aha, chyba ją jednak ułożyli, poruczniku.

Obejrzała się na Mila, szukając potwierdzenia, wciąż z dłońmi zaklinowanymi między ciałami.

- Możliwe - przyznał.

Podniosła mężczyznę jeszcze trochę wyżej, przyjrzała mu się, czule go opuściła. Śledczy, których widziałem, z reguły tacy są: pełni szacunku; pływają w morzu grozy, jakiej większość ludzi nie doświadcza przez całe życie, ale nigdy nie stają się cyniczni.

Wstała, otrzepała spodnie.

- Ona nie ma majtek, jego penis nie jest w środku. Oczywiście brak erekcji, więc nie mogli pozostać... połączeni. Ale na jej udzie widać zaschniętą, białawą plamę, więc nawet jeśli ich tak ułożono, to chyba odbyli stosunek.

Znów uklękła, podciągnęła zmięte džinsy mężczyzny na tyle wysoko, żeby przeszukać kieszenie.

- Dobra, znalazłam. - Podniosła niebieski plastikowy portfel z zastraskiem.

Milo włożył rękawiczki.

- A kluczyki do samochodu?
- Nie, tylko to. Opiszę i oddaję panu. Nie widziałam na ulicy żadnych zaparkowanych aut. Może to się zaczęło jako porwanie?
- I wszyscy tu przybiegli, a ta dwójka zaczęła się do siebie dobierać?
- Myślałam o zamiarze porwania. Drań zmienił zdanie?

Milo wzruszył ramionami.

- Przepraszam, poruczniku, wygaduję głupoty.
- Na tym etapie - powiedział Milo - biorę wszystko, co dają.
- Jestem nowa w tej pracy. Na pewno niczego nie mogę pana nauczyć... chyba pora ich odwrócić. Zmierzę temperaturę wątroby i zobaczymy, czy uda się nam określić czas zgonu.

Kilka chwil później czyściła termometr do mierzenia temperatury mięsa.

- I? - spytał Milo.
- Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Na pewno po sekcji doktorzy powiedzą wam więcej.

Twarz ofiary była cieniem przystojnego, uśmiechniętego oblicza na prawie jazdy w niebieskim portfelu. Desmond Erik Backer, w lutym skończył trzydzieści dwa lata, metr osiemdziesiąt, siedemdziesiąt siedem kilo, oczy piwne, włosy brązowe, zamieszkały przy California Avenue w Santa Monica, trzy przecznice od plaży.

W portfelu miał jeszcze dwieście dolarów w pięćdziesiątkach i dwudziestkach, dwie złote karty kredytowe, kilka wizytówek w kolorze pszenicy, zdjęcie małej dziewczynki, około dwóch lat, w sukience z czerwonego aksamitu z koronkowymi obszyciami. Na lewym nadgarstku sportowy zegarek TAG Heuer, żadnej innej biżuterii. Brak paska bladej skóry po obrączce, usuniętej dyskretnie lub nie.

Milo pokazał mi odręczny napis na drugiej stronie zdjęcia dziecka. „Samantha, 22 mieś”. Nikt inny nie dostrzegłby, że drgnęła mu powieka.

Spojrzał na wizytówkę. Desmond E. Backer, AIA, Gemein, Holman i Cohen, architekci. Main Street w Venice.

- Ładny zegarek - stwierdził, szukając jakichś napisów na wewnętrznej stronie TAG-a. Nic. Sprawdził skórzany pasek dżinsów. - Zegna.

- Ale jej ubrania wyglądają raczej tandetnie, nie sądzi pan? - spytała śledcza. Poszukała metki.

- Madę in China, poliester... krótka i obcisła. Dziewczyna pracująca?

- Wszystko możliwe.

Milo oddał jej portfel. Kiedy pakował dowody, robił notatki - cały czas przyglądał się zwłokom.

Nigdzie ani śladu torebki kobiety. Pospolite złote kółka w uszach, trzy podobnie nijakie srebrne bransoletki na smukłym nadgarstku. Lekki makijaż.

Milo nachylił się do prawego ucha zamordowanej, jakby chciał zdradzić jakiś sekret.

- Niedawno myła włosy, jeszcze czuję zapach.

- Ja też poczułam. Suave. Sama go używam.

- Drogi? Parsknęła śmiechem.

- Przy moich zarobkach? Spoważniała, patrząc na bladą twarz ofiary.

Nawet po śmierci - wyjątkowo ładna, jędrne ciało, pełne piersi, trochę niska talia. Gładka, owalna twarz i wielkie oczy, lekko skośne. Za życia piwne, teraz zasnute kolorem brudnego chodnika.

Różowa szminka na rozchylonych wargach. Czyste paznokcie, bez lakieru. Oględziny wykazały, że nigdzie na ciele nie ma śladów po kulach, ale białka oczu są poznaczone marmurkowatymi żyłkami wybroczyn, a długa szyja jest spuchnięta, zasiniona i przedzielona wściekle różową linią.

Śledcza pokazała zaschniętą mleczną plamę na udzie denatki. Obejrzała paznokcie.

- Chyba nic pod nimi nie znajdują. Biedaczka. Mogę obciągnąć jej sukienkę?

- Tak - powiedział Milo. - Gdy tylko przyjadą nasi technicy i zdejmią odciski, może pani zabierać ciała.

- Ile to potrwa?

- Spieszy się pani?

- Mamy jeszcze jedno zgłoszenie, ale to nie problem, poruczniku.

- Waszym kierowcom płacą od godziny.

- Zgadza się. Coś jeszcze?

- Nic mi nie przychodzi do głowy, pani... - Zmrużył oczy, czytając z jej identyfikatora. - Rieffen.

- Lara. Na pewno nic więcej nie mogę dla pana zrobić, poruczniku?

- Jestem otwarty na sugestie, Laro.

- Cóż... po prostu się staram, nie chcę niczego przeoczyć.

- Świetnie ci idzie.

- No dobrze. - Do mnie: - Miło było pana poznać, detektywie.

- To doktor Delaware - powiedział Milo. - Psycholog konsultant.

- Psycholog - powtórzyła. - Robi pan profile?

Milo wie, że profilowanie jest na mojej liście tuż pod wróżeniem z fusów i politycznymi sondażami.

- Coś w tym rodzaju. - Zerknął na chwiejną spiralę schodów na piętro niżej. - Damy sobie radę, Laro, jedź do drugiego wezwania.

Śledcza Rieffen zebrała swoje rzeczy i pospieszyła na dół.

Kiedy ucichło echo jej kroków, Milo wyjął z kieszeni starej, burej wiatrówki panatekę, wsadził ją do ust, ale nie przypalił. Kiedy zacisnął zęby, cygaro przekrzywiło się w górę. Jeszcze chwilę patrzył na ciało. Potem wyciągnął telefon i ustalił, jaki wóz był zarejestrowany na Desmond Backera.

Pięcioletnie bmw 320i. Milo wydał nakaz poszukiwania, z instrukcją, żeby odholować, ale nie przeszukiwać do czasu zdjęcia wszystkich śladów przez ekipę techniczną.

- Przyłapani w akcji - powiedział, chowając telefon - A może ułóżni, żeby ją odtworzyć. - Półuśmiech. - Mała śmierć, a po niej duża. - Spojrzał w niebo.

Brak łusek, czyli nasz chłopak działał ostrożnie, chyba że to tradycjonalista i lubi rewolwery. Żadnych dziur po kulach, nie licząc tej w głowie pana Backera, a jej średnica wskazuje, że to był prawdopodobnie mały kaliber. Skoro nie ma torebki kobiety ani żadnego samochodu w pobliżu, powiedziałbym, że rzeczywiście w grę mogło wchodzić uprowadzenie. Tyle że portfel Backera jest pełen gotówki, zegarek też kosztował poważne pieniądze.

- Może chodziło o nią, a brak torebki nie oznacza kradzieży - zasugerowałem.

- Więc co?

- Na razie lepiej mi idzie z pytaniami niż z odpowiedziami.

- Witamy w klubie. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, kim ona jest, do cholery. Jakież pomysły? Nie będę cię trzymał za słowo.

- Nie ma śladów walki, a rana z przyłożenia mówi nam, że zły gość zyskał kontrolę bardzo wcześnie. Efekt dobrego planowania. Stawiam, że zostali ułożeni. W tej pozycji wyglądają wręcz teatralnie.

- Sprawa osobista.

- Trudno o większą bliskość i bardziej osobisty kontakt niż przy duszeniu - zauważyłem.

- Kontroluje ich pistoletem małego kalibru? Strzela najpierw do niego, ona się za bardzo boi, żeby stawiać opór, leży tylko i daje się skrzywdzić?

- Może było dwóch morderców.

- Ułożyli ich... - Milo w zamyśleniu pokiwał głową. - Szał zazdrości. Ekschłopak jedzie tu za nimi, patrzy, jak to robią, i wtedy mu odbija.

- Jeśli to było miejsce schadzki, to mało romantyczne. Nie ma wina, kwiatów, czekoladek, nawet koca.

- Chyba że zły zabrał to wszystko ze sobą. Pozbywał się dowodów. Albo chciał mieć trofeum. Albo jedno i drugie.

- Zostawienie kochanków mogło być też sposobem, żeby jeszcze bardziej ich poniżyć. To również wskazywałoby na zazdrość.

- Albo na sadystycznego psychopata.

- Jasne - przytaknąłem - ale co mi tu nie pasuje, to brak przesady. Ona nie leży z rozsuniętymi nogami. Jest w tym jakaś subtelność. Może ściśle związana z ofiarą. To, że zabrano torebkę, oznacza, że to kobieta była główną ofiarą. Ktoś chciał zatrzymać coś, co do niej należało.

Milo okrążył wieżyczkę, spojrział na widok rozciągający się na zachodzie, podpałił cygareto i wydmuchnął dym - siwa wstęga uniosła się między belkami.

- Gorąca randka pod gwiazdami. Dlaczego właśnie tu?

- Backer to architekt; założmy, że pracował przy tej budowie. Miał klucz, przyprowadził tu kochankę, żeby jej zaimponować.

- Zaprojektowałem Tadż Mahal, mała, więc mi daj? Jeśli tak, Backer brał udział w przedsięwzięciu co najmniej dwa lata temu, bo właśnie wtedy budowa stała się. I nie potrzebowałby klucza, łańcuch jest na tyle długi, że da się otworzyć bramę. Tak uważa ochroniarz, który znalazł ciało. Podobno zameldował o tym szefom, ale go olali. Faktycznie, ochrona tutaj to żart: jeden gość, od siódmej do dziesiątej rano, bez weekendów, a najbardziej mordercza broń, na jaką mu pozwalają, to latarka.

- Czemu prace stanęły?

- Ochroniarz też o to pytał, kazali mu pilnować swojego nosa.
- Opuszczona budowa odpowiadałaby Backerowi, jeśli lubił tu imprezować - stwierdziłem. - Z tą czy inną. Biorąc pod uwagę różnicę między budżetami Backera i kobiety, zacząłbym od gorzej opłacanych pracowników jego firmy.
- Biurowy romans z recepcjonistką, która niestety posiada zaborczą drugą połówkę. Jedna rzecz: ochroniarz nigdy wcześniej nie widział tu śladów schadzek.
- Mówimy o zestresowanym, chudym facecie, co utyka.
- Doyle Bryczinski. Aplikował do departamentu, miał poważny wypadek samochodowy, rozwalił nogę.
- Milo znalazł sobie nowego przyjaciela? - zakpiłem. - Jakie jest jego ulubione danie?
- Zazdrościsz, że trafił mi się do współpracy chętny obywatel?
- Boże uchwaj.
- Bryczinski wydał ci się zestresowany?
- Kiedy przyjechałem, obserwował mnie. Popatrzyłem na niego, a wtedy udał, że wcale mi się nie przyglądał. Byłoby również zaniechaniem z mojej strony, gdybym nie podkreślił, że właśnie opisałeś Bryczinskiego jako niedoszęłego gline, który jest ogromnie sfrustrowany brakiem kontroli nad swoim życiem. I teraz weź takiego faceta, dziewczyna rzuca go dla kogoś fajniejszego, bogatszego? W tym samym miejscu, do którego sam ją przyprowadzałeś?
- Gość stara się pomóc i ni z tego, ni z owego zostaje głównym podejrzanym?
- Jak w piosence: podejrzewaj tych, co są najbliżej - odparłem
- Milo popatrzył z goryczą na zwłoki i ruszył w stronę rozchwianych spiralnych schodów.
- Chodźmy się lepiej poznać ze starym kumplem Doyle'em.

3

O rany - jęknął Doyle. - Wyglądają... gorzej. -
 Gorzej niż kiedy ich pan znalazł? - spytał Milo.

Bryczinski odwrócił wzrok.

- Bardziej jak... ludzie.

- A mniej jak...

- Sam nie wiem, to było... nierzeczywiste. To znaczy, kiedy ich znalazłem.

- Świetny początek dnia, Doyle.

- Mój dzień zaczyna się o wpół do piątej - wyjaśnił Bryczinski. - Zajmuję się matką; o szóstej pojawia się opiekunka, potem jadę prosto tutaj. - Pokręcił głową. - Znajduję to.

- Mama chora?

- Na wszystko. Mieszkała z moim bratem, ale się przeprowadził do Nome. To na Alasce.

Oblizal wargi. Drobny kruchy mężczyzna, płochliwy jak królik. Bez broni nad niczym by nie zapanował.

Milo sprawdził, zanim go tu ściągnął. Bryczinski zgromadził kilka niezapłaconych mandatów. W wypadku, po którym został kaleką, brał udział tylko jeden samochód, co z reguły oznacza jazdę pod wpływem, ale poziom alkoholu we krwi wyszedł sporo poniżej dopuszczalnego limitu.

Poproszony o drugie oględziny powiedział: „Jasne”. Potem: „A po co?”

- Przydałaby się nam pana pomoc, Doyle.

Kalectwo ochroniarza zmieniło wejście na drugie piętro w powolną mękę.

Milo pozwolił mu chwilę postać i napatrzeć się na ciała. Na czole Bryczinskiego zaperlił się pot. Ochroniarz się garbił. Czterdzieści lat, ale wyglądał na pięćdziesiąt; rzadkie włosy w kolorze piasku, w większości posiwiałe; pociągła twarz zapadnięta nie tam, gdzie powinna. Metr siedemdziesiąt, pięćdziesiąt osiem kilo, cały mokry. Na zapiętym na ostatnią dziurkę pasku wisiała mała tandetna latarka. Nikomu poważnie nie zależało na pilnowaniu tej budowy.

- No i tak - sapnął.

- Na pewno ich pan nie zna.

Bryczinski zmrużył oczy.

- A dlaczego miałbym znać?

- Chodzi mi o to, że teraz widzi pan ich twarze.

- Widzę, ale na pewno nie znam. - Wycofał się. Milo chwycił ochroniarza za ramię, zanim ten dotknął ściany.

Bryczinski zeszywniał.

- Hola.

- Przepraszam, Doyle. Trzeba jeszcze zdjąć odciski palców. Taka procedura. Na pewno pan rozumie.

- A, jasne.

- I muszę zadać dużo różnych pytań - ciągnął Milo. - Pan bywa tu najczęściej. Czyli jeśli ktoś się tu pojawia i robi bałagan, to pan pierwszy o tym wie.

- Jestem tu, ale rzadko na górze. - Ochroniarz lekko tupnął nogą. Sklejka zadudniła. - Raz zaglądam i już nie wracam.

- Nie podoba się panu widok.

- Pracuję, nie mam czasu na widoki.

- Więc nikt tu nigdy nie robi bałaganu.

- Niby kto?

- Ktokolwiek - odparł Milo.

- Na przykład bezdomni? Myślicie, że to jeden z tych idiotów, zaskoczyli go, a jemu odważyło?

- Wszystko możliwe, Doyle.

- No, to się nie zdarzyło już od dawna. - Bryczinski zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na ciała. - To znaczy, bezdomny.

- Mielicie problemy z dzikimi lokatorami?

- Raczej nie. Jakiś rok temu, dawniej, półtora roku. Przychodzę rano i znajduję brudy. Na pierwszym piętrze.

- Ktoś naniósł błota.

- Ludzkie brudy. Wie pan, o czym mówię.

- Ktoś zrobił tu sobie toaletę?

- Na samym środku, przy schodach. Obrzydlistwo. Były też opakowania po jedzeniu z Taco Bell, styropianowe kubki, tłusty papier. Na podłodze ślady po fasoli i sosie. Ktoś nażał się meksykańskiego jedzenia, a potem wszystko obeszał.

- Okropność. - Milo się skrzywił.

- Zadzwoiłem do firmy, a oni na to „posprzątaj”. Niby czym? Nie ma tu wody, z tyłu jeden kranik, ale bez ciśnienia. Powiedziałem sobie „chrzanić to”. Zresztą po co? Jeszcze taki idiota wróci następnego dnia i zrobi to samo.

- I zrobił?

- Nie. Ale trochę później, może miesiąc, znów jedli tu Meksykanie. Dzięki Bogu, że nie nawalili.

- Skąd pan wie, że Meksykanie?

- Opakowania z Taco Bell. Do tego za dużo na jedną osobę.

- Różni ludzie kupują w Taco Bell.

- No tak - przytaknął Bryczinski - ale nie zostawiają meksykańskich pieniędzy. Durne drobniaki, pesos czy coś tam. Sprawdziłem, nic niewarte, więc dałem bratanicy, ma cztery lata.

- Jacyś inni intruzi?

- Nie, to wszystko.

- Żadnych śladów, że ktoś jeszcze przychodził i coś kombinował?

- Nie. Za tamtym drugim razem pomyślałem, że jacyś robotnicy pracują na lewo przy budowie innego kretyńskiego domu bogacza w okolicy i nie mają gdzie spać, więc przyszli tutaj. To dla mnie wielka zagadka, dlaczego więcej idiotów się tu nie włamuje. Pokazywałem wam ten łańcuch. Interesują was zwierzęta?

- Jakie zwierzęta?

- Sierściuchy. - Bryczinski, rozkoszował się tym słowem. - Ciągłe znajduję zwierzęce brudy. Szczury, myszy. Kojoty, wiem, że to kojoty, bo ich brudy to takie małe, pokurczone coś, wygląda jak wysuszona parówka. Napatrzyłem się na to, kiedy mieszkałem w Fallbrook.

- Kraina awokado - stwierdził Milo.

- Co?

- W Fallbrook nie hoduje się awokado?

- Mój ojciec służył w marynarce, mieszkaliśmy w baraku.

- Aha... Jacyś goście w ciągu dnia, Doyle?

- Nigdy. Ten dom to trup. - Bryczinski się wzdygnął. - Że tak powiem.

- Niech się pan nie zdenerwuje, ale jak wspomniałem, muszę zadać rutynowe pytania każdemu, kto ma jakiś związek z zabójstwem.

Ochroniarz zmrzążył oczy.

- No?

- Co pan robił wczoraj w nocy?

- Czyli że jestem podejrzany, bo ich znalazłem?

- W żadnym razie, Doyle. Chcę być dokładny.

Bryczinski otarł czoło rękawem munduru.

- Wszystko jedno. W nocy spałem. Wstaję o czwartej, matka mnie budzi, uderzam w kimono o dziewiątej.

- Tylko pan się opiekuje matką?

- Głupie kocisko wiele nie pomaga.

Milo się zaśmiał.

- Fajnie, że kogoś to śmieszy - burknął ochroniarz.

Milo patrzył za Doyle'em, kiedy ten, krzywiąc się, kuśtykał po schodach.

- A diagnoza brzmi...?

- Tłumionego gniewu pod dostatkiem - oznajmiłem. - Ale raczej brak fizycznej siły i sprytu, żeby coś takiego zrobić.

- Nawet z bronią?

- Znajdź jakikolwiek związek między nim a którąś z ofiar, to zmienię zdanie.

- TWierdzi, że nosi tylko latarkę, ale kto wie? Każę mundurowym przeszukać cały teren, poszukać wyrzuconej broni. Bryczinski pracuje w ochronie, więc w kartotece są jego odciski palców. Może pojawią się gdzieś, gdzie nie powinno ich być. Na przykład na podłodze, przy zwłokach. - Kolejne spojrzenie na ciała. - Ładna parka. Ken i Barbie mieli pecha.

- Ktoś się nimi bawił jak lalkami - powiedziałem. - A potem wyrzucił.

Milo jeszcze raz przeczytał wizytówkę Desmonda Backera.

- Jedziemy do Yenice? Weźmiemy twoją gondolę.

4

Gemein, Holman i Cohen się nie afiszowali.

Mały, oksydowany numer domu umieszczono nisko na fasadzie, ledwie trzydzieści centymetrów nad chodnikiem. Pod spodem, „GHC: koncepcje”.

To był południowy skraj Main Street, gdzie wyrachowana elegancja trąca się łokciami z bezhołowiem, a znalezienie miejsca do zaparkowania to wyzwanie.

- Jedź na płatny - polecił Milo. - Ja stawiam.

Błysnął blachą parkingowemu, ale i tak musiał wyłożyć siedem doliczów. Droga powrotna prowadziła obok butików z takimi ubraniami, jakich potem nie widzi się na ulicy. Słoneczny poranek w Venice, mała garstka pieszych, ale w salonie z piercingiem biznes szedł pełną parą. Za swoich aktorskich czasów gubernator kupił duże połacie ziemi przy Main Street, zyski z wynajmu pomogły mu sfinansować nowe hobby.

Może do niego należała też awangardowa piękność firmy architektonicznej.

Dwa trójkąty równoramienne, ścierające się ze sobą i nachylone pod niebezpiecznym kątem: większy otynkowany, dyniowopomarańczowy, drugi pokryty niebieskozielonym aluminium. Czarny całun paneli słonecznych pokrywał dach. W betonowym korycie okalającym podstawę rosły gęsto skrzypy, przycięte z neurochirurgiczną dokładnością.

Trójkąty zachodziły na siebie na tyle, że mógł się między nimi przecisnąć ktoś w miarę szczupły. Milo pracował nad swoją wagą. Przy swoich stosunkowo smukłych stu pięciu kilogramach nie musiał ustawać się bokiem, ale i tak to zrobił. Ciało prędko nie zapomina.

W środku znajdował się dziedziniec zadaszony blachą falistą, z boku - głęboki na kilka centymetrów, prostokątny zbiornik z wodą. Za płytki dla ryb, może igrały w nim mikroorganizmy.

Drzwi frontowe były płytą z oksydowanej stali. Milo zastukał, ale nie wydobył z metalu dźwięku.

Brak dzwonka.

- Interes albo się kręcił bardzo dobrze, albo bardzo źle - powiedział Milo.

Przyłożył się mocniej, wyszło mu smutne pacnięcie.

- Będzie bolało - oznajmił i cofnął stopę do kopnięcia. Zanim się gnął drzwi, płyta bezgłośnie otworzyła się do środka; stracił równo wagę.

Piękna kobieta z wygoloną głową patrzyła, jak Milo łapie pion.

- O co chodzi? - Serdeczność symulatora głosu.

Miała około trzydziestu pięciu lat i germański akcent. Ze wspaniale ukształtowanych uszu zwisały konopne krążki wielkości spodków. Jej łysina nie wskazywała wyraźnie na jakiś medyczny problem; rzęsy i brwi były ciemne i gęste, oczy w odcieniu oceanu. Czaszka gładka,

okrągła i opalona, porośnięta meszkiem platynowych włosów, wyglądała jak natarta solą. Niczym minimalistyczna rama obrazu brak fryzury podkreślał wszystkie inne zalety. Tak samo jak obcisła, biała bluzka, czarne spodnie opinające jak druga skóra i czerwone wysokie buty na szpilkach.

Milo błysnął odznaką.

- Policja, proszę pani.
- I?
- Przyszliśmy porozmawiać o Desmondzie Backerze.
- Des ma kłopoty?
- Najgorsze, pani...
- Zrobił coś nielegalnego?
- Nie żyje.
- Nie żyje - powtórzyła. - A wy chcecie wejść.

Pomaszerowała z powrotem do środka; zostawiła nas, żebyśmy sami za nią poszli. Ostentacyjnie kołysała biodrami.

Wnętrze było jednym dużym pomieszczeniem, pustym, nie licząc czarnego biurka i fotela na kółkach w kącie. Białe ściany, wysokie okna, wykładzina pasująca do konopnych kolczyków tysej piękności. Świetliki w dziwnych miejscach, niektóre częściowo zaczerwienione panelami słonecznymi. Na innych smugi i plamy zawilgoceń.

Kobieta usiadła za biurkiem, rozłożyła płasko dłonie. Węglowografowy manicure, efekt siateczki na paznokciach.

- Nie mam dla panów krzeseł.
- Postoimy.
- Des uwikłał się w jakąś aferę kryminalną.
- Przykro nam to mówić, proszę pani. Pan Backer został zamordowany.

- To źle. - Znow brak modulacji głosu.
- Co może nam pani o nim opowiedzieć, pani...?
- Helga Gemein.
- Jest pani jedną z partnerów.
- Nie ma żadnych partnerów. Rozwiązaliśmy firmę.
- Kiedy?
- Sześć tygodni temu. Proszę nie pytać dlaczego.
- Dlaczego?

Helga Gemein nie była w nastroju do żartów.

- Kto zamordował Desa?

- To właśnie staramy się ustalić - odrzekł Milo. - Co może nam pani o nim powiedzieć?

- Pracował tu od założenia firmy.

- Czyli od...

- Dwudziestu miesięcy. Dobry rysownik, kiepski projektant. Został zatrudniony, bo był zielony.

- Świeżo po szkole?

- Słucham?

- Zielony.

- Nie, nie, nie - zbesztła go Helga Gemein. - Zielony, ekologia. Zrobił dyplom na politechnice w San Luis Obispo, napisał pracę o bioekologicznej synchronii.

Pomyślałem o ścierających się trójkątach na zewnątrz, o wodzie tak płytkiej, że musiała parować w kilka dni.

- Zielone podejście się nie sprawdza - wywnioskował Milo.

- Oczywiście, że się sprawdza, czemu pan tak mówi?

- Firma została rozwiązana...

- Ludzie się nie sprawdzają - powiedziała Helga Gemein. - Współczesne, postindustrialne społeczeństwo to przestępcze, biomechaniczne zakłócenie porządku naturalnego. O to właśnie chodzi w zielonej architekturze: odtwarzanie odnawialnej równowagi między składnikami siły życiowej.

- Oczywiście - przytaknął Milo. - Jakimi projektami zajmowała się firma?

- Planowaliśmy naszą deklarację programową.

- Żadnego budowania?

Helga Gemein mocno ścisnęła śliczne usta.

- W Niemczech architektura to dział inżynierii. Kładzie się nacisk na teorię i bezbłędne planowanie. My postrzegaliśmy siebie jako zielonych konsultantów. Co te pytania mają wspólnego z Desem?

- Został zamordowany na placu budowy. W niedokończonym budynku w Holmby Hills.

Podał adres przy Borodi Lane.

- No i?

- Zastanawiałem się po prostu...
- Nigdy nie zamierzaliśmy zajmować się prywatnymi domami.
- To było bardzo duże przedsięwzięcie budowlane, pani Gemein. Trzykondygnacyjna rezydencja na kilku tysiącach metrów. Pana Backera znaleziono na drugim piętrze...

- Brzmi niewymownie wulgarnie. Id, ego, pokazywanie penisu. Wolałabym już projektować jurty.

- Kiedy Des Backer odszedł z firmy?
- Po tym jak ją rozwiązaliśmy.
- Znalazł inną pracę?
- Nie wiem.
- Nie prosił o referencje?
- Spakował rzeczy z biurka i wyszedł.
- Był zły?
- A niby czemu?
- Stracił pracę.
- Pracę raz się ma, raz się jej nie ma.
- Czym się zajmował?
- Chciał się zajmować Kraakerem.
- Co to takiego?

Spojrzenie Helgi Gemein mówiło, że jeśli pytasz, to nie zasługujesz, żeby wiedzieć.

- Galeria sztuki i performance'u; ma być zbudowana w Bazylei w 2013 roku. Planuję złożenie oferty odnawialnych źródeł ogrzewania i oświetlenia, które synchronizowałyby z samą sztuką. Des prosił, żeby włączyć go do tworzenia wstępnych szkiców. Oczywiście projekt takiej skali pomógłby mu w karierze.

- Ale tak daleko nie zasłiście.

- To nie jest jasne. Kiedy posprzątam bałagan, jaki zostawili ci moi partnerzy, może utworzę kolejny zespół. Powrót do Europy będzie przyjemną odmianą.

- Ma pani dość L.A.

- O tak.

- Może pani powiedzieć o Desie coś, co by nam pomogło?

- Facet z ewidentnym apetytem seksualnym.

Milo zamrugał.

- Ewidentnym, czyli...
- Czuł przymus maksymalnego bzykania. Czy jego śmierć miała aspekt seksualny?
 - Skąd to pani o nim wie?
 - Jeśli pyta pan, w ten szczególny, pruderyjny, amerykański sposób, czy mówię z doświadczenia, odpowiedź brzmi „nie”. Moje informacje pochodzą od innych kobiet, które tu pracowały. Każdą z nich Des prosił, żeby dała się przelecieć.
 - Prosił?
 - Był uprzejmy. Zawsze mówił „proszę”.
 - Nie zwolniła go pani?
 - A dlaczego?
 - To dość bezczelne molestowanie w miejscu pracy.
 - Panie policjancie, kobieta może być molestowana tylko wtedy, kiedy sama siebie postrzega w kontekście bezsilności. Wszystkie się zgodziły. Des to przystojny mężczyzna. Pociągająco niedojrzały.
 - Jak dokładnie dowiedziała się pani tego wszystkiego, pani Ge-
mein?
 - Wścibskie pytanie.
 - Taka praca.
- Dotknęła konopnego kolczyka.
- Mielśmy zebranie zespołu. Des coś załatwiał poza biurem, a Judah Cohen wyjechał do Mediolanu, więc żadnych mężczyzn. Gdyby znał się pan choć trochę na kobietach, wiedziałyby pan, że to, plus alkohol, rozwiązuje języki. Jedna z nich widziała inną, jak idzie gdzieś z Desem po pracy, i zapytała o to głośno. Wystarczyło kilka chwil, żeby dojść do wspólnych wniosków. Wszystkie się zgodziły, że był czuły i rozsądnie obdarzony przez naturę, ale brakowało mu kreatywności.
 - O ilu kobietach mówimy? - spytałem.
 - O trzech.
 - Cztery kobiety na spotkaniu, ale tylko trzy otrzymały propozycje.
 - Jeśli w ten amerykański sposób pyta pan, czy jestem homoseksualistką, nie jestem. Chociaż nie mam nic przeciwko homoseksualizmowi pod względem moralnym. Dlaczego nie rznąłam się z Desem? Nie pociągał mnie.
 - Nigdy pani tego nie proponował?
- Zamrugnęła, pogładziła czubek głowy.

- Utrzymywaliśmy relacje zawodowe.

Milo wyjął notes.

- Mogę prosić o nazwiska tamtych kobiet?

Helga Gemein się uśmiechnęła.

- Numer jeden, Sheryl Passant, nasza recepcjonistka. - Zaczekała, aż zapisał. - Numer dwa, Bettina Sanfelice, tępa dziewczyna, która robiła za stażystkę. Numer trzy, Marjorie Holman.

- Ekspartnerka w firmie.
- Zgadza się.
- Z nią Des nie widział potrzeby utrzymywania zawodowych relacji.

- Marjorie i ja rozmijamy się w podejściu do wielu spraw.
- Ona bez problemu łączy pracę z przyjemnościami.
- Upraszcza pan, policjancie. Wszystko jest pracą i przyjemnością.

Marjorie właśnie nie potrafi połączyć tych rzeczy.

- Nie rozumiem?
- Arbitralnie wytycza granice, tworzy wyobrażone zasady, żeby mieć przyjemność z ich łamania.
- Zakazany owoc - podsunął Milo.
- Marjorie jest ich amatorką.
- Mężatka?
- Tak. Muszę już iść.

Milo poprosił o adresy i numery telefonów trzech kobiet. Dane Marjorie Holman Gemein znała na pamięć. Pozostałe sprawdziła w blackberry.

- Odprowadzę panów.

Milo pokazał zdjęcie ofiary.

Helga Gemein dobrze się przyjrzała.

- Co to?
- Kobieta, która zginęła z panem Backerem.
- Czyli jednak kontekst seksualny.
- Dłaczego tak pani sądzi?
- Des z kobietą. Co to mogło być innego?

Milo się uśmiechnął.

- Głęboka więź duchowa? Helga Gemein ruszyła do drzwi.

Poszliśmy za nią.

- Czy Des był dobrym pracownikiem? - spytałem.
- Poprawnym. Zanim rozwiązaliśmy firmę, rozważałam, czy go nie zwolnić.
- Dlaczego?
- Opłakany stan naszej planety wymaga czegoś więcej niż poprawności.

5

- Helga Gemein przeszła przez dziedziniec i dalej na północ Main.
- Wytrzymała, biorąc pod uwagę te szpilki - powiedział Milo. - Wprost urocza.
 - Nie myśl, że to była wrogość - odparłem. - Tylko filozoficzna konsekwencja.
 - A ta filozofia to?
 - Ludzkość jest skazą natury.
 - Trochę psychopatyczne podejście, a ona nie zareagowała emocjonalnie na śmierć Backera. W jej towarzystwie nie trzeba klimatyzacji.
 - Człowiek chłodziwo. To dopiero ekologiczna koncepcja - zakpiłem.
 - Backer rzuca się na każde stworzenie z jajnikami, ale do niej nie startuje. Może zazdrość, którą wyczułeś na miejscu zbrodni, to gniew z powodu odrzucenia?
 - Wzgardzona kobieta? Takie szpilki nieźle by stukały na sklejce.
- Milo spojrział wzdłuż Main. Skrzyżował ramiona na beczkowatej piersi.
- Prosił kobiety, żeby się z nim rznąły. Jeśli Backer rzeczywiście miał tak rozbuchane libido, baza potencjalnych podejrzanych rozszerza się na wszystkich mężczyzn hetero w L.A. Cudownie.
- Przeczytał adresy podane przez Gemein.
- Recepcjonistka i stażystka są z Valley, ale niegrzeczna pani Holman mieszka tu w Venice, Linnie Canal.
 - To niedaleko. Moglibyśmy się przejść - zaproponowałem.
 - Tak, jasne. A ja włożę elastyczne spodenki rowerowe.

Zanim znaleźliśmy najbliższy wjazd w dzielnicę kanałów i pokonałiśmy bizantyjską sieć jednokierunkowych uliczek i ślepych zaułków, geograficzny jeden skok zmienił się w półgodzinną wycieczkę. Kiedy już mieliśmy Linnie Canal w zasięgu wzroku, najbliższe wolne miejsce do zaparkowania było dwie przecznice na wschód.

Kanały mają sto lat, są wytworem rozgorączkowanego umysłu, zdegradowanym do kolejnej dzielnicy drogich nieruchomości. Wspomniany wizjoner, ekscentryk Abbot Kinney, kopał i rył kręte kanały, marząc o odtworzeniu pierwotnego miasta na wyspie. Sto lat później większość ciekawych, pierwotnych domów została zastąpiona upchanymi jedna obok drugiej McRezydencjami, zacieniającymi promenady.

Równy przycięty żywopłot jak echo podążał za każdym łukiem kanału. Przyjemne miejsce na spacer, ale żadnych pieszych w zasięgu wzroku. Na powierzchni zielonej, mętnej wody unosiły się hiacynty i z rzadka śmieci. Obok przepływało stadko kaczek; przystawały, żeby skubnąć coś do jedzenia. Samotna mewa upozorowała lot nurkowy, zmieniła kurs, wylądowała na pobliskim dachu i wyskrzeczwała nosową, polityczną tyradę. Może miała o ludzkości takie samo zdanie jak Helga Gemein.

- Miłe miejsce - stwierdził Milo. - Żeby odwiedzać, nie mieszkać.
- Dlaczego nie mieszkać?
- Za trudno uciec.

Biały dom Marjorie Holman był drewniany, piętrowy, ze stromym dachem, niebieskimi okiennicami, wycinanymi wykończeniami ganku, a okrągły bulaj nad drzwiami kojarzył się z samoobsługową smażalnią ryb.

- Postmodernizm to nie jest - mruknął Milo. - Cokolwiek, do diabła, to znaczy.

Na drewniany taras prowadziła szeroka, betonowa rampa. Rattanowe meble stały bez ładu i składu. Na poręczy - doniczki z geranium. Jeden kąt zajmował mamuci gazowy grill, z większą liczbą guzików i pokręteł niż deska rozdzielcza mojego seville'a. Tandetny delfin na ścianie nad grillem źle zniósł działanie żywiołów: starzejący się Flipper na quaaludes*.

* Quaaludes - lek o działaniu uspokajającym i rozluźniającym; stosowany jako narkotyk, substytut barbituranów (przyp. red.).

Całą ścianę od strony kanału zajmowały przeszklone drzwi. Tyle szkła to duże straty energii; nigdzie paneli słonecznych. Dzwonek na rzemyku zamiast elektrycznego był jedynym ustępstwem na rzecz ochrony środowiska.

Milo pociągnął za rzemyk.

- Chwileczkę! - zahuczał niski męski głos.

Chwilę później ze środka wyjechał mężczyzna na samobieżnym wózku inwalidzkim. Granatowa koszulka ciasno opinała hipopotamie bary i górę brzucha. W płowych spodniach ledwie się zaznaczały nogi jak patyki. Wyglądał na siedemdziesiątkę, miał gęstą grzywę siwych włosów i krzaczastą brodę.

- Słucham?

- Policja. Czy zastaliśmy Marjorie Holman?

- Policja? Co się stało?

- Ktoś, kto pracował w firmie pani Holman, został zamordowany.

- Pan żartuje. - Gwałtowne mruganie. - Kto?

- Desmond Backer.

- Des.

- Znał go pan.

- Przychodził kilka razy, pokazywał Marjie szkice. Zamordowany?

Niemożliwe. Jak?

- Strzałem w głowę, panie Holman.

- Ned. - Mięśnista dłoń wystrzeliła do przodu, kąciki ust opadły.

- Marjie bardzo się zdenerwuje. Lepiej, żeby ja jej powiedział; wejdziecie panowie?

Zawrócił, przejechał przez wielki, jasny pokój do zdobionych dębowych schodów. Cały parter był jednym pomieszczeniem, z maksymalną ilością światła. Rzadko rozstawione meble ułatwiały manewrowanie wózkiem.

Ned Holman przyłożył dłoń do ust.

- Skarbie? Możesz zejść?

- Co się stało?

- Zejdź, proszę, Marjie.

- Wszystko w porządku, Ned?

Stukot kroków.

- Tak, po prostu przyjdź na dół, skarbie.

Marjorie Holman zbiegła do połowy schodów; zobaczyła nas i zniechęciła. Wysoka i kanciasta, obcięta na błękitnosiwego pazia; długie ręce i nogi, drobna twarz zdominowana przez sowie okulary w czarnych oprawkach. Luźna pomarańczowa bluzka i proste dzinsy niewiele mówiły o skrywanym ciele. Bosa. Różowe paznokcie.

- O co chodzi?

- To policja. Des Backer został zamordowany.

Jej dłoń skoczyła do ust.

- O mój Boże.

- Przykro mi, kochanie - powiedział Ned Holman. - A zapowiadał się taki ładny dzień.

Marjorie Holman słabo uściśnęła nam dłonie, poszła do kuchni i wzmocniła się sporą szklanką ginu Sapphire z niebieskiej, przydymionej butelki. Dwa długie łyki wywołały rumieńce na policzkach. Zapatrzyła się przez okno na drzewo koralowe w pełnym rozkwicie.

Mąż podjechał do niej, pomasaował dół pleców.

- Już dobrze, Ned. - Odwróciła się do nas. - Coś panom podać?

Holman otworzył lodówkę uchwytem przełożonym niżej, wyjął butelkę budweisera. Szybki ruch palca strącił kapsel. Ned złapał go jedną ręką, przetoczył w palcach przypominających kiełbaski.

- Nie, dzięki - odparł Milo.

Oboje Holmanowie się napili. On skończył piwo pierwszy. Ona pocieszyła się połową ginu i odstawiła szklankę.

- Muszę się przewietrzyć... nie będzie ci przeszkadzało, jak wyjdę, Ned?

- Oczywiście, że nie.

Wskazała nam drzwi, zbiegła po rampie, skrzyła prosto na deptak. W wodzie zebrało się więcej mew - zgryźliwe kworum.

Marjorie Holman ruszyła wolno przed siebie; szła blisko żywopłotu, przesuwając ręką po jego wierzchu.

- Jestem w szoku. Jezu, kiedy to się stało?

- Dziś w nocy. Miał przy sobie wizytówki, właśnie rozmawialiśmy z panią Gemein.

- Z Helgą - powiedziała. - To musiało być interesujące.

- Dlaczego, pani Holman?

- Och, niech pan da spokój. Skoro pan z nią rozmawiał, to nie pyta pan serio.

- Ciekawa kobieta.

- Podejrzewacie ją?

- A powinniśmy?

- Cóż, Helga jest wyprana z normalnych ludzkich emocji, ale nie zauważyłam, żeby kiedykolwiek odnosiła się wrogo do Desa. W szczególności.

- Była wroga wobec wszystkich?

- Całkowicie aspołeczna. Między innymi dlatego przestaliśmy być partnerami. Co dokładnie stało się Desowi?

- Został zastrzelony przez nieznanego sprawcę.

- Dobry Boże.

- Pani Holman, jeśli warto coś wiedzieć o Heldze Gemein albo o kimkolwiek z zespołu, proszę nam to teraz wyjaśnić,

- Nie owijając w bawełnę, Helga to dziwak, detektywie, ale czy mam konkretny powód uważać, że jest morderczynią? Nie. Mogę za to powiedzieć, że to oszustka, więc wszystko co mówi może być podejrzane. Firma nigdy nie ruszyła, bo Helga oszukała mnie i Judaha Cohena, trzeciego partnera.

- Jak to oszukała?

- Nie było masła w maśle.

- Tak naprawdę nie obchodziła jej zielona architektura?

- Wykazywała pozorne zainteresowanie - wyjaśniła Marjorie Holman. - W Niemczech architektura to dział inżynierii, i tym właśnie Helga jest, inżynierem budownictwa. Do tego bardzo mało utalentowanym. Nie musi pracować, bo jej ojciec ma kilka firm żeglugowych, może udawać intelektualistkę i globalną myślicielkę. Judah i ja poznaliśmy ją na konferencji w Pradze. Twierdziła, że uzyskała szerokie poparcie dla zintegrowanego podejścia w licznych projektach. Judah i ja jesteśmy weteranami, oboje dochrapaliśmy się wysokich stanowisk w przyzwoitych firmach, ale uznaliśmy, że pora na zmiany. Helga oznajmiła, że tu, w Venice, trzeba tylko przyjść i zacząć używać mózgow. Później się dowiedzieliśmy, że wynajmowała budynek, chronicznie spóźniała się z czynszem. Wszystko inne, co nam nagadała, też okazało się bujdą. Chciała tylko rozmawiać o ideach. Judah i ja spaliliśmy za sobą mosty, zostaliśmy bez pracy. W architekturze albo jesteś Gehrym czy Meie-

rem, albo projektujesz dobudówki w San Bernardino. - Rozdęła nozdrza. - Heldze zdruziała się zabawa. Któregoś dnia weszła i oznajmiła, że nasza firma jest „kaput”. Dosłownie.

- Lubi teatralne zagrania - zauważył Milo.
- Żeby pan wiedział.
- To wyjaśnia ogoloną głowę?
- Prawdopodobnie - przyznała Marjorie Holman. - Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy ją w Pradze, miała długie blond włosy, wyglądała jak Elke Summer. Przyjeżdża tutaj i już widzimy Yula Brynnera. - Pokręciła głową. - Ona cała to jeden wielki performance. Nienawidzę jej jak zarazy, chciałabym wam donieść, że jest zdolna do morderstwa, ale uczciwie nie mogę.

- Proszę nam opowiedzieć o Desie.
- Miły chłopak, mieliśmy go prosto po studiach.
- Zrobił dyplom po trzydziestce - przypomniałem. - Późno dojrzał?

- Takie pokolenie, dojrzewanie nigdy się nie kończy. Mam dwóch synów mniej więcej w wieku Desa i obaj wciąż jeszcze nie wiedzą, co ze sobą zrobić.

- Morderstwa dokonano na placu budowy przy Borodi Lane, w Holmby Hills - podjął Milo. - Coś to pani mówi?

- Nie, przykro mi. W Holmby... to musiał być dom.
- Typowy trzydziestopokojowy McPałac.
- Des znalazł pracę w innej firmie?
- Jeśli tak, to nie miał ich wizytówki.
- Jeżeli nie pracował przy budowie, to nie wiem, co by tam robił. W poprzek deptaka stał plastikowy kajak. Obeszliśmy go.
- Co do osobistych relacji między panią a panem Backerem...

- zaczął Milo.

- Nie było takich.
- Pani Gemein twierdzi coś przeciwnego. Marjorie Holman zacisnęła pięści, ale nie zgubiła kroku.
- Pani Holman?
- Wredna suka.
- Wredna i kłamliwa? Ostre wciągnięcie powietrza.
- Nie widzę powodu, żeby przeproszać.

- My nie osądzamy, pani Holman...
 - Oczywiście, że osądzacie, to wasza praca.
 - Tylko kiedy to dotyczy morderstwa, proszę pani.
- Marjorie Holman zaśmiała się ostro, nieprzyjemnie.
- W takim razie wszystko gra, bo cokolwiek robiłam czy nie robiłam z Desem nie ma nic wspólnego z morderstwem.
 - Bardziej nas interesuje „robiłam” niż „nie robiłam”.
- Nie odpowiedziała. Milo nie naciskał i wszyscy troje szliśmy dalej.
- Pięć domów później:
- Poznaliście panowie mojego męża. Jest kaleką od sześciu lat. Nie zamierzam się tłumaczyć ani też przepraszać za to, że mam swoje potrzeby.
 - Jasne.
 - Proszę mnie nie traktować z góry, detektywie. Nie jestem idiotką.
- Kolejnych sześć domów. Przyspieszyła. Na jej policzku pojawiła się ciemna smuga łzy.
- Raz. To wszystko. Ned nie musi wiedzieć.
 - Zgadzam się, proszę pani.
 - Czuły chłopak, prawie jak kobieta. Nie żebym wiedziała, jak to robią... Totalne szaleństwo, teraz żałuję. Ale wtedy... - Wytarła łzy rękawem. - Jeden z moich synów jest w wieku Desa i jeśli wam się wydaje, że nie czułam się potem jak szmata, to się mylicie. To się nie miało już nigdy powtórzyć; po co się więcej zadrećcać? - Stała, dotknęła nadgarstka Milo. - Postawię rzecz jasno, detektywie: Des mnie nie wykorzystał, ja też nie polecałam na niego jak jakaś podstarzała desperatka. Po prostu tak wyszło.
 - Raz - powtórzyła Milo.
 - Chce mnie pan podpiąć do wykrywacza kłamstw, proszę bardzo.
- O ile tylko Ned się nie dowie.
- Pragniemy jedynie znaleźć mordercę Desa.
 - W tym panom nie pomogę.
 - Ktoś w firmie miał z nim konflikt?
 - Nie.
 - Helga?
 - Chętnie powiedziałabym „tak”, ale skłamałabym.
 - Mówiła nam, że nigdy nie łączyło jej z Desem nic bliższego.
 - Dziwi to was? Wątpię, czy Helga jest w ogóle zdolna do bliskości.

- Podobno Des spał ze wszystkimi innymi kobietami w firmie.
- Tego nie mogę potwierdzić.
- Według niej może pani. Bo rozmawiałyście o tym otwarciu. Na spotkaniu.

Marjorie Holman zakołysała się na piętach. Ruszyła do przodu ze spuszczoną głową.

- O Jezu. - Zachichotała dziwnie i załamała rękę. - Martini i estrogen, co jeszcze dodać?

- Spotkanie firmowe z alkoholem?

- W restauracji.

- Gdyby mogła nam pani powiedzieć, gdzie pani i Des... spotkaliście się...

- Dlaczego to pana obchodzi?

- Szukamy prawidłowości.

- Jakich?

- Des na budowach.

Zbladła.

- Proszę pani...

- To upokarzające. - Znów ostry śmiech. - Chcecie poznać świńskie szczegóły, proszę: któregoś wieczoru, trzy, cztery miesiące temu, Des i ja pracowaliśmy do późna. Teraz myślę, że prawdopodobnie to zaplanował. Słyszał o Kraekerze, to galeria sztuki w Szwajcarii, którą rzekomo mieliśmy współprojektować. Kolejna fantazja Helgi, nie wypełniła nawet formularzy zgłoszeniowych... pana to nie interesuje, pan czeka na wątek seksu. Des prosił, żebym szepnęła za nim dobre słowo Heldze. Zgodziłam się. Zgłodnieliśmy, więc poszliśmy na kolację. Des zaproponował, żebym obejrzała pewną budowę. Chodziło o jej design. Jeśli to jakaś prawidłowość, proszę bardzo.

- Gdzie to było? - spytał Milo.

- O Boże... Santa Monica, niedaleko Water Gardens, przy Dwudziestej Szóstej i Colorado. Des mówił, że jakieś studio filmowe zaczyna projekt z myślą o całkowitej samowystarczalności, aż do oczyszczenia szarej i czarnej wody. Zapadł już zmrok, pojechaliśmy dwoma samochodami, nie spodziewałam się, że kiedy dotarliśmy na miejsce, zdumiałam się, bo zobaczyłam pustą działkę. Stała na niej tylko przyczepa kempingowa jako stróżówka, nic ciekawego, więc się wkurzyłam, że Des mnie tam zaciągnął. Powiedział „zaczekaj, coś ci pokażę”

i zaprowadził mnie za przyczepe. - Odruchowo przyglądała włosy. - Chyba byłam po prostu gotowa dać się wodzić za nos. Des położył mi ręce na ramionach i wyszeptał: „Wiem, że robię źle i że mogę przez to stracić pracę, ale bardzo mnie pociągasz, Myślę o tobie, odkąd cię poznałem i, niech mnie Bóg ma w opiece, z chęcią bym cię zerznął”. - Wyprostowała kołnierz, poprawiła naszyjnik, jakby szykowała się do zdjęcia. - Kiedy to powtarzam, brzmi wulgarnie, ale... Uwierzcie mi, to było nieziemsko kuszące.

Kolejnych dziesięć minut spaceru wydobyło z niej łatwe do sprawdzenia alibi na zesłą noc. Holmanowie wybrali się na koncert muzyki eksperymentalnej w Disney Hall razem z inną parą, a potem na późną kolację do restauracji w Providence przy Melrose.

- Orgia owoców morza, panowie. Jak już objedliśmy się do nieprzytomności, pojechaliśmy na drugą stronę do Vibrato, w Beverly Glen, w nadziei, że posłuchamy jazzu, ale występ się skończył, więc wróciliśmy do domu. Ja poszłam do łóżka, a Ned siedział jeszcze i czytał, jak zwykle. Jego życiem są książki i język, jest cenionym lingwistą, kiedyś wykładał na uniwersytecie. Kiedyś robił różne rzeczy. - Zmarszczyła brwi. - To była moja żalсна zebrania o współczucie. Nie żebym go potrzebowała. To biednemu Desowi trzeba współczuć.

- Co pani wie o przeszłości Desa? - spytał Milo. - Osobistej, nie zawodowej.

- Nigdy o takich rzeczach nie dyskutowaliśmy. W ogóle mało rozmawialiśmy. Cudowny chłopak, łagodny, delikatny. Nie rozumiem dlaczego ktoś chciał go zabić.

Milo pokazał zdjęcie ostatniej partnerki Desa.

- Kto... mój Boże, ona...

- Rozpoznaje ją pani?

- Absolutnie nie. - Odepchnęła fotografię.

- Pozostałe kobiety w firmie, Sheryl i Bettina. Panny czy mężatki?

- Panny.

- Pytam, bo musimy sprawdzić mściwych chłopaków i mężów.

Wytrzeszczyła oczy.

- Ned? Wykluczone. Najpierw musiałby wiedzieć, a nie wie. Poza tym nie miałby szans, żeby cokolwiek na to poradzić, prawda?

Lekceważące okrucieństwo ostatniego zdania zawisło w powietrzu.

- A skoro o tym mowa, czas na mnie, panowie. Może Ned potrzebuje odświeżenia.

6

Marjorie Holman wbiegła po pochylni do domu.

- Potrzebuje odświeżenia - powtórzył Milo. - Mężulo jako roślina w doniczce. Stary Des wpakował się w niezłe gniazdo żmij.

Ruszyliśmy z powrotem do samochodu, przeszliśmy po mostku nad nieruchomą zieloną wodą.

- Wygląda na to, że dał tam nura z entuzjazmem. Jeśli zabierał Pas-sant i Sanfelice na budowy, mówimy tu o przewidywalnym zachowaniu wysokiego ryzyka.

- Jedź ze mną na *le budowę, mon amour*. Równie dobrze mógłby nosić na szyi tabliczkę „Śledź mnie”. Czyli niewykluczone, że zabójca to zazdrośnik i spotkaliśmy głównych bohaterów. Mąż rozgoryczony swoim losem. Żona uważa go za warzywo, ale zostało w nim całkiem sporo zwierzaka.

- Uroczą Helga nazwała Holman amatorką zakazanych owoców. Możliwe że jej skoki w bok nie ograniczały się do randki z Backerem.

- Tym więcej powodów nagromadzonej frustracji, ale w tej chwili jedyny uwodziciel, jaki mnie interesuje, to Backer. Pan casanova. Proponowanie seksu wprost trudno nazwać subtelnnością, nie mówiąc o tym, że podrywał trzy kobiety z jednego biura. Ale działało, więc co ja tam wiem?

- Backer chyba wyczuwał emocjonalną podatność - stwierdziłem.
- Pomyśl o domu Holmanów: Ned nie ma dostępu na piętro, gdzie śpi żona. Marjie jest architektem, więc jeśli ktokolwiek mógłby wymyślić sposób, żeby go tam wpuścić, to ona. Zdecydowali się na separację. To nie tylko kwestia seksu, tu chodzi o intymność. A to właśnie według pani Holman zapewnił Backer.

- Odrobina czułości, a ona od razu na to poleciała.

- Pytanie brzmi: skoro zaspokajał jej potrzeby, czemu ograniczyła się do jednego razu?

Milo wzruszył ramionami.

- Okłamała nas, łączyło ją z Backerem coś poważnego?

- To by już było duże zagrożenie dla Neda Holmana. Nie dość że upokorzony, zostałby osamotniony cielesnie i emocjonalnie. Obaj widzieliśmy dość zbrodni rodzinnych, żeby znać prawidłowość: zazdrośny mąż najpierw skupia się na usunięciu zewnętrznego zagrożenia. Może się myliłem, że celem była NN. A jeśli zabójca chciał sprzątnąć Backera i tylko przypadkiem uśmiercił kobietę?

- Albo - podjął Milo - to ona znaczyła dla Backera więcej niż jednorazowa partnerka. Albo i ona, i Marjie uważały, że są numerem jeden, czyli znów kobieta wzgardzona. - Skrzywił się. - Coraz liczniejsze grono podejrzanych... Odświeża tego biedaka. Dlaczego nie zaprojektowała mu windy albo czegoś takiego?

- Do tego - stwierdziłem - jej alibi na zeszlą noc jest nic niewarte. Poszła spać, wstała. To samo dotyczy fizycznych ograniczeń Neda, bo mógł zlecić zabójstwo. Każde z nich mogło. Robota zawodowca; dokładne planowanie, w tym ułożenie ciała...

Milo skubnął mięsisty płatek ucha.

- Strasznie to wszystko szekspirowskie, Alex. Teraz potrzebuję tylko czegoś zbliżonego do dowodu, na przykład dokumentacji płomienego romansu między Marjie i Backerem oraz kwitu opłacenia mordery przez któreś z Holmanów. Kurczę, jak marzyć, to marzyć, nie pogardziłbym też ciepłym miejscem w sercu Warrena Buffetta. Ale na razie wystarczyłoby mi ustalenie tożsamości NN.

Kiedy ruszyliśmy, zadzwonił do krypty, dowiedział się, że ciała wciąż czekają na przyjęcie. Zmrużył oczy, spojrzął na swojego timeksa.

- Te cholerne cyferki są coraz mniejsze... druga piętnaście, zobaczmy, czy znajdziemy Bettinę Sanfelice i Sheryl Passant. Jeśli nie tylko mieszkają, ale i pracują w Valley, zdążymy przejechać przez górkę przed korkami. Poza tym znam tam jeden włoski lokal. Pisziesz się?

- Aha.

- Ależ mi się trafiła ofiara - mruknął, kiedy opuszczaliśmy dzielnicę kanałów. - Z takim ładunkiem hormonów i charyzmy powinien za życia kandydować.

Cyrk robiący za kalifornijską legislaturę w końcu pogonił lobbyistów firm telefonicznych na dość długo, żeby uchwalić zakaz rozmów

przez komórki za kierownicą. Milo był zachwycony systemem, który zainstalowałem, bo podczas rozmowy może się teraz wygodnie rozsiaść, palić cygaro, chrząkać, przeciągać i rozglądać po ulicach za złymi ludźmi.

Kiedy zbliżyłem się do Lincoln Avenue, zaczął wstukiwać numer. W mieszkaniu Sheryl Passant w Van Nuys nikt się nie zgłosił, ale pod domowym numerem Bettiny Sanfelice w North Hollywood odebrała kobieta o bełkotliwym głosie.

- Tak?
- Czy rozmawiam z Bettiną?
- Nie.
- Czy ona tam mieszka?
- Kto mówi?
- Porucznik policji Los Angeles Milo Sturgis.
- Kto?

Powtórzył wolno i wyraźnie.

- Policja?
- Tak, proszę pani.
- Tinie coś się stało?
- Muszę z nią porozmawiać o pewnej sprawie.
- Jakiej sprawie?
- Ktoś, z kim pracowała, został zamordowany.
- Kto?
- Desmond Backer.
- Nie znam.
- Proszę pani...
- Córci nie ma w domu.
- Może mi pani powiedzieć, dokąd poszła?
- Skąd mogę wiedzieć, że nie jest pan jakimś wariatem?
- Podam swój numer, proszę sprawdzić na posterunku.
- A skąd pewność, że nie daje mi pan lewego numeru?
- Niech pani sprawdzi sama. Posterunek West L.A., przy Butler...
- To ja mam odwalić całą robotę?
- Proszę pani, doceniam pani ostrożność, ale muszę zamienić kilka słów z Bettiną.

Cisza.

- Pani Sanfelice...

- Poszła do T.G.I. Friday's.
- Którego?
- Aż w Woodland Hills, nie znam adresu. Lubi ich hamburgery, mnie na to szkoda paliwa.
- W co jest ubrana?
- Czy ja wiem?
- Nie mieszka z panią?
- Pewnie, że mieszka, bo ciągle nie ma pracy. To nie znaczy, że zwracam uwagę, w co się ubiera.

Klik.

Milo zadzwonił do detektywa Moe Reeda i poprosił, żeby wyciągnął z wydziału komunikacji dane stażystki.

- Właśnie chciałem do pana dzwonić, poruczniku - powiedział młodszy policjant. - Odciski Backera i kobiety przeszły przez system, ale niestety żadnych wyników...

- Spodziewałem się tego.
- Spodziewał się pan?
- Taki dzień. - Przeliterował nazwisko Sanfelice.

Kilka chwil później Reed się odezwał.

- Sanfelice, Bettina Morgana, trzydzieści lat, metr sześćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt kilo, oczy piwne, włosy brązowe, nosi szkła korekcyjne, nieposzukiwana, niekarana. Podaję adres.

Mieszkała u matki, kiedy trzy lata temu odnawiała prawo jazdy.

- Coś jeszcze, poruczniku?
- Dam ci znać.

Milo się rozłączył.

- Jak słyszę stażystka, to myślę dziewczyna na studiach. Ona jest sporo starsza, bezrobotna, nie wyprowadziła się od kochającej matki. Jak określiłeś: emocjonalna podatność. Stary Des miał cholernego nosa.

Autostrada 101 zaczynała się korkować, więc pojechałem do Woodland Hills przez Ventura Boulevard. Restauracja T.G.I. Friday's wyglądała jak wszystkie inne, i o to właśnie chodzi.

Sieciówki są łatwym celem kpin dla smakoszy z firmową kartą kredytową, dokumentalistów żyjących z dotacji i dzieci funduszy powierniczych. Dla ludzi ograniczonych domowymi budżetami i stojących

w obliczu świata, który wydaje się coraz bardziej nieprzewidywalny, to świątynie pocieszenia. Milo i ja wychowywaliśmy się na Środkowym Zachodzie i obaj w liceum przewracaliśmy hamburgery. Zapach grilla wciąż budzi w nas najróżniejsze wspomnienia. Moja reakcja na tę woń zależy od tego, jak akurat układa mi się w życiu.

Dzisiaj podziało całkiem nieźle.

Milo zaciągnął się głęboko.

- Dom, kochany bekon.

Wnętrze było przestronne, przyduszone ciemną dębina, pełne luster z napisami, ostentacyjnych podróbek lamp od Tiffany'ego, kelnerów w czerwonych koszulach, którzy głównie kręcili się bez celu, bo o trzeciej nie ma ruchu.

Bar dość bogato wyposażony, by wprawić w stan upojenia pół Valley, ciągnął się przez całą szerokość sali. Wystrój sprawiał, że bez trudu zauważało się każdego klienta: kilku zaspanych kierowców ciężarówek; matkę z babcią, które wspólnymi siłami uciszają płaczące dziecko w wysokim krzeselku; dwie młode kobiety w budce na środku popijają drinki z wysokich szklanek i skubią frytki z talerza.

- Stolik dla dwóch osób? - spytał chłopak w czerwonej koszuli.

- Dosiądziemy się do znajomych.

Dziewczyny były blade, chude, miały ciemne bluzki z krótkimi rękawami, dzinsy i niedbale zawiązane kucyki. Jeśli nie brać pod uwagę platynowych włosów jednej z nich, obie odpowiadały rysopisowi Bettiny Sanfelice.

- Blondynka nosi okulary, więc stawiam, że to ona - powiedział Milo - Teraz tylko trzeba ją odseparować od koleżanki i zmusić do gadania o życiu seksualnym. Jakież sugestie co do właściwego podejścia?

- Nie istnieje takie - odparłem.

- Twój optymizm to błogosławieństwo.

Żadna dziewczyna nie dostrzegła nas, dopóki nie zbliżyliśmy się na metr, potem obie podniosły wzrok. Milo uśmiechnął się do blondynki.

- Bettina Sanfelice?

- To ja - odezwała się brunetka cichym, niepewnym głosem. Drobnokościasta, ale o pełnej twarzy, miała blisko osadzone ciemne oczy, pulchne policzki i wyglądała jak ukarane przed chwilą dziecko. Frytka

umaczana w białym sosie, spadła z powrotem na talerz. Nie ziemniak - coś jasnozielonego i karbowanego - smażona fasola szparagowa?

Milo zgarbił się, żeby sprawić wrażenie mniejszego, pokazał wizytówkę zamiast odznaki, od niechcenia wyrecytował swój stopień.

Bettina Sanfelice, zbyt zaskoczona, nie wydusiła z siebie ani słowa, za to blondynka powiedziała „policja?“, jakby to był żart. Ładne rysy, ale ziarnista skóra z jakąś skazą; gruba warstwa makijażu nie zdołała zatuszować ciemnych kręgów pod oczami.

Milo nie odwracał się od Bettiny Sanfelice.

- Przykro mi to mówić, ale prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci kogoś, z kim pani pracowała.

Sanfelice rozdziawiła usta. Gwałtownie podniosła rękę i potrąciła szklanke. Drink by się wylał, gdybym go nie złapał.

- Śmierci?

- Zabójstwa.

Sanfelice głośno wciągnęła powietrze.

- Kogo?

- Niejakiego Desmonda...

Zanim Milo zdążył dokończyć, obie wykrzyknęły: „Des!“ Chłopak w czerwonej koszuli obejrzał się na nas. Surowe spojrzenie Mila i natychmiast skreślił do baru.

- Zrobiło mi się strasznie niedobrze - wymamrotała blondynka w okularach.

- Des? - powtórzyła Bettina Sanfelice. - O mój Boże.

Blondynka zdjęła okulary.

- Muszę do łazienki.

Wysunęła się z budki.

- Pani też go знаła?

- Tak samo jak Tina. - Blondynka potruczała do toalet; poruszała się niezgrabnie w obcisłych dżinsach i tandetnych adidasach.

Kelner ośmielił się podejść.

- Wszystko w porządku?

Milo nadął się jak balon.

- Jak najbardziej, zajmij się swoimi sprawami.

Pora na odznakę. Chłopak rozdziawił usta i zawrócił na pięcie.

- Pani przyjaciółka jest bardzo zdenerwowana, Bettino - podjął Milo.

- Sheryl ma słaby żołądek.
- Sheryl Passant?

Kiwnięcie.

- O Jezu. Kto zabił Desa?
- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Możemy się dosiąść?
- Ee... - Nawet nie drgnęła.

Milo się uśmiechnął.

- Dzięki za komplement, ale potrzebuję trochę więcej miejsca, Bettino.

- Och... przepraszam. - Sanfelice się przesunęła, a Milo wcisnął się obok niej. Przy nim dziewczyna zrobiła się jeszcze drobniejsza. Zauhukane dziecko.

Usiadłem naprzeciwko nich.

Milo wskazał różowego drinka.

- Rozumiem, że to szok, proszę się nie krępować.

- Och... nie, dzięki. - Ale chwyciła szklanke obiema dłońmi, wypila długi, głośny łyk.

- Margarita z mrożonych truskawek? - spytał Milo.

- Mrożone truskatini... Des naprawdę nie żyje? Boże, to takie... nie mogę uwierzyć!

- Tino, wszystko, co pani powie o Desie, bardzo nam pomoże. Pani i Sheryl pracowałyście z nim, tak?

- Aha. W GHC, to firma architektoniczna. Sheryl załatwiła mi tę robotę.

- Przyjaźnicie się od dawna.

- Od podstawówki. Chciałyśmy wstąpić do wojska, ale zmieniłyśmy zdanie przez Irak. Zamiast tego poszłyśmy do JC, ale nam się nie podobało, więc poszłyśmy na informatykę uczyć się o komputerach, ale nam się nie podobało, więc przeszłyśmy na technologię biznesu w Briar Secretarial. Sheryl od razu dostała pracę, potrafi szybko pisać, ale ja jestem wolniejsza, więc przepisałam się na grafikę komputerową. Marzę, żeby projektować meble i zasłony, ale na razie nic nie mam, więc kiedy Sheryl została zatrudniona w GHC, powiedziała mi, że potrzebują stażystki, może dostałabym coś do zaprojektowania.

- I dostała pani?

- Ee, głównie załatwiałam sprawy, odbierałam telefony, kiedy Sheryl była zajęta. Czyli niezbyt często. Właściwie nic się tam nie działo.

- Czy Des pracował w GHC, kiedy pani i Sheryl zaczęłyście?
- Nie, przyszedł jakiś tydzień później. Powiedziałyśmy sobie „w końcu jakiś facet”.

Zarumieniła się.

- Pan Cohen to facet.
- Ale stary.
- Jak stary?
- Nie wiem, z sześćdziesiąt lat? Taki dziadek.
- On jest dziadkiem - wtrącił się głos po lewej - Przyprowadzał swoje wnuki i cały dzień się z nimi bawił.

Sheryl Passant patrzyła na nas z góry jak wyrocznia. Wstałem, żeby ją wpuścić. Już bez kucyka: długie blond włosy rozpuszczone na ramiona, zniknęły też okulary. Wsunęła się.

- Dlaczego rozmawialiście o panu Cohenie?
- Mówiliśmy o Desie, Sher - odparła Bettina Sanfelice. - Chodzi o to, żebyśmy pomogły złapać mordercę.
- My? A co my możemy im powiedzieć?
- Na początek, jakim był facetem, Sheryl - odparł Milo. - Czy miał wrogów, którzy życzyliby mu źle?

Passant przysunęła się bliżej. Przycisnęła udo do mojego. Odsunąłem się. Zmarszczyła brwi, odrzuciła włosy.

- Des nie miał wrogów.
- Żadnych?
- To bardzo wyluzowany gość, wszyscy go lubili. Nawet Hitlerowa Helga.

- Helga gestapówka - dorzuciła Sanfelice z chichotem, potem śmiertelnie spoważniała. - Przepraszam, my tylko... nie traktowała nas dobrze. Z trudem wydębiałyśmy wypłatę. To znaczy Sheryl, mnie jako stażystce w ogóle nie płacili.

- Okropna kicha - wycedziła Passant. - Robiłaś to samo co ja, Teen. Powinnaś tyle samo zarabiać. Pieprzona Helga.

- A partnerzy? - spytał Milo.
- Marjie i pan Cohen nie kontrolowali finansów, ona to robiła. Budynek był jej, pomysł był jej, wszystko było jej. Zachowywała się, jakby wymyśliła Zielonych. Jakby Al Gore w ogóle nie istniał. Myślicie, że to Helga zabiła Desa?

- A mogła?

Dziewczyny popatrzyły na siebie. Sanfelice zamieszała drinka.

- Nie mówię, że by to zrobiła - mówiła Passant. - Ale nie jest normalnym człowiekiem, wie pan?

- Jest inna - dodała Sanfelice. - Pochodzi z Europy.

Chłopak w czerwonej koszuli znów się pojawił, tym razem z dwoma talerzami.

Hamburgery z bekonem ociekające roztopionym białym i pomarańczowym serem, sałaty wielkości niemowlęcej główki, stóg cebulowych krążków.

- Ee, chcecie to jeszcze? - spytał.

- Już straciłam apetyt - bąknęła Bettina Sanfelice.

- Fuj. - Sheryl Passant się skrzywiła. - Musimy zapłacić?

- Postaw to jedzenie, synu, i daj mi rachunek - powiedział Milo. - Masz tu napiwek z góry. - Odliczył banknoty.

- Super - ucieszył się chłopak.

Kilka minut rutynowych pytań nie wniosło niczego nowego. Desmond Backer to „fajny koleś i niezłe ciacho”. Tak go opisały dziewczyny. Szok minął i obie zdawały się zadowolone, że ktoś poświęca im uwagę.

Bettina Sanfelice przyjrzała się swojemu burgerowi.

- To chyba obrzydliwe, ale spróbuję.

- Ja nie - zdecydowała Sheryl Passant. Chwilę później szeroki uśmiech, kiedy wgrzyzła się w kanapkę, wytarła brodę. - Chyba kłamałam.

Milo pozwolił im jeść, zaproponował jeszcze po drinku. Odmówiły.

Sanfelice szczerze, Passant z pewnym żalem. Milo popatrzył na mnie. Uniosłem brwi. Przekrzywił głowę, a kiedy nie zareagowałem, powiedział:

- Teraz mój partner zada paniom kilka pytań. Będą trochę osobiste, więc przepraszam. Ale to naprawdę konieczne.

Przywołał kelnera, zamówił ekstraduzą colę.

Obie przyjaciółki przestały jeść.

Udo Sheryl Passant mocno przywarło do mojego.

Uso biste? - zdziwiła się Bettina Sanfelice.

Ruch brwiami. „Przejmij ją”.

- Im chodzi o seks, Teen - wyjaśniła Sheryl Passant. - Bo Des był napalony od samego początku, nie? Jakby się urodził po to, żeby no wiesz. - Kąciki jej ust poszły w górę, kiedy pochyliła się nad słomką. Głośne siorbnięcie.

- Helga i Marjorie Holman powiedziały nam o spotkaniu, na którym rozmawialiście o Desie - zacząłem.

Passant się wyszczerzyła.

- Wszystkie go posuwałyśmy. Każda się do tego przyznała.

Bettina Sanfelice zakryła dłonią usta.

- Przestań pajacować, Teen. Pieprzyliśmy się z Desem i co z tego?

- O mój Boże. - Sanfelice zwiesiła głowę.

Passant się roześmiała.

- Od małego miałam na nią zły wpływ, dlatego jej matka zawsze mnie nie znosiła. Kiedy się wrzuci ogiera takiego jak Des w bandę bab, jak myślicie, co się stanie?

- Helga twierdzi, że z nią się to nie stało - zauważyłem.

- Bo ona nie jest człowiekiem... skończ te spazmy, Teen, to biologia.

- Muszę do łazienki - wybełkotała Sanfelice.

- Za sekundę, skarbie - usadził ją Milo.

Bez sprzeciwu.

- Jak tylko się spotkało Desa - ciągnęła Passant - od razu było wiadomo, że jemu chodzi o jedno.

- Według Marjorie zachowywał się dość bezpośrednio - powiedziałem - Po prostu proponował.

- Na początku myślałam, że to obrzydliwe. No wiecie, głupi żart. Ale robił to tak, że przestawało być obrzydliwe.

- To znaczy jak?

- Nie namolnie, raczej... przyjacielsko. Z Desem wszystko było po kumpelsku.

Postawiła stopę na mojej. Nacisk na granicy bólu. Odsunąłem się. Sheryl się uśmiechnęła.

- To jednorazowa sprawa czy...
- Ja siedem razy. Szczęśliwa siódemka.
Bettina Sanfelice głośno westchnęła.
- No tak, mówiłam ci, że trzy, Teen. Nie chciałam cię przestraszyć.
Teraz spytacie, czemu siedem, a nie osiem? Nie wiem, jakoś tak się skończyło. Jakby stał się moim bratem.
- Za bardzo po kumpelsku - zasugerowałem. -
Aha.
- Zabierał panią w jakieś konkretne miejsce?
- Na kawę. Czasem coś jedliśmy. - Znów pieściła moją stopę swoim adidasem. - Już po.
- A przed kawą?
Odwróciła się do mnie.
- Rzeczywiście, osobiste. Wybierał różne miejsca. Generalnie place.
- Place budowy?
- Mówił o nich tylko „place”. Niedokończone budynki. Goła ziemia. Woził w samochodzie koc. Ogólnie lubił się bzykać na powietrzu. Wielu to kręci.
- Gdzie znajdowały się te place? - spytałem.
- W Valley. Nie znam dokładnych adresów, jeździliśmy po zmroku.
To tam zginął? W Valley?
- Nie.
- No, ze mną to zawsze było w Valley. Zabierał mnie z domu, mówił, że ma nowy plac.
Bettina Sanfelice mruknęła coś niezrozumiale.
- Teraz możesz im opowiedzieć o Desie i o sobie - zachęciła Sheryl Passant.
- Wiemy już chyba dość - stwierdziłem.
- Mówiłaś, że ty dwa razy, Teen. Pamiętasz, jak to skomentowałam? Do dwóch razy sztuka. Ciebie też ciągnął na place.
Sanfelice zaskamląła.
- Nie musi pani, Tino... - zacząłem.
Passant wzięła przyjaciółkę za rękę.
- Wyluzuj, Teen, nikt nie pisnie ani słowa twojej mamie. Im nie chodzi o nas, tylko o tego, kto zabił Desa.
- Macie panie jakieś pomysły, kto to?

Obie pokręciły głowami.

- Marjorie Holman wyznała nam, że ona i Des spali ze sobą raz. Myślicie, że to prawda? - spytałem.

- Możliwe - odparła Passant. - Jest stara i zużyta.

- Jak to się stało, że zaczęłyście rozmawiać o Desie?

- Wszystkie piłyśmy, jak się pije, to się gada.

- To nie było spotkanie biznesowe?

- Tak je nazwała. Ta Niemra. Zresztą nieważne, jaki biznes takie spotkanie.

- Nie mieliście zleceń.

- Przychodziliśmy tylko codziennie i najczęściej siedzieliśmy bezczynnie, chyba że ta faszystka chciała popaplać o czymś, czego nikt nie rozumiał. Któregoś dnia wpada i mówi: „Nie ma spójności, potrzeba nam spójności”.

- Spoistości - poprawiła Sanfelice.

- Jedno i to samo, Teen. W każdym razie Niemra Helga doszła do wniosku, że urządzi spotkanie, żeby zyskać tą spoistość, więc poszliśmy na drinka.

- Tylko kobiety - podkreśliłem.

- Babskie wyjście. Jakby zobaczyła coś takiego w filmie i chciała być bardzo amerykańska, rozumiecie? Ale co tam, ona płaci, czemu nie? Znalazła lokal niedaleko lotniska, słychać było samoloty; podawali tam monstrualne margarity. Pamiętasz te szklanki jak doniczki, Teen? - Dla podkreślenia swoich słów pomasaowała moją nogę.

- Jak się pojawił temat Desa Backera?

- Jakoś tak. Przypominasz sobie, Teen?

Przyjaciółka pokręciła głową.

- Rozmawialiśmy o różnych rzeczach - ciągnęła Passant. - Z tego zeszyliśmy na facetów. A potem któraś powiedziała: ciekawe, jak by się to podobało Desowi, być tu z tyloma laskami?

- Która?

- Sheryl - odezwała się Bettina Sanfelice.

-Ja?

- Tak.

Passant się wyszczerzyła.

- Skoro twierdzi, że ja, to ja. Byłam już wtedy mocno wesoła. I tak się nie przejmuję innymi, zawsze mówię, co myślę.

- Czyli poruszyła pani temat Desa i...
- I wszystkie zaczęły się wywnętrzać. Taka chwila prawdy.
- Wszystkie, oprócz Helgi.
- Wszystkie z bijącymi sercami.
- Helga co robiła? - spytałem.
- Siedziała i słuchała. Pierwsza powiedziałam im o Desie i o sobie, za chwilę włączyła się Tina: „Ja też z nim spałam”. Normalnie szczeka mi opadła. Nieśmiała Tina i takie wyznanie. - Do przyjaciółki: - Nie ma to jak cztery margarity, żeby walnąć prawdę prosto z mostu, co? Tak trzymać, laska.

Sanfelice wbiła wzrok w stół.

- Czyli Marjorie Holman przyznała się ostatnia -wynioskowałem.
- To tak, jakby się czuła pominięta? Chciała też być młoda.
- Mimo wszystko była waszą szefową. To dość odważne.
- Wypiła najwięcej. Zresztą nie ona szefowała tylko Helga. I dziwnie to powiedziała. Nie jakby wyjawiała sekret.

„To doświadczenie jest wam też nieobce”. Tak się wyraziła - wtrąciła Bettina Sanfelice. - Kiedy już to zrozumiałam, byłam w szoku. Pani Holman zawsze wydawała mi się taka surowa.

- Surowa z rozłożonymi nogami - zakpiła Passant. - I nawet weszła w szczegóły. - Mrugnęła. - Wziął ją na stojąco za przyczepą. Twarz w twarz, bardzo przyjacielsko, prawie jakby rozmawiali, tyle że nie rozmawiali.

- Tak to zabrzmiało, jakby się dziwiła, że on w niej był - dodała Bettina.

We troje na nią spojrzeliśmy.

Zalała się łzami. Zacharczała, zatkała dłonią usta, drugą zaczęła gorączkowo machać. Milo wyskoczył z budki, a ona pobiegła do łazienki.

- Zawsze miała słaby żołądek - rzuciła Sheryl Passant.
- To samo ona powiedziała o pani - zauważyłem.
- Ja? Nic z tego. Całe życie lubiłam wszystko na ostro.
- Co jeszcze mówiła Marjorie o Desie?
- Nic. Zamknęła się i znów zaczęła pić. Musiałyśmy długo zostać, żeby mogła się stamtąd wytoczyć. Helga wyszła pierwsza. Ja, Tina i pani Holman siedziałyśmy i gapiliśmy się na siebie. Na dużej plazmie leciało *CSI: Miami*, pooglądałyśmy, a potem każda pojechała do domu.

- Co było następnego dnia?
- To znaczy?
- Nie wspominałyście o tej rozmowie?
- Nie. - Jej dłoń znów opadła do serwetki na kolanach. Tym razem zawędrowała do mojego krocza.
- Odsunąłem się.
- Idę sprawdzić, co z Bettiną.
- Niech się pan nie martwi, nic jej nie jest. No dobra, w porządku, ale naprawdę sama sobie poradzi.

Po dziewięciu minutach Sanfelice wyszła z damskiej toalety. Krok chwiejny, oczy czerwone. Kiedy mnie zobaczyła, gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Wszystko w porządku?
- Czuję się okropnie - powiedziała cicho.
- Przepraszam. Nie zamierzałem wchodzić w detale...
- Z Sheryl to niemożliwe. Ona lubi się popisywać. Jej ojciec to pijak. Bez przerwy bił żonę, umarła kilka lat temu, Sheryl zawsze miała kłopoty w szkole. Moja mama mówi, że to szmata, ale dziewczynie nie było lekko. - Zerknęła w stronę budki- Proszę nie mówić mojej mamie.

8

Passant i Milo nie rozmawiali. Dziewczyna wyglądała na znudzoną.

Bettina Sanfelice znów usiadła.

- Razem z Desem zginęła kobieta... - zaczął Milo
- O Chryste...
- ...mam tu jej zdjęcie. Nie jest obrzydliwe ani makabryczne, ale zostało zrobione po śmierci. Da pani radę na nie spojrzeć?
- Przed chwilą je widziałam, Teen to nic takiego - uspokoiła przyjaciółkę Sheryl. -I ty jej nie znasz.
- Sanfelice wzięła głęboki wdech.
- Skąd wiesz?

- Ja jej nie znałam, więc nie ma mowy, żebyś ty znała.
- To bez sensu, Sher. Niech mi pan pokaże.

Milo wyjął fotkę. Sanfelice się jej przyjrzała. Uśmiechnęła się tryumfalnie.

- Widziałam ją z Desem.
- Akurat - burknęła Passant.
- Gdzie i kiedy, Bettino? - podchwycił Milo.
- Tylko raz. Po pracy. Des i ja zostaliśmy sami w biurze. Sprzątałam, a on rysował coś na komputerze. Nasze samochody stały na parkingu z tyłu i wyszliśmy razem. - Postukała w zdjęcie palcem. - Ona czekała obok jego samochodu. Des nie był zaskoczony.
- Ucieszył się na jej widok?
- Ani ucieszył, ani nie ucieszył. Coś jakby... pośrodku.
- Dawno, dawno temu... - mruknęła Passant.
- Naprawdę ją widziałam - powiedziała Sanfelice. - Mogę powiedzieć w co była ubrana, proszę pana. Obcisłe džinsy i czarną bluzkę. Miała świetne ciało. Pamiętam, jak pomyślałam, że Des znalazł sobie niezłą laskę. - Spojrzała ze złością na Passant: „W przeciwieństwie do...”

Sheryl sapnęła i siorbnęła drinka.

- Czy Des zwracał się do niej po imieniu? - spytałem.
 - Nie, w ogóle nie rozmawiali. Tylko kiwnął jej głową, a ona odkiwnęła.
 - Odjechali razem?
 - Nie wiem na pewno. Ruszyłam pierwsza i nie widziałam.
- Passant wzięła zdjęcie.
- Nie nazwałabym jej laską.
 - Kiedy to było, Bettino? - Milo nie zareagował na komentarze Sheryl.
 - Nie powiem dokładnie, ale na długo zanim rozwiązali GHC. Dwa miesiące, dwa i pół?
 - To wszystko, Bettino?
 - Tak, proszę pana.
 - Dobra, dziękujemy, bardzo nam pani pomogła, jeśli przyjdzie pani do głowy coś jeszcze, oto moja wizytówka.
 - Nic więcej jej nie przyjdzie do głowy, zapewniam - wtrąciła się znów Passant. - I ja też taką chcę.

Patrzyliśmy, jak wychodzą; Passant trajkotała, Sanfelice gniewnie maszerowała przed przyjaciółką.

- Blondynka dość bezczelnie się do ciebie przystawiała - odezwał się po chwili Milo.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

- Lekkie macanko pod stołem?

- Więcej.

- Och.

- Wystawię departamentowi rachunek za pracę przynęty. Passant coś dodała, kiedy zostaliście sami?

- Nic, dziewczyna z sieczką w głowie. Chociaż próbowała smyrać moje pustynne buty. Gdyby tylko wiedziała, co? A Sanfelice przy kibekach?

- „Proszę, nie mówcie mojej mamie”. Wygląda na to, że Des miał stałe nawyki.

- Ten szyld „Zabijcie mnie” robi się coraz większy i większy. Dobra, znikamy.

- Coś włoskiego?

- Jesteś głodny?

- Zakładałem, że ty jesteś.

- Tak, chętnie bym wchłonął co nieco nawet tutaj. Ewentualnie moglibyśmy pojechać na mieszane antipasti, salceson z delikatnym acz dymnym aromatem, smażone karczochy po rzymsku, dobrą sałatkę z cienko krojonym parmezanem, pepperoncini i porządnie wymoczonymi czarnymi oliwkami, wielką, parującą misę pieczonego ziti posypanego grzankami. Jeśli zostanie miejsce, to jeszcze kotlet cieńczy z sycylijskim sosem, kawałek spumoni, potrójna espresso, żeby nie spadł poziom kofeiny. - Wysunął swoje cielsko z budki. - Ale nie żebym o tym marzył.

- Niezłe podanie z tymi pytaniami - zagadnąłem na parkingu.

Wyszczерzył się.

- Ładnie odebrane. Uznałem, że pora na psychologiczną wrażliwość.

- Miło mi, stary.

- To nie miało nic wspólnego z tym, że nie sypiam z kobietami.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

- Nie?
- Kto jest bardziej niż ja świadom twojej bolesnej nieśmiałości?
- Uczciwie mówiąc, Alex, gdybyśmy gadali z mężczyznami, zapytałbym wprost. Bo faceci tylko czekają, żeby opowiedzieć o swoim życiu seksualnym. Sądziłem, że z kobietami jest inaczej, że to jak uszna chirurgia, ale bądź tu mądry. Przepraszam, że musiałeś znieść niewybredne zaloty blondi.
- O ja biedny, co za trauma - zażartowałem. - Szybko, gdzie tu prowadzą terapię grupową?
- Milo się zaśmiał. Spoważniał.
- Mężatka w wieku matki, szalona dziewczyna i typ nieśmiałej kunkonki. Niewybredny facet.
- Ciekawe że na żadnej z nich jego śmierć nie zrobiła większego wrażenia - zauważyłem. - Owszem, na początku przeżyły szok, ale kiedy minął, wszystkie rozmawiały o Backerze obiektywnie. Tak samo jak wtedy przy drinkach. Emocjonalnie znaczył dla nich bardzo mało, i prawdopodobnie vice versa. Ale co, jeśli z NN było inaczej?
- Ktoś, z kim Don Juan naprawdę się związał. Może. Jak popatrzeć na kod pocztowy, to faktycznie zabrał ją na elegancką randkę.

Kilka pełnych talerzy włoskiego jedzenia później pojechałem z powrotem do miasta Benedict Canyon. Milo zadzwonił do sędziego, który słyszał z tego, że nie czyta zbyt dokładnie, i poprosił o nakaz przeszukania miejsca zamieszkania Desmond Backera.

Kolejny telefon wykonał do policji Santa Monica i dogadał się z porucznik dziennej zmiany wydziału zabójstw. Obiecał nie zawracać głowy tamtejszym detektywom i przekonał ją, żeby wysłała ślusarza do mieszkania Backera najszybciej, jak się da.

Dojechaliśmy do Santa Monica pod koniec pogodnego plażowego dnia; po Ocean Front Boulevard tłumnie kręcili się turyści i bezdomni o szalonym wzroku. Budynek Backera przy California miał cztery kondygnacje, zacieki od deszczu na białym tynku, pryszcze ślepych balkoników - zbyt małych, żeby były funkcjonalne - i podziemny parking. Jedyne widok to olbrzymi pięciopiętrowy blok naprzeciwko.

Trzy przecznice na wschód od plaży płaciło się za zapach oceanu, ale bez wielkiego błękitnego buziaka.

Wnętrze budynku było chłodne, szare i sterylne. Pod drzwiami Backera na pierwszym piętrze zastaliśmy ślusarza. Wyglądał na śpiącego. „Morderstwo, tak?” i otworzył swoją torbę. Milo dał jemu i mnie lateksowe rękawiczki, sam też włożył.

- Widzę, grubsza sprawa - powiedział ślusarz i zabrał się do pracy.

Zamek szybko się poddał. Ślusarz dostał pokwitowanie, rzucił swoje rękawiczki na wykładzinę korytarza i poszedł.

Zaczekałem, aż Milo ogłosi, że jest czysto.

Desmond Backer znał się na projektowaniu i estetyce, ale mieszkał w pospolitym małym mieszkaniu, któremu nie próbował nadać osobistego charakteru.

Braźowa materiałowa kanapa i taki sam fotel w salonie, tanie bambusowe stoliki, w ramach nijakie zdjęcia drzew, jezior, lisów, sów, ortów. Regał na książki z gazobetonowych pustaków i szkła zawierał tomy o architekturze i kilka broszur w dużym formacie. Kontrola populacji, biodwersyfikacja, zalesianie w tropikach, paliwa odnawialne.

Górną półkę taniej lodówki zajmowały zafoliowane sześciopaki wody mineralnej. Pod spodem trzy butelki corony, nieotwarte torebki z sałatą i próżniowe opakowanie ekologicznego łososia. W aneksie kuchennym na blacie z imitacji granitu: ekspres do kawy, wyciskarka do soku, noże w drewnianym bloczku, wczorajsza gazeta wciąż zwinięta i spięta gumką.

Żadnego nieporządku, żadnej krwi. Żadnych śladów obecności kobiety.

Tak samo w skromnej, ciemnej sypialni, prawie w całości zajętej przez podwójne łóżko na czarnej drewnianej ramie. Pojedyncze wysokie okno ukazywało niebieską ścianę sąsiedniego budynku. Na nocnym stoliku z brzoźowego drewna: lampka na wysięgniku, paczka chusteczek, jeszcze dwie książki o leśnictwie. Nie było komody, ale część szafy podzielono na półki. Niedużo ubrań, za to dobrej jakości. Dwa kaszmirowe swetry, granatowy i czekoladowobrązowy, takie same jak ten czarny, który Backer miał na sobie w ostatnią noc życia. Włoskie mokasyny i para sportowych butów New Balance do joggingu.

Milo obejrzał ich podeszwy.

- Piasek w bieżniku; Des pewnie biegał na plaży.

Przy szafie na biurku do samodzielnego montażu stał srebrny iMac, obok druga regulowana lampka. W górnej szufladzie Milo znalazł mnóstwo prezerwatyw wszelkich marek, w najróżniejszych stylach i kolo-

rach. Pod tym stosem kilka wydruków z Internetu. Seks hetero, pozycje gimnastyczne, kobiety w ekstazie - prawdziwej albo udawanej. Nic okrutnego ani nienormalnego.

- Uprawiał bezpieczny seks, ale zostawił nasienie na udzie NN, nie było tam też prezerwatyw - powiedział.

Milo podrapał się w nos.

- Może pan Zły wziął sobie też gumki na pamiątkę.

- Torebka kobiety, posłanie, które przyniósł Backer, bmw - wyliczyłem. - Ciekawy zbiór.

Milo ukląkł i zajął pod łóżko.

- Backer rozwija prezerwatywę... - ciągnąłem. - Świetny moment na atak.

- Zajęty, rozkojarzony, łatwo go zaskoczyć - dodał Milo. - Uwaga, oto nadchodzi duża śmierć.

- Alternatywa: Backer nie zabezpieczał się z NN, bo łączyło ich coś wyjątkowego.

Milo się nad tym zastanowił, wrócił do szafy, zajął na najwyższą półkę, potem na podłogę pod długimi płaszczami. Wyszła pudelko. Szkicownik, ołówki, długopisy, formularz podatkowy za zeszły rok, kilka rachunków za kartę kredytową, billingi telefoniczne, zdjęcia luzem.

Milo najpierw obejrzał billingi.

- W zeszłym miesiącu słaba aktywność... rozmawiał z kimś w stanie Waszyngton... cztery razy, a tu znów mamy naszego brzdąca.

Rozwinał cztery fotki w plastikowych koszulkach.

Portrety „Samanthy”, nie licząc jednego ujęcia, na którym dziecko siedziało na kolanach ładnej kobiety po trzydziestce. Obok niej jasnowłosa okularnik z masywną szczęką i golden retriever. W tle ubrana choinka, wszyscy w jednakowych swetrach w renifery.

„Drogi wujku Desi, Wesółych Świąt. Dziękuję za zabawkową kuchnię. Uwielbiam na niej gotować. Mniem, mniem. Szkoda że częściej się nie widzimy. Kocham cię, Samantha”.

- Komuś na nim zależało - stwierdził Milo i ruszył do komputera Backera.

Ekran otwierał się wprost na serwer, z zapamiętanym hasłem. Dzieci więc nieprzeczytanych e-maili, sam spam, nie licząc wiadomości od rickimicki08@gmail.com.

„cześć braciszku, jak leci? naprawdę desi musisz częściej pisać tęsknimy za tobą, zwłaszcza sam. napisz, zadzwoń, zaśpiewaj, wyślij e-kartkę albo pocztowego gołębia, lol. Kocham xoxox ricki”

Milo wydrukował całą stronę, schował ją do torebki na materiał dowodowy. Wrócił do komputera i sprawdził na rozwijanym pasku hasła, których Backer ostatnio szukał.

- Nic nie usuwał od wielu dni - powiedział. - Gość naprawdę nie przejmował się swoją prywatnością.

- To się zgadza z jego bezpośrednim podejściem - skwitowałem.

Milo przesunął palcem po liście ostatnio odwiedzonych adresów.

EBay, portale informacyjne, fora dyskusyjne ekologów, sklep internetowy z odzieżą dla mężczyzn. Na dole spis trzydziestu trzech stron porno.

- Szok. - Milo zaczął przewijać. Pięć minut później. - Same akcje hetero. Dobra, zobaczymy, czy uda się nam zepsuć komuś dzień.

Numer w stanie Waszyngton kierował do automatycznej sekretarki. Milo przedstawił się swoim stopniem i zostawił telefon.

- Dodzwoniłeś się do domu Scotta, Ricki, Samantha i Lionela, nie ma nas teraz, ale proszę bla, bla bla. Mój instynkt superdetektywa pod powiada mi, że Lionel to pies.

Milo jeszcze raz przetrząsnął kieszenie ubrań w szafie. Cztery zmięte kwitki z Trader Joe's, paragon sprzed pół roku z Foot Locker za buty do biegania, tani plastikowy długopis, kilka monet.

- Czego w tym obrazie nam brakuje, doktorku?

- Czegokolwiek związanego z NN.

- Czyli... nawet nie chcę o tym myśleć... mógłbyś się mylić. Ofiara nie była jego drugą połówką, tylko kolejnym towarem do zaliczenia.

- Zabrał Holman do Santa Monica, z Passant został w Valley.

- A zatem NN mieszkała niedaleko Holmby? Ale jej ubrania nie wskazują, żeby miała dom w tym rejonie. Może pracowała jako opiekunka? Pora tam wrócić. Ale najpierw sprawdzimy parking tego Shangri-la.

Samochody zajmowały zaledwie jedną trzecią podziemnego parkingu budynku i nietrudno było wypatrzeć bmw Backera. Milo znów

włożył rękawiczki, zajrzał do środka, spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte, więc poświecił przez szyby latarką.

- Nie widzę nic podejrzanego, ale zobaczymy, co powiedzą technicy.

- Backer i NN dostali się na Borodi w inny sposób.

- Ona prowadziła? Czemu nie, taki amant jak wujek Desi pewnie potrafił namawiać kobiety do robienia różnych rzeczy. A gdybym wiedział, kim ona jest, mógłbym poszukać jej cholernego samochodu.

- Jedziemy jeszcze raz na miejsce zbrodni?

- A po co?

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Kiedy jechałem do Holmby Hills, Milo wstukał numer komórki Robin. Z głośnika zamontowanego na desce rozdzielczej dobiegł jej głos.

- Cześć, skarbie. Ciężki dzień?

- I jeszcze się nie skończył, cukiereczku - odezwał się Milo.

- Wielkolud. - Zaśmiała się. - Jesteś recepcjonistką Aleksa?

- Nie, to ja robię za darmowego kierowcę Mila - powiedziałem.

- Albo odgrywam rolę policjanta - wtrącił się Milo. - Co słysząc, mała?

- Wszystko dobrze. Słyszę was jak z końca świata.

- To przez ten system głośnomówiący - wyjaśniłem. - Stąd też brak prywatności. Powinienem być w domu za godzinę.

- Prywatność? Macie coś do ukrycia przed wujkiem Milem?

- Nigdy, mój drogi - odparła Robin. - „Dzień się nie skończył” w znaczeniu: robicie postępy czy wręcz przeciwnie?

- Nic plus nic, Rob. Odstawię ci go najszybciej, jak się da.

- Wpadnij do nas, Milo, wrzucę coś na grilla.

- Ślinię się na samą myśl, ale doktor Silverman spodziewa się romantycznej kolacji.

- Ricka też zapraszam.

- Dzięki, ale ma dyżur do późna. Zamierzamy zjeść coś w szpitalu.

- Posiłek w bufecie jest romantyczny?
- Miłość boli, skarbie.

Na placu budowy został samotny mundurowy policjant. Oparty o samochód rozmawiał przez komórkę. Wzdłuż płotu biegła żółta taśma. Łańcuch wciąż był dość luźny, żeby pod nim przejść.

Milo wyprostował się i wysunął dolną szczękę.

- No nie, dajcie spokój!

Oskarżycielsko wskazał palcem mandat za złe parkowanie pod wycieraczką swojego nieoznakowanego radiowozu.

Zanim wyłączyłem silnik, Milo wyskoczył i wyciągnął papierek.

Stójkowy opuścił telefon. Milo podszedł do funkcjonariusza.

- Byłeś tu, jak mnie spisali?

Cisza.

- Pozwoliłeś im na to?

Mundurowy był młody, umięśniony, gładko wygolony. A. Ramos--Martinez.

- Wie pan, jacy są ci faszyci z drogówki. Mają prowizję, nikt ich nie powstrzyma.

- A próbowałeś?

Ramos-Martinez zawahał się, postanowił nie kłamać.

- Nie, proszę pana. Pilnowałem miejsca przestępstwa.

- O kurczę, wielkie dzięki, panie władzo.

- Przepraszam, proszę pana. Myślałem, że właśnie to powinienem robić, proszę pana.

- Strasznie dużo tych „proszę panów”. Dawno wyszedłeś z woja?

- Osiem miesięcy temu, proszę pana.

- Zagranica?

- Anbar w Iraku, proszę pana.

- Dobra, daruję ci, ale następnym razem broń prawdy i sprawiedliwości. Jasne?

- Tak jest, proszę pana.

- Coś się działo, jak mnie nie było?

- Niewiele, proszę pana.

- Niewiele czy nic?

- Ogólnie raczej spokojnie, proszę pana - zameldował Ramos--Martinez. - Wrócił ochroniarz. Stwierdził, że oficjalnie ciągle tu pra-

cuje. Powiedziałem mu, że do środka nie wejdzie. I niech zaparkuje gdzieś na ulicy. Zwykle stawał tutaj, na tym placyku. Poinformowałem go, że to też miejsce przestępstwa. Odjechał.

- Niech Bóg uchwala, żeby on dostał mandat.

Cisza.

- Stawiał się?

- Nie, proszę pana.

- Wyczuliście jakieś złe zamiary z jego strony? Na przykład, że chciał się tam dostać i pozacierać ślady?

- Nie kłócił się, proszę pana. Pilnowanie posiadłości to teraz trochę musztarda po obiedzie.

Milo popatrzył na niego bez słowa.

- Mój ojciec ciągle tak mówi, proszę pana.

- Zakładam, że twoi koledzy przeszukali całą nieruchomość, dom i plac, jak poleciłem.

- Tak jest, proszę pana. Dokładnie. Brałem w tym udział. Znaleźliśmy kilka puszek po napojach z tyłu posesji, powgniatanych i porzewiały, jakby leżały tam od dawna. Zostały opisane, zapakowane i wysłane do laboratorium, proszę pana. Żadnej broni, narkotyków, krwi. Technicy nie znaleźli też nic ciekawego w pokoju na górze, proszę pana.

Milo odwrócił się do mnie.

- Gdzie jest najbliższy sklep żelazny?

- Blisko nie ma nic. Może na Santa Monica, przy Bundy.

Z powrotem do Ramosa-Martineza.

- Pojedziesz teraz do sklepu żelaznego na Santa Monica przy Bundy, kupisz porządną kłódkę i najkrótszy łańcuch, jaki znajdziesz, potem przywieziesz to tutaj. - Wyjął portfel, wręczył młodemu policjantowi pieniądze.

- W tej chwili, proszę pana?

- Nawet szybciej. Nie żałuj gazu, udawaj, że jedziesz do wezwania. I nie zgłaszaj swojego położenia. Jeśli ktoś będzie się awanturował zwał na mnie.

- Nie ma problemu, proszę pana. Nie boję się awantur.

- Czyżby?

- Tak jest, proszę pana. Niełatwo mnie zdenerwować, proszę pana.

Mimo ciepłego dnia w wieżycze było chłodno i wilgotno. I buchnęło. Taki sam smród czułem przez kilka dni po pierwszej wizycie, wiele lat temu, w krypcie przy Mission Road. Jakaś stara grudka komórek węchowych w mózgu została uaktywniona wspomnieniem.

Milo zgarbił się, żując wygasłe cygaro.

- Dobra, jesteśmy. Czekam na powalające pomysły.

- Jeśli morderca śledził Backera i NN, zastanawiam się, czemu uderzył akurat tutaj. Schody są schowane i musiałby się skradać po ciemku, uważać, żeby nie hałasować. Jeśli Backer i NN byli blisko schodów, ryzykował, że go zobaczą albo usłyszą na długo, zanim dotrze na górę. A jeśli znajdowali się wyżej, mieli nad nim dużą przewagę. Jedno mocne popchnięcie i chłopak leci.

- Więc, powiedzmy wiedział, że Backer i NN regularnie przychodzą tu się zabawić, i dobrze się rozeznał. Cholera, Alex, jeśli oni się tarzali, dyszeli i stękali, to nie dosłyszeli kroków.

- Może ktoś znał to miejsce, bo tu pracował. Na przykład spotkał Backera na budowie. Gdybyś znał jakąś historię z przemocą, coś na tle seksualnym, miałbyś od czego wyjść.

- Zazdrosna połówka NN, Bob Budowniczy?

- Albo to, albo zabójca widział Desa z dziewczyną i dostał obsesji na jej punkcie.

- Prace stoją od dwóch lat, mówimy tu o fachowcu, który robi gdzieś indziej.

- Nie dość daleko.

Milo spojrział na zegarek.

- Jedź do domu, ja się jeszcze trochę pokręcę. Poczekam, aż Ramos-Martinez przywiezie kłódkę i łańcuch.

- Żeby Doyle Bryczinski tu nie wszedł.

- Żeby nikt nie wszedł. Poza tym jestem księciem pośród ludzi. Czemu nie udawać, że mam własny zamek?

Robin czekała na mnie w salonie, całe jej metr sześćdziesiąt zwinęte na kanapie. Słuchała, jak Stefano Grondona gra Bacha na starych gitarach. Biała jedwabna sukienka kontrastowała z oliwkową skórą, ciemnorude loki rozsypały się na poduszce. Blanche przytuliła się do piersi swojej pani; jej guzowaty łepiek leżał blisko lewej dłoni Robin.

Obie się uśmiechnęły. Widok buldoga francuskiego, którego płaski pysk rozdziawia się w typowo ludzkim grymasie, jest dość niesamowity i wiele osób się płoszy, kiedy Blanche uruchamia swój urok. Ja już przywykłem, ale wciąż wprawia mnie to w zadumę nad standardowymi drzewami ewolucji.

- Cześć, dziewczyny. - Pocałowałem je obie. Robin w usta, Blanche w czubek głowy. W przeciwieństwie do naszego poprzedniego psa, krzepkiego, prądkowanego buldoga francuskiego Spike'a, Blanche nie szaleje z zazdrości. Podrapałem jej nietoperze uszyska.

- Wyglądasz na zmęczoną, skarbie.
- Nie jest źle.
- Masz ochotę zjeść coś na mieście? Byłem wciąż napchany włoskim jedzeniem.
- Jasne,

Pojechaliśmy do lokalu na szczycie Glen, gdzie dobry jazz łączy się z przyzwoitym jedzeniem i porządnie zaopatrzoną barem. Zespół zrobił sobie przerwę, w tle leciał z płyty cichy saksofon, coś z brazylijską nutką, może Stan Getz. Napiliśmy się wina, wygodnie rozsiadaliśmy.

- Co to za sprawa? - spytała Robin. Streściłem jej całą historię.
- Holmby. To blisko.
- Nie ma niebezpieczeństwa, Rob. To osobiste porachunki. Opowiadałem jej o skłonnościach Backera, rozmowie z Holman, Sanfelice i Passant.
- Wszyscy są jak postaci z opery mydlanej - stwierdziła.
- Don Juan i jego fanklub.
- Gdyby był kobietą, przypięto by mu łatkę puszczałskiej.
- Albo kurtyzany. Albo ambasadora ważnego sprzymierzeńca. To zawsze kwestia ceny.
- Dość wysokiej, jeśli mowa o Borodi Lane, Alex. Może zabrał tam tę dziewczynę, bo była bogata.
- Jej ubranie świadczy o czymś przeciwnym. Myślę raczej o dziewczynie, która tam pracowała. Każdy, kto spędził trochę czasu w tej dzielnicy, musiał wiedzieć, że budowa stoi, a zabezpieczenia praktycznie nie istnieją.

- Podano nasze jedzenie. Zespół wszedł na scenę.
Robin wzięła mnie za rękę.
- Powinnam być ci wdzięczna.
 - Za co?
 - Że nie jesteś Don Juanem.
 - To zasługuje na nagrodę? W porządku, biorę, co dają.
 - Hej! - Poglaskała mnie po policzku. - Przystojny gość z bajeranckim tytułem i spleconą hipoteką? Nie wspominając już o innych... atrybutach. Mógłbyś imprezować dzień i noc.
 - Gdzie moje koturny?
 - Koturny to lata siedemdziesiąte, kochany.
 - Widzisz? Nie nadążam za modą, nie utrzymałbym się na rynku.
 - Och, miałbyś duże wzięcie, skarbie. Chyba że byłbyś głupkiem bez libido, ale tak nie jest.
 - To właśnie ja - powiedziałem. - Seksualny Superman o moralności świętego.
 - Śmieję się, śmieję. Ja swoje wiem.

10

Pojechaliśmy do domu najedzeni i napojeni. Otworzyłem przed Robin drzwi.

- Niezła chata, Don Juanie - mruknęła.
- Rozebraliśmy się w ciemności, opadliśmy w pościel.
- Było świetnie - powiedziała po wszystkim. - Ale następnym razem koturny.

Obudziłem się osiemnaście po czwartej, pięć minut później siedziałem za biurkiem, ze źrenicami zwężonymi od blasku włączającego się monitora. Wpisałem adres na Borodi - wyrzuciło krótki akapit sprzed czterech lat z „L.A. Design Quarterly”.

„Masterson i Wspólnicy z Century City zaprojektuje mamuci dom w Holmby Hills. Budowa ma ruszyć jesienią tego roku. Budynek ponad 2500 m² zostanie wzniesiony na działce o powierzchni 9800 m² przy

Borodi Lane i będzie tutejszą siedzibą anonimowego zagranicznego inwestora".

W głowie błysnęła mi lekceważąca uwaga Marjorie Holman na temat Helgi Gemein. Nie musi pracować, ojciec jest niemieckim magnatem żeglującym.

Naciągane, ale trzeba właśnie takiego poziomu finansowego, żeby pociągnąć projekt tej skali.

Poszukałem trochę więcej, zestawiając Gemein i Borodi. Nic nie znalazłem.

Pięć godzin później siedziałem w gabinecie Mila.

- Już sprawdzałem w architekturze, nic. - Pokręcił głową.

- A pozwolenie na budowę?

- Całkowicie legalne, ważne cztery lata. I rzeczywiście ta firma z Century City, Masterson, robiła projekt, ale jako właściciel nieruchomości podana jest korporacja DSD Inc., przy Massachusetts Avenue w Waszyngtonie, a przez ostatnich trzydzieści dziewięć miesięcy pod tym adresem mieści się siedziba lobbysty hodowców soi. Nigdy nie słyszał o DSD. Nie ma ich nigdzie w żadnych rejestrach. Może to był jeden z tych lewych funduszy hedgingowych, który się rozleciał.

- W artykule pisali o zagranicznym inwestorze - powiedziałem.

- No to DSD było spółką holdingową stworzoną, żeby się migać od podatków. Czy mam z tym problem? Nie, o ile się to nie wiąże z dwoma trupami w więzy.

Otworzył szufladę biurka, zatrzasnął ją i odjechał z krzesłem dziesięć centymetrów w tył. Potarł pięściami oczy. W jego celi bez okien śmierdziało starym dymem tytoniowym i oparami przypalonej kawy, parzonej w dużej sali detektywów. Milo przyniósł dwa kubki, swoją skończył. Moja stygła nietknięta. Życie jest za krótkie.

- Jakież wieści o autopsji? - spytałem.

- Ciała piętrzą się w lodówkach jak drewno do kominka, koroner nie uważa tego za priorytet, bo przyczyna śmierci wydaje się oczywista. Narzekałem, ale mają rację. Prześwietlenie głowy Backera pokazało, że w mózgu są odłamki kuli, a w przypadku NN to czyste uduszenie. Nie znaleźli żadnych śladów napastowania seksualnego. A tak, i żeby mi się nastrój przypadkiem nie poprawił, jedyne odciski palców w samochodzie Backera to jego i tej NN, a ponieważ dziewczyna figuruje w bazie, to guzik znaczy. Nie ma ani jednej charakterystycznej blizny,

zniekształcenia ani tatuazu. Chociaż poprawiała sobie nos dawno temu. Przejrzałem wszystkie spisy osób zaginionych. Jak dotąd nic, nawet jeśli wziąć pod uwagę większy kinol. Na twardym dysku Backera też żadnych nowości: pornosy, ekologia, architektura.

- Jak w filmie Woody'ego Allena - zauważyłem.

- Jak w jakimś dramacie. Zostawiłem już dwie wiadomości tym architektonicznym bonzom, cały czas czekam na odpowiedź. Pojedźmy się zorientować, co powiedzą sąsiedzi.

Tym razem on prowadził.

- Na wypadek, jakby wrócili faszyci od parkowania.

- Załatwiłeś sobie immunitet?

Milo wyciągnął zmięty mandat. Podarł go na strzępy i wyrzucił do śmieci.

- Gardzę prawem.

Nie licząc miejsca zabójstwa, Borodi Lane była stateczna i pełna słońca. Milo zatrzymał się, żeby obejrzeć nowy łańcuch. Mocny i ciasny.

- Wciąż nie łapię, po co ochrona przez pół dnia, bez weekendów.
- mruknął.

- Ludzie, którzy budują takie domy, rzadko mają kontakt z codziennością. Mieszkanie za oceanem jeszcze bardziej utrudniłoby bieżącą kontrolę. Jakiś podwładny pewnie powiedział swojemu podwładnemu, żeby kazał swojemu podwładnemu zadbać o ochronę, ale uważać na budżet. Ten na samym dole próbował nabić sobie kilka punktów oszczędnością. Poza tym, co stamtąd można ukraść? Próchniejące deski?

- Bezimienny zagraniczny inwestor. Dobra, poznajmy się z miłymi ludźmi z Borodi Lane.

Sześć naciśnieć dzwonek przy bramach - trzy razy brak jakiegokolwiek odpowiedzi i tyle samo relacji latynoskich pokojówek. Milo wywabiał je na zewnątrz, pokazywał zdjęcie NN.

Zdezorientowane miny, kręcenie głowami.

Siódmy dom był nieogrodzonym ceglany tudorem, pokaznym, ale nie monumentalnym. Przed domem - brukowany podjazd. Bentley,

mercedes, rangę rover, audi. Drzwi otworzyła młoda brunetka w lawendowym, welurowym dresie. Przez matowy podkład przeświecały piegi. Długie, jedwabiste włosy były jak związane gumką.

- Chodzi o morderstwo?

- Tak, proszę pani.

- Proszę pani? Mam dwadzieścia pięć lat.

Milo się uśmiechnął.

- Ja ledwie pamiętam, kiedy byłem w tym wieku.

Wyciągnęła dłoń.

- Amy Thal. To dom rodziców. Przed wyjazdem mówili mi, co się stało. Mama nawet nie chciała mnie zostawić tu samej, ale powiedziałam, żeby wyluzowała. Zawsze opiekuję się kotami, kiedy oni wyruszają do Paryża.

- Kiedy wyjechali pani rodzice?

- Dzisiaj rano. - Szerszy uśmiech. - Spokojnie, nie uciekają przed prawem, zaplanowali tę podróż kilka miesięcy temu. Ale jeśli zamierzacie ich przesłuchać, mogę wam podać numer, nawet adres. Ernest i Marcia Thalowie, Rue Saint-Honore. Możliwe, że podróżują jako Bonnie i Clyde. - Zachichotała.

Milo stał z kamienną twarzą.

- Przepraszam, nie chciałam robić sobie żartów; szczerze mówiąc, to trochę przerażające. Chociaż nie powiem, żeby to była jakaś wielka niespodzianka.

- Że kogoś zamordowali?

- Że zdarzyło się tam coś złego.

- Już wcześniej zdarzały się problemy?

- Cała ta rudera to problem. Stoi i pleśnieje, w nocy nie ma światła, łańcuch luźny, każdy może sobie wejść. Wszyscy tu tego nie znoszą. Tata się odgrażał, że pozwie właściciela.

- A kto jest właścicielem?

- Podobno jakiś Arab. - Wzruszyła ramionami. - Może Pers. Ktoś z Bliskiego Wschodu. Nikt nie potrafi tego ustalić. Nie mamy żadnych uprzedzeń. Tamten dom - wskazała w górę ulicy - ten wielki, morelowy, należy do Nazarianów. To Persowie i wspaniali ludzie. Po prostu nie widzę sensu, żeby stawiać szkielet, a potem przez dwa lata nic. Nikt nie widzi.

- Jakież plotki, pogłoski, czemu budowa utknęła?

- Jasne. Pieniądze. Przecież zawsze chodzi o pieniądze. No to dlaczego nie sprzedali? Komuś, kto zbudowałby tam coś gustownego.

- Fakt, trochę to przesada - przytaknął Milo.

- Trochę? - zadrwiła Amy Thal. - Takie paskudztwo. Nie mówię o wielkości, bez żartów, to nie South Central. Ale styl. To głupie najwyższe piętro sterczy jak kurczajka. Studiuję projektowanie... mody, nie wewnątrz, ale nie trzeba być projektantem, żeby widzieć, że coś jest niezdarne, przedobrzone i po prostu brzydkie.

- Tak ja się znam na projektowaniu jak świnia na pieprzu, a też to widzę - przyznał Milo.

Amy Thal się uśmiechnęła.

- Uroczo. Niestety, nic więcej nie mogę panu powiedzieć, poruczniku. Robię tylko rodzicielom przysługę, bo jedna z ich kotek ma prawie dziewiętnaście lat i boimy się, że wpadnie do basenu.

- Mogę pokazać pani zdjęcie?

- Czyje?

- Jednej z ofiar.

- Było więcej niż jedna?

- Dwie - wyjaśnił Milo.

- Och... ale to nie jakiś psychol jak Manson, prawda?

- Nie, spokojnie. - Wyjął zdjęcie NN.

Amy Thal zmarszczyła nos.

- O rany.

- Panno Thal?

- Nie mam pewności, ale chyba ją widziałam. Nie spotykałam jej regularnie, nie mieszka w tej okolicy.

- Mogła tu pracować?

- Wątpię, wszyscy dookoła się tu znają, a ja zauważyłam ją tylko ze dwa razy. Wyglądała, jakby tu nie pasowała. - Spojrzała raz jeszcze.

- To na pewno ona.

- Kiedy i gdzie ją pani widziała?

- Kiedy...? Niedawno. Miesiąc temu? Naprawdę nie potrafię dokładnie określić. A gdzie? Tutaj. Chodziła niedaleko tej ruiny. Dlatego zwróciłam na nią uwagę. Nikt tu się nie kręci, bo nie ma tu chodników.

- Uśmiech. - I właśnie w tym rzecz, wynocha z ekologią, Boże ucho waj, żeby to była normalna dzielnica. Kiedyś mieszkaliśmy w Encino;

moi bracia i ja mieliśmy chodniki ze stoiskami z lemoniadą, jeździliśmy na rowerach. Ale rodzicom gniazdko opustoszało i uznali, że tysiąc trzysta metrów domu dla dwóch osób to świetny pomysł. - Wzruszyła ramionami. - Ich forsa. - Jeszcze raz spuściła wzrok na zdjęcie. - Naprawdę wydaje mi się, że to ona. Pomyślałam: niezła, ale kiepsko ubrana.

- Widziała ją pani dwa razy - powiedział Milo.
- Ale w krótkich odstępach czasu w tym samym tygodniu.
- Chodziła...
- Nie dla sportu, miała wysokie obcasy. I kostium. Niezbyt fajny. Parę poprawek dobrze by mu zrobiło.
- Co jeszcze pani pamięta?
- Hm... kostium był.. szary. Chyba z dużą ilością poliestru.
- Chodziła, ale nie dla sportu.
- Szła w jedną stronę, zatrzymywała się i wracała. Jakby na kogoś czekała. W ogóle nie macie pojęcia, kto to?
- Niestety nie.
- Szkoda. Brak tożsamości nieźle wam krzyżuje szyki, co? Nagrywam sobie *Kryminalne zagadki, Akta zbrodni, Nowi detektywi*.
- W pobliżu stał jakiś samochód?
- Nie widziałam. Cóż, to jeszcze jeden powód, dla którego się wyróżniała. Przecież każdy normalny człowiek jeździ samochodem.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, zadzwoniliśmy do sąsiedniego domu. Nikogo nie zastaliśmy.

Rozmowy z czterema kolejnymi pokojówkami, jednym autentycznym lokajem w liberii i dwoma osobistymi asystentkami na następnej przecznicy nie wyłoniły nikogo, kto rozpoznawałby NN.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, Milo znów połączył się z firmą Masterson i Wspólnicy.

- Mówi porucznik Sturgis. Dzwoniłem wczoraj w sprawie miejsca przestępstwa na Borodi La... miejsca przestępstwa. To budowa, a wa sza firma jest podana... proszę pani, to śledztwo w sprawie morderstwa i muszę... tak, dobrze pani słyszała, morderstwa... i muszę wiedzieć... jasne, poczekam.

Minęła minuta. Dwie, trzy, sześć. Połączenie zostało przerwane.

Milo włączył silnik, ruszył, obejrzał się na zrytą ziemię i opasaną żółtą taśmą.

- Twój dom to twoja twierdza. Do czasu.

11

Masterson i Wspólnicy: architektura, design, development, dzielili piąte piętro bezdusznej wieży przy Century Park East z dwoma firmami inwestycyjnymi.

Recepcja pracowni była duetem jasnego drewna i nierdzewnej stali, odgrodzonym szklaną ścianą. Betonowa podłoga. Do siedzenia czarne drelichowe poduszki ułożone na szarych, granitowych postumentach w kształcie litery C.

- Przytulnie jak w domu - powiedział z przekąsem Milo. - Norman Rockwell by się cały zaślinił.

Z okna po drugiej stronie szyby rozciągał się widok na Boyle Heights i dalej. Chwilę zajęło nam znalezienie dzwonka: małego wyprysku z nierdzewnej stali, przekornie zlewającego się z fragmentem metalicznej ściany.

Milo nacisnął. Cisza.

- Masterson - odezwał się damski głos z lekkim akcentem.
- Witam, tu znów porucznik Sturgis.
- Przekazałam pana wiadomość panu Kotsosowi.
- W takim razie porozmawiam z panem Kotsósem.
- Obawiam się...
- I słusznie. Bo następnym razem przyniosę nakaz. - Zgarbił się jak małpa, zabębnił w pierś.

- Proszę pana...

- I będę potrzebował pani nazwiska do dokumentacji.

Cisza.

- Sekundę.

Przesadziła, ale niewiele. Dwanaście sekund później wyszedł do nas mały, pulchny, rozpromieniony człowieczek.

- Panowie, tak mi miło. Markos Kotsos.

Niski głos, zaczynający się gdzieś w przewodzie pokarmowym i wydobywający jak beknięcie. Inny akcent niż u recepcjonistki. Mocniejszy. Śródziemnomorski.

Sądząc po zimnym lobby i po tym, jak zarabiał na życie, spodziewałem się upiora w czerni, w okularach Porsche i z drogim zegarkiem. Markos Kotsos miał na sobie mocno wymięty, biały kaftan; luźne, brązowe, lniane spodnie; sandały na bosych stopach oraz stalowego rolksa. W średnim wieku, metr sześćdziesiąt pięć, na oko dziewięćdziesiąt kilo, farbowane włosy ułożone w zmodyfikowaną trwałą. Głęboka opalenizna, zbyt szafranowa przy krawędziach, żeby nie poprawiał jej samoopalaczem.

Opadł na jedno z granitowych krzeseł, złożył ręce na obfitym brzuchu.

- Przepraszam za kłopot, panowie. Co mogę dla was zrobić?

Zajął się nami w lobby, bo nie spodziewał się gości.

- Przyjechaliśmy w sprawie... - zaczął Milo.

- Elena mi mówiła, morderstwo przy Borodi. - Kotsos westchnął. - Pechowy projekt od samego początku. Wierzcie mi, żałuję, że go przyjęliśmy.

- Kto był klientem?

- Kogo zamordowano?

- Wolałbym to ja zadawać pytania, proszę pana - oznajmił stanowczo Milo.

- Ach, oczywiście.

Cisza.

- Proszę pana?

Kotsos ze smutkiem pokręcił głową.

- Niestety, nie mogę panom podać żadnych szczegółów. Podpisano umowę poufności.

- Między?

- Nami a klientem. Po przerwaniu prac budowlanych.

- Kto kogo pozwał? - spytał Milo.

Kotsos obliznął usta. Grube palce zabębniły w otłuszczone udo.

- Projekty mieszkalne to dla nas rzecz zupełnie niezwykła. Bardzo nietypowa. W równym stopniu jesteśmy architektami co deweloperami i conceptualistami, stąd projekty, przy których pracujemy, są zakrojone na wielką skalę, złożone, najczęściej międzynarodowe.

- Bliskowschodnio-międzynarodowe?

Kotsos założył nogę na nogę, chwycił piętę sandała.

- Wchodził pan na naszą stronę, tak? Więc pan wie, że koncentrujemy się na Dubaju, bo to fascynujące miejsce, gdzie finansowe możliwości łączą się z estetyczną odwagą w bardzo wyjątkowy sposób.

- Dobre pomysły i forsa, żeby je zrealizować.

Kotsos się uśmiechnął.

- Dlatego właśnie hotel Al Masri Majestic będzie wyjątkowym, spektakularnym, budzącym podziw wyczynem budownictwa, dziesięć gwiazdek i więcej. Wwiercamy się na trzysta metrów w dno zatoki, żeby zakotwiczyć wsporniki wielkości budynków.

- Prezentacja robiła wrażenie - domyślił się Milo.

Ma gadane.

- Rzeczywistość przerosła najśmielsze wyobrażenia. Znaleźliśmy metodę, by unieść bezprecedensowy ciężar... ale to pana nie interesuje, pan tu jest w sprawie morderstwa. - Ostatnie słowo wymówił jak coś trywialnego. - Na budowie, z którą nie mamy nic wspólnego od lat.

- Desmond Backer - podsunął Milo.

Nawet mrugnięcia okiem.

- Kto?

- Jedna z ofiar.

- Jedna? Było ich więcej?

- Dwie, proszę pana.

- To straszne. Nie, nie znam tego nazwiska.

- To architekt.

- Architektów jest dużo - odparł Kotsos.

- Ten zginął na państwa budowie - zaznaczył Milo.

- Dawnej budowie.

- Pozwolenie dostało DSD Inc.

- Jeśli tak napisano w dokumentacji, to musi być prawda.

- Czy powinniśmy podejrzewać, że jest inaczej?

Wahanie.

- Nie.

- Na pewno?

- Dokumenty mówią same za siebie.

- Proszę nam opowiedzieć o DSD.

Kotsos pokręcił głową.

- Jak już mówiłem, umowa poufności...
- Nie może pan nawet powiedzieć, kim oni są?
- Przykro mi, nie.
- Państwo podpisali umowę cywilną, ja prowadzę sprawę kryminalną - podkreślił Milo.
- Poruczniku, z chęcią bym panu pomógł, ale warunki są jednoznaczne, a stawki wysokie.

- Duża forsa.

Cisza.

- Pozwaliście DSD o dużą niezapłaconą kwotę - podjął po chwili Milo. - Doszło do ugody, ale oni płacą w ratach. Wykorzystają byle pretekst, żeby przestać.

Kotsos znów westchnął.

- To nie taka prosta sprawa.

- Czy jest jakiś powód, żebyśmy podejrzewali DSD, czy kogokolwiek powiązanego z tą firmą, o zachowania przestępcze?

Kotsos minutę się zastanawiał, potem się rozpromienił i klasnął w dłoń.

- Dobrze, wyjawię to panu, bo nie chcę, żeby pan pomyślał, że ukrywam coś ważnego. Co do morderstwa, naprawdę nie potrafię nikogo wskazać palcem. W żadnym wypadku, gdybym mógł, z pewnością bym to zrobił, życie należy cenić. Gdyby jednak, z drugiej strony, cie kawily pana finanse... - Uśmiechnął się i przesunął palcem po ustach.

- Powiedziałem już dość.

Milo wyjął notes.

- Zabójstwo, panie Kotsos. Rozliczenia finansowe mnie nie interesują. A teraz może poda mi pan nazwiska paru osób, które pracowały dla DSD?

Kotsos pokręcił głową, wydawało się z autentycznym żalem.

- Helga Gemein - rzucił Milo.

- Kto to?

- Szefowa Backera. Z firmy Gemein, Holman i Cohen.

- Nigdy o nich nie słyszałem - oznajmił Kotsos.

- Siedzą w zielonej architekturze.

Kotsos prychnął.

- Głupoty.

- Ekologia to głupoty?

- Izolowanie ekologii jako koncepcji o głębokim znaczeniu, nadawanie jej rangi ważności, jest pretensjonalne i idiotyczne poruczniku. Grecy, Rzymianie i Hebrajczycy, Fenicjanie i Babilończycy... każda znacząca cywilizacja włączała w swoje projekty elementy naturalne. Są one obecne od świątyni Salomona po piramidy Majów. Takie działania mamy w chromosomach. Mówić o renesansie? Czyż nie uznałby pan trzy poziomowego kościoła w Rzymie* za cudownie synchroniczny i naturalny, pomimo nieoczekiwanych okoliczności, które doprowadziły do zwielokrotnienia konstrukcji?

- Wyjął mi to pan z ust.

- Chcę podkreślić, poruczniku, że wszystko co dobre w projektowaniu wiąże się z harmonią. Ten cały bełkot o naturalnych materiałach to... pustka. - Zaczął machać pulchnymi rękami. - Cement jest naturalny, robi się go z piasku. Piaskowiec jest naturalny. Czy to znaczy, że cement i piaskowiec są najlepszymi materiałami do wszelkich zastosowań? Mamy użyć piaskowca na wsporniki w Dubaju? - Gardłowy śmiech. - Każdy architekt, który zasługuje na swój tytuł, bierze pod uwagę otoczenie i stara się do niego dostosować. - Nachylił się do nas. - Wie pan, czym stała się ekologia, poruczniku?

- Czym, proszę pana?

- Sektą ignorantów. Wykorzystują karton z recyklingu, jakby to była platyna. Odsłaniają przewody, sieją trawę na dachach, zamiast ładnych wykończeń stosują surowe drewno. Oczyszczanie ścieków ma być powodem do ascetycznej dumy? Sekta, poruczniku. Pełna uświadomionej ironii i estetycznie fałszywa.

- Smog panu nie przeszkadza?

- Brzydota nic nie poradzi na smog - odparł Kotsos. - Naprawdę, nic nowego pod słońcem. Jedyne znaczące pytanie: kto będzie trzymał odbijającą soczewkę.

Z podnieceniem przesunął się na krawędź fotela. Pod opalenizną rozlał się róż.

- Czyli nigdy pan nie słyszał o Gemein, Holman i Cohen?

- Nie. Gdzie jest ich siedziba?

- W Venice.

* Mowa o bazylice Świętego Klemensa (przyp. red.).

- Ja jeżdżę do prawdziwej Wenecji. A teraz, jeśli mi panowie wybaczą. ...

- Masterson i Wspólnicy to duża firma - nie ustępował Milo. - Ilu macie partnerów?

- Nigdy nie liczyłem.

- Na drzwiach nie wisi lista nazwisk.

- Bo to nie jest nasze główne biuro - wyjaśnił Kotsos.

- A co?

- Tutaj przyjmujemy klientów z Zachodniego Wybrzeża.

- Czy dziesiątki partnerów na całym świecie to rozsądne przybliżenie?

- Całkiem rozsądne.

- Do tego gromada asystentów i mówimy o bardzo wielu ludziach.

Czyli jeśli Desmond Backer aplikował o pracę, niekoniecznie musiałby pan o tym wiedzieć.

Kotsos splótł palce.

- Gdyby był zatrudniony przez to biuro, na pewno bym go znał.

- A jeśli odrzuciliście jego zgłoszenie?

Kotsos szarpnął przód kaftana.

- Jedną chwilę.

Sześć minut później wrócił.

- Nie mamy danych o żadnym Backerze, który o cokolwiek by się ubiegał. Szczerze mówiąc, nie mogę jednak wyeliminować takiej ewentualności. Nie zachowujemy dokumentów osób odrzuconych. - Krzywy uśmiech. - Oszczędzamy drzewa, żeby potem pociąć je na fornir. Teraz, jeśli wolno...

- Czy państwa międzynarodowe przedsięwzięcia obejmują Niemcy?

- Szczegółowe informacje są na naszej stronie internetowej. Naprawdę muszę już iść. Wieczorem lecę do Aten, a jeszcze się nie spakowałem.

- Odbudowujecie Akropol?

Kotsos parsknął śmiechem.

- To by było ciekawe wyzwanie, ale nie. Jadę rozkoszować się kuchnią swojej mamy. Jutro obchodzi urodziny, nie znosi restauracji.

- Spanakopita, keftedes, skordalia?

Greki zmrużył oczy.

- Izolowanie ekologii jako koncepcji o głębokim znaczeniu, mądanie jej rangi ważności, jest pretensjonalne i idiotyczne poruczniku. Grecy, Rzymianie i Hebrajczycy, Fenicjanie i Babilończycy... każda znacząca cywilizacja włączała w swoje projekty elementy naturalne. Są one obecne od świątyni Salomona po piramidy Majów. Takie działanie mamy w chromosomach. Mówić o renesansie? Czyż nie uznałby pan trzy poziomowego kościoła w Rzymie* za cudownie synchroniczny i naturalny, pomimo nieoczekiwanych okoliczności, które doprowadziły do zwielokrotnienia konstrukcji?

- Wyjął mi to pan z ust.

- Chcę podkreślić, poruczniku, że wszystko co dobre w projektowaniu wiąże się z harmonią. Ten cały bełkot o naturalnych materiałach to... pustka. - Zaczął machać pulchnymi rękami. - Cement jest naturalny, robi się go z piasku. Piaskowiec jest naturalny. Czy to znaczy, że cement i piaskowiec są najlepszymi materiałami do wszelkich zastosowań? Mamy użyć piaskowca na wsporniki w Dubaju? - Gardłowy śmiech. - Każdy architekt, który zasługuje na swój tytuł, bierze pod uwagę otoczenie i stara się do niego dostosować. - Nachylił się do nas. - Wie pan, czym stała się ekologia, poruczniku?

- Czym, proszę pana?

- Sektą ignorantów. Wykorzystują karton z recyklingu, jakby to była platyna. Odslaniają przewody, sieją trawę na dachach, zamiast ładnych wykończeń stosują surowe drewno. Oczyszczanie ścieków ma być powodem do ascetycznej dumy? Sekta, poruczniku. Pełna uświadomionej ironii i estetycznie fałszywa.

- Smog panu nie przeszkadza?

- Brzydota nic nie poradzi na smog - odparł Kotsos. - Naprawdę, nic nowego pod słońcem. Jedyne znaczące pytanie: kto będzie trzymał odbijającą soczewkę.

Z podnieceniem przesunął się na krawędź fotela. Pod opalenizną rozlał się róż.

- Czyli nigdy pan nie słyszał o Gemein, Holman i Cohen?

- Nie. Gdzie jest ich siedziba?

- W Yencie.

* Mowa o bazylice Świętego Klemensa (przyp. red.).

- Ja jeżdżę do prawdziwej Wenecji. A teraz, jeśli mi panowie wybaczą ...

- Masterson i Wspólnicy to duża firma - nie ustępował Milo. - Ilu macie partnerów?

- Nigdy nie liczyłem.

- Na drzwiach nie wisi lista nazwisk.

- Bo to nie jest nasze główne biuro - wyjaśnił Kotsos.

- A co?

- Tutaj przyjmujemy klientów z Zachodniego Wybrzeża.

- Czy dziesiątki partnerów na całym świecie to rozsądne przybliżenie?

- Całkiem rozsądne.

- Do tego gromada asystentów i mówimy ó bardzo wielu ludziach. Czyli jeśli Desmond Backer aplikował o pracę, niekoniecznie musiałby pan o tym wiedzieć.

Kotsos splótł palce.

- Gdyby był zatrudniony przez to biuro, na pewno bym go znał.

- A jeśli odrzuciliście jego zgłoszenie?

Kotsos szarpnął przód kaftana.

- Jedną chwilę.

Sześć minut później wrócił.

- Nie mamy danych o żadnym Backerze, który o cokolwiek by się ubiegał. Szczerze mówiąc, nie mogę jednak wyeliminować takiej ewentualności. Nie zachowujemy dokumentów osób odrzuconych. - Krzywy uśmiech. - Oszczędzamy drzewa, żeby potem pociąć je na fornir. Teraz, jeśli wolno...

- Czy państwa międzynarodowe przedsięwzięcia obejmują Niemcy?

- Szczegółowe informacje są na naszej stronie internetowej. Naprawdę muszę już iść. Wieczorem lecę do Aten, a jeszcze się nie spa-
kowałem.

- Odbudowujecie Akropol?

Kotsos parsknął śmiechem.

- To by było ciekawe wyzwanie, ale nie. Jadę rozkoszować się kuchnią swojej mamy. Jutro obchodzi urodziny, nie znosi restauracji.

- Spanakopita, keftedes, skordalia?

Grek zmrużył oczy.

- Jest pan smakoszem, poruczniku?
- Raczej żarłokiem.

Kotsos popatrzył na swój brzuch. Konfrontacja dwóch zawodników sumo.

- Zgadzam się, nic nie zastąpi bachanaliów od czasu do czasu.

Miło się rozmawiało.

- Jeszcze jedno. - Miło wyjął zdjęcie zamordowanej dziewczyny.

Pan Markos umieścił na mięsistym nosie binokle w złotych oprawkach. Zmarszczył czoło, sięgnął do kieszeni spodni, wyjął białego pilota wielkości pudełka zapalek.

Na pilocie - jeden czerwony guzik. Gdy go nacisnął, szklane drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem.

- Lepiej, jak panowie wejdzicie.

Poszliśmy za rozkołysanym Kotsosem korytarzem wyłożonym makasarskim hebanem, udekorowanym zdjęciami wielkości murali i komputerowymi przedstawieniami dokonań Mastersona. Ośrodki wypoczynkowe, kompleksy biurowe, rządowe wieżowce w Hongkongu, Singapurze, Emiratach, bogatych w ropę sultanatach takich jak Brunei i Sranil. Wbrew pogadance o harmonii wszystkie budynki wyglądały złowieszczo: zwaliste megality, drapacze chmur ostre jak pyski rekina, krenelowane potwory opancerzone płytami stali i złota, obłożone całymi kamieniołomami marmuru, granitu i onyksu. W niektórych przypadkach estetyka projektu wychodziła od klasycznych motywów, ale szybko zmieniała się w zimną, brutalną przepowiednię darwinowskiej przyszłości.

Łupy dla zwycięzcy, im wyżej i szerzej, tym lepiej; zuchwałość cechą bogów. Przy tym wszystkim - mimo swoich pałacowych pretensji - dom na Borodi był żałośnie pseudoklasycznym wytworem. Nie pasowała mi tutaj także umowa poufności, zawarta niby po to, by odzyskać pieniądze - nikłe w porównaniu ze zwykłymi stawkami Mastersona.

Kotsos przyspieszył kroku, wciąż ze zdjęciem NN w ręku. Minęliśmy kilkanaście nieoznaczonych drzwi. Za każdymi - cisza. Może dobre wytłumienie, raczej wydawało się, że nikogo nie ma w domu. Na końcu korytarza, blokując dostęp do narożnego gabinetu szefa, siedziała młoda, jasnowłosa kobieta w dopasowanym śliwkowym kostiumie

z lat trzydziestych. Czarne biurko, różowy laptop. Jej palce nie przestały tańczyć po klawiaturze, w końcu łagodnie podniosła wzrok.

- Eleno. - Kotsos pokazał jej zdjęcie. - Jak ona się nazywała?

- Brigid Ochs - odparła Elena bez chwili namysłu.

- Ma pani dobrą pamięć - stwierdził Milo.

- Owszem. - Dźwięczny, słowiański głos, z nutką pogardy.

- Ona nie żyje, Eleno - dodał Kotsos.

- Tak przypuszczałam.

- Niech pani nam o niej opowie - poprosił Milo.

- O czym tu opowiadać? Była beznadziejna.

- Jak to?

- Została zatrudniona w charakterze pomocy biurowej. Nic skomplikowanego, odbieranie telefonów i ogólne załatwianie spraw, kiedy jestem w podróży z panem Kotsosem albo z jakiegoś powodu nie mogę być za biurkiem. Miała imponujące CV. Asystentka dyrektora w eBayu i w Microsoftzie oraz w dwóch spółkach w Los Gatos. Wydawała się bystra i pracowita. Później dowiedzieliśmy się, że dokumenty zostały sfalszowane. Tyle w temacie tamtej agencji.

Kotsos wyglądał na wstrząśniętego.

- Eleno, nie wiedziałem...

- Nie musiałeś. Ja cię chronię.

- Która agencja... - zaczął Milo.

- Kersey i Garland. Już z nimi nie pracujemy.

- Jaką mieli wymówkę, że jej porządnie nie sprawdzili?

- Taką, że oni też padli ofiarą oszustwa. - Parsknęcie. - Gdyby zadali sobie trud sprawdzenia jej referencji, wszyscy uniknęlibyśmy wielu kłopotów.

- Co konkretnie Brigid zrobiła źle, proszę pani?

Elena odwróciła się do Kotsosa.

- Złap się czegoś. Zaglądała tam, gdzie nie powinna. - Postukała w krawędź laptopa.

- O nie - jęknął pan Markos.

- Nie martw się, nic nie znalazła.

- Cyberszpieg? - zgadywał Milo.

- Nie miała żadnego powodu interesować się tymi plikami. Jej zadanie polegało na wykonywaniu moich poleceń.

- Jak ją pani przyłapała?

- Programem klawiaturowym. Sprawdzam rutynowo, dla pewności. - Znów do Kotsosa. - Widzisz? Nie musisz się przejmować.
- Tak, tak - mruknął. - Dziękuję.
- Zglądała gdzieś jeszcze oprócz plików firmowych? - spytał Milo.
- Nie - odparła Elena. - I dotarła tylko do adresów, które i tak mogła znaleźć w publicznej dokumentacji. Bo każdy plik zabezpieczam hasłem. Ale nie w tym rzecz. Niepotrzebnie wtykała tam nos.
- Kto został zatrudniony w jej miejsce?
- Nikt. Zrezygnowałam z pomocy, szkolenie kogoś nie jest warte czasu i wysiłku.
- Co jeszcze może nam pani o niej powiedzieć? - spytał Milo.
- Kiepski gust, jeśli chodzi o ubrania. - Kobieta popatrzyła z uśmiechem na wymięty, poliestrowy krawat Mila i za duże spodnie. Na pognieciony strój szefa nawet nie spojrzała.
- Co to znaczy kiepski gust?
- Złe materiały, zły krój, źle dopasowane rzeczy. Kiedy są outlets i Internet, nie ma wytłumaczenia, żeby się nieporządnie ubierać. Powinam się domyślić, że jej niechlujność przeniesie się na pracę.
- Cóż, była raczej podstępna niż niechlujna.
- Tak, racja.
- A Desmond Backer?
- Kto?
- Architekt, który zginął razem z panią Brigid Ochs.
- Architekt - powtórzyła Elena. - Może miała jakąś fiksację.
- Ależ oczywiście - zawołał Markos Kotsos. - Architekci to świetni goście.

Elena uśmiechnęła się pod nosem.

- Potwierdziłam twoją limuzynę na LAX i samochód w Atenach. Zamówiłam irysy dla matki. Niebieskie, tak?
- Idealnie. Dziękuję.
- Poda nam pani adres tamtej agencji? - spytał Milo.
- Nie trzeba. Zjedźcie windą na parter.

Kiedy czekaliśmy przy windzie, minął nas zdenerwowany człowiek w prążkowanym garniturze, szarpiący się za włosy.

- Wie pan coś o Mastersonie? - zagadnął Milo.
- Bankier przystanął. Zmarszczył brwi.

- Wymarłe miasto - mruknął i poszedł dalej.
- Dzyń. Wsiedliśmy.
- Masterson to tak naprawdę izba rozrachunkowa na Wschodnie Wybrzeże.
- Tylko Kotsos i ta mała jędza. Może piorą pieniądze kartelu narkotykowego albo szefują szajce handlarzy ludźmi, albo lobbują na rzecz jakiejś dyktatury kanibali. Pytanie brzmi: czego szukała Brigid Ochs?
- DSD miało kiedyś siedzibę w Waszyngtonie. Zapaszek międzynarodowej intrygi staje się coraz mocniejszy.
- Milo potarł twarz.
- Przyjaciół zawsze cię pocieszy.

Firma Kersey i Garland, obsada stanowisk kierowniczych, konsultanci do spraw zasobów ludzkich mieściła się w kącie za barem na parterze, niedaleko publicznych toalet.

Znużona starsza kobieta za biurkiem w recepcji spojrzała na zdjęcie NN.

- O, znów ona. Co tym razem?

Jody Milian, według tabliczki na biurku. Na regale mnóstwo zdjęć wnuków w przebraniach i z pomalowanymi twarzami.

- Znów? - spytał Milo.
- To Brigid Ochs. Została wykreślona.
- Na stałe, proszę pani.
- Słucham?
- Ktoś ją zamordował.

Jody Milian zbladła.

- Mój Boże... to jest... zdjęcie z kostnicy? Nie miałam okularów.
- Rozpoznała ją pani bez pomocy szkieł.
- Tyle jeszcze widziałam, ale... - Wyjęła okulary do czytania. - O mój Boże, robi mi się niedobrze. Kto...?

- Właśnie szukamy zabójcy.

- W takim razie trafiliście panowie pod nieprawidłowy adres. Nie była u nas od miesięcy.

- Po tym, jak skłamała w sprawie swoich referencji, żeby dostać pracę w Mastersonie.

- To ona was tu przysłała - wycodziła kobieta. - Ta Rosjanka, powinnam się domyślić. Założę się, że z przyjemnością wskazała nas

palcem. Jedno małe potknięcie, nie mogła się doczekać, żeby zerwać z nami umowę.

- Elena?

- To ja załatwiłam jej tę pracę i nieźle na tym wyszła, co?

- To znaczy?

- Zaczęła jako asystentka szefa, w końcu go usidliła.

- Szefa, czyli pana Kotsosa? A ona to pani Kotsos.

- Czwarła - uściśliła Milian. - I bez wątplenia ma mocne postanowienie, że będzie ostatnia. - Złośliwy uśmieszek. - Sprawdźcie ją? Wkurzyła się na Brigid.

- W jej przeszłości jest coś interesującego?

Milian podniosła ołówkę.

- Szczerze mówiąc, nie. Pracowała dla jednego z szefów Kinseya i radziła sobie doskonale. Chyba słusznie się wściekała na Ochs. Z drugiej strony Brigid wydawała się bardzo przekonująca. Nawet Elena nic nie podejrzewała.

- Brigid była dobrą aktorką?

- W tym mieście jest takich na pęczki. Nie uwierzyłby pan, jakie mi się czasem wciska bzdury. Ale Brigid nie robiła takiego wrażenia, o nie.

- Nie zachowywała się teatralnie - powiedziałem.

- Wręcz przeciwnie. Cicha, dobrze wychowana, w ogóle się nie narzucała. Ładna, ale nie podkreślała tego. Prawie jakby chciała nie zwracać na siebie uwagi. Wiem, popełniłam błąd, że jej nie sprawdziłam, ale Elena się niecierpliwiła, potrzebowała kogoś na już.

- Moglibyśmy zobaczyć jej aplikację?

- Przykro mi, nie trzymamy dokumentów ludzi, którzy od nas wychodzą.

- Recykling?

- Po co trzymać śmieci? Powiem panom, co mówiła, bo rozmawiałam z nią osobiście. Chyba nie powinnam się tym chwalić. Ale nie będę się zadreżać. Wydawała się bystra, opanowana, umiała się wysłowić, wiedziała, o co chodzi. Nie wgłębiałam się w czyjeś życie osobiste, ale lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, więc spytałam ją o przeszłość, podstawowe sprawy. Wyznała że jest singielką i że jej z tym dobrze. Pomyślałam, że pewnie niedawno się rozwiodła albo zakończyła zły związek. Powiedziała, że wychowywała się na północnym zachodzie, pracowała dla jednego z najważniejszych asystentów Billa Gatesa. Po-

tern przeniosła się do Los Gatos i spędziła trochę czasu u pewnego inwestora; następnie przeszła do eBaya, gdzie zajmowała się organizacją strony internetowej. Jej umiejętności idealnie odpowiadały temu, czego Elena twierdziła, że oczekuje.

- Twierdziła?

- Niech mi pan wierzy, tej kobiety nic nie zadowolili. Prawda jest taka, że ona nie chce, żeby tam na górze był ktoś oprócz niej i Kotsosa. Chociaż jeśliby mnie pan pytał, to gej.

- Dziwna para - stwierdził Milo.

- Cóż, to Los Angeles.

- W biurze Mastersona jest raczej spokojnie - powiedziałem.

- To grobowiec - odparła Jody Milian. - Od wielkiego dzwonu ktoś tam się pojawia, ale jedyni stali bywalcy to Kotsos i Elena. Widziałam bogatych cudzoziemców wychodzących stamtąd na lunch, bezwstydne podlizywanie.

- Jakich cudzoziemców? - zainteresował się Milo.

- Głównie Arabów, czasami mają te swoje szaty i zawoje na głowach. Jak szejkwowie. Może to są szejkwowie.

- Posyłała pani Kotsosowi jeszcze innych pracowników?

- Tymczasowych - odparła. - Przed Eleną. Dziewczyna знаła się na rzeczy, to trzeba przyznać.

- Czyli Brigid Ochs była pierwszą zatrudnioną po Elenie.

- Elena stwierdziła, że firma się rozwinęła i szukają kogoś do pomocy. Bo ona i Kotsos częściej razem wyjeżdżali. - Pokręciła głową. - Chłubię się tym, że znam się na ludziach, a naprawdę dałam się nabrać. Brigid wszystko zmyśliła, włącznie z numerem ubezpieczenia społecznego. - Rozpromieniła się. - Ten akurat powinnam mieć. Ale nie przyda się panom.

- Dlaczego?

- Chwileczkę. Sprawdziłam go, kiedy się dowiedziałam, że zostałam oszukana. Należy do jakiejś biednej dziewczynki z New Jersey, mniej więcej z rocznika Brigid. Mała zginęła w pożarze.

Weszła do biura, wróciła z żółtą, samoprzylepną karteczką.

- Proszę, Sara Gonsalves.

- Rozmawiała pani potem z Brigid?

- Chciałam, ale numer telefonu był nieaktualny.

- Jaki podała adres?

- W Santa Monica, okazało się, że to skrytka pocztowa, a Brigid dawno jej nie używa.

- Zginęła z jeszcze jedną osobą. Niejakim Desmondem Backerem.

- Nie znam. Popełniła jakieś przestępstwo?

- Nic na to nie wskazuje.

- Cóż - westchnęła Jody Milian - z pewnością nie należała do grona wzorowych obywateli.

Zeszliśmy schodami na parking.

- Brigid Ochs. Jaka jest szansa, że to jej prawdziwe imię i nazwisko? - zastanowił się głośno Milo.

- Kimkolwiek była, najwyraźniej interesował ją dom przy Borodi i DSD.

- Międzynarodowa intryga... dobra, pora przypomnieć ludziom o paru przysługach.

Przejrzał notes, znalazł numer, wystukał go i zostawił niejasną wiadomość komuś o imieniu Hal.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Milo zadzwonił do Moe Reeda. Włączyła się poczta. Wybrał więc swojego drugiego awaryjnego pomocnika, detektywa pierwszej klasy Seana Binchy'ego, i poprosił go o sprawdzenie Brigid Ochs we wszystkich bazach danych, włącznie z ubezpieczeniem społecznym.

Binchy oddzwonił po dziesięciu minutach.

- Nic nigdzie, poruczniku. Jest Brigitte Oake, z „e” na końcu. Odsiaduje wyrok w Sybil Brand, czeka na rozprawę za kokainę, posiadanie z zamiarem. Długa historia prostytucji i narkotyków, a kobieta ma czterdzieści dziewięć lat. Z ubezpieczeniem wyszło trochę gównianie. Powiedzieli, że numer został „wycofany z powodu nadużyć”. Próbowałem zdobyć potwierdzenie o tej pięciolatce, Sarze Gonsalves, ale to tak, jakby nigdy nie istniała. Mam wrażenie, że kazano im nie współpracować, ale może to moja paranoja.

- Ufaj swoim instyktom, Sean.

- Uczę się, poruczniku.

Kilometr przed posterunkiem Milo skręcił do meksykańskiego baru przy Santa Monica, wchłonał dwa burrito umazane „gwiazdkowo” czerwonym sosem i salsą verde, wyzłopał mega colę, jeszcze dolewkę.

- Całe to gadanie o ekologii każe mi oszczędzać energię. Ruszamy.

Hal Federalny nie oddzwonił. Kartka od Binchy'ego: „W Internecie nic”. Milo i tak wpisał w Google „Brigid Ochs”, potem „DSD Inc.” Wielkie zero.

- Może tu wcale nie ma żadnej wielkiej intrygi - rozważałem - a Brigid chciała listę adresów Mastersona, żeby pomóc Backerowi starać się tam o pracę.

- A po drodze zabawiali się na prestiżowych stosach drewna?

- W jaki sposób większość pracowników nadużywa służbowych komputerów?

- Porno.
- Może ona lubiła porno na sklejce.

Milo opadł na oparcie, zaczął wykręcać ucho, aż zrobiło się czerwone.

- Spróbujmy jeszcze raz z siostrą Backera.

Wykręcił numer, rozłączył się.

- Scott, Ricki, Samantha i szczek, szczek, szczek.

W książce telefonicznej z kierunkowym 206 znaleźliśmy: Flatt, Scott A.

Po nazwisku dotarliśmy do skromnej rodzinnej strony internetowej, prezentującej te same wakacyjne zdjęcia, które widzieliśmy w mieszkaniu Backera. Kilka więcej małej Samanthy, teraz około trzech lat, i fotki z wyjazdów do parków narodowych, plus Hawaje, Londyn, Amsterdam.

Scott i Ricki Flattowie byli nauczycielami w podstawówce.

- Koniec semestru, mają wolne, mogą być wszędzie - stwierdził.

- Czeka ich niezłe powitanie. - Milo zakręcił się na fotelu, o mało nie zderzył ze ścianą.

- Proszę, jaka metafora - wymamrotał.

- Brigid powiedziała w agencji pośrednictwa, że dorastała na północnym zachodzie. Dobrzy kłamcy wrzucają do swoich opowieści ziarna prawdy; może tu akurat nie skłamała i cała ta afera to spotkanie starych przyjaciół. Wspominanie dawnych dobrych czasów, kiedy ona i Des parkowali pod gwiazdami.

- Pod gwiazdami jak pod gwiazdami, Alex, ale czemu cholerny plac budowy?

- Może oboje byli zbuntowanymi dzieciakami, lubili wchodzić gdzie nie wolno?

- Nostalgia, tak?

- Przekraczasz trzydziestkę, w twoim życiu nie dzieje się nic ciekawego, nostalgia czasem nabiera uroku. Przeżywanie na nowo przeszłości tłumaczyłoby, czemu Backer nie ograniczył się do zwykłego, jednorazowego pukanka.

Milo zadzwonił do informacji kierunkowego 206, poprosił o numery do Backera i Ochs. Trzasnął słuchawką, pokręcił głową, zadzwonił na policję w Port Angeles i porozmawiał z Chrisem Kammenem, przyjacielskim gliniarzem, który mówił basem. Kammen nie wiedział nic przydatnego, obiecał popytać.

- Seks z nostalgii.

- Silna chemia potrafi trwać - powiedziałem. - Ale jeśli Brigid związała się z innym mężczyzną, rozdział drugi mógł się skomplikować.

- Rzekoma Brigid - poprawił Milo. - Kto wie, jak naprawdę się nazywała? Pora zapytać widzów. Jakiś powód, żeby tego nie robić?

Dzwonił do Parker Center, zanim skończyłem mówić: „Żadnego nie widzę”.

Trzech podwładnych później połączył się z zastępcą komendanta Henrym Weinbergiem. Zastępca ociekał pewnością siebie.

- Wygląda na to, że stoisz w miejscu.

- To trudna sprawa.

- Sądziłem, że takie lubisz.

- Do czasu.

- Aż utkniesz? Chyba stać mnie na to, żeby kazać komuś się tym zająć, ale żadna telewizja nie da na ekranie fotki koronera, dla ludzi to za bardzo prawdziwe. Znasz jakiegoś grafika, który ją przerobi tak, żeby wyglądała na żywą?

- Znajdę.

- Najpierw odrób lekcje, potem pogadamy - zakończył Weinberg.

Oczywistą pierwszą kandydatką Mila była Petra Connor, bo przed wstąpieniem do policji pracowała jako malarka i graficzka, naprawdę miała talent. Telefon do Hollywood Division; okazało się, że Petra jest w Cabo na urlopie ze swoim partnerem, Erikiem Stahlem. Dalsze poszukiwania pozwoliły dotrzeć do funkcjonariusza Henry'ego Gallegosa z Pacific Division, który ze swoim dyplomem malarstwa z Santa Monica College mógł uchodzić prawie za Rembrandta. Gallegos wziął wolne i bawił się w Disneylandzie z żoną i małymi bliźniakami, ale zgodził się wrócić na szóstą, o ile nie ugrzęźnie w korkach.

- Nic wymyślnego, poruczniku, tak?
- Chodzi o to, żeby nie przestraszyć ludzi.
- W zeszłym tygodniu grałem w piłkę i złamałem palec, ale jeszcze nieźle dają sobie radę.

Wieczorem w domu obejrzałem wiadomości. Czekaając na tę jedną, głowa spuchła mi od polityki i kataklizmów. Po opisie makabrycznego przypadku molestowania dziecka wyłączyłem telewizor z nadzieją, że nikt mnie nie poprosi, abym się tym zajął.

Pograłem na gitarze, przeczytałem czasopisma psychologiczne, pobawiłem się z Blanche i posłuchałem płyty Anat Cohena zawodzącej na klarncie i saksofonach. Puściłem kilka razy z rzędu *Cry me a river*, bo to świetna piosenka, i tyle. Potem z Robin zjedliśmy kurczaka z tłuczonymi ziemniakami, wzięliśmy długą kąpiel, poobijaliśmy się. Kiedy o północy ziewnęła i wskoczyła do łóżka, dołączyłem do niej i udało mi się nie obudzić aż do siódmej.

Zastałem Robin w kuchni. Jadła kanapkę i piła kawę. W telewizji leciały lokalne poranne wiadomości. Piękne buzie trajkotały o celebrytach, przepisach kulinarnych i najnowszych trendach w muzyce do ściągnięcia z Internetu.

- Właśnie przegapiłeś twarz tej dziewczyny - powiedziała Robin.
- Ładnie narysowana?
- Nie wiem, jak naprawdę wyglądała, ale ogólnie rysunek był niezły. W stylu chodnikowego artysty.

Poskakałem po kanałach, w końcu trafiłem na końcówkę wiadomości. Henry Gallegos nie powinien rezygnować z pracy na etacie, ale podobieństwo uchwycił.

Zadzwoiłem na stacjonarny Miła w pracy. Pan porucznik nagrał wiadomość, w której odpowiednio profesjonalnym tonem dziękował dzwoniącym i obiecywał się skontaktować, jak tylko będzie mógł.

Najwyraźniej lawina ruszyła.

Dokończyłem dwa raporty, wysłałem e-mailem rachunki prawnikom, przebiegłem się, wziąłem prysznic. Milo zadzwonił, kiedy się ubierałem.

- Burza donosów?

- Czterdziestu ośmiu uczynnych obywateli przez pierwszą godzinę. W tym dwudziestu dwóch ewidentnych wariatów i pięciu wariatów udających uczynnych obywateli.

- Hej, politycy liczą na głosy wariatów.

Zaśmiał się.

- Binchy, Reed i ja rozmawialiśmy z grupką pomocnych ludzi, całkowie przekonanych, że znają Brigid. Niestety, żadne fakty się nie zgadzają. Jedyne rokuszące to anonimowy telefon z budki. Posłuchaj.

Usłyszałem trzaski, potem szum tła. Narastający jazgot samochodów zagłuszył pierwsze kilka słów.

- ... tę dziewczynę. W tym niedokończonym domu. - Drżący, męski głos. Starzec albo ktoś udający starca. Dziesięć sekund pauzy. - Była z Montem.

- To wahanie jest podszyte strachem - oceniłem. - To brzmi autentycznie.

- Za bardzo wystraszony, żeby zadzwonić z własnego telefonu i podać nazwisko, wielkie dzięki. I żebyś się orientował na bieżąco: najbardziej przekupny sędzia, powiedział „nie”, kiedy poprosiłem o nakaz przejrzenia finansów Holmanów, więc na obiad kanapka z niczym.

- Puść jeszcze raz to nagranie, dobrze?

Poczekalem, aż taśma się skończy.

- Zna Montego wystarczająco dobrze, żeby podać jego imię, ale dziewczyny nie. Może jednak tych dwoje poznało się niedawno i cała sprawa okaże się jedną z serii „w niewłaściwym czasie, w niewłaściwym miejscu”.

- Ugryź się w język; na razie trzymam się wersji, że Pan Uczynny za bardzo się bał, żeby wyjawić wszystko co wie. Cholerna budka, gość miał szczęście, że znalazł działającą.

- Gdzie to?

- Venice Boulevard przy Centinela. Dookoła mnóstwo mieszkań.
- Wydawał się stary - przypomniałem. - Pokolenie sprzed komórek.

- Brigid była widziana na Borodi sama, może coś ją łączyło z tym domem, na przykład pracowała dla jakiegoś podwykonawcy i to ona zainicjowała randkę z Backerem. I знаła Montego albo on znał ją, bo zgadłeś z tym fachowcem. Jadę do śródmieścia, obejrzę pozwolenia z tej budowy. Kto wie, co z tego wyniknie?

O drugiej pojawił się u mnie w domu, dźwigając swoją odrapaną, winylową teczkę. Zwyczajowo przetrzepał kuchnię i wywęszył wczorajszego kurczaka z ziemniakami, butelkę keczupu i parę porów, którym przydałaby się viagra. Wszystko to pochłonął z prędkością nadświatłą, na stojąco przy kuchennym blacie, a potem popił z kartonu soku pomarańczowego. Kiedy dał resztki Blanche, odwróciła się.

- Wybredna?
- Nie chce cię objadać.
- Co za współczucie.
- W tym roku podchodzi do egzaminu przed stanową komisją psychologiczną. Przewiduję, że zda.

Milo pogłaskał Blanche, usiadł przy stole i otworzył teczkę.

- Głównym wykonawcą była firma Beaudry z La Canada. Specjalizują się w stawianiu dużych budynków, na ich stronie jest tego pełno. Bez Borodi.

- Znów wymóg poufności?

- Dokręciłem śrubę ich wiceprezesowi, nic nie wycisnąłem, nawet nazw podwykonawców. Nie zna nikogo o imieniu Monte. Jakby się miał przyznać.

Teczka zagrzechotała, zatrzęsała się na stole jak żaba poddawana niecnym eksperymentom. Milo wyciągnął komórkę.

- Sturgis... żartujesz... już jadę. - Wstał i otrzepał z koszuli okruchy kurczaka. - Mały konflikt w pałacu marzeń.

Strzępy żółtej taśmy powiewały na wietrze. Dwójka mundurowych z patrolu trzymała Doyle'a Bryczńskiego za chude ramiona. Dziesięć metrów dalej dwóch innych krępowało dobrze ubranego, siwowłosego

mężczyznę, który nie poddawał się bez walki. Krzyki, tupanie nogą; mundurowi wyglądali na znudzonych.

- Hej, poruczniku - zawołał Bryczinski. - Może im pan powie dzieć, że to mój rewir?

Milo podszedł do policjantki z identyfikatorem „Briskman”.

- Co się dzieje?

- Ten tu i tamten mieli problem ze swoją wzajemną obecnością. Głośny problem, sąsiad zadzwonił pod alarmowy. Dostaliśmy zgłoszenie jako czterysta piętnaście, podejrzenie pobicia. Kiedy przyjechaliliśmy, już się brali za łby.

- Ja się nie brałem - zaproponował Bryczinski. - Po co miałbym się bić? To stary pierdziel, a rewir jest mój.

Milo przysunął mu palec do ust.

- Zaczekaj, Doyle.

- Mogą mnie przynajmniej puścić? Ręce mnie bołą i muszę ulżyć nodze.

Milo spojrzął za niego, na coś dużego, z zielonymi rączkami, co leżało tuż pod płotem.

- Nożyce do metalu, Doyle?

- Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

- Jakby się coś działo.

- To ja założyłem ten łańcuch, Doyle.

- Nie zamierzałem nic przecinać. To tak w razie gdybym musiał tam wejść.

- Po co?

- No, jakby się coś działo.

- Na przykład?

- Nie wiem. Jeszcze jedno morderstwo? Pożar?

- A czemu miałyby tam być jeszcze jedno morderstwo albo pożar, Doyle?

- O rany, tak tylko mówię.

- Co pan mówi?

- Lubię być przygotowany.

- Jeśli przeszukam pana samochód, Doyle, to znajdę w nim coś przestępczo przydatnego albo łatwopalnego?

- Nie.

- A zgodzi się pan, żebym zajrzał do pana auta?

Wahanie.

- Doyle?

- Jasne, niech pan zagłąda.

- Puśćcie go, żeby mi dał kluczyki.

Milo przetrząsnął taurusa, wrócił.

- Nic podejrzanego, Doyle, ale każę funkcjonariuszom zawieźć pana do mnie na posterunek, pogadamy sobie.

- Ja nic nie zrobiłem, poruczniku. Nie mogę się stąd ruszyć, jestem na służbie...

- Pana służba zostaje tymczasowo zawieszona,

- A co z samochodem? Jak go tu zostawię, dostanę mandat.

- Przykleję na szybie naklejkę. Oczy

Bryczńskiego zwilgotniały.

- Jeśli nie będę pracował, firma mnie wypieprzy.

- Porozmawiamy na posterunku, Doyle. Wszystko się ułoży, wróci pan tu jeszcze dzisiaj. Tylko niech pan nie zadziera z sąsiadami.

- To nie żaden sąsiad, to jakiś czubek. Twierdzi, że kiedyś to była jego działka, próbował dać mi w łeb, kiedy mu powiedziałem, żeby spadał.

- Charles Ellston Rutger.

Mężczyzna odchrząknął po raz trzeci, przyglądał rzadkie siwe włosy, rzucił pogardliwe spojrzenie.

Marynarka w pepitkę z wysokiej jakości kaszmirowej wełny, ze skórzanymi guzikami i zamszowymi łatami na łokciach. Krój zdradzał robotę krawca, ale klapy były o kilkadziesiąt lat za szerokie. Zaprasowane w kant kremowe spodnie idealnie łamały się na wypolerowanych, bordowych mokasynach. Koszula, dawniej błękitna, spłowieła do lawendowej szarości i postrzępiła się na krawędzi kołnierzyka. Złote coś unosiło windsor zielonego fularu w trąbki i ogary, zmechaconego erozją materiału. Podobnie jak kanarkowożółta chustka w kieszeni marynarki.

Według prawa jazdy Charles Rutger liczył sobie sześćdziesiąt sześć lat. Wygląd skóry - spękanej, suchej i plamistej jak tapicerka kabrioletu pozostawionego na pastwę żywiołów - skłaniał mnie do podejrzeń, że facet jest starszy. Skłamał co do wieku i wagi, dodał sobie kilka

centymetrów, odjął dziesięć kilo naprężające guziki marynarki. Siwe włosy, zaczesane do tyłu, przylizane i pobrużdżone śladami grzebienia, miały żółtawy odcień. Ciężkie powieki pokrywała siateczka żył.

Adres w South Pasadena - niezbyt modna tamtejsza dzielnica, mieszkanie. Jedynym samochodem zarejestrowanym na jego nazwisko był piętnastoletni, bordowy lincoln town car. Właśnie ten sedan stał zaparkowany byle jak pod ogrodzeniem.

- Kawalek drogi z South Pasadena, panie Rutger.

- To mój dom rodzinny, trafię tu przez sen. - Aksamitny głos, lekki środkowoatlantycki akcent, wyraźna dezaprobata.

- Twierdzi pan, że jest właścicielem tej nieruchomości?

- Nie ja tak twierdę, tylko zwykła przyzwoitość. Kiedy się dowiedziałem, co się tu stało, od razu przyjechałem.

- Skąd pan się dowiedział?

- Z telewizji. Oczywiście. - Charles Ellston Rutger poprawił klapy marynarki.

- Oficjalnym właścicielem nieruchomości jest firma DSD.

- Szmatogłowi - prychnął Rutger. - I nie waham się tak ich nazwać. Bombardują nas, a my jeszcze się im kłaniamy.

- Arabowie - domyślił się Milo.

- A kto inny? Pieniądze z ropy, krwawe pieniądze, weszły do gry, o tak! Za moich czasów dostaliby figę z makiem.

- Nie mogli kupować nieruchomości?

- Nazywaliśmy to ugodami i to wystarczyło. - Znów się odwrócił do szkieletu domu. - Potworność. To była śliczna okolica, niech się wstydzi Beverly Hills i ta banda.

- Czyli...

- Ludzie z Beverly Hills. Hollywood. Teraz rządzą ci ze swoją ropą.

- Może nam pan podać nazwiska osób związanych z DS...

- Nie mogę podać czegoś, czego nigdy nie wiedziałem - przerwał Rutger. - Cała transakcja została zmanipulowana przez chytrych żydowskich prawników. Można by pomyśleć, że się unikają jak zarazy. Żydzi i szmatogłowi. Ale kiedy chodzi o pieniądze, umieją się dogadać.

- Proszę pana, prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, jeśli więc ...

- Doskonale się orientuję, jakie prowadzicie dochodzenie. Przecież mówiłem, że słyszałem w telewizji.

- I od razu pan przyjechał.

- Tak jest.

- Po co, panie Rutger?

- Po co?

- Właśnie.

- A czemu nie? Żyjemy w wolnym kraju.

- Panie Rutger, to poważna sprawa i nie mam czasu...

- Ja też nie. Dlaczego przyjechałem? Bo zostałem zraniony.

Znowu.

- Znowu?

- Kiedyś to należało do mnie. Oni mi to zabrali. A teraz połała się krew. Barbarzyńcy.

- Proszę mi opowiedzieć, jak to panu zabrali.

- Opowiedzieć? - powtórzył Rutger. - Chętnie napisałbym na ten temat książkę. Właściwie nawet o tym myślałem. *Łupienie niewinnych*. To mógłby być bestseller, biorąc pod uwagę, co ludzie o nich sądzą.

- Może mi pan streści, panie Rutger?

- A po co to panu?

- Żebym zrozumiał...

- Dobrze, dobrze, oto streszczenie: tragedia symbolizująca całą wulgarność, jaka stała się udziałem tego kraju. Kiedy byłem mały, na tej działce stał przepiękny, harmonijny dom. W stylu georgiańskiego odrodzenia, zaprojektowany przez Paula Williama. Nie żeby pan znał...

- Słynny architekt z lat czterdziestych i pięćdziesiątych - powiedział Milo. - Czarny, więc nie mógł mieszkać w większości miejsc, w których pracował.

Rutger poprawił fular.

- Nieważne, potrafił projektować domy. Mój ojciec zapłacił za swój uczciwą pracę, nie jakimiś manipulacjami walutą, podejrzanymi operacjami finansowymi czy innym knuciem.

- Czym zajmował się pański ojciec?

- Uczciwą pracę. Moja siostra i ja wychowywaliśmy się w raj. Ona tego nie pamięta... no i co zrobili? Wyburzyli nasze dziedzictwo i postawili takie coś. - Broda mu zadrzała. - Wizygoci.

- Był pan przeciwny sprzedaży nieruchomości firmie DSD, ale sirostra się nie zgodziła z panem?

Rutger popatrzył na Mila ze złością.

- Nie słuchał pan? Ukradli mi ją.

- Jak?

Cisza.

- Proszę pana?

- Nie ma potrzeby się w to zagłębiać.

- A jednak chciałbym.

- To tylko źle o panu świadczy, ale nie zamierzam rozmawiać o sprawach osobistych.

- Zabójstwo sprawia, że wszystko staje się publiczne, panie Rutger.

- To mnie nie interesuje. - Znów gimnastyka podbródka. Oczywiście Rutgera zaszyły łzami. Wyciągnął chusteczkę, wytarł powieki. - Przekłęty kurz.

- Przyjechał pan tutaj, bo uważał pan, że ktoś znów bezczęści pamięć pańskiej rodziny - powiedziałem.

Rutger popatrzył na mnie przeciągle.

- Pan jest Żydem, prawda? Mój ojciec grywał w golfa z rabbinem Maginim. To był dopiero sprytny człowiek, za rodzinne pieniądze postawił tę swoją świątynię. Wielkie pieniądze, z San Francisco. Jego bracia siedzieli w branży pasmanteryjnej, umieli robić majątki.

- Dochodzi pan swoich praw jako rzeczywisty właściciel tej nieruchomości, panie Rutger? - spytał Milo.

- Dochodziłbym, gdybym znalazł błędnego rycerza skłonnego podając się walki.

- Prawnika, który wziąłby pana sprawę.

- Tchorze.

- Dobrze, proszę pana, musi pan unikać dalszych konfrontacji... chwileczkę, proszę mi dać skończyć. Tak, to wolny kraj. Ale wolność oznacza odpowiedzialność. Powinien pan to wiedzieć, jest pan wykształconym człowiekiem.

Rutger sapnął.

- Z tego co słyszałem, to wciąż wolny kraj.

- Proszę pana, na terenie nieruchomości popełniono zbrodnię. Nie będziemy tolerować żadnych bezprawnych wtargnięć.

- To, właśnie powiedział ten dureń w mundurze. Był nieuprzejmy, nieokrzesany i zmusił mnie do działania. - Rutger podniósł dwie zaciśnięte pięści. Zaczął składać chusteczkę, aż wyszedł mu idealny kwadrat. - Teraz stąd jadę, ale nie godzę się na żadne arbitralne obwieszczenia zabraniające mi...

- Nie mam nic przeciwko, żeby pan tędy przejeżdżał, panie Rutger. Ale proszę się nie zatrzymywać i nie próbować tam wchodzić z jakiegokolwiek powodu. A jeśli zauważy pan coś dziwnego, proszę dać mi znać. To mój numer.

Rutger popatrzył na wizytówkę, jak na odpad radioaktywny.

- Proszę pana? - powiedział Milo.

- Ot, tak? - Rutger pstryknął palcami. - Pan rozkazuje, ja muszę słuchać?

- Nakreśliam granice, żeby uniknąć przyszlých nieporozumień. Może pan sobie tędy jeździć do woli, ale niech pan nie próbuje dostać się do środka.

Charles Ellston Rutger wyprostował się dumnie. Guziki marynarki stoczyły bitwę z jego brzuchem.

- W chwili obecnej nie widzę powodu, by tu wracać.

- Słuszna decyzja, proszę pana.

- To jest Ameryka. Nie potrzebuję pana do oceny swoich decyzji.

13

low n car Rutgera odjechał, piszcząc zużytymi łożyskami i plując z rury czarnym dymem. Milo odetchnął.

- Uf, to ci odmiana.

Zadzwoił sprawdzić Rutgera. Kilka mandatów, nic poważnego.

- Walnięty dziadek, ale mimo jego przywiązania do tej rudery nie wyobrażam sobie, żeby miał siłę wspiąć się po schodach z bronią, zdominować i zamordować dwie osoby.

- Zgadzam się - powiedziałem. I mimo swojego wieku to chyba nie on jest donosicielem.

Pojechaliśmy z powrotem na posterunek, gdzie Milo zostawił Doyle'a Bryczńskiego do skruszenia w pustym pokoju przesłuchań i poszukał w dokumentacji hrabstwa poprzednich właścicieli nieruchomości przy Borodi.

Tylko jeden: Trust Rodzinny Lanyarda A. Rutgera, założony dwadzieścia lat temu. Trust sprzedał nieruchomość czternaście lat później. Transakcję prowadził Laurence Rifkin z kancelarii Rifkin, Forward i Levitsky w Beverly Hills. Na stronie internetowej podawano, że specjalizowali się w prawie podatkowym i nieruchomościach.

- Zaczynamy od góry. - Milo zadzwonił i poprosił o Rifkina.

Łagodny baryton odezwał się w jego słuchawce zaskakująco szybko.

- Larry Rifkin przy telefonie. Policja? Co się dzieje?

Milo streścił sprawę.

Rifkin parsknął śmiechem.

- Nie żartuję sobie z morderstwa. Śmieję się z tego teatru absurdu.

Dobry stary Charlie.

- Miał pan już z nim styczność?

- Nie wierzę, że wciąż uważa, iż został oszukany. To on nalegał na tę sprzedaż, poruczniku. Nie dość, że wariat, to chyba jeszcze traci pamięć.

- Czyli wszelkie twierdzenia o oszustwie są bezpodstawne.

- Bezpodstawne? Raczej szalone. Oto w skrócie, cała historia: Lanyard, ich ojciec, Charliego i Leony, zarobił pieniądze na produkcji i inwestycjach, ale zanim umarł, zdążył sporo stracić na giełdzie i po spłaceniu długów wiele nie zostało z majątku. Wie pan, jak to jest z bogatymi: dla mnie skarby, dla ciebie śmieci. Obrazy, które Charlie miał za bezcenne, okazały się byle czym, podobnie jak niby rzadkie książki. Jedyne co się liczyło to nieruchomości: trzy domy, warte wtedy jakieś pięć milionów. Dom przy Borodi był z tego wszystkiego najdroższy. Lan zbudował go w latach czterdziestych według projektu Paula Williamsa. Coś pięknego. Posiadali też działkę lotniskową nad Lakę Arrowhead i ponad hektar w Palm Springs. Lan pożegnał się z tym światem dziesięć lat temu, dociągnął dziewięćdziesięciu jeden lat, ale Barbara, jego żona, umarła, więc wszystko dostały dzieci. Leona to lekarka, onkolog, przemiła pani. Lan, bystry człowiek, to ją wyznaczył na wykonawczynię testamentu. Zasadniczo logiczne wyjście, ale skutek był oczywisty.

- Spór rodzinny.

- Spór z Charliem. Ja i mój ojciec próbowaliśmy wyperswadować Łanowi wyznaczenie Leony. Sugerowaliśmy, że my powinniśmy być wykonawcami. Albo Lan mógł znaleźć sobie kogoś w banku. Nie chciał o tym słyszeć.

- A Charlie dostał szału.

- Wściekliwość. Poszczucie rodzeństwa na siebie to zawsze katastrofa, a tego rodzeństwa w szczególności. Nie żeby Leona nie próbowała dogadać się z Charliem. Nie spotka pan rozsądniejszej osoby niż ona. Ale Charlie to zupełnie inna sprawa, nie trzeba być psychologiem, żeby widzieć, dlaczego nie znosi siostry. Ona jest wszystkim, czym on nie jest: mądra, odniosła sukces, szczęśliwie wyszła za mąż, po prostu skarb.

- Charlie nigdy się nie ogarnął.

- Blisko siedemdziesiąt lat spędził w stanie snu.

- Miał urojenia?

- Tak też można to nazwać - odparł Rifkin. - Mogę panu to wszystko opowiadać bez skrępowań, bo nie reprezentujemy Charliego, i to żaden sekret. Właściwie stał się naszym przeciwnikiem, wiele razy groził, że nas pozwie.

- O co?

- O to, że potrzebuje pieniędzy i myśli, że je dostanie od Leony, jeśli narobi dość hałasu.

- Kto go obsługuje?

- Nikt. Sam składa pozwy, wydaje mu się, że jest najmądrzejszy na świecie. Nie muszę chyba dodawać, że za każdym razem przegrywa.

- Lubi się wcielać w rolę prawnika.

- I maklera giełdowego, i doradcy finansowego, i inwestora, do wyboru, do koloru. Przed sprzedażą domu próbował w syndykacie przehandlować wyspę niedaleko Belize, stracił wszystko, co zainwestował. Był żonaty cztery razy, nie ma dzieci, właściwie został bez grosza w małym mieszkanku w South Pasadena. Smutne, ale sam jest sobie winien. Leona próbowała być fair. Proponowała, że założy dla niego fundusz powierniczy zarządzany przez fachowców, żeby mógł zgromadzić kapitał. Oskarżył ją, że próbuje go kontrolować. Nigdy nie wzięła ani centa jako wykonawca, skrupulatnie dzieliła majątek fifty-fifty. I tu wracam do tego, co mówiłem na początku: to Charlie nalegał na sprzedaż nieruchomości. Dlatego właśnie marudzi teraz bez sensu.

- Leona nie zamierzała pozbywać się posiadłości?
- W żadnym razie. Chciała ją zachować dla przyszłych pokoleń. Założyć osobny rachunek administracyjny, żeby zadbać o wydatki.
- Ale Charlie nie ma dzieci, więc uznał, że siostra omija go na rzecz swoich spadkobierców.
- Rozumiem ten sprzeciw - powiedział Rifkin. - Ale to nie tak, że Charlie nie zarabiał na Borodi. Dom wynajmowano za dwadzieścia kawalków miesięcznie, po odliczeniu podatków i opłat administracyjnych wciąż wychodziła rocznie sześciocyfrowa suma.
- Kim byli najemcy?
- Różni ludzie z branży filmowej, którzy potrzebowali tymczasowego lokum na czas zdjęć. Nie gwiazdy... producenci, reżyserzy. Płatności pochodziły z budżetów produkcyjnych, więc szło gładko, dopóki Charlie nie zaczął wpadać do domu i sprawdzać, czy prowadzą go zgodnie z jego wytycznymi. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że nikt nie miał ochoty tego znosić, więc pa pa umowy najmu ze studiami. A Charlie potrzebował ich dużo bardziej niż Leona. Cokolwiek zarobi, przecieka mu przez palce.
- Więc nalegał na sprzedaż.
- Nie tylko Borodi, wszystkich trzech nieruchomości. Typowe żądanie Charliego. Takie ni z tego, ni z owego. Jest impulsywny, to jego podstawowy problem. Bezpośrednia sprzedaż godziłaby w politykę i ducha trustu Lana. Leona miałyby prawo kazać bratu się odchrzanić. Ale nie chciała się kłócić, więc poszła na kompromis. Była nieugięta w sprawie Palm Springs i Arrowhead. Lubi tam jeździć na weekendy, tak samo jej dzieci. Uważała też, że wartość prawie hektarowej działki w Holmby sporo wzrośnie, dlatego warto czekać. Ale Charlie nie dawał jej spokoju, więc uległa.
- Według danych, do których dotarłem, nieruchomość sprzedano za osiem milionów - wtrącił Milo.
- Wiem, o czym pan myśli - odparł Laurence Rifkin. - Cztery miliony to suma nie do pogardzenia. Kłopot w tym, poruczniku, że kiedy zerwano trust, dał o sobie znać podatek spadkowy. Do tego prowizja, inne opłaty. Ostatecznie Charlie i Leona dostali po jakieś półtora miliona.
- Wciąż ładna sumka - zauważył Milo.

- Tak, oczywiście, że tak - powiedział Rifkin niezupełnie przekonująco. - Ale to nie są pieniądze na dłużej dla kogoś takiego jak Charlie, który wciąż uważa się za geniusza finansów. Nie trwało długo, zanim większość przepuścił i zaczął skamleć, że sprzedaliśmy za tanio. Niestety dla niego, angażował się na każdym etapie transakcji i mieliśmy na to papiery.

- Ile to jest „większość”?

- Zostało mu z pół miliona. Potem bezczelnie prosił, żebyśmy go reprezentowali, spreparowali mu księgowość, aby mógł sobie więcej odliczyć. Jednocześnie wciąż groził nam pozwami. Kulturalne odmówienie Charliemu wymagało dużej samokontroli.

- Czyli zostało mu pół miliona.

- Kilka razy w roku lata do Europy, pierwszą klasą, wynajmuje pokój w Crillonie, jada w restauracjach z przewodnika Michelina. Mocno bym się zdziwił, gdyby miał jeszcze sto tysięcy. Nie do wiary, że ciągle awanturuje się o tamtą sprzedaż. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio się odzywał, myślałem, że w końcu dał sobie spokój.

- Ile czasu?

- Hm... dwa lata... niech pan poczeka, to powiem dokładnie... o, dwa lata i cztery miesiące. Narzekał, że potrzebuje nowego samochodu, a Leona nie chce mu go kupić. A niby czemu miałyby kupować? Kiepski z niego kierowca, tylko rozbiłby następny. Zresztą, co z tego, gdyby Leona zafundowała mu nowiutkiego rollsa. Za każdym razem, kiedy coś dostanie, wraca po więcej. Jak mówiłem, żyje we śnie. Usłyszał o morderstwie i pewnie zaczął fantazjować, że jest panem na włościach. A może bał się poczuć jak osioł, więc nagiął sobie rzeczywistość. Bo Leona się nie myliła. Osiem milionów wtedy było niezłą ceną, ale wartość działki poszła w górę jak rakieta. Gdyby sprzedawali ją dzisiaj, dostaliby prawdopodobnie dwadzieścia pięć milionów.

- Jest tam jeszcze kawał domu.

- Nawet bez domu to bardzo cenna działka.

- Niech mi pan opowie o ludziach, którym ją sprzedali. DSD - poprosił Milo.

Cisza.

- Panie Rifkin?

- Służę panu pomocą, poruczniku, w granicach swoich zawodowych uprawnień.
- Charliego można obgadywać, a DSD już nie?
- Istnieje ugoda.
- Poufność.
- Wiążąca poufność.
- Dlaczego, panie Rifkin?
- Tego nie wolno mi zdradzić, poruczniku. O to właśnie chodzi.
- Chyba wszyscy, z którymi DSD robiło interesy, są zobowiązani do milczenia.

Cisza.

- Panie Rifkin, mówimy tu o jakichś politycznych szyszkach?

Cisza.

- Zagraniczna intryga? - naciskał Milo.
- Przykro mi, poruczniku.
- Dochodzenie w sprawie kryminalnej przebija umowę cywilną, proszę pana.

- Studiował pan prawo?

Milo otarł twarz.

- Zmieńmy na chwilę temat. Czy przychodzi panu do głowy coś, co powinienem wiedzieć o Charlie'm czy kimkolwiek innym w związku z morderstwem?

- Myśli pan, że Charlie mógł kogoś zabić?

- Zostały zamordowane dwie osoby.

- W jaki sposób?

- Postrzał i uduszenie.

- Cóż - westchnął Rifkin. - Charlie ma broń, ale to zabytki odziedziczone po Lanie. Czy użyłby ich, gdyby się mocno rozżościł? Pewnie tak. Ma paskudny charakter i jest niezrównoważony.

- A uduszenie?

- To raczej wymaga siły?

- I uporu.

- Więc wątpię. Charlie nie tryska zdrowiem. Wątroba, serce, prostata, cukrzyca, artretyzm. Leona płaci niemałe rachunki za jego leczenie. Poza tym on dużo mówi, ale nie słyszałem, żeby cokolwiek dokończył.

- Czy w toku transakcji DSD zaistniało coś, co mogłoby się łączyć z morderstwem?

- Niezła próba, poruczniku - odparł Rifkin.
- Przez te wszystkie sekrety DSD wygląda coraz bardziej podejrzanie.
- Cóż, poruczniku, powodzenia w śledztwie.

Doyle Bryczinski pił trzecią puszkę 7UP.

Milo usiadł blisko niego, przysunął się.

- Dobra, Doyle, jak to było?
- Co?
- Z tymi z nożycami.
- Nijak, proszę pana.
- Nożyce, gadki o morderstwach i podpaleniach to nie „nijak”.
- Przepraszam, proszę pana.

Wielka dłoń Milo opadła na chude ramię Bryczinskiego.

- Doyle, jeśli chcesz mi coś powiedzieć, teraz jest dobra chwila, żeby sobie pomóc.

- A w czym potrzebuję pomocy?
- Zastanów się, Doyle.
- Myślę, że nie potrzebuję pomocy.
- Po co tam wróciłeś?
- To po prostu, moje miejsce.
- Twoje miejsce?
- Mój rewir. Orientuję się tu lepiej niż ktokolwiek.
- Otóż to - podchwycił Milo.
- Co?

- To że morderca raczej musiał znać okolicę. W nocy jest tam bardzo ciemno, drugie schody są schowane. Trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać, potem cholernie uważać przy wchodzeniu, żeby nikt nie usłyszał. Chociaż twoje buty wyglądają na całkiem ciche.

- Nie narzekam. Tyle że ja nic nie zrobiłem. I nieważne, jakie nosiłbym buty, usłyszeliby mnie.

- Dlaczego?
- Powłóczę nogą.
- Nawet w tych cichobiegach?

- Mają miękkie podeszwy ale też stalowe usztywnienia, ciężko je podnieść - wyjaśnił Bryczinski.

Milo spojrzał na puszkę napoju.

- Jak chce ci się pić, nie kępuj się.
- Nie trzeba.
- Wróćmy do nocy morderstwa. Gdzie wtedy byłeś?
- Tam, gdzie mówiłem.
- Spałeś, potem opiekowałeś się matką.
- Kupowałem dla niej pieluchy. Tym razem wziąłem paragon. - Wyjął świstek z kieszeni koszuli. - Dziewiąta czterdzieści osiem.
- Milo spojrział na wydrukowaną datę i godzinę.
- Znalazłeś paragon, bo opracowujesz sobie alibi, Doyle?
- Pytał mnie pan o to wszystko za pierwszym razem - odparł Bryczinski. - Dlatego odszukałem paragon. Teraz go pan ma.
- Milo pomachał papierkiem.
- Jest w porządku, Doyle, tyle że niewiele znaczy. Mogłeś wrócić do domu, pojechać z powrotem.
- Może, ale nie pojechałem. - Oczy Bryczinskiego pozostały spokojne.
- Monte - rzucił Milo.
- Co?
- Kim jest Monte?
- To nie taka gra w karty?
- To też imię mężczyzny.
- Nie znam nikogo takiego.
- Po co te nożyce, Doyle?
- Już tłumaczyłem, na wszelki wypadek.
- To miejsce przestępstwa.
- Teraz tak, ale nie na zawsze. Jak mi nie dacie klucza do łańcucha, sam będę musiał sobie poradzić.
- Wszelki wypadek - mruknął Milo. - Na przykład pożar.
- Powiedziałem, że na wypadek pożaru. Potrzebuję tej pracy, chcę ją wykonywać dobrze.
- Myślisz o tym domu jak o swoim.
- Znam go lepiej niż inni. Oni nie znali.
- Kto?
- Tamtych dwoje. I pan patrzy, co ich spotkało. - Bryczinski sięgnął po puszkę, wolno wypił długi łyk.
- To ich wina?

- Nie mówię, że ich; mówię, że głupotą było zakradać się tam w nocy.
 - Jaką masz teorię na temat tych morderstw, Doyle?
 - Poszli na górę, żeby pofiglować, i wparował tam jakiś psychol?
- O to właśnie mi chodzi: przy luźnym łańcuchu, każdy mógł wejść.
- Czyli powinienes się cieszyć, że założyłem nowy.
 - Zostawi mi pan klucz, to podziękuję. Teraz muszę tam wracać.

Podwieziecie mnie?

- Z przyjemnością, Doyle. Jeśli dasz się najpierw podłączyć pod wykrywacz kłamstw.

Bryczinski wytrzeszczył oczy.

- Firma robiła mi test, jak mnie zatrudniali. Przeszedłem z wyróżnieniem, poprosiłem o kopię.

- Czyli nie masz nic przeciwko powtórcie.

Bryczinski pomyślał.

- W sumie, czemu nie? Byle tylko za długo to nie trwało.

Detektyw trzeciej klasy Delano Hardy był na dziennej zmianie kimś najbliższym specjalisty od wariografu. Nie przeprowadzał testu od ponad roku, nie wiedział nawet, gdzie jest sprzęt, ale zgodził się poszukać.

Półtorej godziny później zakończył procedurę i wyszedł z pokoju, kręcąc głową.

- Linia bazowa trochę skacze, ale nie widzę tu żadnego oszustwa, nawet podejrzeń.

Milo wziął wydruk.

- Dzięki za próbę, *amigo*.

Dawno temu Del pomagał Milowi, dopóki jego żona, ponad miarę religijna, nie zabroniła mężowi pracować z homoseksualistą.

- Nie ma sprawy, Wielkoludzie. Powodzenia.

Mundurowy odwiózł Bryczinskiego na Borodi. Obejrzałem wyniki testu.

- Co? - spytał Milo.

- Nic oprócz prawdy - odparłem. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę niespokojną linię bazową. To nie psychopata, który próbowałby oszukać maszynę.

- Ale za bardzo jest przywiązany do tamtego miejsca - powiedział Milo. - On i Charlie Rutger.

- Pewnie kompleks gmachu.

Wróciliśmy do gabinetu, gdzie Milo przeczytał nową wiadomość.

- Proszę, proszę. Ned Holman chce porozmawiać. - Oddzwonił.

- Profesorze? Porucznik Sturgis... tak, proszę pana, oczywiście, że pamiętam... doprawdy? Nie ma sprawy, mogę być u pana za... Dobrze, tak, wiem, gdzie to jest. Za godzinę? - Odłożył słuchawkę na widelki.

- Kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy, wydawał się wyluzowany. Teraz wręcz przeciwnie, ewidentnie coś go gryzie. Ciekawe, jak wygląda jego linia bazowa.

14

Ned Holman wybrał na miejsce spotkania publiczny parking w Playa Del Rey, najbardziej wysunięty na wschód skrawek okręgu - miasto zmienia się tam w wieś, a ocean sennie chlupocze.

Zaledwie kilka kilometrów za Ptasimi Moczarami, gdzie w zeszłym roku znaleziono zwłoki czterech kobiet, bez prawych dłoni, twarzami na wschód. Milo i Moe Reed zamknęli tamtą sprawę, przy okazji rozwiązali zagadki dwóch innych zabójstw.

Ani słowa o tym, kiedy przemknęliśmy obok. Jak wielu ludzi z pasją Milo woli cierpienia chwili obecnej.

Kiedy przyjechaliśmy, Holman właśnie parkował furgonetkę na miejscu dla niepełnosprawnych. Oprócz nas - żadnych innych samochodów. Drzwi vana się odsunęły, wyjechała z nich pochylnia. Zanim wysiedliśmy z nieoznakowanego radiowozu, Holman wydostał się już wózkiem i patrzył na fale.

Szary dres podkreślał zwałistość górnej części ciała i maskował wyniszczone nogi. Broda równo przycięta, włosy mocno przylizane, żeby nie targał ich wiatr.

Stanęliśmy między jego wózkiem a plażą.

- Dziękuję za przybycie, panowie. Tutaj przyjeżdżam się odprężyć.

- Co pana dręczy, profesorze?

Holman obserwował, jak samotny poszukiwacz idzie wzdłuż plaży, przeczesując piasek wykrywaczem metalu. Mężczyzna przystanął, obejrzał coś błyszczącego, wyrzucił.

- Ciągłe ich tu widuję - odezwał się Holman. - Żaden nigdy nie znajduje. - Uśmiechnął się. - Może wszystko zostało już odkryte.

- Och, nie wiem, proszę pana - odparł Milo. - Ja na przykład w pracy bez przerwy dowiaduję się czegoś nowego.

- Pogratulować. - Holman oblizał usta. - To dla mnie bardzo trudne, ale wydaje mi się, że muszę to zrobić. - Grube palce zabębniły w koła wózka. - Chcę na początku coś wyjaśnić: kocham moją żonę. Dobrze się mną opiekujecie. - Ostatnie słowa zabrzmiały głucho. - Na co się skarżyć? Ma swoje potrzeby i tyle. - Beczkowata pierś uniosła się i opadła. - Jak wielu ludzi w naszej sytuacji, Marjie i ja nawzajem się oszukujemy. Ona udaje, że nic jej nie brakuje, ja udaję, że nie wiem, że ona udaje. - Wdech. - Trzydzieści osiem lat scementowało nasz związek.

- To zrozumiałe - przyznał Milo.

- Dlatego nie mam do niej pretensji - ciągnął Holman. - Nie twierdę, że mi to nie przeszkadza, ale nie jestem udęczony.

Poszukiwacz znów coś podniósł. Obejrzał pod światło. Wyrzucił.

Holman spoglądał na niego z satysfakcją. Spochmurniał.

- Ci, co mnie wkurzyli, to moi tak zwani przyjaciele, a nawet tutaj wiem, że zachowuję się irracjonalnie. Zwłaszcza dwóch facetów z naszego towarzystwa. Po moim wypadku nasze relacje się zmieniły, bo bazowały na tenisie, koszykówce, squashu i tym podobnych rozrywkach.

Na zachód leciała czapla. Ostrodzioby, błękitnoszary pterodaktyl o dwumetrowej rozpiętości skrzydeł. Nad moim stawem z koi byłaby wrogiem. Tutaj wzbudzała zachwyty.

- Opowiadam to wszystko, bo zależy mi, żebyście panowie zrozumieli Marjie. To wspaniała kobieta, nie jakaś puszczalska.

Przyciśnięcie guzika odwróciło wózek, przesunęliśmy się znów przed niego. Światło z zachodu obramowało potężne ciało Holmana złocistą aurą.

- Czasami ją śledzę - wyznał. - Nie zawsze, nawet rzadko. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że kiedy wychodzi, w domu zapada nieprzyjemna cisza. Trochę jak w kostnicy, a samotność sprawia, że czuję

bliski koniec. Marjie ułatwia mi zadanie, lubi powtarzalność, zawsze jeździ w to samo miejsce. Miejsca. Miło popatrzeć na mnie.

- Czyli dokąd, profesorze Holman? - spytałem.

- Mówiąc potocznie, do podłych moteli - odparł Holman. - Na Washington Boulevard, niedaleko Mariny, do któregośkolwiek z czterech tamtejszych przybytków. Ja stoję po drugiej stronie ulicy. Kiedyś wma-
wiałem sobie, że robię to dla Marjie. Dla jej bezpieczeństwa. Oczywiście to bzdura, po prostu chcę mieć złudzenie kontroli, chociaż przy-
znam, że zaczęło mnie to męczyć. Może któregoś dnia Marjie też się zmęczy.

- Cztery motele, ale był wyjątek - zauważyłem.

Holman utkwiał we mnie jasnoniebieskie oczy.

- Ja tu się rozwodzę, a pan zna już puentę. Tak, był wyjątek, mia-
łem nic nie mówić, ale potem zaczęło mnie to nurtować i poczułem, że
mam obowiązek panom o tym powiedzieć.

- Dziękujemy.

- Mam nadzieję... Wiedziałem już wcześniej i o Marjie, i o nim...
o Backerze oczywiście. Skąd? Bo nie jestem tępym gamoniem. Raz
urządzili spotkanie firmowe, tanie wino i czerstwe ciastka. Marjie
stwierdziła, że będzie dobrze, jeśli się ruszę z domu. Kiedy podjadali-
śmy, zauważyłem, jak wymieniła z Backerem spojrzenie. Nie jakieś na-
chalne, ale nauczyłem się wychwytywać niuansy, a mężczyźni, którzy
byli z Marjie, mają taki specyficzny wzrok. Czy to paranoja?

- Paranoja to jedno, a uzasadnione obawy to drugie - odparłem.

- Hm... cóż, ja nie mam obaw. Już nie. Te podchody stały się czę-
ścią naszego domowego życia i odkryłem, że to mnie uspokaja... kom-
fort rzeczy znajomych. Tak czy inaczej, umiem rozpoznać znaczące
spojrzenie. Nie powiem, że mnie to nie zaskoczyło, Backer był młod-
szy niż zwykli... towarzysze Marjie. Trochę się tym zaniepokoiłem, ale
ostatecznie stwierdziłem: co za różnica? Tu nie chodzi o jej uczucia
wobec mnie, tylko o fizyczność, a kto lepszy niż młody mężczyzna?
Dlatego, kiedy tydzień później powiedziała, że zostaje dłużej w pra-
cy, pomyślałem „aha” wybrałem się pod biuro. I faktycznie, samochód
Backera stał na parkingu, ona zaparkowała tuż obok. Parking był mały,
nie mogłem tam zostać, a znalezienie miejsca na Main Street, nawet
z naklejką niepełnosprawnego, to niełatwa sprawa. Do tego moja bry-

ka raczej rzuca się w oczy... czy mógłbym prosić, żeby któryś z panów przyniósł mi wodę? Jest w uchwycie tuż przy ręcznym.

Poszedłem i wziąłem z samochodu plastikową butelkę. Wnętrze czyste, ale zatechłe. Żadnych wyraźnych śladów dokładnego czyszczenia. Kiedy wróciłem, Holman mówił:

- ..więc postanowiłem krażyć... dziękuję. - Napił się i oblizał wargi. - Nie trwało długo, zanim bmw Backera wyjechało i skręciło na północ. Trzymałem się kilka długości samochodu za nim, nauczyłem się tego z policyjnych seriali. Dobrze zrobiłem?

- Świetna technika, profesorze Holman - pochwalił Milo.

- Profesorze emeritus, poruczniku. Z łaciny to „były”. Zdziwiłem się, kiedy Backer dotarł do Wilshire i jechał dalej. Skierował się na wschód, minął Westwood, skręcił dopiero w Comstock, potem znów na północ, do Sunset. Widzicie, panowie, do czego zmierzam.

- Borodi Lane. - Milo pokiwał głową.

- Dziś rano zobaczyłem wiadomości. I szok. Długo się zastanawiałem, w końcu postanowiłem zadzwonić. Praworządny obywatel i tak dalej.

- Naprawdę jesteśmy wdzięczni.

- Dostanę dodatkowe punkty za upokorzenie? Może psychologiczne Purpurowe Serce?

Żaden z nas nie odpowiedział.

- Wracamy do Borodi Lane - podjął Holman. - Chcecie wiedzieć, kiedy to było, zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- A ja mogę dokładnie odpowiedzieć. Drugiego kwietnia. Tuż po prima aprilis, o dwudziestej pierwszej dwadzieścia osiem. Prowadzę rejestr przygód Marjie. Ale okazało się, że tym razem to nie była przygoda Marjie. Powinienem wcześniej się zorientować, ona naprawdę lubi stałość, nie wyłamywałaby się ze schematu.

A jednak zrobiła, za przyczepą w Santa Monica, pomyślałem, ale nie zamierzałem deptać godności jej męża.

- Backer zawiózł tam inną kobietę? - spytał Milo.

- Tę kobietę - odparł Holman. - Której twarz pokazali w wiadomościach. I tak, jestem pewien, bo po wszystkich ona i Backer pojechali coś zjeść i dobrze się jej przyjrzałem.

- To nie była pana żona, ale dalej ich pan śledził.

- Bo na początku nie miałem całkowitej pewności. Wszędzie ciemno. - Szybko wsiedli do samochodu Backera. Kobieta wydawała się niższa niż Marjie. Inne włosy, inaczej chodziła, ale stałem za daleko. Ruszyłem więc ich tropem.

- Gdzie zatrzymali się na kolację?

- W Beverly Hills. Kate Mantilini, Doheny przy Wilshire. Na szczęście usiedli przy oknie; przejechałem obok i bardzo mi ulżyło. Potem nagle poczułem przymus dowiedzenia się, gdzie w takim razie jest Marjie. Zadzwoiłem na stacjonarny do biura. Odebrała, wyjaśniła, że pracuje nad ofertą, z której prawdopodobnie nic nie wyjdzie, bo Helga nigdy niczego nie kończy.

- Nie widział pan tam tej kobiety na parkingu - dociekał Milo.

- Nie poruczniku, i w biurze również jej nie było.

- Skąd pan wie?

- Dziś rano oglądaliśmy wiadomości i kiedy pokazali twarz ofiary, Marjie w ogóle nie zareagowała. Znam swoją żonę, panowie. Gdyby ją знаła, coś by powiedziała. I też nie zataiłaby tego przed panami, kiedy ją przesłuchiwaliście. Dlatego sądzę, że ta kobieta albo czekała trochę dalej, albo już na Borodi.

- Czy stał tam jakiś inny samochód?

- Jeśli tak, nie zauważyłem - odparł Holman. - Ale nie zwracałem uwagi na samochody.

Odwrócił się i popatrzył za malejącym w oddali poszukiwaczem.

- Co jeszcze może nam pan opowiedzieć o Backerze i zachowaniu jego towarzyszkii? - spytał Milo.

- Nic.

- I na pewno to ta sama kobieta, którą pan widział w telewizji?

- Na sto procent. Pokazywali rysunek, ale na moje oko podobieństwo zostało uchwycone całkiem dobrze. To jest... była ładna kobieta. Młoda, trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Dla mnie to młodość. Ze świetną figurą, zmysłową, jędrną. Jakby ćwiczyła. Niezbyt wysoka, z metr sześćdziesiąt, sporo mniejsza od Marjie, która ma metr siedemdziesiąt.

- A w restauracji jak się zachowywali? - spytałem.

- Ani szczególnie rozradowani, ani też nie przygnębieni. Dwójka ludzi przeglądająca menu. Określiłbym „nijako”.

- Widział pan tę kobietę jeszcze później?

- Nigdy.

- A Backera?
- Kilka razy. W biurze, jak wychodził i wchodził. - Mrugnięcie. - Muszę przyznać, dziwiło mnie, że Marjie się z nim zadała. Nie wydał się w jej typie.

- To znaczy?
- Płytki facet.
- To znaczy?

Holman zacisnął zęby. Broda mu się zjeżyła.

- Nie wątpię, że na moją opinię wpływa fakt, że posuwał moją żonę. Ale wierzę, że jestem też dobrym sędzią ludzkich charakterów. Nie chcę źle mówić o zmarłym, ale zrobił na mnie wrażenie powierzchownego palanta. Takiego, co to za dużo czasu spędza przed lustrem.

- Nie lubił pan gościa - powiedział Milo.
- Nie znałem Backera dość dobrze, żeby go nie lubić.

Milo mu się przyjrzał.

Holman uniósł brwi.

- Pan żartuje?
- Na jaki temat, profesorze?
- Naprawdę pan się zastanawia, czy to ja mogłem zrobić? Cóż, pochlebiacie mi panowie. Bo uważacie, że byłbym do tego zdolny. Ale po co zadawałbym sobie trud? W ciągu pięciu lat z moją żoną spało dziewięciu mężczyzn. Dlaczego miałbym się mścić na tym konkretnym, napalonym dupku? - Zacisnął usta. - Nie, nie przepadałem za Backerem. Miałki idiota. Ale ja w ogóle nie przepadam za ludźmi. A cokolwiek wobec niego czułem, nie doszło do poziomu agresji.

- Dziękujemy, profesorze, że się pan do nas zgłosił. Większość osób wybrałaby łatwiejsze wyjście. Chciałby pan dodać coś jeszcze?

- Nie. A teraz proszę już jechać, ja tu zostanę i popatrzę na ocean.

Milo śmignął radiowozem obok bagna, pojechał dalej na wschód Culver.

- Co ty na to? Pomocny, cierpiący obywatel czy pogrywający z nami cwaniak?

- Może ani jedno, ani drugie - odparłem.
- Więc?

- Profesor Holman znalazł sposób, żeby wyrzucić z siebie całą kupę nagromadzonego przez lata nieszczęścia, a przy okazji poczuć się chwilowo bohaterem.

- Darmowa terapia? Czyli kto mu wystawia rachunek, ty czy ja?

- Możesz ty.

- Biedny drań. Ale właśnie się przyznał, że śledzi żonę, co pasuje do naszego scenariusza z zazdrością. Gromadka lowelasów w średnim wieku to jedno, młodość i witalność Backera popchnęła Holmana za krawędź, dusił to w sobie, wściekłość nie minęła, więc wynajął zabójcę. Któremu podszepnął, że Borodi to ulubiona miejscówka Backera.

- W takim razie po diabła umawiałby się z nami, podsuwał motywy i ujawniał, że nie lubi Backera?

- To intelektualista, Alex, wydaje mu się, że jest od nas mądrzejszy. Do tego lingwista. A co oni robią? Manipulują językiem. Ale może właśnie sam się przechytrył, dając mi podstawę do wystąpienia o zgodę na przejrzanie jego finansów.

Zadzwoił do Johna Nguyena, spytał zastępcę prokuratora okręgowego, co ten sądzi.

- W najlepszym przypadku wątpliwe - ocenił Nguyen - ale próbuj. Kogo masz na oku?

- Sędzia Ferencz mi odmówił - przyznał Milo. - Jakies podpowiedzi?

- Nie bardzo.

- A Hawkins, John?

- Umarł w zeszłym miesiącu.

- Cholera.

- Twoje serdeczne współczucie dla jego bliskich jest obezwładniająca - zakpił Nguyen. - Jeśli chcesz, popytam.

- Dzięki, John.

- Mówię o kilku telefonach, nie warto za to dziękować.

Na Lincoln Milo włączył policyjne radio - przestępczego Muzaka. Za wcześnie na falę nocnej przemocy, ale wystarczająco dużo pomniejszych wykroczeń, żeby mundurowi się nie nudzili.

- Nawet jeśli Holman nie jest mordercą - rozważałem głośno - to i tak dał ci przydatną informację: Backer i Brigid byli na Borodi dwa miesiące temu, co wspiera teorię o długim związku i sugeruje, że urzą-

dzili sobie tam stałe miejsce spotkań. Może używała fałszywej tożsamości w obronie własnej, a nie z przestępczym zamiarem. Na przykład uciekała przed wściekłym zazdrosnym partnerem.

- Czyli: nie trać jej z oczu jako głównej ofiary. Dobra, znów pora na Hala.

- Właściwie kto to taki?

- Bezpieczeństwo Krajowe, wisi mi niejedną przysługę. - Pstryk, pstryk, pstryk, poczta głosowa. Druga wiadomość Miła była bardziej szczegółowa, pstryk. - Jeśli Holman okaże się czysty, pozostaje nam fakt, że Brigid szperała w plikach Mastersona i sama kręciła się na Borodi.

- Nieuchwytna korporacja DSD - mruknąłem.

- O której ludzie myślą, że to Arabowie, co mnie martwi. Brakuje mi tylko jakiegoś zazdrosnego emira jako głównego podejrzanego. - Dwa światła później: - Abstrahując od tego wszystkiego, mam pod dostatkiem różnych nudnych spraw lokalnych. Na przykład sprawdzenie, czy jest jakaś niezabytkowa dwudziestkadwójka zarejestrowana na szurniętego Charliego Rutgera; przejrzenie spisów ksyw paskudnych Montych; zdobycie listy wykonawców pracujących przy Borodi i ustalenie, czy któryś był notowany.

- Bogactw w bród - przyznałem.

- Wołałbym gotówkę.

15

Reed i Binchy wysłuchali instrukcji na korytarzu, bo w gabinecie Miła nie mieszczą się cztery osoby.

- Sean, musisz złożyć osobistą wizytę w firmie Beaudry Construction w śródmieściu. Potrzebuję listy pracowników z ostatnich pięciu lat. Mówię o nazwisku każdego chojraka, który dla nich pracował, nie tylko na Borodi. W idealnym świecie znalazłbyś naszego Montego. W Beaudry będą kręcić, bo wszyscy związani z tą budową podpisali umowę poufności, ale Nguyen potwierdzi, że w sprawie kryminalnej to bez znaczenia.

- Czyli możemy ich zmusić nakazem sądowym - upewnił się Binchy.

- Kiedy zdobędziemy jakieś dowody, tak. Problem w tym, że do tego musimy dysponować listą. Ale zagroź im czymkolwiek, co tylko wymyślisz, jeśli to podziała. Jeśli się nie ugną, skontaktuj się ze stannową komisją odszkodowań i podejdź ich od strony podatkowej. Dasz sobie radę?

Ktoś inny by się obraził.

Sean poruszył stopą w martensie.

- No jasne, poruczniku.

- Możesz iść, Sean.

- Już lecę, poruczniku.

Reed obserwował tę rozmowę z kamienną twarzą. Jasne włosy świeżo ostrzyżone na jeża, ubrany jak zwykle w niebieski blezer, spodnie khaki, białą koszulę i skromny krawat.

Milo odwrócił się do niego.

- Moses, jakieś teorie, jak się przebić przez te pierdoły o poufności i dowiedzieć, kim są ci pajace z DSD? Panuje powszechna opinia, że to Arabowie, ale nikt nie umie powiedzieć dlaczego. Sprawdziałem już w Internecie. Zero.

- Podzwonię po bliskowschodnich konsulatach - zaproponował Reed. - Poproszę o kogoś związanego z DSD; sprawdzić, czy ktoś zareaguje. Jeśli to nie poskutkuje, wezmę się do ambasad w Waszyngtonie.

- Lepiej zacznij od Waszyngtonu, na wypadek, gdyby jakiś konsul wydał ci się podejrzany. Zobacz, czy są stare książki telefoniczne z czasów, kiedy DSD prowadziło tu działalność, może przekierowano numery.

- Zrobi się, poruczniku. Co do poszukiwań w Internecie, sprawdził pan strony firm naftowych?

- Nie. Zajmij się tym. Jak stoisz z czasem?

- Całkiem nieźle - odparł Reed. - Wisi nade mną tylko jedna sprawa, tego palanta z Pico.

- Dwóch idiotów, którzy strzelali do siebie w barze? Myślałem, że to zamknąłeś.

- Ja też tak myślałem, poruczniku. Ale wszystko się skomplikowało, bo wytyczyli żyłką trasy kul i kąty postrzałów się nie zgadzają. Nie jestem fanem żyłek, ale jeśli coś wygląda naukowo, przysięgli to kupu-

ją, prawda? Miałem już gotowe przyznanie; wiadomo, kto to zrobił, ale prokurator nie da zielonego światła, dopóki nie dopniemy każdego szczegółu. Czekam na wyniki autopsji, żeby potwierdzić rany przelotowe. Moja ofiara powinna trafić na stół w zeszłym tygodniu, ale wciąż leży w lodówce. Pojechałem tam dzisiaj rano, sądziłem, że odbiorę raport, usłyszałem tylko wymówki.

- Prokurator zrobił sobie z ciebie chłopca na posyłki?

Reed wzruszył ramionami.

- Byle tylko sprawa ruszyła.

- W krypcie gonia w piętę - powiedział Milo. - Ja też nie mogę się doprosić o sekcję swoich ofiar.

- Zawsze są zajęci, a teraz jest jeszcze gorzej, poruczniku. Jeden z ich śledczych został wczoraj w nocy zamordowany, kilka przecznik dalej. Akurat kiedy się zjawiłem, ludzie szeryfa przeszukiwali pracowników.

- Znam parę osób stamtąd. Kto to był?

- Jakiś Bobby. - Reed-wzruszył ramionami.

- Bob Norchow?

- Nie, Latynos. Milo

pokręcił głową.

- Co się stało?

- Z tego co podsłuchałem, nieudany rabunek. To paskudna okolica, widać nikt nie jest nietykalny... tak czy inaczej, mam czas, poruczniku. Coś jeszcze?

- Tak. Próbuje namierzyć telefoniczny donos, który dostaliśmy z budki przy Venice Boulevard, w twoim dawnym rewirze. Do kogo w Pacific zadzwonić?

- Sierżant Sunshine jest w porządku.

- Sunshine - powtórzył Milo. - Promyk słońca. Oby rozjaśnił mój cholerny dzień.

Sierżant Patrick Sunshine przełączył Mila do radiowozu patrolującego tamten rejon Venice.

Odezwał się funkcjonariusz Thorpe.

- To jeden z ostatnich działających automatów na monety, najczęściej używają go bezdomni narkomani. Czasami dziewczyny z ulicy, jak nie chcą nabijać sobie rachunków.

- Donosiciel był mężczyzną - dodał Milo. - Starszym albo takiego udawał. Wskazał mi kogoś o imieniu Monte.

- Monte... Nie, nic mi to nie mówi. O której odebraliście ten telefon?

Milo zajął do wciąż cienkiej książki morderstwa.

- Tuż po osiemnastej.

- To mógł być każdy. Popytać?

- Byłoby świetnie, dzięki.

- Budka telefoniczna - mruknął Thorpe. - Dziadostwo ledwie stoi. Załóżę się, że telefonia ją zlikwiduje, jak wszystkie inne.

16

Obudziłem się o czwartej rano, tknięty nagłą myślą. Po kilku minutach już siedziałem przy komputerze.

Pięć godzin później szedłem do gabinetu Mila.

Nie zastałem go za biurkiem. Obok książki morderstwa leżał raport z laboratorium daktyloskopii. Odciski palców Desmond Backera znalezione na ścianie wieży, tuż na prawo od szczytu schodów, i w okolicach dolnej krawędzi otworu okiennego. Brigid Ochs, wciąż figurująca jako NN 014, zostawiła odciski dłoni na podłodze.

Ślady Backera dały się wyjaśnić tym, że podpierał się przy wchodzeniu na chwiejne schody, a potem podziwiał widok za oknem.

Jedynym wytłumaczeniem odcisków dłoni NN była pozycja seksualna.

Milo wczłapał do gabinetu, pijąc kawę.

- Dzień dobry.

- Tobie też wielkie nico. - Usiadł, napił się. - Nikt nie chce powiedzieć, kto stoi za DSD, i nie mogę znaleźć sędziego, który by się sprzeciwił znowie milczenia. Hał nie oddzwonił, a to nie w jego stylu; na Charlesa Rutgera zarejestrowane są tylko stare skalkówki i muszkiety zakwalifikowane do zabytków. Może i jest czubkiem, ale nigdy nie miał żadnych kłopotów z prawem. Laboratorium przysłało wyniki z odciskami, ale niewiele mi one mówią.

- Właśnie czytałem. - zaproponowałem mu swoją interpretację.
- Brzmi sensownie. - zadzwoniła jego komórka. Milo włączył głośnik. - Sturgis.
- Mówi doktor Jernigan z biura koronera - oznajmił damski głos.
- Prosił pan o kontakt.
- Dziękuję za telefon, pani doktor. Zastanawiałem się, czy znaleźliście czas na sekcję moich ofiar.
- Pary z Holmby? - spytała. - Mężczyzna postrzelony, kobieta udużona.
- To dopiero szybka autopsja, dzięki.
- Nie przeprowadziliśmy autopsji. Nie było potrzeby. Zbadaliśmy też kobietę pod kątem gwałtu. Brak śladów napastowania.
- Czyli nasienie na jej ...
- Jakie nasienie?
- Na nodze miała plamę, widziałem na miejscu.
- Nic takiego nie zauważyłam, kiedy oglądałam zwłoki. Skąd pan wie, że to nasienie?
- Nie jestem ekspertem...
- Właśnie.
- To było coś innego, pani doktor?

Cisza.

- Nie znaleźliśmy żadnej plamy, poruczniku. Przepraszam, że tak skrącam, ale muszę iść.
- Autopsja okazała się zbędna - powiedział Milo.
- Nie zajmuje się pan tym od wczoraj, poruczniku, więc pan wie, że nie kroimy, kiedy nie trzeba. Prześwietliłam oboje. W jego głowie jest kula, którą niebawem wyjmemy. U kobiety uszkodzone tkanki typowe dla uduszenia. Nic więcej. Żadnego metalu w niej, tkanki uszkodzone tam, gdzie powinny. Tyle się mówi o spadku przestępczości, ale my mamy urwanie głowy, bo góra nie chce zatrudnić więcej ludzi, a zwłoki wciąż napływają szybciej, niż możemy je wypuszczać. Dwadzieścia minut temu dostałam czwórkę małych dzieci z pożaru domu w Willowbrook i te ciała trzeba otworzyć, żeby poszukać sadzy w płucach. Niech mi pan wierzy, traktujemy pana sprawę poważnie, kula zostanie wyciągnięta.
- Dobra, dzięki. Przykro mi z powodu Bobby'ego.
- Znał go pan?

- Jedyne Bobby, jakiego kojarzę, to Bobby Norchow.
- Norchow w zeszłym roku przeszedł na emeryturę, to był Bobby Escobar. Bystry chłopak, pracował u nas parę lat, potem odszedł robić magisterkę z biologii na stanowym.
- Słyszałem, że zastrzelili go w pobliżu krypty.
- Kilka przecznic dalej, na pustej działce, która należy do hrabstwa - uściśliła Jernigan. - Znajomy, więc daliśmy mu trochę miejsca, żeby miał ciszę i spokój. Osierocił trójkę dzieci, w tym jedno niemowlę.
- O rany.
- Rzeczywiście, o rany. Przez trzy lata przeszukuje kieszenie denatów, teraz sam jest denatem.
- Jak idzie śledztwo?
- Szeryf przydzielił paru żółtodziobów, a oni mówią, że to nieudany napad rabunkowy. Hej, co pan powie na wymianę? Pan rozwiąże sprawę Bobby'ego, a my damy panu autopsję na życzenie przez najbliższych pięć lat, nawet jeśli ofiara nie będzie się kwalifikowała? - Zniżyła głos. - Żałuję, że żartuję. Do widzenia, poruczniku.

Milo się rozłączył, poruszył głową, aż mu coś w szyi pstryknęło.

- Witaj w moim świecie.
- Może ja cię rozchmurzę - powiedziałem. - Sranil.
- Co to?
- Bogata w ropę wyspa niedaleko Indonezji.
- Nigdy o niej nie słyszałem. I...?
- Jej władze są jednym z klientów Mastersona - duże centrum medyczne wciąż jest na kreślarskiej desce. Biorąc pod uwagę to, jak wszyscy się boją naruszyć poufność, oraz plotki, że DSD wiąże się z Bliskim Wschodem, zacząłem szukać jakiegoś petro-VIP-a, który mieszkał w L.A. w ciągu ostatnich dziesięciu lat, w zestawieniu z Mastersonem. Nie wyskoczyli mi żadni Arabowie, ale znalazłem azjatyckiego władcę: księcia Tarika ze Sranil, znanego jako Teddy. Ostatnio „Forbes” wycenił jego starszego brata, sułtana, na dwanaście miliardów. Kraj jest muzułmański, więc może stąd nieporozumienia. Według blogosfery Teddy przyjechał tu pięć lat temu studiować prawo, po trzech latach został odwołany na Sranil. To się idealnie zgadza z terminami budowy na Borodi.
- Dlaczego go ściągnięto z powrotem?
- Powszechnie się uważa, że za mocno imprezował, wydawał mnóstwo pieniędzy brata. I wiesz co? Sułtan ma na imię Daoud, to szósty

z siedmiu Daoudów linii królewskiej, a oficjalna nazwa dworu brzmi Dar Salaam Daoud.

- DSD... znalazłeś pełne nazwisko Teddy'ego?

Wyjąłem notatki.

- Tarik Bandar Asman Ku'amah Madżur.

Milo odwrócił się na fotelu, zalogował do bazy danych departamentu.

- Akurat tu będzie... no patrzcie państwo! Wciąż notowany za... wychodzi mi dwadzieścia sześć parkowań i trzy przekroczenia szybkości. Większość na Strip... jedno w Beverly Hills, na North Beverly Drive... inne na Rodeo... Dayton... dzielnica sklepowa... pięć różnych samochodów... ferrari, lamborghini, rolls... ciekawe, dlaczego się nie wyłgał immunitetem dyplomatycznym.

- Może nie chciał robić szumu. Albo wrócił do domu, zanim faszyści z drogówki go dopadli.

- Za dużo zabawek, tak? Sułtan trzyma portfel?

- Na to wygląda, do tego może dochodzić konflikt osobowości. Sułtan jest gorliwym muzułmaninem, okazuje stosunkową powściągliwość jak na kogoś z takim bogactwem.

- Tylko tuzin rolls-royce'ów?

- Trzy, jak podano na królewskiej stronie internetowej - powiedziałem. - A dwa to klasyki, odziedziczone po dziadku. Ale nie przesadzajmy z tym skromnym życiem. Królewski pałac wygląda jak z bajki. Wyobraź sobie Tadz Mahal na sterydach.

- Czyli wieżyczka?

- Cała chmara wieżyczek. Sułtan kilka razy w roku udostępnia pałac zwiedzającym. Tak samo jacht używany na imprezach charytatywnych. Duży procent zysków z ropy jest inwestowany w infrastrukturę i szpitale. Trudno ocenić, na ile to wszystko prawda, bo wolność słowa tam nie istnieje. Ale sułtan może mieć dobry powód, żeby się dzielić swoim bogactwem. W dżunglach Indonezji siedzą dwie konkurujące grupy rebeliantów, obie rwą się do jego ropy. Jedna banda uważa, że jest niedostatecznie religijny, druga to maoiści. Jak dotąd głównie obcinają sobie nawzajem głowy, ale ostrożności nigdy dość.

- Chleb i igrzyska - mruknął Milo, - Rozrzutność braciszka Tarika robiła mu zły PR.

- Stąd umowy poufności. Mastersonowi zależy, żeby zadowolić sułtana. Projekt na Sranilu jest jednym z ich największych: olbrzymi

kompleks szpitalny, szkoła medyczna, nowoczesne laboratoria badawcze, luksusowe wieżowce mieszkalne dla zagranicznych lekarzy i pielęgniarek. Tak naprawdę całe miasto poświęcone opiece zdrowotnej. Pierwszy etap to centrum onkologii. Dzwoniłem do swojego dawnego szefa wydziału w Western Pediatrics i okazuje się, że był na Sranilu z grupą konsultantów. Opisał wyspę jako dziwne miejsce; wieżowce wyrastające z piasku, wszystko upiornie czyste i zorganizowane, ale w centralnych dżunglach wciąż mieszkają prymitywne plemiona. Powiedział też, że sułtan ma osobistą motywację do budowy centrum onkologii: jednemu z jego dzieci w niemowlęctwie zdiagnozowano nerwiaka, wysłano je do Anglii na leczenie, ale zmarło. Przypuszczenia, że któreś z pozostałych dzieci zachoruje, są bezpodstawne, ale sułtan dmucha na zimne.

- Pomogę ziomkom, przy okazji kupię trochę międzynarodowego uznania, odpędzę dzikusów spod bram - skomentował Milo. - A co teraz słyhać u księciunia Teddy'ego?

- Odkąd wrócił, całkowicie zniknął z radaru.

- Wywęszyłeś, dlaczego nieruchomości na Borodi nie została sprzedana?

- Pewnie sułtan jeszcze się do tego nie wziął.

- Dwanaście miliardów. Przy takiej sumie dwadzieścia milionów w tę czy we w tę to pestka. - Milo zdjął nogi z biurka. - Interesujące, Alex. Dzięki, dzięki. Pytanie brzmi...

- Czy to się jakoś wiąże z morderstwami. Pukanie we framugę drzwi; obaj się odwróciliśmy.

- Chyba znalazłem coś na DSD - oznajmił Moe Reed.

- Dar Salaam Daoud - uprzedził go Milo.

Reed zrobił wielkie oczy.

- Czyli wie pan o morderstwie.

- Jakim morderstwie?

- Ten facet, właściciel działki na Borodi... - Przerzucił kilka kartek w notesie. - Tarik Asman podobno kogoś zabił. Jeśli wierzyć mojemu informatorowi.

Milo zmierzył wzrokiem młodego detektywa.

- Zaprosiłbym cię do środka, ale wyciskałeś za dużo żelastwa i nie zmieścisz się z tymi bicepsami.

We trzech przeszliśmy do pustego pokoju przesłuchań, wciąż śmierdzącego strachem. Milo wyłączył system nagrywania, przesunął stół na środek, zaciągnął zasłony na lustrze.

- Dawaj, Moses.

- Kontaktowałem się z ambasadami w Waszyngtonie - zaczął Reed.
- Niczego się nie dowiedziałem, dopóki nie zadzwoniłem do izraelskiej. Jakiś facet warknął: „DSD? To nie Arabowie, to Sranil”. Kiedy spytałem, co to Sranil, rozłączył się. Zajrzałem więc do Internetu i sprawdziłem. Dowiedziałem się, że Indonezyjczycy ich nie lubią; martwią się, że wyspa może być któregoś dnia wykorzystana jako baza rebeliantów. Pomyślałem, że to jakoś wykorzystam, i poszedłem do indonezyjskiego konsulatu. To biuro w biurowcu na Mid-Wilshire, z zewnątrz trudno się domyślić. W recepcji pełno ślicznych dziewczyn, przyjaznych, uśmiechniętych. Wszystkie mnie olały. Twierdziły, że nigdy nie słyszały o Sranilu. No to wychodzę, a kiedy zbieram się do samochodu, jedna wybiega i mówi: „Opowiem panu o tym, ale niech pan nie wraca”. Była bardzo zdenerwowana, zdjęła identyfikator. W każdym razie dała mi jasno do zrozumienia, że nie przepada za plemieniem ze Sranilu; zanim zostali muzułmanami, wiedli żywot barbarzyńców. Sułtan udaje superwyznawcę, a jednocześnie kryje swojego brata Tarika, istnego padalca. Dziewczyna pyta: „To w tej sprawie pan przyjechał, prawda?” Zaskoczyło mnie to, ale odpowiadam: „Tak”, jasne. Wtedy się rozkręciła. Nawija, że chodzą plotki, iż Tarik zabił jakąś imprezującą cudzoziemkę w L.A., sprawa została zatuszowana i prysnął. Chciałem z niej wyciągnąć szczegóły, ale oświadczyła, że nie ma informacji z pierwszej ręki, tylko tak słyszała.

- Gdzie słyszała?

- Ogólnie. I koniec gadki.

- I nie przepada za Sranilem.

- Czyli może im obrabiać tyłki, jasne. W sieci nie wyszperałem nic o żadnym morderstwie.

- Cudzoziemka w znaczeniu nie-Azjatka? - spytał Milo.

- Europejka; dziewczyna sądziła, że Szwedka, ale nie umiała powiedzieć dokładnie. Myśli pan, że to coś znaczy, poruczniku?

Milo opowiedział mu o moich ustaleniach.

- Ciekawe - przyznał Reed. - Nie widzę tu jednak bezpośredniego związku z morderstwami na Borodi.

- Ja też nie, Moses, ale fakt, że nasza denatka grzebała w plikach Mastersona, a Masterson kręci lody ze sranilską władzą, to już jakiś początek. Spróbujmy zweryfikować tę plotkę o księciu Tariku. Przejrzyj niezamknięte sprawy z okresu, kiedy mieszkał w L.A. Zarzuć szeroka sieć, ale skup się na cudzoziemkach.

- NN wyglądała atrakcyjnie - przypomniałem. - Też mogła być panną do rozrywki.

- Przyjaciółka ofiary - zasugerował Reed. - Niewykluczone że też cudzoziemka, dlatego miała fałszywą tożsamość, jakieś kwestie imigracyjne.

- Tanie ubrania wskazują, że impreza się skończyła - powiedział Milo. - Dziewczyna celowała w coś większego. Budowa przy Borodi wyraźnie ją interesowała. Oprócz tego, że jeździła na plac z Backerem, była tam widziana sama.

- A jeśli to także miejsce poprzedniego morderstwa, poruczniku? Tarik zabrał swoją towarzyszkę na górę i coś poszło nie tak; nawet przez przypadek zleciała ze schodów, wypadła z okna. Albo to naprawdę łądak. Tak czy inaczej zniknął, ale Brigid zna prawdę i postanawia na tym zarobić.

- Jeśli wiedziała, co się stało, to po co grzebała w plikach?

- Dobra, to wiedziała coś o tym domu w ogóle, potrzebowała szczegółów - odparł Reed. - A może szukała innych nieruchomości należących do Tarika. Myślała, że wrócił, a jej uda się do niego dotrzeć.

- Szantaż też wchodził w grę - przyznałem - ale nie wykluczajmy czynnika osobistego. Zemsta za przyjaciółkę. To by tłumaczyło, po co sprowadzała tam Backera, żeby uprawiać seks.

- Pieprzę cię, Tarik - wtrącił Milo. - Że tak się wyrażę. Ale ktoś ich zauważył. Dwanaście miliardów zdecydowanie ułatwia wynajęcie dobrego zabójcy. Sułtan wyciągnął już braciszka z jednego morderstwa. Czym są jeszcze dwa kilkanaście tysięcy kilometrów dalej?

- To dyktator, przyzwyczaił się, że stawia na swoim - zauważył Reed.

- Dyktator, który udostępnia swój pałac wieśniakom, bo wie, że stąpa po kruchym lodzie - dodałem. - Awantura o Teddy'ego, który zamordował dziewczynę i uszło mu to na sucho.

Milo wstał, przeszedł się w tę i z powrotem.

- Świetna historia i mam cholerną nadzieję, że nieprawdziwa, bo jak dotarlibyśmy do kogoś takiego? Pozostaje też pytanie: jeśli dom

przy Borodi był na pół etatu miejscem zbrodni, dlaczego sułtan go nie zburzył? I dlaczego do ochrony wynajął kulawe nieuzbrojone chuchro?

- Bo jest tam zakopane ciało? - podsunął Reed.

- Tym bardziej, Moses. Wykopać, przenieść, zapomnieć. Po co to trzymać?

Reed nie umiał na to odpowiedzieć, ja też nie. Wyjąłem komórkę.

Kilka chwil później zakończyłem mroźną rozmowę z Eleną Kotsos.

- Daje głowę, że Brigid nie była Europejką. „Czysta Amerykanka”.

Co najwyraźniej uważa za obelgę.

Milo znów usiadł.

- Moses, rozciągnij tę sieć na cały stan. I dzięki, za trop. Dobra robota.

- To moja praca, poruczniku.

- Młody, pamiętaj, co ci zawsze powtarzam.

- „Zgarniaj wszystkie zasługi, nie daj się obwiniać”.

- To lepsze niż prozac, chłopcze. A teraz zmykaj.

17

Milo poszukał zdjęć sułtana i księcia Tarika.

Dwaj drobni mężczyźni, podobni do siebie, o chłopcęcych twarzach z dołkami na brodach, z cienkimi równymi wąsami. W pełnych regaliach, uśmiechnięci. W spojrzeniu sułtana determinacja. W oczach jego brata - mimo prezentacji idealnie białych zębów - zakłopotanie.

Milo wydrukował fotografie. Szukał dalej: „kobieta Skandynawia morderstwo ofiara USA”.

Dziewczyna z Góteborga, która zaginęła trzy lata temu, wyglądała obiecująco. Inge Samuelsson pracowała jako kelnerka w barach w różnych europejskich i azjatyckich miastach, przyjechała do Las Vegas, zniknęła. Ale ostatnia wzmianka zawierała dobre wiadomości: znalazła się na Nowej Zelandii, mieszkała w komunie, hodowała owce.

- Szczęściara - mruknął Milo. - Południowy Pacyfik, do tego tyle lanoliny.

Zadzwonił telefon.

- Cześć, poruczniku - zgłosił się Sean Binchy. - W końcu wydostałem z Beaudry listy zatrudnionych. Byli twardzi jak skała, dopóki nie zagroziłem, że pójde do mediów, nazwę ich Budowagate.

- Bardzo twórcze, Sean.

- Blefowałem, ale oni to kupili. Paru krawaciarzy zamknęło się w biurze i chyba zadzwonili do prawnika, bo wyszli i oznajmili, że umowa poufności nie dotyczy podwykonawców, podadzą mi nazwiska, kiedy je znajdą, ale to trochę potrwa, ponieważ nie mają żadnej zbiorczej listy. Powiedziałem im: przyjmujecie zlecenia rządowe, mam znajomych w INS, bardzo ich interesują nielegalni imigranci pracujący na budowach. Na to oni znów się zamknęli, a potem mówią: „Nie zgadnie pan, jednak znaleźliśmy listę”. Problem w tym, że trzymają całą starą dokumentację w Costa Mesa. Właśnie tam jadę, ale są korki, więc tak szybko się nie uwinę.

- Pora na ska punk, Sean.

- Słucham?

- Puść sobie płytę, wróc do korzeni. Umili ci podróż.

- Ściągnąłem sporo muzy. *Third Day, MercyMe, Switchfoot*. To wszystko piosenki o wierze, poruczniku.

- Trochę wiary akurat by mi nie zaszkodziło, Sean.

Milo odwrócił się do monitora. Poszerzył poszukiwania: zamordowane kobiety w całej Europie. Bezproduktywnie przedzierał się przez tasiecowe spisy, kiedy Delano Hardy zajrzał do pokoju i podał mu kartkę z wiadomością.

- Ktoś wrzucił do mojej skrzynki.

- Dzięki, Del.

- Czemu dostają twoją korespondencję, tego nie rozumiem, przecież nie sąsiadujemy ze sobą alfabetycznie.

- To nie pierwszy raz? - zdziwił się Milo.

- W zeszłym tygodniu wyjąłem cały plik ulotek tych fikcyjnych instytucji charytatywnych, które udają, że zbierają pieniądze na gliny i strażaków. Wywaliłem.

- Jeszcze raz dzięki, Del.

- Hej, zrobiłbyś dla mnie to samo.

Hardy wyszedł, a Milo przeczytał wiadomość. Wyprostował się, wyprowadził cios pięścią w powietrze.

- Witamy z powrotem, pani profesor - powiedział. - Siostra Backera, Ricki, wróciła z Yosemite i chce porozmawiać.
- Koniec przerwy.

Głos Ricki Flatt zdradził, że spodziewała się złych wieści, ale nie aż tak złych.

Milo starał się być delikatny, ale nie da się tego załatwić przyjemnie i Flatt długo płakała. Spróbował ściszyć tryb głośnomówiący, ale okazało się, że już bardziej się nie da.

- Och, Boże, Desi - zaszlochała. - Nie rozumiem. To był napad? Coś przypadkowego?

Uchwyciłem, że głos jej zadrżał przy „przypadkowego”.

Milo też to usłyszał, uniósł brwi.

- Wciąż usiłujemy się rozeznać w sprawie, pani Flatt, więc wszystko, co nam pani powie, okaże się pomocne.

- Jesteście w L.A. Co ja mogę wam powiedzieć?

- Czy pani brat miał jakichś wrogów?

- Oczywiście, że nie.

Piskliwie przy „nie”.

- Pani Flatt, Desmond nie zginął sam. Razem z nim została zamordowana kobieta i wciąż jej nie zidentyfikowaliśmy. Gdybyśmy wiedzieli, kim ona jest, to przyspieszyłoby śledztwo. Wiem, że to dla pani trudny moment, ale najlepiej jakbym zeskanował jej zdjęcie i wysłał pani e-mailem.

- Oczywiście, proszę tak zrobić. Siedzę tu i się nie ruszam. Nawet się nie rozpakowuję.

Dziesięć minut później:

- O mój Boże, to Doreen!

- Doreen jaka?

- Jak ona miała na nazwisko... Doreen... Fredd. Przez dwa „d”, tak mi się wydaje. Ona i Desi znali się jeszcze z liceum. W Seattle; tam się wychowywaliśmy. To na pewno ona, chociaż ma inny nos, mniejszy.

- Łączyło ich jakieś uczucie?

- Raczej się przyjaźnili, ale tak naprawdę nie wiem. Jestem trzy lata starsza od brata, nie interesowały mnie jego osobiste sprawy.

- Doreen Fredd. - Milo wpisał nazwisko do baz danych. - Co jeszcze, pani Flatt?

- Ona i Desi wypuszczali się do lasu. Wszyscy razem, grupa dzieciaków, lubili przyrodę. Raz, byłam już na studiach, przyjechałam na ferie między semestrami. Desi i jego towarzystwo wrócili do domu; Doreen poparzona trującym bluszczem albo jakąś paskudną wysypką. Nasz ojciec ją opatrzył; strażak; potrafił udzielać pierwszej pomocy... ale pana to nie interesuje. Desi chodził z Doreen w L.A.?

- Pewne rzeczy wskazują na bardzo lekki związek.

- Doreen - wyszeptała. -I ona też... Boże.

- Chce pani coś dodać, pani Flatt?

- Raczej nie. - Zduszony głos.

- Zupełnie nic?

Cisza.

- Pani Flatt?

- Czy to, co się stało z Desim, miało jakikolwiek kontekst polityczny?

Milo się wyprostował.

- Jak *to* polityczny?

- Nieważne, gadam bez sensu. Czy muszę zidentyfikować ciało, poruczniku?

- Nie, już ustaliliśmy, że to pani brat, ale chcielibyśmy jeszcze z panią porozmawiać...

- Przyjadę - powiedziała. - Zając się... wszystkim. Robiłam to już wcześniej. Moi rodzice. Nie sądziłam, że przyjdzie mi też pożegnać młodszego brata... Jak trafiliście od Desiego do mnie?

- Przez wiadomości telefoniczne.

- Och, tak. Dzwonił porozmawiać z Sam, moją córką. Jeśli złapię samolot, wylecę dziś wieczorem, poruczniku... Spytam... O Boże, muszę wyjaśnić Sam. Nieprawdopodobne.

- A czy może pani wyjaśnić tę uwagę o kontekście politycznym?

Cisza.

- Proszę pani?

- Porozmawiajmy na miejscu, poruczniku. Mam teraz dużo na głowie.

W krajowym biurze informacji kryminalnej Doreen Fredd nie figurowała. Tak samo w wydziale komunikacji, ubezpieczeniach społecznych i wszystkich innych portach w cyberprzestrzeni.

- Wciąż duch. - Milo się wylogował. - A siostra Desmondą się przejmuję, że to „coś politycznego”. To mi zaczyna naprawdę brzydko pachnieć, Alex. - Odwrócił się do telefonu, wystukał numer tak mocno, że aparat podskakiwał. - Hał, mówi Milo. Po raz trzeci. Odraża cię mój nieswieży oddech czy raczej balujesz gdzieś za ciężko zarobione pieniądze podatników i nie masz czasu pomagać miejscowym? Znam nazwisko tej swojej NN, bynajmniej nie dzięki tobie. Doreen Fredd. - Przeliterował z rozwścieczoną dokładnością. - I wiesz co, Hał? To nadal widmo, nie ma nawet numeru ubezpieczenia. I tak sobie myślę, że nie oddzwoniasz nie dlatego że mnie olewasz, tylko umyślnie zwodzisz. Czyli sranie w banię, Hał, wiesz mi niezłą przysługę za tę sprawę z Aeromexico i żądam, abyś się do mnie odezwał. Wszystko w imię Boga, kraju i mojego łatwego dostępu do komendanta. Który nie będzie szczęśliwy, kiedy się dowie, że po raz kolejny żaden dobry uczynek nie uszedł bezkarnie. - Łup. Zgarbił się. - Gotowy na zbliżenie, panie DeMille.

- Łatwy dostęp do komendanta? - spytałem.

- Rząd federalny wie, co to dojsčia. Cel uświęca środki. Kontekst polityczny... najbardziej oczywisty jest Teddy. Ale co, u diabła, wiązałyby świeżo upieczzonego architekta ze Sranilem?

- Może w poprzednim życiu był kimś innym.

- Kim, superszpiegiem?

- Kimś w kontekście politycznym - odparłem. - Dlatego, biorąc pod uwagę jego libido, zabawiał się z rzekomą ofiarą Teddy'ego, którą poznał przez Doreen. Oboje wymyślili plan szantażu, za mocno nacisnęli i słono za to zapłacili.

- Niezłe kretyństwo sądzić, że można podskakiwać komuś tak potężnemu.

- Jak często twoje ofiary to mądrzy ludzie? A udział Backera tłumaczyłby, jak Brig... Doreen trafiła do Mastersona. Nazwisko Teddy'ego nie pojawia się w żadnych dokumentach dotyczących Borodi, ale ten artykuł w piśmie dla projektantów wspominał o udziale firmy w budowie siedziby cudzoziemca. Backer jako architekt mógł to przeczytać.

- Zaczyna szperać, Doreen wślizguje się do Mastersona, żeby dostać szczegóły. Razem wysyłają wiadomość Tarikowi albo sułtanowi; któryś z nich wykonuje telefon i zleca robotę zawodowcowi.

- A może nawet ktoś przyleciał, żeby załatwić sprawę.

- Debile - warknął Milo. - Ubzdurali sobie, że to ich liga. A potem mieli czelność jechać tam jeszcze raz, żeby się zabawić pod gwiazdami. Przy okazji zbezczeszili gniazdko bogatego drania. Freud pewnie jakoś to nazwał, co?

- *Der zemsta.*

Zaciśnięte usta lekko się rozchyliły, układając w dziwny uśmiech. Milo nacisnął mentalne „kasuj” i znów spochmurniał.

- Desi i Doreen na drzewie przesiadują i razem sobie spis-ku-ją.

18

Dwadzieścia po szóstej, kiedy właśnie wychodziliśmy na obiad, wpadł zastępca prokuratora okręgowego John Nguyen. Ubrany do sądu - w granatowy, prążkowany garnitur, białą koszulę, niebieski krawat; w klapie marynarki znaczek z amerykańską flagą. Na wózku na kółkach toczył cztery pudełka z materiałem dowodowym. Trzymał się prosto jak zawsze, ale wzrok miał zgarbiony.

- John, co słyhać?

Nguyen otworzył górne pudło, wyjął plik wydruków i rzucił na biurko Mila.

- Finanse państwa Holmanów. Właśnie zostałeś moim dłużnikiem.

Milo przejrzał pierwszą stronę.

- Jak to zdobyłeś?

- Od trzech dni siedzę na procesie w sprawie bandyckiego napadu, świeża sędzia, absurdalnie trzyma naszą stronę, więc pomyślałem, że może łyknąć twoją wątpliwą logikę. - Obliznął palec i machnął nim w pionie. - Po pierwsze sędzia niezainteresowana kazała jednemu z nowych, chętnych do pracy stażystów, załatwić wszystko w banku. Co, pozwolę sobie zauważyć, jest waszym obowiązkiem, nie naszym, nie wspominając, że to znacznie poniżej mojej zawodowej godności. Ale zdążyłeś na czas ze sprawą morderstw z bagien, więc uznaj to za wcześniejszy prezent pod choinkę.

Milo przerzucał kartki.

- Mikołaj już do ciebie jedzie, John... nie widzę tu nic interesującego.

- Bo nic nie ma - przytaknął Nguyen. - On profesor na rencie, ona nieznana architektka. Ich dochody, wydatki, fundusze emerytalne i tak dalej pasują do rozsądnego, dojrzałego stylu życia. To znaczy, że prawdopodobnie zachowają dom i ubezpieczenie na zdrowie, o ile któreś z nich naprawdę poważnie nie zachoruje ani nie będą za często jeść na mieście.

- To na pewno wszystko, John?

- Co, jakieś tajne konto bankowe, żeby mieć z czego opłacać morderców? Budżet Holmanów jest cieńszy niż u mojej byłej żony... nieważne. - Nguyen ruszył do drzwi. - Mogę wydebić od sędzi nakaz, stary, ale smrodu nie powstrzymam.

Przeszliśmy parę przecznic do Cafe Moghul, indyjskiej restauracji, która służy Milowi za drugie biuro. Mój przyjaciel zostawia tam ogromne napiwki, teatralnie pochłania góry jedzenia, a właściciele pozostają w przekonaniu, że jego aparycja niezadowolonego mastiffa chroni ich przed wszelkimi zagrożeniami. Kobieta w okularach, obsługująca klientów zawsze się rozpromienia, kiedy Milo staje w drzwiach. Zaczyna nakładać dania, zanim jeszcze krzesło się rozgrzeje.

Dzisiaj dostał jagnięcinę, wołowinę, indyka, homara, trzy rodzaje naan, wszystkie warzywa, jakie rosną w ogródku.

Zabrał się do nich, jakby rozwiązywał jakąś olbrzymią zagadkę kulinarną.

- Chwała sułtanowi West L.A. - powiedziałem.

Milo wytarł sos z twarzy.

- Trzymaj się geografii, radź. Przez jedną kopcuszkową chwilę.

- A potem pojawi się dynia?

- A potem wracamy do *Nietykalnych*.

W połowie czwartej miski słodkiego puddingu ryżowego kir do restauracji wszedł Sean Binchy rozpromieniony i wesoły jak nigdy.

- Dawaj dobre wiadomości, młody, a później możesz coś zjeść.

- Nie, dzięki, poruczniku; Becky wieczorem gotuje, a to zawsze ucza. Mam raczej i dobre, i złe wieści. Znalazłem kupę nazwisk rolników budowlanych, ale żadne nie jest nawet zbliżone do „Monte”.

- A dobre wieści?
 - Zamierzam przeanalizować dane superdokładnie. Powiedziane z całkowitą szczerością.
 - Świetnie, Sean.
 - Na początek wszystko, co się zaczyna na M - ciągnął Binchy.
- A jeśli to nic nie da, sprawdzę każde nazwisko pod kątem karalności. Jak pan zawsze powtarza, żółw wygrywa z zającem.

Wyszedł.

- Żółw czasem zostaje rozjechany na placek na środku szosy przez ciężarówkę - dodał Milo. - Ale jasne, nie trać wiary, młody.

Zadzwonił do mnie o ósmej rano następnego dnia.

- Ricki zjawi się u mnie w biurze za godzinę.
- Będę.
- A teraz słuchaj: Doreen Fredd jednak istnieje. Wczoraj wieczorem przejrzałem strony genealogiczne, znalazłem dalekiego kuzyna w Nebrasce. Przesłałem mu e-mailem zdjęcie. Krewni nie widzieli Doreen od lat, ale potwierdzili, że została wysłana do Seattle jako nastolatka. Niegreczna dziewczynka, trafiła do ośrodka opiekuńczego.
- Czemu Seattle?
- Rodzina pochodziła z Tacoma, gdzie ojciec Doreen pracował na stacji benzynowej, a matka sprzedawała w spożywczym. Podobno mili ludzie, ale okropni pijacy, żadnego „rodzicielskiego nadzoru”. Doreen zaczęła uciekać w młodym wieku. W końcu sąd uznał ją za nierokującą. Placówka opiekuńczo-wychowawczą przez jakiś czas zdawała egzamin, ale w końcu panna stamtąd też prysnęła. Zniknęła, nikt o niej przez cały ten czas nie słyszał; jedynaczka, rodzice nie żyją.
- Tamten ośrodek wciąż funkcjonuje?
- Tak, ale sześć razy zmieniali się właściciele, nie został nikt z personelu, wszystkie stare dokumenty zniszczono. Ale to, że się zadawała z Desem Backerem, ma sens. Sprawdziłem miejsce zamieszkania jego rodziców. Południowe Seattle, kilka przecznic od poprawczaka. Ładna dziewczyna, ładny chłopak, chemia i bum.
- Chemia zadziałała znów lata później - powiedziałem. - Tylko eksplozja okazała się znacznie silniejsza.

Na spotkanie z Ricki Flatt przyjechałem o czasie. Rozmawiała z Milem.

Była poszarzała z rozpacz i zmęczenia. Długie, kręcone włosy nie dbale związała z tyłu głowy. Miała na sobie luźny szary sweter, niepasujący do pogody, niemodne dzinsy, białe tenisówki. Prawe ramię ściągała jej w dół wielka, płócienna torba w kolorze smogu. Na podłodze stała walizka w podobnym odcieniu.

Milo wziął bagaż i zaprowadził Ricki do tego samego pokoju, w którym naradzaliśmy się z Moe Reedem. Zaproponował jej kawę, coś do jedzenia.

Dotknęła brzucha.

- Nic bym nie przełknęła. Proszę, niech mi pan powie, co się stało z moim bratem.

- Pan Backer i Doreen Fredd zostali zamordowani w niedokończonym domu, w dzielnicy Holmby Hills. Słyszała pani o tej dzielnicy?

- Nie.

- Pani brat nigdy nie wspominał o Holmby Hills?

- Nigdy. Gdzie to jest?

- To bardzo ekskluzywny rejon, na zachód od Beverly Hills. Są pewne przesłanki, że pani brat i panna Fredd byli tam wcześniej.

- Niedokończony dom?

- Budowa.

- Desi przy nim pracował? Milo

puścił pytanie mimo uszu:

- Czyli pani brat i panna Fredd przyjaźnili się w liceum?

Kiwnięcie głową.

- W samolocie przypomniałam sobie coś jeszcze. Raz mój ojciec powiedział do mamy: ta dziewczyna ma kłopoty ze sobą; dobrze, że chce się zajmować pożytecznymi rzeczami. Nie odpowiedział mi pan, czy Desi projektował tę budowę.

- Nic na to nie wskazuje. W założeniu to taka superrezydencja.

- Czyli Desi na pewno się tym nie zajmował.

- Nie interesowały go monumentalne obiekty.

- Uznałby to za groteskę. Ale jeśli tam nie pracował, to co robił?

- Tego właśnie usiłujemy się dowiedzieć. Kto należał do towarzystwa wycieczkowego pani brata?

- Kilkoro dzieciaków, naprawdę nie zwracałam uwagi.

- Desmonda i Doreen nie łączył żaden związek emocjonalny.

- Myślałam o tym. Może, naprawdę nie umiem powiedzieć. Desiego lubiło bardzo dużo dziewczyn. Bez przerwy do niego wydzwaniały, lata żartował, że chłopakowi przydałaby się sekretarka.

- Wie panii coś o jego innych dziewczynach?

Pokręciła głową.

- Nie wtykałam nosa w życie osobiste brata dawniej i to się nie zmieniło, kiedy dorosiliśmy.

- Wiedziała pani, że Doreen przebywała w placówce opiekuńczo-wychowawczej niedaleko państwa domu?

- Nie, ale pewnie chodzi panu o Hope Lodge. Cała okolica o tym mówiła. Moi znajomi robili sobie żarty, nazywali to miejsce „Ho Lodge”*, bo mieszkaly tam ostre dziewczyny. Nie twierdzą, że faktycznie takie były, ale wie pan, jak dzieciaki gadają. Pewnie właśnie dlatego ojciec mawiał, że miała problemy.

- Martwił się, że wywierala na Desiego zły wpływ?

Ricki Flatt się uśmiechnęła.

- Moim rodzicom bardzo zależało, żebyśmy sami wyrobili sobie poczucie dobra i zła. Ale nawet gdyby próbowali wziąć Desiego w karby, to by się nie udało. Brat robił to, co chciał.

- Czy silny charakter Desiego prowadził do jakichś... podejrzanych zachowań? - spytał Milo.

- To znaczy?

- Dziwnych, niecodziennych.

- Jeśli za niecodzienne uznać opuszczenie domu po liceum i włączenie przez dziesięć lat, to tak, jasne.

- Dziesięć lat - powtórzył Milo.

- Straconych lat - podkreśliła Ricki Flatt. - Desi generalnie zniknął. Raz na jakiś czas dostawaliśmy pocztówki.

- Skąd?

- Z całego kraju. Z parków narodowych i tym podobnych.

- Nie z zagranicy?

- Nie.

- Jak Desmond zarabiał na utrzymanie?

* Nieprzetłumaczalna gra słów. „Hope Lodge” - Dom Nadziei. „Ho Lodge” - Dom Suczek (przyp. tłum.).

- Chwytał się dorywczych zajęć, tymczasowych prac, które dawały mu czas na obcowanie z naturą, rozważania nad życiem.

- Nie odwiedzał państwa w domu?

- Raz, dwa razy do roku się zjawiał... na Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, urodziny. Wyglądał świetnie, wydawał się bardzo szczęśliwy, i to pocieszało rodziców. Przeżywał cały ten klimat lat sześćdziesiątych: długie włosy, broda, konopne sandały. Ale zawsze był czysty i zadbany; ojcu przypominał hollywoodzkiego Jezusa.

- Wspominała pani, że zajmowała się sprawami rodziców, więc zakładam...

- Odeszli, poruczniku. Cztery lata temu. Spędzali wakacje niedaleko Mount Olympia; postanowili pozwiedzać okolicę i wjechali na gruntową drogę przechodzącą przez teren masowej wycinki. Z ciężarówki spadł ładunek pni sosny i zmiążdżył ich samochód. Chcieliśmy wnieść pozew, Scott, ja i Desi, ale prawnicy uznali, że mamy marne szanse, bo drogę zagradzał łańcuch i wszędzie stały znaki ostrzegawcze. Ojciec złamał zakaz. W końcu zgodziliśmy się na sto tysięcy. Prawnicy wzięli czterdzieści procent, resztą podzieliliśmy się z bratem. Desi wziął się w garść i zaczął studiować architekturę. Mówił, że wystarczy mu na czesne i bieżące wydatki. Co za ironia losu. Pochodzimy z rodziny drwali, cztery pokolenia. Dziadek był mistrzem pilarem, tata też pracował przy wycinkach, zanim został strażakiem.

- Przykro mi, proszę pani.

- Zginęli przed urodzeniem się Sam. To mnie boli najbardziej, mama i tata by ją uwielbiali. - Łzy. - Przepadała za Desim, a on nie żyje.

- Jak Desmond zareagował na śmierć rodziców?

- Strasznie. Puste spojrzenie, tygodniami chodził jak w transie. Nigdy nie widziałam brata w takim stanie, zwykle był otwarty, łagodny i przystępny.

- Zamknął się w sobie.

- Pamiętam, jak myślałam, że to niezdrowe, że musi się z tym uporać albo odbędzie żałobę, albo się załamie. Sądziłam, że wyleci ze studiów, ale nie, zabrał się do pracy i dostał dyplom z wyróżnieniem.

Milo postukał długopisem w stół.

- Pani Flatt, wciąż nas ciekawi pani wczorajsza uwaga o kontekście politycznym.

Ricki zaczęła uciekać wzrokiem.

- Nieważne, to głupota. Niepotrzebnie się odzywałam.

- Ale się pani odezwała.

Rozpuściła włosy, znów związała - ciaśniej.

- Interesuje nas tylko rozwiązanie zagadki morderstwa pana Bacera.

Głośno oparła łokcie o stół, przycisnęła dłonie do twarzy. Opuškami palców dotknęła uszu, jakby je zatykała przed hałasem. Nic nie widzę, nic nie słyszę.

- Pani brata interesowała ekologiczna architektura, ochrona środowiska. W tym przypadku to jedyne co można by nazwać kontekstem politycznym.

Lewy policzek Ricki drgnął.

Milo przysunął się bliżej.

- Desmond stał się radykałem? Przez dziesięć lat robił coś nielegalnego?

- Nie wiem, czym się wtedy zajmował.

- Ale się pani martwi.

- Opowiadał...

- O czym?

- O spaleniu domu - jęknęła. - To tytuł jego ulubionej piosenki. Kiedy nas odwiedzał, czasami wygłaszał mowy. O pięknie dzikiej przyrody. O chciwych ludziach, którzy gwałcą ziemię i budują pomniki swojego ego. Dlatego potrzebują solidnej nauczki.

- Pomniki - powtórzył Milo. - Jak ten, w którym zginął. A teraz pani przypuszcza, że się sam naraził.

Ricki Flatt podniosła wzrok.

- O Boże, powinnam wiedzieć, że w powietrzu wisi coś złego, kiedy dał mi te pieniądze. Nigdy nie umiał zatrzymać pieniędzy, w ogóle mu na nich nie zależało.

Milo nie musiał jej naciskać. Dał jej chusteczkę, zaczął, aż osuszyła sobie oczy.

- No dobrze - westchnęła. - Des zjawił się pół roku temu z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce. Dwie pełne, duże walizy. Poprosił, żebym je przechowała. Dałam mu zapasowy klucz do składowiska.

- Mówimy o ubiegłym styczniu - stwierdził Milo.

- W noworoczny weekend Scott i ja planowaliśmy wyjazd do Nowego Meksyku, a Des zjawił się bez uprzedzenia.

- Wyjaśnił, skąd miał pieniądze?

- Wiem, powinnam spytać. Scott się na mnie wściekł. Wrzeszczał, że to na pewno forsa z narkotyków, że wpakowałam nas wszystkich w kłopoty. Zaprzeczałam, Desi nigdy nie brał ani nie pił, dbał o siebie. Scott powiedział, że jestem naiwna, że Desi przez wiele lat włóczył się nie wiadomo gdzie. Zrobiła się wielka awantura, Scott zażądał, żebym zadzwoniła do Desiego i kazała mu zabrać walizki. - Ostry, przenikliwy śmiech. - Było ostro. Oczywiście w końcu się zgodziłam.

- Skontaktowała się pani z bratem?

Ricki zwiesiła głowę.

- Skłamałam Scottowi, ten jeden, jedyny raz. Dlaczego? Niech skonam, nie mam pojęcia. Po prostu nie umiałam się zmusić do konfrontacji z Desim. Jemu tak trudno odmówić. Jest uroczy i bezpośredni. W liceum ciągle zdobywał tytuł najbardziej lubianego ucznia. Nie tylko dziewczyny za nim przepadały, wszyscy.

- Charyzma - wtrąciłem.

- Tak, ale mnie chodziło o coś więcej. Kiedy rodzice zginęli, zostaliśmy tylko we dwoje. Chyba wciąż łudziłam się, że odnowimy kontakty, stworzymy rodzinę. Sam wydawała się w tym bardzo pomocna. - Ukryła twarz w dłoniach, coś wymamrotała.

- Wciąż pani trzyma te pieniądze - powiedział Milo. - Boi się pani, że to sprawa polityczna.

Ricki Flatt podniosła wzrok.

- Kiedy Desi je przyniósł, widziałam, że jest zdenerwowany. Kazał mi obiecać, że nie będę o nic pytała. Cały czas myślę, że to zapłata za coś złego.

- Spalenie domu.

- Może niedosłownie - odparła. - Ale coś... inaczej dlaczego by je ukrywał? Obiecuję, że je odeślę, gdy tylko wrócę do domu, ale proszę, nie mówcie Scottowi, że nadal tam są.

- Gdzie?

- W składziku. Scott i ja wynajęliśmy magazyn po śmierci mamy i taty. Na ich rzeczy. Nie mogłam się zmusić, żeby cokolwiek wyrzucić. Walizki wetknęłam za pianino mamy. Scott nigdy tam nie zagląda.

- Dała pani Desmondowi klucz do składziku?

- Tak, jeden. To byli też jego rodzice.
- Kiedy po raz ostatni widziała pani te pieniądze?
- Hm... - Zastanawiała się przez chwilę. - Ze dwa tygodnie po tym, jak je tam schowałam, czyli mniej więcej pięć miesięcy temu. Poszłam tam i je przeliczyłam. Na początku tego nie zrobiłam. Dlaczego? Znow nie wiem.
- Pięćdziesiąt tysięcy.
- W banknotach pięćdziesięciodolarowych, pliki w gumkach. Naprawdę uważacie, że to ma coś wspólnego ze śmiercią Desmondą?
- Pieniądze to najczęstszy motyw.
- O Boże, mówiłam Scottowi, że popada w paranoję, ale teraz robi mi się niedobrze. - Chwyliła Mila za rękę. - Czy moja rodzina jest w niebezpieczeństwie?
- Chyba nie. - Milo wzruszył ramionami. - Ale musimy przewieźć te pieniądze.
- Zamierzałam zostać kilka dni, załatwić przewóz Desiego, ale wylecę dzisiaj, wyślę walizki z samego rana. Obiecuję.
- Proszę ich nie dotykać - polecił Milo. - Musimy je najpierw obrobić.
- Obrobić?
- Zdjąć odciski palców i tak dalej. Załatwię wszystko, kiedy podpisze pani formularz zgody na inspekcję zawartości magazynu. Czy jest tam coś jeszcze, co należało do brata?
- Nie. - Ricki gwałtownie pokręciła głową. - Wypełnię wszystko, co trzeba, narysuję schemat, gdzie są schowane. Chcę się ich tylko stamtąd pozbyć.
- Zajmę się tym, pani Flatt.
- Czy Scottowi i Sam grozi niebezpieczeństwo? Proszę powiedzieć szczerze.
- Nic na to nie wskazuje.
- Naprawdę?
- Tak.
- Dzięki Bogu. - Uniosła wzrok. - W coś ty mnie wpakował, Desi?

Ricki Flatt wypełniła zgodę na przeszukanie.

Milo spytał, gdzie się zatrzymała.

- Stawiłam się tu prosto z lotniska.
- Wynajęła pani samochód?
- Do Westwood dojechałam autobusem, potem wzięłam taksówkę.
- Załatwię pani pokój. Mamy fundusz dla ofiar, ale to oznacza kolejne formularze, a zwrot kosztów trochę potrwa.

- To nic. - Zamachała niespokojnie rękami.

Milo zawołał Seana z sali detektywów. Binchy wciąż ślęczał nad listami robotników i nie odkrył nic nowego.

- Znajdź pani Flatt czyste, bezpieczne miejsce do przenocowania.

Binchy wziął bagaż Ricki.

- Star Inn przy Sawtelle ma trzy gwiazdki, kablówkę, bezprzewodowy Internet, a kawałek dalej jest naleśnikarnia.

- Wszystko jedno - mruknęła Ricki Flatt.

Oboje wyszli.

- Kontekst polityczny... - podjąłem - w znaczeniu, że młodszy braciszek może być ekoterrorystą. Skoro kobieta się o to martwi, to znaczy, że chodzi nie tylko o gadanie Backera.

- Tak, ona wie więcej - przyznał Milo. - Ale przyciskanie jej w tej chwili wydawało mi się nie w porządku. Każę Seanowi mieć na nią oko, przypilnować, żeby się nigdzie nie wybierała.

- Stracona dekada Backera poprzedzała śmierć jego rodziców. Ludzie zostali zmiażdżeni kłodami drewna i to zmotywowało chłopaka.

- Pięćdziesiąt kawałków, żeby coś wysadzić. Na przykład wielki dom. Ale nigdy się do tego nie zabrał. Z drugiej strony forsa mogła pochodzić z prochów albo szantażu. Albo wygrał ją w karty i przekazał Ricki, żeby uciec przed fiskusem.

Wróciliśmy do biura, gdzie Milo zadzwonił do Chrisa Kammena. Gli-niarz z Port Angeles zgodził się obserwować dom Flattów „w miarę możliwości” oraz zająć się przeszukaniem magazynu, gdy przyjdą papiery.

- Dwie walizki? Jakiego koloru?

- Szukajcie za pianinem, są wypchane forszą.

- Pięćdziesiąt kawalków. - Kammen gwizdnął przeszywająco. -
Czyli mężulo o niczym nie wie?

- Myśli, że oddała pieniądze. Kobieta idzie nam na rękę i nie chce
jej do nas zrażać.

- Problemy rodzinne - stęknął Kammen. - Niezły ubaw.

Po czwartej próbie dodzwonienia się do Hala Federalnego Milo aż
cały poczerwieniał.

- Nie ma takiego numeru? To zaczyna być sprawa osobista.

- Jasne, ale może nie chodzi o ciebie - zasygnalizowałem. - Tylko
o Doreen Fredd.

- W co, do cholery, ta dziewczyna się wpakowała?

- Znała Backera wiele lat temu. Jeśli robił złe rzeczy, byłaby do-
brym źródłem informacji.

- Trudne dziecko zostaje tajnym agentem federalnych?

- Albo różne problemy wpędziły ją w sytuację, w której musiała się
zrewanżować za przysługę. Ja bym się przyjrzał dużym aktom ekowan-
dalizmu na północnym zachodzie w latach, kiedy Backer się włóczył.

- Donosi na Backera i jednocześnie się z nim rżnie? Określenie
„agent pod przykryciem” nabiera zupełnie nowego znaczenia.

- To akurat może być wciąż chemia - odparłem. - I dobre zagranie
ze strony Doreen, biorąc pod uwagę skłonności Backera.

- Gość lubi wysadzać budynki, potem zostaje architektem i uczy
się je stawiać. Nie mów mi, że Freud nie znalazł na to określenia.

Do środka zajrzał Moe Reed.

- Ktoś do pana, poruczniku.

- Lepiej, żeby okazał się to ktoś ważny.

- FBI jest ważne?

- To zależy, co mają do powiedzenia - wycedził Milo. Ale zerwał
się natychmiast.

Niska, mocno zbudowana, ciemnowłosa kobieta zjawiała się kilka
chwil później.

- Poruczniku? Gayle Lindstrom. Przychodzę od naszego wspólnego
znajomego.

Szary kostium, czarne pantofle na płaskich podeszwach, lekki ak-
cent. Może północne Kentucky albo południowe Missouri. Jasna skóra.
Czyste niebieskie oczy, kwadratowy i wydatny podbródek.

- Miło mi panią poznać, agentko specjalna Lindstrom. Kobieta się wyszczerzyła.
- Mama zawsze mi powtarzała, że jestem „specjalna”. Ale w trochę innym znaczeniu.
- Torbę miała tak samo wielką, jak Ricki Flatt. Czarna skóra, groźne paski i sprzączki.
- Wspólny znajomy - podjął Milo. - O kogóż może chodzić?
- Wczoraj nazywał się Hal. Dzisiaj? - Wzruszyła ramionami.
- Przepadacie za tym, co?
- Za czym?
- Za tym ściśle tajne przez poufne.
- Tylko kiedy się sprawdza. - Przyjrzała się mnie. - Musimy porozmawiać w cztery oczy, poruczniku.
- To jest doktor Delaware, nasz psycholog konsultant.
- Macie własnego profilerę?
- Lepiej - prychnął Milo. - Mamy kogoś, kto wie, co robi.
- Wygląda na to, że trafiłam na pana zły dzień - powiedziała Lindstrom.
- Nietrudna sztuka.
- Podąła mi chłodną, twardą dłoń.
- Miło mi pana poznać, doktorze. Bez urazy, ale chcę zamienić z porucznikiem Sturgisem parę słów na osobności.
- Nie tak się to odbędzie - oznajmił Milo.

Po długiej, szeptanej rozmowie telefonicznej zostałem autoryzowany.

Gayle Lindstrom zajrzała do gabinetu Mila.

- W trzy osoby będzie nam tu chyba zbyt przytulnie.
- Znajdę inne miejsce - zadeklarował Milo.
- Lubię indyjską kuchnię, poruczniku.

Popatrzył na nią spode łba.

- Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać.
- Nie jestem głodny. - Milo odmaszerował korytarzem.
- No cóż... - Lindstrom westchnęła i poszła za Sturgisem.

Z powrotem w tym samym pokoju przesłuchań. Zastanawiałem się, czy w ogóle trafiają tu podejrzani.

Gayle Lindstrom powąchała powietrze.

- Świeższe nie będzie - westchnął Milo. - Nie mam czasu. Do rzeczy.

- Dość przełamywania lodów, panowie - odparta Lindstrom. - Nie silcie się na uprzejmość tylko dlatego, że jestem kobietą.

Udało jej się zmusić Mila do uśmiechu. Zasłonił go wierzchem dłoni. Ziewnął.

- Dobrze, dobrze - zapytała. - Co wiecie o ekoterroryzmie?

- O-o - powiedział Milo. - Nie zanoszę na teoretyczną dyskusję. Lepiej niech pani uzupełni to, czego nie wiemy. Zagubiona dekada Desmonda Backera bardzo brzydko pachnie. Doreen Fredd była niegrzeczną dziewczynką, która została albo współpiskowcem, albo wazą informatorką. Dalej.

Lindstrom szturchnęła stopą swoją torbę.

- Jestem tu, bo Biuro uznało, że *to* tylko kwestia czasu, zanim sami dotrzecie do części tego, co tu się dzieje.

- Do części? Tylko bez pochlebstw.

- Gdyby pan znał całą prawdę, nie próbowałby pan się kontaktować z Halem. Który, tak na marginesie, nie może wam pomóc. Jest z Bezpieczeństwa Krajowego, więc koncentruje się na ludziach o ciemnej skórze i zabawnych nazwiskach, lak samo Biuro, skoro o tym mowa, z czego po części wynika problem. Przed jedenastym września głównie wydawaliśmy grube pieniądze i poświęcaliśmy czas szaleńcom własnego chowu. A ci, moim skromnym zdaniem, są dla bezpieczeństwa publicznego takim samym zagrożeniem jak jakiś Ahmed.

- Wszystko się urwało, bo zaczęliście szukać Ahmeda.

- Jesteśmy jak wy, poruczniku. Chronicznie niedofinansowani. Wyciągamy ręce do polityków, oni zaś mają okres skupienia uwagi na amfie. Aktualny gorący temat zyskuje poparcie, a cała reszta spada do najniższej szuflady. Ekoterrorysty dopuścili się setek aktów przemocy, zginęło mnóstwo ludzi. Mówimy o gnidach, które uważają, że ludzkość to plaga, i bez oporów nabijają drzewa kolcami, żeby okaleczać drwali. Palą innym domy, bo nie podoba im się ich metraż. Nie wydarzyło się jeszcze nic na wielką skalę, do tego cieszą się cichym poparciem paru głównonurtowych ugrupowań obrońców środowiska, które potępiają przemoc, ale wciąż puszczają przy tym oko. Uważam jednak, że to tylko kwestia czasu, zanim państwo pożałuje, że nie zajęło się tym problemem.

- Desmond Backer był poważnym ekoterrorystą?
Lindstrom znów szturchnęła torbę.
- To delikatna sprawa. Nie dla mnie osobiście, mówimy o wypadkach sprzed ładnych paru lat, zanim objęłam stanowisko w Biurze.
Otworzyła torbę, wyjęła krem do ust w sztyfcie, z dezaprobatą ściągnęła wargi i nawilżyła je z namaszczeniem. Jedna z podstawowych sztuczek odwlekających. W pracy psychologa nauczyłem się ich wiele.
- Zgubiłem swój scenariusz - powiedział Milo. - Jak brzmi następna kwestia?
- Przegląd sytuacji, jaki panu przedstawię, poruczniku, jest oparty na streszczeniach akt przekazanych mi przez poprzedników. Zostali przeniesieni...
- Do Ahmeda. Ale pani zajmuje się łobuzami domowego chowu, chociaż oni nikogo nie obchodzą.
- Półśmiech Gayle Lindstrom zaintrygowałby samego Leonarda da Vinci.
- Nie umie pani grać w zespole - ciągnął Milo - więc siedzi pani na ławce rezerwowych.
Zaśmiała się.
- Powiedzmy po prostu, że przydzielono mnie, żebym przejrzała ileś lat ekoprzestępczości i napisała raporty, których nikt nie przeczyta. Mam się skupić na północnym zachodzie, bo tam futrzaki i drzewa wywołują najwięcej emocji. W ten sposób trafiłam do waszych ofiar. Desmond Backer i Doreen Fredd poznali się w Seattle. On tam dorastał, ona została wysłana do ośrodka dla trudnych dziewczyn. Korzystała z legalnych przepustek z domu, ale też uciekała, żeby spotykać się z Backerem i jego przyjaciółmi.
- Wychodziła przez okno - zgadywał Milo.
- Albo wymykała się tylnym wyjściem, to nie było więzienie o zastrzonym rygorze. Jak wielu nastolatków, Fredd, Backer i ich znajomi zaczęli zabijać wolny czas różnymi halucynogenami roślinnego pochodzenia, muzyką alternatywną, gramy wideo. Zajmowali się też na pozór pożytecznymi rzeczami: organizowali piesze wędrówki, biwakowali, sprząтали okolicę, ochotniczo pomagali leśnym zwierzętom. Niestety, część z tego mogła być przykrywką dla podpaień i innych aktów wandalizmu.

- Czy kiedykolwiek ich aresztowano?
- Za mało dowodów. - Lindstrom pokręciła głową. - Ale kręcili się na tyle blisko paru zdemolowanych domów, że coś w tym musi być.
- Co konkretnie na nich macie?
- Miejscowa policja zebrała tylko plotki. A potem znaleziono martwego chłopaka.

- Zabili kogoś?

- Nie bezpośrednio, ale są moralnie odpowiedzialni.

Milo wyjął notes.

- Nazwisko ofiary?

- Vincent Edward Burghout, znany jako Van. Lat siedemnaście, kiedy spalił się w niedokończonej rezydencji w Bellevue w stanie Waszyngton. Pewnie także słyszeliście o tym miejscu, bo tam przemysłowi miliarderzy budują swoje pałace. Wtedy to się dopiero zaczynało i Bellevue było spokojnym, ładnym przedmieściem Seattle. Jeden z pierwszych magnatów nowoczesnych technologii, który dostrzegł potencjał mieszkania nad brzegiem jeziora, kupił cztery hektary ziemi i zaczął na nich budować szkaradę o powierzchni dwóch tysięcy metrów. Zdążył postawić szkielec, kiedy Van Burghout zakradł się i podłożył ogień. Zniszczył większość konstrukcji, ale przy okazji sam się spalił. Nas... moich poprzedników najbardziej zainteresowała jego technika. Słyszeliście o wegańskiej galaretki?

- Brzmi obrzydliwie zdrowo.

- To domowej roboty napalm, mydło i benzyna z zapalnikiem czasowym. Każdy idiota może ściągnąć przepis z Internetu albo z tych wywrotowych traktatów dla obłąkańców, wydawanych przez paranoiczną prasę. Na szczęście mało kto to robi, ale z biegiem lat zdarzały się wypadki, a śmiertelność jest wysoka, często wśród sprawców. To bardzo łatwopalna mieszanka i wystarczy źle ustawić zapalnik, żeby z człowieka została grzanka. Czy, w przypadku Vana Burghouta, skwarki. Zidentyfikowali chłopaka tylko dzięki temu, że wybił sobie ząb, grając w koszykówkę, i część górnego mostka przetrwała pożar. - Zaczęła się bawić szminką. - Pan Nowoczesny wziął pieniądze z ubezpieczenia, podarował ziemię miastu na park, przeniósł się do Oregonu i postawił jeszcze większe ohydztwo na czterystu hektarach.

- I wszyscy zadowoleni - spuentował Milo. - Oprócz rodziców Vana.

- Tak, oskarżyli jego kolegów. Może dlatego, że nie potrafili się pogodzić z myślą, że ich syn jest samotnym piromanem. Ale to nie znaczy, że nie mieli racji.

- Van padł ofiarą złych wpływów? - spytałem.

- Otóż to, ale jak mówiłam, była w tym pewna logika. Chłopak ledwie zdawał z klasy do klasy, a miejscowa policja uważała go za łatwowiernego. Nic jednak nie znaleźli i wezwali Biuro. W ten sposób poznaliśmy się z Desmondem Backerem, Doreen Fredd i ich kolegami.

- Iloma?

- Burghoutowie podali cztery nazwiska: Backer, Fredd, Dwayne Parris i Kathy Vanderveldt. Próbowaliśmy z nimi porozmawiać, także z ich nauczycielami i przyjaciółmi.

-My?

- Dzieciaki, ogromnie wspierane przez rodziców i całą społeczność, więc nie dostaliśmy się do nich bezpośrednio, wszystko szło przez prawników. Mówimy tu o średniej warstwie społecznej oburzonych obywatelach, powszechnie szanowanych, którzy uważają, że ich dzieci to anioły.

- Opiekunowie Doreen się też zgłosili? - spytałem.

- Nie, stanowiła wyjątek. Jej rodzice, alkoholicy, mieszkali poza stanem. Praktycznie nie wiedzieli, co robi. Poza tym, kiedy zaczęliśmy dochodzenie, zniknęła.

- Jeszcze jeden króliczek - mruknął Milo.

- Jasne, zastanawiało nas, że akurat wtedy się zmyła, ale uciekała regularnie, a wszyscy dookoła twierdzili, że nie wyobrażają sobie jej udziału w jakiegokolwiek przemocy. Wręcz przeciwnie: bierna, łagodna, lubiła poezję, błękit nieba, zielone drzewa, małe słodkie zwierzątka. Ludzie w Hope Lodge, tej placówce opiekuńczo-wychowawczej, też nie mogli o niej powiedzieć nic złego. Biedna Doreen nie była zła. Ot, ofiara dysfunkcyjnej rodziny.

- Zmienił zdanie, kiedy się dowiedzieli, że wymykała się na spotkania z pozostałymi? - spytałem.

- Z tego co czytałam, nie, doktorze. Mój poprzednik opisał ludzi prowadzących ośrodek jako „idealistów”. W szyfrze Biura to oznacza głupich naiwniaków. Zdobyliśmy nakaz rewizji pokoju Doreen, bo placówkę w dużej części finansowało państwo. Niestety nie znaleźliśmy tam nic ciekawego. A sprowadziliśmy psy i całą majdan.

- Nie dostaliście nakazów na pozostałych? - zdziwił się Milo.
- W żadnym wypadku. Długo szukaliśmy sędziego. Ten, który myśleliśmy, że zechce współpracować, powiedział, że nie autoryzuje „polowania na czarownice”. Wysłaliśmy krajowy list gończy za Doreen, pozostałe dzieciaki obserwowaliśmy przez kilka miesięcy. Nic to nie dało. W Bellevue nie wybuchało już więcej pożarów czy w ogóle w rejonie większego Seattle. Zebraliśmy się stamtąd.
- Ale w jakimś momencie znaleźliście Doreen i zdołaliście ją kupić. Lindstrom skubnęła górną wargę. Podniosła szminkę dwoma palcami wskazującymi.
- Czy to teraz powinnam zawołać: „Och, Sherlocku!” i zrobić wielkie oczy?
- A po co innego by tu pani przyjeżdżała, Gayle? - odciął się Milo.
- Lindstrom zdjęła żakiet. Pod spodem miała czerwoną bluzkę. Kanciaste ramiona, ręce grube, ale jędrne.
- Trochę tu sucho, nie sądzicie? To pewnie przez klimatyzację. Mogę prosić o kawę?

20

Kawa z sali detektywów miała odświeżający posmak dekarskiej smoły i niczym amfą odzierała wszystkie nerwy do żywego.

Agentka specjalna Gayle Lindstrom wypila pół kubka bez słowa skargi, potarła oczy, przeciągnęła się, ziewnęła i znów się przeciągnęła. Milo robi to samo, kiedy udaje, że nie jest spięty. Lindstrom musiała jeszcze poćwiczyć.

Wzięła łyk kofeiny, w końcu się skrzywiła zgodnie z oczekiwaniami i odstawiła kubek.

- Iak, Doreen w końcu wypłynęła. Nie miałam z tym nic wspólnego, ale wciąż się wzdrygam na tę myśl. - Sięgnęła po kubek, rozważyła kolejny łyk, rozmyśliła się. - Biuro nawet nie próbowało zwerbować dziewczyny. Zrobiła to jej własna głupota.

- Coś przeskrobała i dała się złapać - powiedział Milo.

- Pięć lat temu zwinęli ją za prostytutkę i narkotyki. Chce pan zgadnąć, gdzie?

- W Seattle.

- W samym centrum miasta. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby się okazało, że nigdy stamtąd nie wyjechała. Choć wciskała nam różne opowieści o podróżach autostopem po całym kraju, życiu zgodnie z naturą, szczegóły się nam nigdzie nie zgadzały, a z jej papierów wychodzi biografia urodzonego kompulsywnego kłamcy.

- Backer dziesięć lat spędził na takich wyjazdach - wtrąciłem. - Twierdziła, że towarzyszyła Desmondowi?

- W rzeczy samej, doktorze. Nie stale, z przerwami. Snuła nam niestworzone historie o mieszkaniu w lasach, jedzeniu pędów i korzonków, zbieraniu grzybów i tak dalej. Ale kiedy przyszło do ustalania konkretów, takich jak daty, miasta, stany, wszystko się sypało. Psychologowie Biura nazwali ją osobowością histrioniczną.

- Przebadali dziewczynę? - spytał Milo.

- Nie widziałam raportu klinicznego.

- Czyli diagnozę postawiono najpewniej na podstawie akt - powiedziałem.

- Nie zgadza się pan z nią, doktorze?

- Za mało wiem, żeby się zgadzać czy nie zgadzać.

Lindstrom zmarszczyła brwi.

- Proszę wybaczyć, ale to akurat nie ma znaczenia, prawda? Tak samo jak opowieści Fredd o życiu na łonie natury. Może tkwiło w tym ziarno prawdy, a może to był podwójny, potrójny, poczwórny blef. Chodzi o to, że nie da się z nią powiązać żadnych przestępstw ekologów z tamtych lat, więc albo potrafiła świetnie zacierać ślady, albo jej i pozostałych dzieciaków z Seattle w ogóle nie należało brać poważnie.

- Pięć lat temu Des Backer studiował architekturę - zaznaczyłem.

- To, że Doreen zaczęła uprawiać prostytutkę w tym samym okresie, wskazuje, że prawdopodobnie rozstali się dużo wcześniej.

- I...?

- Staram się tylko ustalić chronologię.

- Nie będę się z panem spierać.

- Czyli zamknęli ją za sprzedawanie się - wrócił do głównego wątku Milo. - Którędy stąd do federalnego kapusia?

- Nie mówiłam, że ją zwербowaliśmy.

- Jej tożsamość została wymazana, niech pani nie wciska kitów.

Lindstrom poprawiła ramiączko bluzki.

- Owszem, zwerbowałam ją, ale to nie prostytutka tak ją wystraszyła, tylko prochy. Mówimy tu o kilogramach trawki, pigułkach zapakowanych w woreczki i sporych kawałkach heroiny. Dość, żeby trafiła za kratki na bardzo długo.

- Hurtowniczkaf

- Zapasy znaleziono w piwnicy domu, gdzie wynajmowała pokój, w którym przyjmowała klientów. W centrum Seattle, niedaleko targu Pike.

- Ot, tak mieszkała z tym wszystkim?

- Na tym wszystkim - poprawiła Lindstrom. - Dosłownie. Miała klapę w podłodze pod materacem, na którym figlowała za pieniądze. Pech chciał, że zjadła parę pigułek przed klientem, a facet okazał się tajniakiem z tamtejszej obyczajówki. Twierdziła, że to środki przeciwbólowe i to się później potwierdziło. Ale chłopcy zdążyli już solidnie przetrzepać pokój. Nakazy wydawano od ręki, bo miasto rozpoczęło akurat jedną z moralnych krucjat - męty za bardzo czepiały się turystów. Doreen zapierała się, że pierwsze słyszy o klapie, nawet nie zaglądała pod łóżko. Może to nawet prawda. Wiele dziewczyn korzystało z tego samego pokoju, a dom należał do pary kambodżańskich restauratorów podejrzewanych o sprowadzanie najróżniejszych paskudztw. Kiedy wezwano Biuro, właściciele zniknęli. Ślad urywał się w Phnom Penh. Planowaliśmy skonfiskowanie całej nieruchomości na podstawie prawa RICO, ale policja Seattle wszystko przypisała sobie. Teraz stoi tam milutkie, małe centrum handlowe. Kawiarenka, bar sushi, włoska restauracja ze świetnymi ciastkami, fitness dla japiszonów. I solarium, przydaje się w Mieście Mżawki.

- Była tam pani niedawno.

- Wczoraj. Próbowałam wypytać o Doreen. Po tym, jak usłyszeliśmy, co się z nią stało tutaj.

- Czego się pani dowiedziała?

- Niczego. - Uśmiech. - Ale zjadłam dobre panini w tej włoskiej restauracji.

- Od jak dawna ma pani kontakt z dziewczyną?

- Nigdy się z nią nie kontaktowałam. Ja ją odziedziczyłam. I kilka innych, takich jak ona. Jeśli to brzmi jak usprawiedliwienie, to dlatego że tak właśnie jest.

- Banda kapusiów żyjąca na koszt podatnika, która na koniec was wystawia. I szafa gra, Gayle.

Dekolt Lindstrom poczerwieniał.

- Jakby wam się to nigdy nie zdarzało. Przypadkiem wiem, że sześć lat temu jedna z waszych najlepszych detektywów z obyczajówki została ustawiona jako burdelmama w mieszkaniu w Hollywood. To nie była jakaś ścierna. Departament L.A. kazał autentycznej detektyw drugiej klasy zatrudnić prawdziwe dziwki na ulicach, kierować wszystkim jak trzeba, prowadzić książki, zapisywać dochody. Wszystko po to, żeby przyłapać paru ważniejszych klientów, bo feministka z rady miasta narobiła hałasu. I jak się ten świetny plan skończył? Podopieczne podrzuciły pani detektyw pigułkę gwałtu, rozebrały ją do naga, porobiły zdjęcia, jak ich kolesie zbiorowo gwałcą biedaczkę, wrzuciły je do Internetu i przysnęły do Meksyku z forszą. Oto przykład dobrej policyjnej roboty.

Mina Mila świadczyła, że nigdy wcześniej o tym nie słyszała.

- Niespodzianka, co? - Gayle Lindstrom uniosła brwi. - No, to podziękujecie specom od wyciszania spraw ze swojego departamentu. Chodzi mi o to, Milo, że wszyscy czasem wygrywamy, a czasem przegrywamy. I kryjemy swoje zbiorowe tyłki. Tak, Biuro uważało, że Doreen może być przydatna, bo w tym samym okresie, kiedy rzekomo delektowała się przyrodą z Backerem, całe to środowisko ekoświrów dość paskudnie się rozkręciło. Mówię tu o dwójce małych dzieci pewnego genetyka. Niemowlakach, na Boga, z poparzeniami trzeciego stopnia po tym, jak czubki od praw zwierząt podpały im dom, bo tatuś eksperymentował na szczurach. Mówię o drwalach znad kanadyjskiej granicy, którzy oślepli i potracili kończyny przez kolce na drzewach. O domu Ronalda McDonalda. Najpierw osprejowano budynek groźbami, potem wpuszczono do niego stado szczurów. A tam mieszkało mnóstwo ludzi. Rodziny dzieci z rakiem. A wszystko dlatego, że ktoś nie lubi big maców. Ci ludzie to szaleńcy, do tego niebezpieczni. Przynajmniej kilkanaście domów w budowie poszło z dymem, więc dlaczego mielibyśmy nie spróbować wykorzystać Doreen? Te prochy tak naprawdę nie były jej, więc w czym problem?

- Dlaczego uważaliście, że miała coś do zaoferowania? - spytałem.

- Tak zeznała moim poprzednikom. Zaczęła sypać, jak tylko ją zamknęli. Twierdziła, że wie z pierwszej ręki różne rzeczy o najbardziej

radykałnym odłamie tego ruchu. Ludziach, poznanych podczas wielkiej wędrówki. Wiarygodności przydawało jej to, że wiele czynów przypisywała też sobie. Sugerowała, że była kimś więcej niż tylko naocznym świadkiem.

- Ale... - zaczął Milo.

Lindstrom odwróciła się do niego.

- Zdecydowanie za dobrze się bawisz. Ale w porządku, niech ci będzie: chroniliśmy ją, a ona nas wydymała. Zadowolony, ojczce O'Shaughnessy? Ile zdrowiasiek mam odmówić?

Milo nie odpowiedział.

- Z perspektywy czasu łatwo dostrzec prawidłowość - warknęła.

- Jednak wtedy?

- A jaka to prawidłowość?

- Kiedy Fredd została oczyszczona z zarzutów narkotykowych, zaczęła pleść, że się boi o swoje życie, że potrzebuje nowej tożsamości, schronienia w innym mieście, kieszonkowego. Trwało to kilka miesięcy. Gdy tę sprawę załatwiliśmy, rzekomo popadła w depresję. Powiedziała, że nie ma siły radzić sobie z życiem, dawała samobójcze sygnały. Biuro przydzieliło Doreen lekarza i psychologa.

- Nie tego, który uznał ją za osobowość histrioniczną - wtrąciłem.

- Nie, ten drugi uznał dziewczynę za socjopatkę. Ale musieliśmy iść dalej, nie mogliśmy ryzykować konfrontacji. Kilka miesięcy później poruszyła kolejny problem medyczny...

- Operacja plastyczna - dokończył Milo.

Lindstrom spojrzała na niego ze złością.

- Nie bawcie się ze mną. Powtarzam rzeczy, które już wiecie?

- To akurat wyszło na badaniach w kostnicy. Dlaczego ni z tego, ni z owego chciała sobie poprawić nos?

- A jak myślisz? „Boję się, muszę zmienić wygląd”.

- Siostra Desą Backera rozpoznała ją nawet z nowym nosem.

- Dlaczego nie zdecydowała się na coś, co naprawdę by podziałało? Jak już zaznaczyłam, w retrospekcji wszystko widać doskonale. Całkiem możliwe, że po prostu zapragnęła być ładniejsza i zapłaciła za to naszymi pieniędzmi.

- Najpierw operacja, potem rekonwalescencja. Znów kilka miesięcy zwłoki - podsumowałem.

- Kiedy zaczęła mówić, minął prawie rok. Zaczęło się obiecująco, opowiadała mnóstwo strasznych rzeczy. W tym bzdury o powiązaniach między miejscowymi ekoświrami a zagranicznymi terrorystami, jakimś wielkim katastroficznym spisku.

- Czy cokolwiek zgodziło się z rzeczywistością? - spytał Milo.

- Jak większość kłamców, doprawiała swoje brednie kaskami prawdy. Drobiazgami, ale wystarczyło, żebyśmy się nie zniechęcili.

- Na przykład?

- Falszywe doniesienia o obserwacji zagrożonych gatunków, żeby zatrzymać publiczne budowy. Wspomniała że pokojowo nastawieni fanatycy wypływają na łódkach i tną sieci; zieloni przesiadują na starych drzewach, żeby nie prowadzono wycinki pod centra handlowe. Co mnie akurat nie przeszkadza. Jeśli wielka sekwoja dożywa sędziwego wieku, to na Boga, dajmy jej dotrzeć do końca w spokoju. A jak przejeżdżam przez kilometry pustyni, gdzie kiedyś rósł las, to bynajmniej nie czuję przyływu patriotyzmu. Tak czy inaczej, Doreen rzuciła nam okruchy. Na nic się nie przydały, ale chwilę potrwało, zanim sprawdziliśmy wszystkie lewe tropy.

- Pytaliście ją o chłopaka z Bellevue?

- No pewnie - prychnęła Lindstrom. - Trzymała się pierwszej wersji: kiedy to się stało, spała smacznie w Hope Lodge, zaklinała się, że nikt z jej znajomych nie był w to zamieszany, nigdy by czegoś takiego nie zrobili.

- Przyznała, że podróżowała z Backerem - powiedziałem.

- Ale w żaden sposób go nie obciążyla, doktorze. Właściwie za każdym razem, kiedy padało jego nazwisko, robiła z niego Johnny'ego Appleseeda**, a nie jakiegoś oszalałego podpalacza. Mimo wszystko sprawdziliśmy chłopaka. Rzeczywiście studiował architekturę, swoje ekologiczne impulsy wyładowywał w społecznie akceptowany sposób.

- Jak długo po tym, jak ją zakonspirowaliście, dała nogę? - spytał Milo.

- Zniknęła nam z radaru trzydzieści miesięcy dwa tygodnie i trzy dni temu - odparta Lindstrom. - Jeśli potrzebujesz jeszcze godzin i minut, wróć za swoje federalne biurko i wezmę kalkulator. Przydzielono

* Johnny Appleseed - XIX-wieczny legendarny rolnik, sadownik, misjonarz (przyp. red.).

mi akta Doreen trochę ponad rok temu. Gapiałam się na jej zdjęcie i nie wiedziałam, co robić. A tu nagle pojawiła się w wieczornych wiadomościach, prawie się udławiłam dietetyczną kolacją. Wasz rysownik nieźle się postarał.

- Moje nazwisko też pokazali na ekranie, Gayle. Więc zamiast zła pać za telefon, kazałaś Halowi mnie zignorować.

- Nie miałam wyboru, dyrektywa przyszła z góry.

Milo milczał.

- Niby u ciebie jest inaczej?

- Wyczuwam tu pewną stałą, Gayle. Wszyscy nabierają wody w usta, żeby się chronić.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytała Lindstrom. - Przypomnij sobie tę waszą hollywoodzką detektyw, nieprzytomną z rozłożonymi nogami. Nie znajdziesz ani śladu tych zdjęć nigdzie w sieci. Ani żadnych dokumentów z tej operacji. Decyzje z góry spływają do wyrobników. My sprzątamy bałagan.

- Dobrze. - Milo kiwnął głową. - Kafka to Bóg, a cała reszta to karaluchy. Ale nawet robaki potrafią się zachować. Dlaczego wasi szefowie utrudniali mi życie?

- Chcieli mieć pewność, że wszystko jest wiadome, zanim się skontaktujemy.

- W znaczeniu: akta Doreen są oczyszczone z użytecznych rzeczy, żeby nie wyglądać głupio?

- W znaczeniu uporządkowania własnych faktów, niespodziewanej podróży do Seattle wczoraj rano autobusem obok chrapiącego grubasa.

- Gdybym nie nękał Hala, Gayle, siedziałabyś tu teraz?

- Nie odpowiadam na pytania teoretyczne - zripostowała Lindstrom. - Najważniejsze, że przyjechałam i powiedziałam ci, co wiem o Doreen. Jeśli dzięki temu zamkniesz tę sprawę, będę świętować razem z tobą. Bo bardzo mi zależy, żeby wyrzucić w cholerę akta panny Fredd.

- W takim razie nakłam w raporcie. Jestem karaluchem-pomagaczem.

- Najpierw jeszcze trochę mi pomóż. Na przykład zdradź wszystko, co możesz o morderstwie Doreen.

- Razem z Backerem urządzili sobie seksualne sympozjum w wielkim domu i ktoś ich przyłapał na gorącym uczynku.

- Au! - Lindstrom cmoknęła. -I co?
- On dostał kulkę w głowę, prawdopodobnie kaliber 22, ją udu-
szono.

- Ślady?

- Jego i jej odciski w spodziewanych miejscach, żadnych innych, nic w mieszkaniu Backera. Domu Doreen w ogóle nie znaleźliśmy, bo ludzie z jakiejś bezimiennej rządowej agencji zakamuflowali ją i trzymali w ukryciu nawet po tym, jak zostali przez nią wydymani. Dlaczego, kiedy zrozumieliście, że was wykiwała, nie odtajniście faktoidów?

- Tak się tego nie robi.

- Zawstydziła Biuro, więc woleliście z nią nie wyskakiwać przed następną sesją zebrania w Kongresie.

- Naprawdę przestań już narzekać, bo ja tego nie zrobiłam - obruszyła się Lindstrom. - Potrzebuję tylko dość danych, żeby napisać jej cholerne epitafium. Co jeszcze macie?

- Nic.

Przysunęła stopą swoją torbę.

- Sprawdziłam tu i tam... właściciel nieruchomości może was zainteresować.

- Doprawdy.

Milo wyszczerzył zęby, dłonie zwinął w dwie kule. Różowe i lśniące przypominały świąteczne szyszki ożywione przez szalonego naukowca. Gayle patrzyła na nie z fascynacją. Milo wstał.

- Agentko specjalna Lindstrom, myślę, że to by było na tyle.

- O Jezu - westchnęła. - Co z tobą?

- Najpierw mówisz, że wszystko mi powiedziałaś, a potem rzucasz następny kęs, żeby doprawić te pierdoły. W przeciwieństwie do Biura ja nie mam paru lat na użeranie się z czyimiś gierkami.

Lindstrom wysunęła dolną szczękę.

- Ani razu nie użyłam słowa „wszystko”.

- Cóż, to wiele wyjaśnia. - Milo ruszył do drzwi.

- Ja z tobą nie pogrywam - rzuciła. - Po prostu na początku założyłam, że już zebraliście dane o właścicielu.

Cisza.

- Nie sądziłam, że muszę cię karmić podstawowymi...

- Do kogo należy ta nieruchomość, Gayle?

- Naprawdę się nie orientujesz?

Milo się uśmiechnął.

- Daj spokój. Tak samo jak ty jestem szeregowym pracownikiem na dole łańcucha pokarmowego. Zamierzasz się na mnie wyżywać, do bra, ale w ten sposób nie zamkniesz swojego podwójnego zabójstwa. Mam mówić pierwsza? W porządku. Książę Tarik ze Sranilu, ksywa Teddy.

Milo znów usiadł.

- Jeszcze kawy, Gayle? Nie można nam zarzucić niegościnnosci.

Lindstrom rozdziawiła usta.

- To bez znaczenia, ale dowiedziałam się o nim tuż przed przyjazdem tutaj. Nie uważajcie go za podejrzanego. To znaczy nie bezpośrednio. Wrócił na Sranil.

- Podobno zabił inną dziewczynę - powiedział Milo.

Lindstrom się wyprostowała.

- Kogo, gdzie, kiedy?

- Nie wiem, nie wiem, jakieś dwa lata temu. To wciąż tylko plotki. Cudzoziemka, chyba rozrywkowa, może Szwedka.

- Kto jest waszym informatorem?

- Ktoś, kto słyszał plotkę.

- Kto?

Milo pokręcił głową.

- My też mamy swoje sekrety. Niewykluczone że to banialuki, ale czas się zgadza: zginęła akurat, kiedy stała budowa chaty Teddy'ego. A on zaraz potem prysnął do domu.

- A potem kończy tam Doreen. - Lindstrom pokręciła głową. - Nie widzę tu żadnego oczywistego związku.

- Czy w opowieściach panny Fredd pojawił się wątek indonezyjskiej wyspy?

- Nie. Na pewno, bo gdy tylko się dowiedziałam, że posesja należy do Teddy'ego, przeczytałam każde cholerne słowo jej zeznań.

- Ale wspominała o zagranicznych terrorystach dogadujących się z miejscowymi ekoświrami.

- Nic z tego się nie potwierdziło, poza tym nie wspominała o Azjaczach, Szwedach, Ugandyjczykach czy Litwinach.

- Tylko o Ahmedzie - wtrącił Milo.

- Cytuję „jak z Al-Kaidy”.

- Sranil jest muzułmański, Gayle. W dżungli grasują dwa ugrupowania ekstremistów, których świerzbują ręce, żeby obciąć sułtanowi głowę i przejąć całą jego ropę. Jedno z nich to fundamentaliści.

- Interesujące. Naprawdę sądzisz, że tu chodzi o politykę?

- Boże, oby nie. Doreen wyjeżdżała kiedykolwiek za granicę?

- Nigdy nie miała nawet paszportu.

- Powtarzam pytanie, Gayle.

- Przecież mówię... och. Nie, poruczniku Sturgis. Jako szaremu pracownikowi, nic mi nie wiadomo, żeby Biuro zaopatrzyło ją w lewe papiery.

- Czyli ktoś na górze mógł to zrobić - naciskał Milo.

- Jasne, ale po co mielibyśmy pomagać Doreen w ucieczce, kiedy płaciliśmy jej za sypanie, a ona nie sypała? Jednak potem straciliśmy ją z oczu.

- Właśnie. - Milo popukał palcem w stół.

Lindstrom się nad tym zastanowiła.

- Dobra, podzwonię. Obiecuję, że przekażę ci prawdziwe informacje. Zgoda?

Kiwnął głową.

- Kiedy Doreen poprosiła o zmianę miejsca zamieszkania, dokąd ją przenieśliście?

- Przykro mi, nie mam autoryzacji. Ale uwierz mi, nigdzie poza kontynentalne Stany. - Uśmiech. - Wyobraź sobie hektary równin, żadnej góry w zasięgu wzroku.

- Nie tutaj, w L.A.

- Nawet nie blisko.

- Skoro tak dokładnie zapoznałaś się z jej aktami, czy jest tam coś o psiapsiółce, która wyjechała za granicę? Albo przyjechała z zagranicy?

- Rozrywkowa Szwedka? Nic - zaprzeczyła Lindstrom. - Przysięgam, nie ma tam ani słowa o międzynarodowych intrygach. I nie posiadacie żadnych konkretnych dowodów, że księżę Teddy faktycznie kogoś załatwił. Zresztą nawet jeśli, co by to miało wspólnego z Doreen i Backerem dwa lata później? W spalenie wielkiego domu wierzę. Pewnie zrobili to w Bellevue i Bóg wie gdzie jeszcze. Ale namierzanie brata sułtana? Jakaś bonzowska intryga? Nie widzę tego.

- A jeśli Doreen i Backer dowiedzieli się o rzekomym morderstwie i chcieli na tym zarobić? - zasugerował Milo. - To by miało sens?

- Szantaż... jasne, czemu nie? To nie była kobieta o wysokich standardach moralnych. - Lindstrom się nachyliła. - Ona i Backer spiknęli się jak za dawnych czasów? Postanowili zrobić coś więcej niż tylko jeść razem mleczko i się rżnąć? Wszystko możliwe.

- Czy w aktach pojawia się imię Monte?

- Nie. Kto to?

- Może nikt, Gayle.

- Ale oczywiście ty uważasz, że to jednak ktoś.

- Co się stało z dwójką pozostałych dzieciaków, kumpli Doreen i Backera z Seattle?

- Dwayne'em Parrisem i Kathy Vanderveldt? Oboje studiowali i wyszli na prostą. Ona skończyła medycynę, on prawo. Opowiedz mi o Montem.

- To tylko imię, które pojawiło się w donosach.

- Jako...

- Ktoś, kto chyba znał Doreen.

- Chyba? Czyli nie uważasz, że ten donos to prawda?

Milo wprowadził ją w szczegóły.

- Dziadek bez komórki. - Pokiwała głową. - Monte. Nie, nic mi to nie mówi, ale gdy tylko wrócę, przejrzę akta jeszcze raz, na wypadek gdyby mi coś umknęło. Mówimy tu o ponad siedmiuset stronach.

- Doreen była płotką, ale dorobiła się encyklopedii?

- Jedno, co świetnie nam idzie, to wykorzystywanie papieru. - Lindstrom się uśmiechnęła. - Biedne drzewa.

21

Staliśmy przed posterunkiem i patrzyliśmy, jak Lindstrom odjeżdża swoim rządowym chevym.

- Ile z tego było prawdą? - spytał Milo.

- Kto wie?

Z parkingu dla personelu wyszła kobieta, przecięła ulicę i przemknęła obok nas, zostawiając za sobą smugę chanel no. 5. Szczupła, o ostrych rysach, z kunsztownie ułożoną burzą ogniście rudych wło-

sów, podkreślonych ciemnozielonym kostiumem i żółtym szalem we wzór łusek grzechotnika. Niosła torbę jeszcze większą niż ta agentki specjalnej, energicznie otworzyła drzwi posterunku.

- Współpraca prawdopodobnie leży w najlepszym interesie Lindstrom - stwierdziłem. - Załatwisz sprawę Doreen, Gayle będzie krok do przodu ze swoimi stosami papierów za karę.

Drzwi posterunku się otworzyły i rudowłosa ruszyła w naszą stronę. Torba się kołysała, koafiura podskakiwała.

- Porucznik Sturgis? Clarice Jernigan, od koronera.

- Pani doktor.

- Zeznawałam za rogiem, pomyślałam, że mogę od razu się z panem skontaktować. Recepcjonista powiedział, że właśnie pana minęłam.

Oczy barwy khaki uważnie mi się przyjrzały.

- To jest doktor Delaware, nasz psycholog konsultant.

- Czasami przydaje nam się pomoc przy samobójcach. Ma pan coś przeciwko, żebym porozmawiała z porucznikiem na osobności?

- Doktor Delaware dowie się wszystkiego, co ja wiem - oświadczył Milo.

- To, co chcę powiedzieć, poruczniku, w ogóle nie jest związane z psychologią.

- Przykro mi, pani doktor. Pracujemy wyłącznie we dwóch.

Clarice Jernigan zsunęła torbę na chodnik.

- Jasne, co mi tam. Otworzyłam głowę Backera i wyjęłam odłamki kuli. Na pewno dwudziestkadwójka, laboratorium próbuje je poskładać, więc gdy znajdziecie broń, porównacie.

- Dzięki...

- Postanowiłam też mimo wszystko zrobić autopsję tej NN. Tak jak przypuszczałam, żadnych niespodzianek odnośnie do przyczyny śmierci. Ręczne uduszenie, ślady palców są oczywiste, ale żadnych linii papilarnych ani DNA, więc wasz zły człowiek pewnie założył rękawiczki. To była zdrowa, młoda kobieta, którą spotkał nieprzyjemny koniec dosłownie z cudzej ręki.

- Wiemy już, jak się nazywała. Doreen Fredd. Przez dwa „d”.

Jernigan wyciągnęła blackberry, wpisała tę informację.

- Dostanie pan szczegółowy raport. Jeśli znajdę czas, żeby się do niego zabrać.

- Ib musiała mi pani przekazać w cztery oczy? - spytał Milo.
Jernigan się wyprostowała.

- Popeliłam błąd i wołałam nie mówić o tym przez telefon.

Patrzyła przy tym na mnie. Wbiłem wzrok w parking i udawałem, że mnie tu nie ma.

Milo czekał.

- Nie uważam, tego za poważne uchybienie, ale lepiej, żeby pan wie działał. Na wypadek gdyby to miało wpływ na pańskie dochodzenie. Jak wspomniałam, zestaw na gwałt dał wynik negatywny i w mojej pierwszej opinii napastowania seksualnego nie było. Ale kiedy ją otworzyłam, znalazłam otarcie wyściółki pochwy, około dwunastu centymetrów w głąb.

- Zarzuciła węzowy szal na ramię. - Dlaczego nie zauważyłam tego od razu? Bo znajduje się na górnej ścianie waginy, schowane. Małe, ale dość nieładne zadrapanie odpowiadające penetracji twardym przedmiotem. Bez żartów, proszę. Czymś, co na górnej powierzchni ma spiczastą wypustkę. Moim zdaniem potwierdzonym przez specjalistę od śladów narzędzi, to lufa pistoletu z ostrą muszką. Początkowo zakładałam dwudziestkędwójkę, z powodu Backera. Ale kiedy sprawdziłam długości luf, okazało się, że żadna dwudziestkadwójka nie weszłaby tak głęboko, nie powodując poważnych uszkodzeń zewnętrznych warg sromowych. Dla tego skłaniamy się do wielkokalibrowego rewolweru z długą lufą i dużą muszką, na przykład Charter Arms Bulldoga. Nawet wypróbowaliśmy tę broń i całkiem nieźle pasowała do otarcia.

- Dwa pistolety. Mały do strzelania, duży do gwałtu - zastanowił się głośno Milo.

- Jak dla mnie, poruczniku, to cuchnie zastraszeniem, wściekłością, a może zwykłym sadyzmem. Do tego trzeba teraz brać pod uwagę dwóch sprawców. Zgadza się pan, doktorze Delaware?

- Brzmi logicznie.

- W takim razie wszystko jasne. - Jernigan spojrzała na zegarek.

- Nie muszę chyba dodawać, że moja wstępna hipoteza nie trafi do ra portu i byłabym wdzięczna, gdyby to samo tyczyło się pańskiej.

- Oczywiście, pani doktor.

- Dla pewności obejrzałam też jeszcze raz pana Backera. Zbadałam jego odbył i usta; szukałam śladów napastowania bronią palną czy czymś innym. I nic. Więc jakakolwiek psychopatologia wchodziła tam w grę, zarezerwowano ją dla panny Fredd przez dwa „d”. Miłego dnia, panowie.

- Jak idzie sprawa Bobby'ego Escobara?
- Jak dotąd, poruczniku, wcale nie idzie. - Zezłoszczony uśmiech.
- Zgłasza się pan na ochotnika? Tamta oferta wciąż jest ważna.
- Nie sądzę, żeby ludzie szeryfa byli wdzięczni, że się wtrącam.
- Bez wątpienia. Z drugiej strony, kiedy sytuacja robi się nieciekawa, każdy kombinuje jak może.

Odeszła.

- Gdy przyznała się do niedbalstwa, spodziewałem się czegoś na temat tej znikającej plamy spermy - powiedział Milo.
- Może jej samokrytyka ma swoje granice - odparłem.
- Gwałt pistoletem. Dwóch napastników albo samotny mistrz, któremu udało się obezwładnić Backera i Doreen w pojedynkę.
- Ktoś z dużą forszą bez problemu zatrudniłby zespół.
- Teddy albo sułtan wysłali oddział zabójców. - Milo złożył ręce, spojrział w niebo. - Czymże cię obraziłem, Herr Kafka?

Sean Binchy zjawił się u niego w biurze, dumnie prezentując spis karanych sporządzony na podstawie listy podwykonawców Beaudry Construction.

Dziewięć nazwisk, żadnego Montego ani nic co brzmiałoby podobnie. Binchy wykluczył już siedem osób i jechał do Lancaster przyjrzeć się ostatnim dwóm - braciom betoniarzom, aresztowanym za kradzież narzędzi z poprzedniej pracy.

- Co słysząc u Ricki Flatt? - spytał Milo.
- Zameldowałem ją w Star Inn, zapłaciłem za pełną kablówkę, wszystkie kanały z filmami.
- Powinno wystarczyć, Sean.

- Jedna kwestia, poruczniku. Mój ojciec, zanim go wciągnął Amway, miał firmę budowlaną, pracowałem u niego w wakacje. Nic wymyślnego, przebudowy, dobudówki. Ale za każdym razem, jak inwestorzy nie mieszkali w obiekcie, tata go ogradzał, a ja po pracy musiałem sprawdzić, czy brama jest zamknięta. A tam? Każdy mógł wejść, zupełnie jakby prosili się o kłopoty. Nie żeby na placu zostało coś, co można ukraść, ale mimo wszystko.

- Zgadzam się, młody. Jakieś teorie, dlaczego tak było?
- To wygląda prawie tak, jakby właściciel stracił zainteresowanie domem. - Binchy wzruszył ramionami. - Ale w takim razie dlaczego go nie sprzedał, nie zarobił? Może jest bogaty i nie przejmuje się paroma

milionami. Nie rozumiem jednak, po co to tak stoi. Cóż, na pewno nie mówię panu nic nowego. Pojadę pogadać z tymi dwoma złodziejami.

- Jakbyśmy sami na to nie wpadli - mruknął Milo, kiedy Sean zniknął. - Mimo to oczywiście nie znaczy nieważne.

- Może jest tam pochowane ciało i to ma jakiś związek z kulturą Sranilu.

- Na przykład?

- Niech natura zrobi swoje; takie zen.

- To muzułmanie, Alex.

- W islamie też może być coś podobnego.

- Niech ciało gnije, aż stanie się nierozpoznawalne? Działka jest warta ośmiocyfrową sumę. Nawet dla miliardera to nie akcje Lehmana.

- Sułtan uchodzi za człowieka religijnego - przypomniałem. - Wiara potrafi prowadzić do najdziwniejszych zachowań.

Milo odwrócił się do komputera, załomotał w klawisze.

Pięć trafień później czytaliśmy artykuł autorstwa antropologa z Yale. Keir MacElway, twierdził, że na przykład sułtanat Sranilu to „postmodernistyczne społeczeństwo, gdzie stosunkowo światłe muzułmańskie obyczaje i prawa, w tym liberalna i elastyczna interpretacja szariatu, zastąpiły odwieczne, bazujące na siłach przyrody animistyczne wierzenia tamtejszych plemion. Pewne elementy dawnych wierzeń i rytuałów jednak pozostały, czasami stapiając się z nowoczesnym podejściem muzułmańskim. Wśród nich są rytury słońca i wody, czczenie pewnych drzew i krzewów oraz kalendarze rybackie, oparte na astrologicznych konfiguracjach zachowanych jako nostalgiczne ludowe podania, ale mimo to przestrzeganych. W niektórych przypadkach, takich jak *sutma*, skrót od animistycznego *sutta anka enma* - dosłownie »zmycie śmiertelnego grzechu« - starożytne zwyczaje w sranilskim społeczeństwie trzymają się mocno.

Początki *sutmy* pozostają niejasne. McGuire i Marrow (1964) stawiają hipotezę, że pasywne podejście do »zasłużonej śmierci« wyrosło jako reakcja na kanibalizm, konkretnie jako środek zapobiegający spożyciu ciała wroga po bitwie. Zaobserwowano bowiem przypadki chorób po kanibalistycznych ucztach zwycięstwa.

Ribbenthal (1969) usiłuje powiązać *sutmę* z wpływami buddyjskimi, choć wciąż brak dowodów na rozległe powiązania między sranilskim animizmem a buddyzmem. Wildebrand (1978) przypisuje to

wierzenie ogólnej idealizacji natury i jako dowód przedstawia pozycję Salisthry, opiekuńczego ducha lasu, na szczycie animistycznego panteonu.

Niezależnie od swoich korzeni *sutma* okazała się bardzo, wprost imponująco trwała w epoce, w której wszystkie inne elementy animistyczne ustąpiły miejsca religiom monoteistycznym. W kontraście do zachodnich norm, nakazujących szybki pochówek, oraz hinduistycznej wiary w oczyszczenie przez spopielenie, *sutma* kładzie nacisk na niczym nieograniczone wystawienie na wpływ żywiołów wszelkiego materiału organicznego kojarzonego ze złem, nieuczciwością czy grzechem, by grzesznik zyskał dostęp do życia pozagrobowego. Choć nie jest praktykowana przez sranilskie plemiona tak szeroko jak kiedyś, gdy najdrobniejsze oskarżenie o niemoralność mogło prowadzić do długotrwałych, często poniżających ekspozycji *post mortem*, *sutma* pojawia się czasami w przypadkach brutalnych zbrodni, najczęściej w odizolowanych wioskach, kiedy ich mieszkańcy szukają pociechy *maranandi muru*, Dawnej Wiary".

Milo wydrukował tekst. Westchnął.

- Teddy zabija dziewczynę w tym domu, więc sułtan uważa tę cholerną kupę desek za grzeszny materiał organiczny.
- Dba, żeby jego brat poszedł do nieba - dodałem.
- Teddy'ego spotkała rodzinna sprawiedliwość?
- Sprawiedliwość na tym świecie, współczucie na drugim.

Milo znalazł numer wewnętrzny MacElwaya na Yale; krótko i przyjaźnie porozmawiał ze spłoszonym profesorem.

MacElway potwierdził: w niektórych kulturach animistycznych chaty morderców pozostawiano „odłogiem”.

- Widać sułtan jest tradycjonalistą - stwierdził Milo. - No to co w tym wszystkim robią Backer i Fredd z pięćdziesięcioma kawalkami w tle?

- A jeśli Desmond i Doreen zostali opłaceni przez kogoś, żeby spać dom i przerwać Teddy'emu niebiańską podróż? Nie mogli dopaść go bezpośrednio, bo nie żyje, albo jest pod królewską ochroną w Sranilu. Ale wiedza o *sutmie* dawałaby chociaż częściową alternatywę.

- Nie wpuścić drania do raj. Ktoś, kto wierzy w stare zwyczaje?
- Albo nie wierzy, ale wie, że królewska rodzina się nimi przejmuje. Kiedy nie ma szans, aby wyrzucić fizyczną zemstę, zatrzymanie

Teddy'ego w wiecznym stanie zawieszenia może być całkiem satysfakcjonującym wyjściem z psychologicznego punktu widzenia. I tłumaczyłoby to, czemu Doreen dobierała się do plików Mastersona.

- Szukała nieruchomości Teddy'ego, żeby na wieki zawisł w czeluściach piekła. Jeśli tak, to musieli znać sranilską kulturę.

- Dotarcie do podstawowych faktów nie zajęło ci dużo czasu.

- Era informacji... Dobra, trzymajmy się tego na potrzeby dyskusji: ktoś płaci Backerowi i Doreen pięćdziesiąt tysięcy, żeby tu i tam rzucili trochę wegańskiej galaretki. W takim razie czemu tego nie zrobili? Dlaczego tylko ciągle jeździli na posesję i urządzali sobie miłosne gniazdko?

- Zwiad przed robotą - podsunąłem. - Wybierania miejsc na podłożenie ładunków, planowania trasy ucieczki. Ale jak już tam byli, postanowili połączyć przyjemne z pożytecznym. Bo to kręciło Backera: miłość pod gwiazdami w otoczeniu sklejki, karton-gipsów i drutu zbrojeniowego. Mogło to się zacząć w okresie dojrzewania. Jeśli zaczął jako nastoletni podpalacz, seks i wybuchy stworzyły interesującą mieszankę.

- Para młodocianych rozgrzewających grilla odrobiną ciepła ciała.

- I uszło im na sucho coś niezwykle widowiskowego - zauważyłem. - To potężny kop, a ludzie, którzy przechodzą bardzo podniecające doświadczenia w młodym wieku, często wytwarzają w sobie mocne więzi z tymi doświadczeniami.

- Feromony i benzyna - powiedział Milo. - A potem dziesięć lat Bóg wie czego. Co sądzisz o tym, że Backer pozornie wyszedł na prostą, podczas gdy Doreen skończyła na ulicy?

- Jemu mniej dokuczało poczucie winy, a ona miała dość sumienia, żeby siebie ukarać. A może on był mądrzejszy i lepiej wykształcony, pochodził z pełnej, kochającej rodziny i podejmował mądrzejsze decyzje. Cokolwiek ich rozdzieliło, zetknęli się z powrotem tu, w L.A.

- Chemia. - Uśmiech. - Organiczna.

- Niewykluczone że pomimo dyplomu Backer nigdy nie odpuścił sobie poprzednich zainteresowań i skontaktował się z nim ktoś, kto szukał zemsty na Teddym. Na nieszczęście jego i Doreen sułtan się dowiedział o niecnych knowaniach. Ich ciała pozostawiono w wieżyczce jako ostrzeżenie dla wszystkich, którym przyszłoby do głowy przerywać *sutnę*.

Milo wstał, podniósł ręce, dotknął niskiego sufitu.

- Desi i Doreen bawią się z dużymi dziećmi, płacą za to kulka i uduszeniem. Z przerwą na wepchnięcie wielkiej spluwy między nogi. Co to ma wspólnego z dawnymi zwyczajami?

- Chodziło o zastraszenie, tak jak sugerowała Jernigan, żeby nad nimi zapanować albo zdobyć informacje. Co Doreen i Backer wiedzieli, kto jeszcze brał w tym udział. Element zaskoczenia był ważnym czynnikiem akcji: plama spermy na udzie Doreen sugeruje, że Backer został z niej wyciągnięty w chwili szczytowania. Oboje zostali sterroryzowani, jego przesłuchano i zastrzelono, przerażoną Doreen obezwładniono. A na wypadek, gdyby to nie wystarczyło, sięgnęli po rewolwer.

- Trzeba ci przyznać, umiesz tworzyć paskudne scenariusze - powiedział Milo.

Idealnie ujęte. Dowód: tysiące bezsennych nocy. Uśmiechnąłem się.

Sięgnął po telefon.

- Moses? Jesteś zajęty? Dobra, chodź tutaj. I zacznij ćwiczyć swoją charyzmę.

22

Jasne - powiedział Moe Reed.

Polecenie ponownych odwiedzin w indonezyjskim konsulacie przyjął bez emocji.

- Nie chcesz wiedzieć dlaczego? - spytał Milo, kiedy młody detektyw szedł do drzwi.

- Domyślam się, że wyszło coś w związku z tą plotką o zabitej dziewczynie. Mam wyciągnąć ze swojej informatorki jakieś szczegóły.

- Nic nie wyszło, Moses. Dlatego właśnie musisz jej dokręcić śrubę.

- Konsulat zamykają o czwartej, dotrę tam na trzecią. Wychodzi sama, wtedy spróbuję ją złapać. Jeśli się nie uda, będę ją śledził, aż trafi się sposobność pogadania w cztery oczy.

- Jak ona się nazywa?

- Tego nie zdradziła, poruczniku, a ja nie nalegałem. Uznałem, że ważniejsze jest, żeby cokolwiek mi powiedziała.

- Dobra, Moses, jak mówiłem, charyzma. W razie czego postaw jej parę drinków, ja funduję. Jeśli wybierzesz przytulny lokalik, obiecuję, że nie powiem doktor Wilkinson.

Ukochana Reeda była antropologiem w laboratorium koronera.

- Liz to nie przeszkadza. A dziewczyna jest pewnie muzułmanką. Oni nie piją.

- Słuszna uwaga - pochwalił Milo. - Dobra, słodczyce też wchodzi w grę.

- Mam ją potraktować łagodnie czy ostro?

- Obojętne, obys tylko wydobył z niej wszystko, co wie o księciu Teddym i tamtej Szwedce.

- Myślę, że spróbuję powolutku, bez żadnego grożenia, chyba że wyczuję, że mi ściemnia, wtedy pójdę na całość.

- Rób tak dalej, Moses.

- To znaczy co?

- Myśl - odparł Milo. - Wyróżniaj się z tłumu.

Odjechałem spod posterunku. Milo na fotelu pasażera seville'a wiercił się, tarł twarz, narzekał na korki, na wszystkich olewających przepisy durniów z komórkami przy uszach. Popatrz, jak ten idiota skacze z pasa na pas. Spójrz na tego kretyna, stoi na zielonym. Co jest, palancie, odcień ci nie pasuje?

Star Motor Inn znajdował się przy szarym odcinku Sawtelle, między Santa Monica a Olympic. Ricki Flatt otworzyła drzwi w tych samych niemodnych džinsach i za dużej, czarnej koszulce z logo Carlsbad Caverns. Włosy miała rozpuszczone i splątane, usta zaciśnięte. Łóżko za nią było posłane z wojskową dokładnością. Obrazy migwały na ekranie telewizora niewiele większego niż mój komputerowy monitor.

- Poruczniku.

- Możemy wejść?

- Oczywiście.

W pokoju pachniało lizolem i pizzą. W telewizorze z wyłączoną fonią leciał program kulinarny. Kobieta o rozjarzonych oczach, tak chuda, że ubranie na niej wisiało, skakała rozradowana wokół patelni. Marchew, seler i grudka czegoś, co wyglądało jak żółta plastelina.

Jedną z życiowych zasad Mila brzmi „nie ufaj chudemu kucharzowi”. Czasami stosuje to wobec detektywów. Wobec wszystkich, losowo wybranych profesji, zależnie od tego, jak mu mija dzień.

Raz nie wytrzymałem i spytałem go o instruktorów fitnessu.

- Mówię o prawdziwych zawodach - odparł. - Nie o sadystach.

Podczas jazdy humor psuł mu się coraz bardziej. Nie było tego widać w sposobie, w jaki potraktował Ricki Flatt. Przysunął krzesło blisko niej i przywołał swój najłagodniejszy uśmiech - ten zarezerwowany dla dzieci i starszych. I dla Blanche, kiedy wydaje mu się, że nikt nie widzi.

- Spała pani, Ricki?

- Niewiele.

- Jeśli czegoś pani potrzebuje, proszę mi powiedzieć.

- Nie, dziękuję, poruczniku. Dostaliście się do schowka?

- Policja z Port Angeles jeszcze się nie odezwała.

- Mam tylko nadzieję, że Scott się nie dowie, że zatrzymałam pieniądze.

- Wyjaśniłem im sytuację.

- Denerwuję się, że cały czas je mam.

- Niedługo znikną z pani życia.

- To forsa z narkotyków, poruczniku?

- Brak na to dowodów.

- Naprawdę sobie tego nie wyobrażam. Desi nigdy nie brał narkotyków.

Milo przysunął się bliżej.

- Pani Flatt, naprawdę ciężko pracujemy, żeby ustalić, kto zamordował Desmonda, ale uczciwie przyznam, stoimy w miejscu. Jeśli zadam pytania, które panią zdenerwują, odpowie pani?

- Pytania o co?

- O młodość brata. Kiedy miał siedemnaście lat.

- Tak dawno?

- Uhm.

Oczy Ricki Flatt uciekły w bok.

- Chodzi panu o pożar w Bellevue.

Milo zaczął mrugać, cudem udało mu się szybko powstrzymać ten odruch.

- Musimy o tym porozmawiać, Ricki.

- Jak się dowiedzieliście?
 - Odrobiliśmy lekcje.
 - Gdy kogoś zamordują, grzebiecie mu w dzieciństwie?
 - Cofamy się tak daleko, jak trzeba. Flatt nerwowo skubała prześcieradła.
 - Ten pożar nie daje pani spokoju - podjął Milo. - O nim pani myślała, mówiąc o polityce.
 - Niezupełnie. - Objęła się ramionami, zakołysała. - Przepraszam, poruczniku, nie próbuję kręcić, po prostu nie potrafię pogodzić się z faktem, że mój brat był najemnym podpalaczem. Ale pięćdziesiąt tysięcy. ... dlatego w nocy nie spałam. Dom w Bellevue... tak samo ogromny jak ten, gdzie Desiego... Nie przechodzi mi to przez gardło. Gdzie to się stało.
 - Dwa wielkie budynki - przytaknął Milo.
 - Wieczorem pojechałam tam taksówką. Chociaż stoi sam szkielet, widać monstrualne rozmiary. Cały czas sobie powtarzam, że to nic nie znaczy. Jaki tu może być związek?
 - Co pani wie o pożarze w Bellevue?
 - Ten chłopak, Vince. Nie został zamordowany, sam się spalił. Wypadek.
 - Van Burghout.
 - Van - powtórzyła, jakby wypróbowywała to imię.
 - Nie znała go pani dobrze?
 - Na pewno go widziałam, jeśli przychodził do nas, ale nie zapadł mi w pamięć. Desi cieszył się dużą popularnością, ciągle ktoś go odwiedzał. A kiedy doszło do pożaru, przebywałam na studiach.
 - Poza miastem?
 - Nie, na stanowym uniwerku. Geograficznie niedaleko, ale pochłaniało mnie własne życie.
 - W aktach podpalenia Van jest wymieniony jako jeden z członków grupy Desmond'a.
 - Więc tak musiało być.
 - Czy w domu dyskutowało się o pożarze?
 - Pewnie tak, to była głośna historia. Ale jak mówiłam, mieszkałam wtedy w akademiku.
- Zacisnęła usta, powstrzymując łzy. Milo przykrył jej dłoń swoją. Przegrała walkę i zaniósła się szlochem.

Zamiast podać chusteczkę sam otarł kobiecie oczy.

- A teraz zdradziłam - wymamrotała.

- Kogo, Ricki?

- Swoją rodzinę. Właśnie skłamałam, wcale nie rozmawialiśmy o pożarze. Nie wolno nam było o tym mówić. Nigdy.

- Nakaz rodziców?

- Niewypowiedziana zasada, poruczniku. Po prostu wiedziałam, że nie porusza się tego tematu. Dlatego podejrzewałam, że Desi maczał w tym palce.

- W każdej rodzinie są takie sekrety - szepnął Milo. - Ale szczerosc nie robi z pani zdrajcy. Na pewno nie teraz.

Cisza.

- Chce pani sprawiedliwości dla brata, Ricki. Czy matka i ojciec mieliby coś przeciwko temu?

Brak odpowiedzi.

- Mieliby, Ricki?

Wolny przeczący ruch głową.

- Niech mi pani powie, co wie.

- Nic nie wiem - odparła. - Tylko przeczuwam.

- Oprócz tego, że pani rodzice nabrali wody w usta, skąd te przecucia?

- Na początek przez lektury Desiego. Trzymał w pokoju te kontrkulturowe książki. Jak produkować w domu broń, jak zniknąć i ukrywać swoją tożsamość, techniki zemsty, *Książka kucharska anarchisty*. Cała półka, nad komputerem.

- Rodzice to tolerowali.

- Jak wspomniałam, kładli duży nacisk na wyrabianie sobie własnego zmysłu moralnego. Chociaż raz tata coś powiedział na ten temat. Jako strażak wierzył w prawo i porządek. Słyszałam, jak mówił, że takie książki w innych społeczeństwach zostałyby uznane za wywrotowe. A na to Desi, że te społeczeństwa zasłużyły na to, żeby zniknąć, bo bez wolności słowa nic nie ma znaczenia. Wtedy tata, że wolność słowa jest ważna, ale kończy się tam, gdzie czyjaś twarz spotyka się z pięścią. A Desi zakończył kłótnię tak jak zwykle. Zrobił się ujmujący. „Całkowita racja, tatau”. Ojciec się zaśmiał i już po wszystkim. Cały mój brat, sama słodycz. W przeciwieństwie do mnie nigdy nie marnował energii na kłótnie z rodzicami. To on był tym grzecznym dzieckiem.

- Nie buntował się wprost - podsumował Milo. - Dlatego pozwolili mu zatrzymać wywrotowe książki.

- I rozkładówki z „Hustlera”, nieważne jak mocno ginekologiczne i jak bardzo mama uważała się za feministkę. I plakat z Che i właściwie co tylko chciał. Na pewno mama i tata wyobrażali sobie, że on wyłącznie czyta te książki.

- Aż do pożaru.

- Tydzień po pożarze przyjechałam na weekend. Robiłam pranie, panna Niezależna. Rodzice poszli do pracy, ale Desi siedział w domu, więc zapukałam do jego pokoju. Otworzył dopiero po dłuższym czasie. Nie wydawał się zachwycony moim widokiem, żadnej serdeczności. Dziwne, bo najczęściej się ściskaliśmy. Ale tym razem stał zaczerwieniony, jakbym mu coś przerwała. W pierwszej chwili pomyślałam, że chłopak dojrzeża, więc... wie pan, o co mi chodzi?

- Te rozkładówki z „Hustlera”.

- W końcu miał siedemnaście lat. - Spasowała. - Potem zobaczyłam, że zrobił całkowite przemeblowanie, nawet łóżko przestawił. Zawsze dbał o porządek, ale nie aż tak obsesyjnie. W pokoju było o wiele mniej rzeczy. Wszystkie książki zniknęły, a zamiast plakatu z Che wisiało zdjęcie łosia w lesie. Rzuciłam jakąś dowcipną uwagę o wystroju wnętrza. Spytałam, czy został gejem. Zamiast się zaśmiać, stał jak posąg. Potem odsunął mnie od drzwi. To znaczy dał krok do przodu, więc musiałam się cofnąć. Zamknął pokój, razem poszliśmy do kuchni i tam stał się znów dawnym Desim, uśmiechniętym i zabawnym.

- Skupił się na pani zamiast na swoim pokoju - podsunąłem.

- Świetnie mu to wychodziło, traktował cię jak pepek świata, później o coś prosił, a ty się zgadzałaś bez wahania.

- Rozmawiała pani o pożarze?

- Nie z Desim, tylko z mamą. Zrobiła dziwną minę, zmieniła temat. Cały tamten weekend wydawał się dziwny.

- Wszyscy troje byli podenerwowani.

- Czuję się jak ktoś obcy. Ale na początku niczego nie podejrzewałam. Zaczęłam kojarzyć dopiero, kiedy się dowiedziałam, że Desiego i jego znajomych przesłuchiwała policja.

- Czy pani była przesłuchiwana?

- Nie, i nic bym nie powiedziała. Zresztą nie miałam nic do powiedzenia.

Zmiała chusteczkę, rozpostarła palce i patrzyła, jak papier się otwiera niczym kwiat rozkwitający w zwolnionym tempie.

- Czy Desi trzymał w swoim pokoju coś podejrzanego oprócz książek? - spytałem.

- Jeśli tak, to nic o tym nie wiem. Zamykał drzwi na klucz

- Chronił swoją prywatność.

- Jasne, jak każdy nastolatek. Myślałam, że to przez te wszystkie dziewczyny, które sprowadzał. Czy Doreen też? Prawdopodobnie, bo przychodziło ich tyle, że mógłby tam sobie zamontować drzwi obrotowe. I nie, moi rodzice się temu nigdy nie sprzeciwiali. Desi puszczał muzykę, żeby zagłuszyć odgłosy, ale czasami łóżko ostro stukalo o ścianę. Mama i tata tylko oglądali telewizję albo czytali, udawali, że nie słyszą.

- Czyli rodzice często woleli nie widzieć różnych rzeczy.

- Chce pan powiedzieć, że przez to łatwiej było im kryć syna, kiedy zrobił coś naprawdę złego? - Długi wydech. - Może.

- Kiedy FBI przeszukało Desmonda, zaczęła się pani zastanawiać - podjął wątek Milo.

- FBI? FBI naprawdę pojawiło się u nas w domu?

- Tak, Ricki. Rozmawiali z państwa rodzicami i z Desim.

- Nie do wiary... wiedziałam tylko o udziale policji. Przeczytałam o tym w „Daily”, uniwersyteckiej gazecie. Że nie zrobiono żadnych postępów, ale trwają przesłuchiwania miejscowej młodzieży. I wymieniono Desiego.

- A tych dziesięć lat włączę brata? - zagadnął Milo.

- Wszystko powiedziałam panu wczoraj.

- Że się bawił w hipisa.

- Retro hipisa. Oryginalni hipisi byli w pokoleniu naszych rodziców. A potem ni z tego, ni z owego ogolił brodę, ostrzygł się, kupił modne ubrania, zdał na architekturę. Pomyślałam: teraz chce budować, zamiast niszczyć.

- Pożar utkwił pani w pamięci.

- Nie żeby tamta sprawa mnie ciągle dręczyła, ale co jakiś czas do mnie wracała. Bo zginął tamten chłopak, policja podejrzewała mojego brata, a rodzice zachowywali się dziwnie.

- Domyśla się pani, jak Desi nawiązał ponowny kontakt z Doreen?

- Ani trochę.

- Nigdy o niej nie mówił.
- Nigdy nie wspominał o żadnych kobietach, poruczniku. Założyłam, że po prostu jest sobą.
- To znaczy?
- Robi swoje i nie udaje, że to coś więcej niż zabawa.
- A kobiety z lat włości?
- Nie znam. Te pięćdziesiąt tysięcy... naprawdę uważacie, że Desmond robił coś bardzo nielegalnego?
- To mnóstwo pieniędzy, Ricki.

Umilkła.

- Po pożarze przesłuchiowano także dwójkę innych dzieciaków z jego towarzystwa: Dwayne'a Parriasa i Kathy Vanderveldt. Pamięta pani coś o nich?

- Nie poznałabym ludzi, nawet gdyby pokazał pan zdjęcie. Byłam trzy lata starsza. Traktowałam kumpli Desa jak głupich dzieciaków.

- Desi dbał o zdrowie, tak? Napomknął kiedyś o wegańskiej galaretki?

- Oczywiście.

- Serio?

- A co? - ożywiła się Ricki Flatt. - Jedzenie odgrywa tu jakąś rolę?

- Wegańska galaretka to domowej roboty napalm. Mógł być użyty w pożarze w Bellevue.

Zbladła.

- O Boże.

- No i co z tą wegańską galaretką?

- Ja... nie wiem, po prostu, wymienił taką nazwę. To naprawdę...?

- Owszem.

- Słowo, sądziłam, że to potrawa, jakieś organiczne świństwo.

- Mówił o tym przed pożarem w Bellevue, czy po?

- Niech pomyślę... Desi z towarzystwem siedzieli w kuchni... przed wycieczką w teren? Chyba pakowali jedzenie, butelki z wodą. A potem ktoś, nie pamiętam kto, rzucił pytanie: „Może zapakujmy wegańska galaretkę?” I wszyscy zaczęli się śmiać.

- Doreen tam była?

- Hm... pewnie tak. A może nie, nie wiem. - Skrzywiła się. - Wegańska galaretka... teraz muszę myśleć o swoim bracie zupełnie inaczej.

Milo zamknęła hotelowe drzwi, Ricki Flatt leżała na łóżku w pozycji płodowej.

- Słodkich snów? Mało prawdopodobne.

Wróciliśmy do samochodu.

- Backerowie musieli wiedzieć, że ich synalek był zamieszany w spalenie tego domu - stwierdził.

- Ojciec strażak nie potrafił sobie z tym poradzić - dodałem.

- Desmond robi Bóg wie co przez dziesięć lat, potem postanawia zostać architektem? Co to do diabła, niszczyć i buduje, kompleks Boga?

- Albo próba pokuty.

- Pięćdziesiąt kawałków nie wskazuje na wyrzuty sumienia. Ciekawe, czy coś w San Luis zostało potraktowane wegańską galaretką, kiedy Backer studiował na politechnie.

- To rodzinne miasto Robin.

Polecilem systemowi rozpoznawania głosu „zadzwoń do ślicznotki”.

- Nigdy o niczym nie słyszałam - odparła. - Ale zapytam mamę.

Stosunki Robin z matką są, delikatnie ujmując, skomplikowane.

- Bezinteresowna służba publiczna.

Robin się zaśmiała.

- Damy radę.

- Mam u ciebie dług, mała - mruknął Milo.

- Przyniesiemy wino następnym razem, kiedy będę dla ciebie gotować.

- A co ci dałem ostatnio?

- Orchideę. Też śliczna, ale nie wolałbyś czegoś, z czego też mógłbyś skorzystać?

- Znajdź mi podpalenie rezydencji w San Luis dwa do sześciu lat temu, a przytaczam skrzynkę najlepszego pinota, jakiego znajdę.

- Trzymam cię za słowo, wielkoludzie.

Oddzwoniła trzy minuty później.

- Mama nigdy o niczym takim nie słyszała; moja przyjaciółka Rosa, też mieszkała tam całe życie i wie o wszystkim. Jeśli chcecie, poszukam w gazetach.

- Musiałbym cię wciągnąć na listę płac, skarbie.
- Tak jak grozisz, że zrobisz z Alekssem?
- Słuszna uwaga. W każdym razie to niekonieczne, sam potrafię wciskać klawisze.
- Kiedy mój niebieskooki chłopiec wraca do domu?
- W tej chwili, jeśli sobie życzysz.
- Pewnie że tak, ale nie chcę ci przeszkadzać w prowadzenia śledztwa.
- Gdybym tylko je prowadził.
- Aż tak źle?
- Hej - zawołał - chodzimy, rozmawiamy, oddychamy, nie narzekam.
- Nie lubię, kiedy tak mówisz - odparła Robin.
- Nie powinienem wpadać w filozoficzny ton?
- Nie na mojej wachcie.

Milo znów zapadł w ponure milczenie. Kiedy wróciliśmy do jego biura, rzucił kurtkę na szafkę z aktami i zaczął szukać pożarów rezydencji w całym stanie. Jakichkolwiek podpaień przez obrońców przyrody.

Długa lista.

- W tym okresie całkiem sporo dużych domów poszło z dymem... o, całe luksusowe osiedle w Kolorado... laboratorium prowadzące badania na zwierzętach... dokonali tego jacyś licealiści, szybko ich za trzymano. - Odwrócił się od ekranu. - To przypadki z całego kraju, Alex, ale ja nie widzę tu żadnej prawidłowości. A jeśli Backer był za wodowcem, można by przypuszczać, że w jego mieszkaniu pojawi się jakikolwiek materiał zapalający. Psy saperów nic nie znalazły. Co znaczy, że a) Backer projektował domy i na tym koniec, b) lubił bawić się ogniem, ale kupował sprzęt tuż przed występem, c) miał gdzieś magazyn pełen łatwopalnych gadżetów. I proszę, nie przypominaj mi o żadnym z powyższych.

Z Lancaster zadzwonił Sean Binchy.

- Cześć, poruczniku, ci dwaj złodziejaskowie mają alibi na Boro-di. Chociaż, gdyby mnie pan pytał, wciąż coś knują. Na ich podjeździe stała ciężarówka bez tablic, wyraźnie nie chcieli, żebym dokładniej się jej przyjrzał. Co teraz?

- Wracaj do domu.
- Zapomnieć o ciężarówce?

- Daj znać miejscowym i fajrant. Pozdrowienia dla żony.
- Oczywiście. Na pewno wzajemnie.

- Wyobraź sobie, jak tłumacząc to gorze - burknął Milo. - Zemsta przez *sutma interruptus*. Zakładając, że w ogóle istniała jakaś zamordowana Szwedka, że komuś zależało na niej na tyle, żeby spalić dom. Że Backer i Fredd byli w to zamieszani, ociągali się z podpaleniem i zostali wykończeni, zanim zdążyli skończyć.

- A może ktoś zgłosił w szwedzkim konsulacie zaginięcie dziewczyny - zastanawiałem się na głos.

Milo znalazł numer, odbył kulturalną rozmowę z Larsem Gustafsonem, który osobiście nie słyszał o żadnym szwedzkim obywatelu w opalach dwa, trzy lata temu, ale obiecał sprawdzić.

Milo zadzwonił do Moe Reeda.

- Złapałeś tę Indonezyjkę?

- Właśnie próbowałem się do pana dodzwonić, poruczniku. Byłem tam, kiedy zamykali, ale nie pojawiła się dzisiaj w pracy. Mam nadzieję, że rozmowa ze mną nie spłoszyła kobiety, bo nie znam nazwiska ani adresu. Głupio, co? Staralem się jej nie straszyć.

- Normalna rzecz, nie nabaw się wrzodów.

- Podskoczę tam jutro, zanim otworzą. Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

- Jedź do domu.

- Na pewno nic nie mogę zrobić?

- Prześpij się na wypadek, gdybyś mógł, Moses.

Rozłączył się i westchnął.

- Jaki dobry tatuś - cmoknąłem kilka razy.

Mrucząc coś gniewnie pod nosem, zalogował się do internetowych żółtych stron, poszukał magazynów do wynajęcia w hrabstwie L.A.; część odmówiła ujawnienia danych klientów, ale większość zaskakująco chętnie podjęła współpracę.

Telefon po telefonie Milo garbił się coraz bardziej po każdym zaprzeczeniu. Suma: żadnych magazynów zarejestrowanych na Desmonda Backera. Oczy Miła się zamknęły. Jego oddech zwolnił, zrobił się płytki, wielka głowa opadła na oparcie fotela, ręce zwisły.

Kiedy chrapanie osiągnęło poziom eksplozji jądrowej, odprowadziłem się do wyjścia.

Robin pracowała na swoim laptopie na kanapie w salonie. Blanche drzemała na otomanie - mała, beczkowata pierś unosiła się i opadała. Nie tak jak Milo, ale też sapała i pochrapywała.

Otworzyła jedno oko, uśmiechnęła się, zatoneła z powrotem w jakimś cudownym psim śnie.

Ekran wypełniały wyniki wyszukiwania Google. Słowa kluczowe „podpalenie rezydencja”.

Usiadłem. Robin mnie pocałowała i przewijała dalej.

- Bawię się w Nancy Drew. Nie wiedziałam, co ugotować. Wczorajsze czy wychodzimy?

- Wolę wyjście.

- Pokrewna dusza. W San Luis nic, ale mnóstwo fajerwerków w innych miastach. Ktoś realizuje swoje marzenia, ktoś inny nie może się doczekać, żeby je zrównać z ziemią. Jakie to wstrętne.

Wiele lat temu pewien psychopata doszczętnie spalił nasz pierwszy dom. Zbudowaliśmy nowy, zgodziliśmy się, że bilans netto wychodzi na plus, żadne z nas już o tym nie mówi. Ale przy Mulholland jest posterunek straży pożarnej, kawałek drogi na północ, a drugi na południu, niedaleko Beverly Glen i Sunset, co oznacza, że często nocną ciszę rozdzierają syreny.

Zazwyczaj upiorne wycie trwa krótko. Dotykamy się stopami, żeby wzajemnie dodać sobie otuchy, znów zasypiamy.

Czasami Robin siada, drżąca, ja ją obejmuję i wkrótce jest już poranek, kwaśny i ponury.

Zamknęła laptop, wstała, pogłaskała Blanche.

- Dobra, pójdę się ubrać.

- Chińska, włoska, tajska, indyjska?

- A co powiesz na chorwacką?

- Jaka jest chorwacka kuchnia?

- Polećmy do Zagrzebia i sprawdźmy - zażartowała. - Włoska może być, skarbie. Wszystko, byle tylko stąd wyjść. Idę się odświeżyć.

W końcu zjedliśmy rybę z frytkami w budce przy PCH w Malibu. Patrzyliśmy, jak niebo waha się między koralowym odcieniem czerwieni a lila, chłonęliśmy ostateczne przejście w indygo, kiedy słońce skończyło swoją zmianę.

Po powrocie do domu przygotowałem kąpiel. Nie mamy wanny dla dwóch osób, ale jeśli się uważa, żeby nie walnąć głową w kran, nie jest źle. Taka bliskość czasem prowadzi do czegoś więcej. Dzisiaj nie doprowadziła; poczytaliśmy, obejrzelśmy telewizję i poszliśmy spać tuż przed północą.

Kiedy obudziło mnie zwielokrotnione wycie, myślałem, że śnię. Ocknąłem się i czekałem, aż hałas ucichnie.

Świadomość tylko go wzmocniła.

- To piąta - wymamrotała Robin. - Jadą na południe.

Trzecia siedemnaście rano.

Syrena numer sześć zawyła, zadopplerowała.

- Czyjeś życie się zmieni, Alex.

Wsunęliśmy się pod przykrycie, dotknęliśmy stopami - z całych sił.

Kilka chwil później włączyłem telewizor. W bagnie reklam i powtórek badziewia, które w ogóle nie powinno trafić na antenę, zaczęliśmy szukać wiadomości. Jeśli coś ciekawego działo się w Westside, żadna ze stacji tego nie podchwyciła.

Internet owszem. Blog bieżących wydarzeń w L.A., aktualizowany w czasie rzeczywistym. Ktoś nie mógł spać i śledził częstotliwości alarmowe.

„Pożar w Holmby Hills. Niedokończona budowa”.

„Borodi Lane”.

Robin wstrzymała oddech. Przytuliłem ją mocniej, sięgnąłem po telefon, wystukałem numer komórki Mila.

- Już tam jadę - poinformował. - Zadzwoń, kiedy cię będę potrzebował.

Kiedy, nie jeśli. Ubrałem się, zaparzyłem kawę, poradziłem Robin, żeby spróbowała się jeszcze przespać.

- Tak, jasne - odparła, wieszając mi się na ramieniu.

Z kubkami w rękach wyszliśmy na frontowy taras. Ciemny poranek. Ciepło, jak na tę godzinę, ale zadrżeliśmy. Nad linią drzew niebo na południu zasłaniała szarość. Syreny ucichły do odległych mysich pisków. W powietrzu śmierdziało spalenizną.

- Złe wieści szybko się rozchodzą - powiedziała Robin.

Borodi Lane była zablokowana radiowozami i posapującymi wozami strażackimi. Jakiś mundurowy popatrzył na mnie skrzywiony, kiedy zatrzymałem się przy krawężniku, tuż za skrzyżowaniem z Sunset.

Sceptyczny telefon do Mila zaowocował niechętnym skinieniem głowy.

- Ale musi pan zostawić samochód tutaj i iść na piechotę.

Poszedłem dalej, wdychając żar, dym, chemikalia gaśnicze, smród węglowodorów kojarzący się z olbrzymią stacją benzynową. Asfalt błyszczał od wody. Radia trzeszczały i trajkotały jak sroki, wszędzie pełno czerwonych wozów i strażaków w kaskach. Dopiero po kilku kolejnych wyjaśnieniach wpuszczono mnie na działkę.

Z marzeń księcia Teddy'ego zostały czarne skarłale zgliszcza. Ziemia, gdzie nie pokrywał jej popiół, zmieniała się w zupe. Przy otwartej bramie stała biała furgonetka koronera. Łańcuch, kupiony przez Mila, leżał na ziemi oznaczony plastikowym pacholkiem dowodu rzeczowego i gładko przecięty na pół.

Strażacy wbiegali i wybiegali, a dwójka pracowników kostnicy wytoczyła zza bramy wózek z czymś małym, zbrylonym i owiniętym w folię. Rozejrzałem się za Milem, zauważyłem go obok karetki straży, w obwisłej czarnej kurtce przeciwdeszczowej, dżinsach i zabloconych adidasach. Wpatrywał się w ruiny. Po jego prawej stronie, na ziemi, na czarnej płachcie umieszczono kilka przedmiotów; w ciemności nie rozpoznałem, co to jest.

Kiedy podszedłem do niego, wyłowił maglite'a, poświecił w dół.

Częściowo stopiona szklana butelka. Sądząc po kształcie i wypalonym drucie wokół szyjki, prawdopodobnie od szampana. Pojedynczy nietknięty kieliszek do wina. Nóż do masła, z rękojeścią stopioną w bryłkę. Puszka z wymyślną etykietą.

Nachyliłem się, żeby przeczytać. „Foie Gras. Kraj pochodzenia: Francja”.

Snop światła przesunął się na rewolwer z długą lufą - wyraźny zabytek, drewniana rękojeść przepalona, grawerowany metal poczerniały.

Obok broni nożyce do drutu, mocno wypieczone.

- Ktoś urządził sobie przyjęcie - powiedziałem.

- Chyba pan Charles Ellston Rutger - odparł Milo.
- Chyba?
- Ciało jest nie do rozpoznania, ale za rogiem stoi lincoln Rutgera, a w popiele była wizytówka z litego złota, z wygrawerowanym nazwiskiem. Do tego znaleźliśmy kilka mostków dentystycznych, na wpół wypalonych, złotą spinkę od kołnierza i platynowe spinki do mankietów z inicjałami. - Zaklął. - Wyszykował się jak na bal. Dureń przeciął łańcuch, wszedł na wieżyczkę ze swoim Dom Coś Tam, zasranymi gęsiami wątróbkami i bez wątpienia innymi wiktuałami, które odparowały.
- Piknik pod gwiazdami - skomentowałem.
- Milo kopnięciem strącił grudkę błota z czubka adidasa.
- Właściciel pełną gębą. Kto wie, ile razy jeszcze tam wchodził, kiedy nie założyliśmy porządnego łańcucha. Ostrzegalem go, ale oczywiście nie posłuchał, bo jestem tępym służbistą, a on cholernym arystokratą. No i się przejechałeś, Charlie Dwa Imiona.
- Cały on. - Pokiwałem głową. - Nie zdziwiłbym się, gdyby podpalacz zobaczył przecięty łańcuch i z tego skorzystał. Jak zaczął się pożar?
- Gość od podpaleń mówi, że ktoś użył łatwopalnego materiału, prawdopodobnie na bazie benzyny, równomiernie rozłożył ładunki przynajmniej w ośmiu miejscach na całym parterze. „Doskonale przemyślane”, tak to określił.
- Na bazie benzyny jak wegańska galaretka?
- Smak miesiąca. Sąsiedzi słyszeli tylko jedną eksplozję, cała ta ruderka zajęła się ogniem jak rozpalka, więc wygląda to na jeden zapalnik. Mogło dojść do katastrofy, gdyby mocniej wiało i płomienie przeskoczyły na sąsiednie drzewa. To, że działkę wykarczowano do gołej ziemi, akurat wyszło tu na dobre.
- Parter się zapala, ogień strzela przez wszystkie otwarte przestrzenie, tlen go podsyca. Tymczasem Rutger tkwi na górze, bo schody się spaliły.
- Nawet gdyby ocalały, nic by to nie zmieniło, Alex. Dół zajął się tak nagle i intensywnie, że nie było szansy ucieczki. Rutger pije szampana, obzera się, nikt mu nie mówi, co ma robić. I została z niego grzanka. Cofnij. Skwarki.
- Przysadzisty siwowłosey mężczyzna w żółtym kasku, niebieskiej policyjnej wiatrówce i dzinsach podszedł do nas, wycierając umorusaną spoconą twarz.

- Trochę tu jeszcze pobędziemy, Milo. Możesz jechać, chyba że chcesz się rozejrzeć.

- Lepiej ty to zrób - odparł Milo. - To jest doktor Delaware, nasz psycholog konsultant. Doktorze, kapitan Boxmeister z zespołu podpaleń.

- Don - przedstawił się Boxmeister. - Uściskałbym panu rękę, ale mam brudną. To dopiero było ognisko. Przypomina mi dżunglę, wiesz jaką, Milo, co? Wegańska galaretka, dawno o tym nie słyszałem, działa jak napalm. Zajmiesz się morderstwem, żebyśmy mogli się skupić na podpaleniu? Oczywiście to nie wyklucza współpracy.

- Może być, Don - zgodził się Milo. - Ta federalna, o której wspominałem, mówiła, że wegańska galaretka to hit wśród ekoterrorystów.

- Kiedyś tak, Milo, ale teraz na Zachodnim Wybrzeżu ci wariaci trochę przycichli, nie licząc okazjonalnych pogroźek wobec prowadzących badania na zwierzętach. W zeszłym roku mieliśmy tylko amatorski pożar w jednym z laboratoriów na uniwerku i złapaliśmy durnia. Pracował tam, zmywał podłogi, nie był związany z żadną grupą. Taki pański klient, doktorze. Palant myślał, że uwolnił małe Miki, ale skończył z mysim flambe i poparzeniami trzeciego stopnia obu rąk. Moim zdaniem tu jest spokój, bo nikt nie oczekuje, że w Holmby, czy Beverly Hills, czy Bel Air będą piękne domy. Gdyby zacząć eliminować ostentacyjnie obrzydlistwa na Żółtym Wybrzeżu, zostałaby pustynia Gobi.

- Ugryź się w język, Don.

Boxmeister się wyszczerzył, wyciągnął notes i długopis.

- Powiedz mi jeszcze raz, który nafciarz był właścicielem tego grilowiska.

- Książę Tarik ze Sranilu. To nie Bliski Wschód, tylko Azja, blisko Indonezji.

- Sprawdzę. Czyli myślisz, że wasze pierwsze ofiary też zamierzały puścić ten przybytek z dymem, ale ktoś im przeszkodził. Ich wspólnik dokończył robotę i przy okazji usmażył tego... jak mu tam? Rutgera.

- Mniej więcej, stary.

- Polityka. Kiepsko. Słuchaj, wołałbym się z tym nie afiszować. Sąsiedzi jeszcze by pomyśleli, że Al-Kaida czai się pod ich kortami.

- Słusznie - przypomniał Milo. - Zwłaszcza że mamy tylko domysty.

- Jak leżały zwłoki? - zwróciłem się do kapitana.

- Nie było żadnych zwłok, doktorze. Tylko kości, popioły i parę płytek z zębów.

- Ogień je poruszył?
- Boxmeister się zastanowił.
- Tak wysoko, raczej nie.
 - Gdzie w wieżyczce je znaleziono?
 - Na samym środku.
 - Nie w pobliżu schodów?
 - Czy próbował uciekać? Nic na to nie wskazuje.
 - Cichy zabójca - stwierdziłem. - Rutger niczego się nie spodziewał.
 - Albo wiedział, ale nic nie mógł poradzić. Nie trafiliśmy na żadne ślady komórki.
 - Telefon przetrwałby wybuch? - spytał Milo.
 - Jakaś jego część prawdopodobnie tak - odparł Boxmeister. - Coś ci powiem, przyjrzę się składowi tej puszki z wątróbką. Zbieram każdą rzecz, która wytrzymała coś takiego.
- Podniesiony damski głos sprawił, że wszyscy trzej się odwrócili.
- Młoda brunetka wskazała Mila. Szczupła, długowłosa ta co pilnowała domu rodziców i widziała Doreen Fredd na Borodi.
- Amy... Thal. Była ubrana w czerwony, jedwabny szlafrok, narzucony na piżamę, i kudłate kapcie. Protestowała przytrzymywana przez policjantkę.
- Milo podbiegł, przeprosił za mundurową, wrócił z Thal. W świetle mocnych reflektorów jej piegi wyglądały jak kropki Braille'a.
- Don, to jest panna Thal, współpracująca sąsiadka. Amy, to kapitan Boxmeister z zespołu podpaleń.
 - Podałbym pani rękę, ale jest brudna - wyrecytował znów Boxmeister.
- Amy Thal pomasaowała ramię po uścisku policjantki.
- Próbowałam jej wytłumaczyć, że pana znam, i mam coś do powiedzenia. Nie jestem gapiem, mieszkam, kurczę, tuż obok.
 - Przepraszam - powtórzył Milo. - Co się stało, Amy?
 - Widziałam jeszcze jedną kobietę, której nie rozpoznałam. Wczoraj, przebiegała tędy co najmniej trzy razy. - Powąchała spalone powietrze. - Co tu się dzieje, poruczniku?
 - Niech mi pani opowie o tej kobiecie.
 - Blondynka, długie włosy, niezłe ciało. Wyglądała jak biegaczka, wtedy nie zwróciłam na nią większej uwagi, ale teraz się zastanawiam.

Biegała w tę i z powrotem. A po co, skoro jest tyle ciekawych tras? Wystarczy minąć Posiadłość Playboya albo dawny dom Spellinga, albo wybrać się na Comstock i pohasać po parku. Po cholere tak krążyć tutaj. To podejrzane, prawda?

- Przebiegała trzy razy - podjął Milo.

- Tak, a może więcej. Leżałam w salonie na kanapie, czytałam. Zazwyczaj jest tu bardzo cicho i spokojnie, więc zauważa się każdy ruch. Wczoraj widziałam olbrzymiego kojota. Spacerował sobie, jakby cała ulica należała do niego.

- Było w niej coś dziwnego?

- Wydawała się spięta. Ale biegacze tacy są, prawda? Wtedy zupełnie mnie nie interesowała. Teraz jednak... Co myślicie?

- Myślimy, że jesteśmy wdzięczni za pani zgłoszenie, Amy.

Boxmeister kiwnął głową.

- A jak wyglądała?

- Czarne trykoty, goły brzuch, sportowy stanik. Niezła twarz, przynajmniej z daleka. Może prawdziwe cycki, trudno powiedzieć.

- Jaka blondynka? - spytał Milo.

- Ultra - odparła Amy Thal.

- Platynowa?

Potaknęła.

- Długie i lśniące włosy, i bez kucyka, jaki zazwyczaj wiążą dziewczyny, kiedy idą biegać. Powiewały na wietrze. Jakby się chwaliła „spójrzcie, są taaaakie jedwabiste”. Skojarzyła mi się z taką komedią, tata je uwielbiał, mama zawsze się wkurzała, bo uważała, że on nie ogląda ich ze względu na dowcipy. *Szwedzka Drużyna Bikini*. Sprzedawały chyba piwo czy coś takiego.

- Old milwaukee - odpowiedział Don.

- Może, byłam mała - ciągnęła Amy Thal. - Tata za nimi przepadał. Ta dziewczyna właśnie z tym mi się skojarzyła. Dobra, lecę zadzwonić, powiem rodzicom, żeby dalej się cieszyli swoim Paryżem.

Milo po raz kolejny podziękował Amy. Niespodziewanie ścisnęła jego nadgarstek, odwróciła się i poszła.

- Niezły tyłek - mruknął Boxmeister - Chętnie policzyłbym jej te piegi. Szkoda że informacje, jakie sprzedała, są bezużyteczne. Jakaś laska biega po Holmby, co za szok.

- Don, dziewczyna, którą księżę podobno załatwił, pochodziła ze Szwecji.

- Och... - Boxmeister uśmiechnął się ze wstydem. - Cofam, kasuję. Nasz podpalacz to damulka szukająca osobistej zemsty? W takim razie jak się do tego mają wasze dwie pierwsze ofiary?

- Mogły też być w to zamieszane. Szwedka wynajęła ich, oni zginęli, ona postanowiła dokończyć robotę.

- Uważasz, że przez nią zginęli? Trochę to słabe.

Milo nie odpowiedział.

Boxmeister klepnął go w plecy.

- Spójrz na to z drugiej strony, fajnie, kiedy podejrzany jest przyjemny dla oka. Ale na wypadek, gdyby Blondi nic nie łączyło z tą sprawą, będę działał po staremu. Poszukam w aktach jakichś zawodowych podpalaczy wypuszczonych niedawno po odsiadce albo na warunkowe. Dam ci znać, gdy coś znajdę. Ty w razie czego, jeśli namierzysz Anitę Ekberg, też od razu do mnie dzwoń.

Patrzyliśmy, jak odchodzi.

- O której dyplomaci przychodzą do pracy? - zwrócił się do mnie Milo.

25

Szwedzki konsulat wynajmuje pomieszczenia na szóstym piętrze wieżowca przy Wilshire, niedaleko Westwood. Asystent konsula Lars Gustafson był już za biurkiem o ósmej trzydzieści, zdziwił go telefon od Mila, ale zgodził się spotkać za godzinę.

- Przed wejściem, poruczniku, dobrze? - W głosie słaby akcent.

- Dlaczego nie możemy wejść na górę?

- Skorzystajmy z ładnej pogody.

- Jak pana poznam?

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby wyglądać na Szweda.

Milo się rozłączył.

- A niech to, już myślałem, że obejrzę sobie ich meble. Założę się, że nie są z IKEI.

Byliśmy na miejscu o dziewiątej dwadzieścia pięć, patrzyliśmy, jak drzwi obrotowe wchłaniają ludzi w oficjalnych strojach.

Cztery minuty później ze środka wyszła większa grupka. Mężczyzna, który został pod drzwiami, miał około trzydziestki. Wysoki, atletycznie zbudowany, ubrany w dopasowany brązowy garnitur, żółtą koszulę, buty w kolorze toffi.

Jasnowłosa i niebieskooki, ale włosy miał kręcone, skórę w kolorze mlecznej czekolady, rysy masajskiego wojownika.

- Pan Gustafson?

- Lars. - Energiczne potrząśnięcie dłoni, dyplomatyczny uśmiech wyćwiczony na konferencje prasowe i obiady z eleganckimi starszymi paniami. - Przejrzałem dokumenty, poruczniku. Nie mieliśmy żadnych zgłoszeń ze strony szwedzkich obywateli, w kraju ani tu, dotyczących zaginionych osób lub zabójstw. Znalazłem sprawę z udziałem Dunki, która rzekomo zaginęła w San Diego. Kobieta znalazła się jednak i zagadka została rozwiązana. Trójkąt miłosny, bez udziału rodów królewskich, muzułmańskich czy innych, dzięki Bogu.

- Niepokoi pana ten islam.

Gustafson się uśmiechnął.

- Ależ skąd, jesteśmy neutralni. Duńczycy, z drugiej strony... pamięta pan te rysunki z Mahometem?

- To dlatego nie chciał nas pan przyjąć w biurze?

- Nie, nie, broń Boże, panowie. Proszę wybaczyć, jeśli wydałem się mało gościnnie, ale konsul generalny uważa, że obecność policji może utrudnić nam pracę.

- Codzienne podbijanie wiz.

Gustafson wciąż się uśmiechał, ale już bez przekonania.

- Staramy się być pomocni, poruczniku. W przyszłym tygodniu przyjmujemy na kolacji ponad dwadzieścioro laureatów Nagrody Nobla. Tak czy inaczej wszystko już powiedziałem. Powodzenia.

Milo wyjął notes.

- A jakieś szczegóły sprawy tej Dunki?

- Nazywała się Palma Mogensen. Pracowała jako au pair u rodziny w La Jolla, kiedy poznała amerykańskiego marinę w Oceanside. Niestety była już zamężna z Duńczykiem i kiedy przestała odpowiadać na e-maile, on tu przyjechał.

- Zrobił awanturę?

- Och, nie. Porozmawiali we troje i para wróciła do Kopenhagi.
- Pełna kultura - stwierdził Milo.
- Staramy się, poruczniku.
- Wy i Duńczycy.
- My wszyscy, którzy musimy sobie radzić z wieczną nocą. To rozwija cierpliwość.

Gustafson ruszył z powrotem do drzwi, udało mu się wśliznąć do środka bez zatrzymywania mechanizmu.

- Szwedzi, Duńczycy... - mruknął Milo. - Czas na ciastko.

Znaleźliśmy kawiarnię w Village. Dla niego dwie drożdżówki i czekoladowa ekierka z kremem, dla mnie kawa. Później wróciliśmy na parking posterunku.

- Jogging, sportowy stanik... - rozmyślał głęboko. - Zapowiada się kolejny zmarnowany dzień.

Mylił się.

Na komputerze - kartka z wiadomością. Ledwie czytelne gryzmoły. Milo zmrużył oczy, założył okulary do czytania. Zmarszczył czoło.

- Teraz to pani Holman prosi o spotkanie. - Wystukał numer. - Tu porucznik Sturgis, dostałem pani... o czym? Doprawdy. Zechce mi pani powiedzieć... Jasne, możemy się spotkać, ale gdyby najpierw... wydaje się pani zdenerwowana, tak, oczywiście, że jesteśmy wdzięczni za podpowiedzi, za trzydzieści, czterdzieści minut, pasuje?... W takim razie dobrze. Na pewno nie może pani nic...? W porządku, już jadę.

Odłożył słuchawkę na widelki, jakby była ze szkła.

- Bardzo zdenerwowana architektka, a po głosie sądząc, pokręcioną ginem.

- Wie coś o pożarze?

- Tak twierdzi, ale nie chce nic zdradzić. Chyba powinienem zadzwonić do Boxmeistera. Chyba nie zadzwonię.

Kolejny piękny dzień pośród kanałów.

Marjorie Holman czekała na ganku, w czarnym swetrze i spodniach. Wyglądała jak modelka reklamująca ekskluzywny dom opieki.

Obok niej stał wysoki, siwowłosy chudy mężczyzna z bródką, około siedemdziesiątki. Czarny garnitur i golf wisały na nim jak na wieszaku.

- Wybierają się na pogrzeb czy co? - mruknął Milo.

Ani śladu profesora Neda Holmana.

Jego żona pomachała do nas ze zniecierpliwieniem. Faust w czerni ani drgnął, nawet kiedy stanęliśmy pół metra od niego. Oczy miał niebieskie, znużone spojrzenie. Ręce jak patyki, długa szyja, spiczasty nos

- kojarzył się z czapłą.

- Judah Cohen - przedstawiła go Holman. - Mój były partner.

Ochrypli głos, niewyraźne końcówki, które Milo wychwycił przez telefon.

- Panie Cohen.

- Poruczniku. - Mężczyzna wbił wzrok w deski podłogi.

- W czym problem, pani Holman?

Wskazała kciukiem.

- W środku.

Na parterze ani śladu męża, ani wózka.

- Z profesorem Holmanem wszystko w porządku? - spytał Milo.

- Z Nedom? Jest u lekarza, na badaniach okresowych. Wynajmuję specjalistyczny transport, bo nigdy nie wiadomo, ile to potrwa.

Pomaszerowała do zlewu, naląła sapphire do szklanki i nasypała kostek lodu.

- Ktoś się dołączy? Judah, co powiesz? Glenlivet?

- Nie dzisiaj, dziękuję. - Cohen usiadł na skraju miękkiej kanapy. Zmienił pozycję, splótł dłonie na kościstym kolanie. Sądząc po jego wzroku, żadna pozycja nie byłaby dla niego wygodna.

Holman wróciła z drinkiem, usiadła obok dawnego partnera.

- Judah i ja podejrzewamy, że Helga miała coś wspólnego z poza rem.

Cohen się skrzywił.

Nie uszło to uwagi Holman.

- Chcesz dokończyć, Judah?

- Dobrze ci idzie, Marjie.

- Czyli jesteś ze mną?

- Tak.

- Świetnie, w takim razie dalej. Jak mówiłam za pierwszym razem, Helga nas wykołegowała. Namówiła, żebyśmy rzucili bardzo intratne posady pod pretekstem tworzenia przełomowej pracowni ekologicznej architektury. Twierdziła, że jej ojciec jest bogatym przemysłowcem, po-

siada kompanię żeglugową, że pieniądze nie są problemem. Okazały się jednak bardzo poważnym problemem. Bo Helga tylko gadała, nie wywiązała się z obietnicy finansowania firmy. Na początku Judah i ja byliśmy zdezorientowani. Teraz sprawa staje się jasna: Helga nigdy nie miała żadnych poważnych zamiarów. Potrzebowała nas tylko do kamuflażu.

- Czego? - spytał Milo.

- Zaraz do tego dojdę. - Holman wypila spory łyk ginu. - Muszę mówić po kolei, poruczniku... Gdzie to ja...? Podstęp... któregoś dnia oznajmiła, że finanse nie wypaliły, że rozwiązuje firmę, wraca do Niemiec, miłego dnia. - Odwróciła się do Cohena.

- Lekki szok - powiedział.

- Zawsze uważałam cię za mistrza niedopowiedzenia, mój drogi. Zasadniczo Helga wykorzystywała nas jak głupców, którymi najwyraźniej jesteśmy.

- Nie ma sensu się zadrećzać - wtrącił Cohen. - Miała wiarygodne referencje i konkretną wiedzę techniczną.

- Była inżynierem, Judah, bez krzty kreatywności.

- Nieważne, wstępny projekt przedstawiła sensownie, pod względem zarówno struktury, jak i koncepcji.

- Galeria Kraeker - rzucił Milo.

Oboje architekci popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan o tym wie? - spytała Holman.

- Od Helgi.

- Naprawdę? W takim razie was też oszukała. Tak, to prawdziwa galeria i tak, faktycznie robią przetarg na dużą rozbudowę. Ale Helga nie złożyła oferty, a oni o niej nigdy nie słyszeli.

- Kiedy się państwo dowiedzieliście?

- Kilka dni temu, poruczniku, gdy stało się jasne, że Helga nie zamierza nam zrekompensować poświęconego czasu i utraty zatrudnienia w poprzednich firmach.

- Nie możemy jej znaleźć - dodał Cohen. - A raczej nasz adwokat nie może.

- Niech pan nie pyta, dlaczego nie sprawdziliśmy jej dokładniej - powiedziała Holman. - Partnerstwo jak małżeństwo opiera się na zaufaniu.

Milo nawet nie mrugnął. Założyłbym się, że pomyślał o motelach przy Washington Boulevard.

- Chociaż mówiła prawdę o swoim wykształceniu - ciągnęła Holman - to całkowicie kłamała w innych sprawach.

- Na przykład?

- Po pierwsze, nie pochodzi z Niemiec, tylko z Austrii. A jej ojciec nie jest magnatem żeglugowym, lecz bankierem.

- Gemein to jej prawdziwe nazwisko?

Niechętne potwierdzenie.

- Co powinno nas ostrzec, to jej podejście do ekologii: nienawiść do ludzkości zamiast dbania o planetę. Ta kobieta to totalny mizantrop, z biegiem czasu coraz swobodniej prezentowała swoje opinie o tym, - jak proces ewolucji się załamał z chwilą nastania ludzi. Jak to *homo sapiens* naruszył równowagę przyrody, że światu przydałaby się porządna epidemia albo wojna światowa. Takie mowy wygłaszane przez osobę o niemieckim pochodzeniu są szokujące. - Znow odwróciła się do Cohena.

- Dość niepolityczne - przytaknął.

- Moglibyśmy porozmawiać o pożarze? - spytał Milo.

- Chwileczkę. - Holman uniosła dłoń. - Muszę opowiadać logicznie, żebyście panowie zrozumieli, że nie jesteśmy tylko dwójką rozczarowanych malkontentów. O czym to ja... kłamstwa Helgi. Adres w L.A., który nam podała, jest fałszywy. Dowiedzieliśmy się tego, kiedy próbowaliśmy dostarczyć jej pozew.

- Pozwolicie ją państwo.

- Oczywiście, do diabła. Alienacja w środowisku, zerwanie kontraktu i co tylko nasz prawnik zdoła wymyślić.

- Gdzie był *ten* fałszywy adres?

- W Brentwood. Helga nigdy nas do siebie nie zaprosiła, ale uważaliśmy, że po prostu interesują ją wyłącznie sprawy zawodowe, i chcieliśmy stworzyć coś ważnego. Zgadza się?

Cohen kiwnął głową.

Holman dokończyła drinka, wróciła do kuchni, nalała sobie następnego. Cohen popatrzył na nią ze smutkiem.

- Może przyda się panom informacja, że Helga zatrudniła Desa Backera przed rozmową z nami - odezwał się po chwili. - Przedstawiła go jako wschodzącą gwiazdę, na którą trafiła, szukając młodych architektów z ekologicznymi referencjami. Sprawdziliśmy te referencje. Pierwszy z grupy, profesorowie nie mogli się go nachwalić. Kiedy jed-

nak nasz adwokat się z nimi skontaktował, okazało się, że żaden nigdy nie rozmawiał z Helgą ani też nie dawał Desowi listów polecających. Czyli znalazła go inaczej.

- Patrząc z perspektywy czasu - włączyła się Holman - widać j asno, że Des nie miał dorobku. - Uśmiezek. - W dziedzinie architektury.

- Prawnicy wysłali człowieka, żeby przejrzał biurowe komputery - ciągnął Cohen. - Des oglądał dużo pornografii, odwiedzał też różne niepokojące strony. Co doprowadza nas do pożaru.

- Strony podpalaczy? - spytał Milo.

- Ekoterrorystów. Pamiątkowe zdjęcia zdemolowanych domów i laboratoriów, fora dyskusyjne ludzi, którzy uważają, że cel uświęca środki.

- Będziemy potrzebowali tych komputerów.

- Przykro mi, ale to my ich potrzebujemy - oznajmiła Marjorie Holman. - Adwokat polecił nam umieścić wszystkie meble i komputery w magazynie, żeby wykazać, że Helga całkowicie opuściła biuro.

Kryminalne przebija cywilne, ale Milo nie naciskał.

- Te strony...

- Zostały wysłane do Helgi. Nie mieliśmy pojęcia, że tych dwoje łączy coś poza firmą. Przeciwnie, Helga twierdziła nawet, że nie lubi Desa.

- Chociaż go zatrudniła?

- Była dobra w kategoryzowaniu rzeczy i ludzi - powiedział Cohen.

- Akceptowalny służbowo, nieakceptowany osobiście? - dociekał Milo.

- Jakie „osobiście”? - zaprotestowała Holman. - Ta kobieta to zimnokrwisty gad. Tak samo obrzydliwa jak jej wizja ekologii.

- Przykra prawda jest taka - wyjaśnił Cohen - że w środowisku obrońców przyrody istnieje silny nurt mizantropiczny. Ale to pogląd mniejszości, a Helga doprowadziła go do ekstremum.

- Epidemie i wojny.

- Des wysyłał jej jpegi spalonych domów, a ona jemu LOL-e i uśmiezki. - Holman aż się wzdrygnęła. - Wychwalała „selektywną pirotechnikę” jako narzędzie „biologicznego oczyszczenia”.

Milo kazał jej to powtórzyć, zapisał w notesie.

- Co zaskakujące, Des podzielał punkt widzenia Helgi. - Cohen pokręcił głową. - A wydawał się taki towarzyski i ludzki. Rozmawiał o swojej siostrzenicy, chciał zbudować dla niej lepszy świat.

- Ona jest zdolna do wszystkiego - stwierdziła Holman. - Pewnie zabiła Desa, tak dla kaprysu. A rriozę miał spalić tamten dom, stchórzyl, a ona go straciła za zdradę ojczyzny czy coś tam.

- Kim jest państwa adwokat? - spytał Milo.

- Manny... Emmanuel Forbush - odparła Holman.

- Forbush, Ziskin i Shapiro - uzupełnił Cohen. - Oto ich numer.

- Dziękuję panu. Co jeszcze?

- Tyle nie wystarczy? - zdziwiła się Holman.

- To dobry początek, pani Holman...

- W takim razie proszę zaczynać. Niech pan zgniecie tę sukę i wyświadczy światu przysługę.

Robiła postępy w pijanym belkocie. Wzięła kolejny duży haust, wyłała troszkę ginu na kolana. Cohen podał jej chusteczkę. Nie skorzystała, napiła się jeszcze.

- Domyśla się pani, gdzie jest Helga? - spytał Milo.

- Może w Szwajcarii?

- Czemu tam?

- Bo stamtąd przyjechała.

- Myślałem, że to Austriaczka.

- Urodziła się w Austrii, ale jej rodzina przeniosła się do Sza... Szwajcarii, jej ojciec prowadzi tam bank. Manny ustalił to bez trudu.

- Zna pani nazwę tego banku?

- A skąd?

- GGI-Alter Privatbank, Zurych - wyrecytował Judah. - Adres to *postfach*, czyli skrytka pocztowa.

Holman spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Powinieneś wystąpić w *Milionerach*.

- Bank bez biura? - zdziwił się Milo.

- Na pewno mają biuro - odparł Cohen - ale może zajmują się tylko inwestycjami, nie są zainteresowani klientami z ulicy. Według Emanuela Forbusha w Zurychu to nic niezwykłego. Wysłał tam kilka listów poleconych, ale jak dotąd nie otrzymał odpowiedzi. Uważa, że pozew cywilny potrwa lata, musimy się uzbroić w cierpliwość. O ile zdecydujemy się walczyć.

- Och, zdecydujemy się, pewnie - zawołała Holman.

Cohen się nie odezwał.

- Potrwa lata - powtórzył Milo. - Chyba że Helga zostanie powiązana ze sprawą o zabójstwo.

- To kryminalistka - wrzasnęła Holman. - Złapcie tę dziwkę, zanim zaplecie włosy w warkocze, włoży spodenki i zniknie w krainie kukulek i czekolady.

Milo wstał.

- Właśnie. - Holman potarła dłonie. - Pora brać się do roboty.

- Powodzenia - dodał Judah Cohen.

26

W samochodowych głośnikach zagrzemiał baryton mecenasa Emmanuela Forbusha.

- Spodziewałem się pana telefonu. Domyślam się, że chodzi o komputery.

- Przydałyby się, proszę pana.

- Nie ma problemu, poruczniku, wpadnijcie po nie, kiedy wam wygodnie. Oczywiście zachowamy kopie wszystkich danych. Nie sądzę, żeby wam to przeszkadzało. Zresztą bez naszej pomocy wciąż błędzilibyście po omacku.

- Ukrywanie dowodów w sprawie kryminalnej przysporzyłoby kłopotów, panie Forbush.

- O ile byście się dowiedzieli.

- Dziękuję za wotum zaufania, mecenasie.

- Nie, nie, ja nie... Zależy mi tylko, żeby nie ucierpiała nasza sprawa cywilna.

- Naprawdę pan uważa, że ten pozew jest wart zachodu?

- A czemu nie?

- Po prostu stawka nie wydaje się warta takiego wysiłku.

- Cóż, to proszę zostawić mojej ocenie.

- Oczywiście.

- Poruczniku, nie chcę się z panem kłócić. Przepraszam, jeśli zareagowałem zbyt szorstko.

- Wszystko w porządku, panie Forbush. Wyślę dzisiaj jakiegoś detektywa po te komputery.

- Świetnie. A co u Marjie?

- Przed chwilą patrzyłem, jak wypija dwa mocne drinki i chyba nie pierwsze od rana.

Forbush zacmokał z dezaprobatą.

- Zawsze miała z tym problem, biedaczka.

- Przyjaźnicie się?

- Ned i ja znamy się od dawna, grywaliśmy w squasha. Cholernie wysportowany człowiek, taka tragedia. Marjie nie było lekko, zwycięstwo dobrze by jej zrobiło. Dlatego właśnie przyjąłem tę sprawę.

- Przyjaciele w potrzebie - podsumował Milo.

- Tylko to się liczy - odparł Forbush.

Milo się rozłączył. Zaśmiał.

- Jeden z dawnych kumpli Neda od squasha. Powinienem go zapytać o obecny wystrój pokojów moteli przy Washington Boulevard. Wziął sprawę, żeby pościel nie wystygła. Cohen załapał się przy okazji, wyduszą ugodę, dla niego to forsa za nic. Czyli teraz muszę badać ślepe zaułki na Sranilu i w Zurychu też.

- Może dopisało ci szczęście i Helga ciągle jest w L.A. - powiedziałem. - Albo była dziś rano.

- Nie rozumiem?

- Jest ładną, dobrze zbudowaną kobietą po trzydziestce o nordyckich rysach. Zakryj wygoloną czaszkę platynową peruką i każdy świadek skupi się tylko na tym, że to blondynka.

- Biegaczka od Amy Thal. - Milo pokiwał głową. - Faktycznie, ma w sobie coś z walkirii.

- Nie Szwedka. Szwajcarka. A jeśli informatorka Reeda prawie trafiła?

- Widziałeś jedną Europejkę, to jakbyś widział wszystkie. W tym dziewczynę, którą Teddy rzekomo wykończył. - Milo potarł twarz. - Jego ofiarą była siostra albo bliska przyjaciółka Helgi. Gemein przyjeżdża do L.A. się zemścić, zakłada lewą firmę dla niepoznaki, szuka Teddy'ego. Próbuje ustalić jego miejscowy adres. Przez Backera poznaje Doreen na jakimś anarchistycznym forum i każe dziewczynie przejrzeć pliki Mastersona.

- Pragnęła zabić Teddy'ego, ale odkryła, że książę jest poza jej zasięgiem na Sranilu, ukrywa się w pałacu albo nie żyje. Dlatego postanawia spalić mu dom. Daje Backerowi i Fredd pięćdziesiąt tysięcy, żeby się tym zajęli.

- Trochę przepłaciła, Alex.

- Jeśli liczyła, że Teddy nie żyje, przerwanie mu *sutmy* mogło być dla niej emocjonalnie kuszące. Sułtan to religijny człowiek, więc myśl, że jego brat wisi na wieki wieków w czyścicu, byłaby mu niemiła.

- Wpieprzasz się w moją rodzinę, ja się wpieprzę w twoją? Kiedy Backer i Fredd odpadli, Helga sama jedzie na miejsce, postanawia zrobić to na własną rękę?

- Może przyjechała rano z własnymi nożycami do drutu, zobaczyła, że brama jest otwarta, i po prostu weszła.

- W tym czasie Rutger wchłania bąbelki i wątróbkę, żeby łatwiej się zając ogniem... W takim razie kto zabił Backera i Doreen? Mordercy sułtana czy Helga, bo dowiedziała się od nich, jak robić wybuchy i uznała, że są zbędni?

- Jeśli Helga brała w tym udział, nie wyobrażam sobie, żeby działała sama. Sterroryzowanie dwojga ludzi w pojedynkę byłoby niełatwe, nawet dla silnej kobiety z pistoletami. A zgwałcenie Doreen lufą po prostu nie pasuje.

- Każdy mówi, że ona nienawidzi ludzi, Alex.

- Mimo wszystko. Tam aż śmierdziało facetem.

- Helga jest bardziej społeczna, niż się wydaje, ma kolegę? Albo ta cała teoria to jeden wielki domek... rezydencja z kart.

Zadzwoił do kapitana Dona Boxmeistera z zespołu podpaleń, zostawił mu wiadomość. Potem skontaktował się z agentką specjalną Gayle Lindstrom i streścił sytuację. Poprosił, żeby poszukała czegoś o Heldze Gemein.

- To obywatelka szwajcarska czy austriacka? - spytała Lindstrom.

- Dla mnie to różnica taktyczna.

- Z jednymi i drugimi mamy umowy o ekstradycji, Gayle.

- Tak, ale ze Szwajcarami jest o wiele trudniej. Wyszarpnięcie ich obywatela to droga przez piekło.

- Nie wiem, kto jej wystawił paszport.

- Tak czy inaczej, może jej już tu nie być - odparła Lindstrom.

- Albo właśnie siedzi w terminalu międzynarodowym, Gayle. Wyślabyś więc paru waszych gości w ciemnych okularach z krótkofalówkami, co?

- Sprawdzę lotniska od razu po naszej rozmowie. W tym prywatne czartery, skoro jej ojczulek to bankier. Podaj mi nazwę banku.

Milo przekartkował notes.

- GGI-Alter Privatbank.

- Brzmi elegancko - uznała Lindstrom. - Jak tylko zgarniesz komputery, pamiętaj, żebym dostała pełną kopię twardych dysków.

- Zrobi się i nie ma za co, agentko Gayle. A ty, gdy dotrzesz do informacji o paszporcie Helgi czy czegokolwiek innego, od razu dzwoń.

- Zrobi się i nie ma za co. Pozdrowię od ciebie Hala.

- Twoje telefony odbiera, tak?

- Cóż, kobiecy urok.

Sean Binchy został wysłany po komputery.

Moe Reed odebrał telefon, czujny i skupiony.

- Jestem po drugiej stronie ulicy, moja informatorka przyszła rano do pracy, ale była w grupie innych dziewczyn i nie mogłem jej odizolować. Niedługo powinna wyjść na obiad.

- Nie trać czasu na subtelności, Moses - poradził Milo. - Po prostu weź ją na bok. Muszę wiedzieć, czy na pewno chodziło o Szwedkę. Nawet jeśli powie, że tak, to spytaj, czy to mogła być Szwajcarka. Wy tłumacz dlaczego.

- Blondynka to blondynka, co? - powiedział Reed. - Złapię ją, jak tylko się pokaże, poruczniku.

Wyszukiwanie po hasłach „ggi alter privatbank zurych gemein helga i rodzina” się opłacało.

Między niemiecko-, francusko- i włoskojęzycznymi stronami firmowymi tkwiło pojedyncze zdjęcie sprzed sześciu lat. Jedno z wielu zrobionych na balu charytatywnym, podczas którego zbierano fundusze na wystawę sztuki offowej w Galerii Kraeker. Przedstawiało wypielęgnowanych, dobrze ubranych ludzi w czarnych frakach i sukniach.

Jedna miniatura po prawej. Milo powiększył ją do rozmiarów trzy na trzy centymetry. Bankier George Gemein, jego żona Ilse, córki Helga i Dahlia.

Oboje rodzice w okularach, prości jak trzciny, poważni. Helga podobnie, posłuszne dziecko. Nawet ze złotym kokiem uczennicy i w błękitnej sukience z koronkowymi wykończeniami wydawała się ponura, niezadowolona.

Dahlia Gemein wyglądała na kilka lat młodszą od siostry. Niższa bardziej zaokrąglona, z wyraźną opalenizną, miała burzę popielatoblonde włosów i szeroki uśmiech. Buntując się przeciwko rodzinnemu dbaniu o dobrą postawę, wysunęła biodro i pochyliła się, ryzykując, że obfity biust wypadnie z czerwonej jak krew obcisłej sukni. Upięściennie palce trzymały nóżkę kieliszka z koktajlem błękitnym jak kobalt.

Jedyna z Gemeinów przyłapana z alkoholem, wyodrębniła się także fizycznie, stojąc pół kroku od reszty.

Klan. I mutacja.

Milo zalogował się do bazy danych Krajowego Biura Informacji Kryminalnej, poszukał „dahlia gemein”, nie znalazł nic ani tam, ani w bazie osób zaginionych, ani nigdzie indziej. Ale sieć wypłuła kolejne zdjęcie, z tego samego roku co gala w Kraekerze, zrobione na przyjęciu z okazji wydania płyty rapera o ksywie ReePel. Klub w Malibu, Broad Beach. Słyszałem o tym miejscu. Zamknięto je po nawale skarg sąsiadów.

Na tej fotografii Dahlia Gemein miała na sobie różowe bikini i stała między dwoma mężczyznami w kąpielowych szortach w kwiaty: honorowego gościa, otylego i z włosami zaplecionymi w warkoczyki i muskularnego Azjaty o dziecinnej twarzy, podpisanego jako Teddy K.M.

Milo machnął pięścią w powietrze. Przekartkował swój notes i krzyknął:

- Ja cię, kręcę Alex. K.M., czyli Tarik Ku'amah Madzur. Wreszcie coś prawdziwego. - Przyjrzał się fotce. - laka dziewczyna to nie wyrzutek, ktoś musiał zgłosić jej zaginięcie. W takim razie czemu nie figuruje w bazach danych?

- Może ktoś zapomniał wpisać.

- Ludzki błąd? Daj spokój.

Telefon do Osób Zaginionych. Niestety nikt nigdy nie informował o zniknięciu Dahlii Gemein. Kolejne rozmowy to samo. Milo się zgarbił.

- Równie dobrze mogła wcale nie zaginać. Ona i Teddy zakochali się w sobie, wróciła z nim do Sranilu, żyje jak księżniczka i tyle z motywu Helgi.

Zadzwoił do Moe Reeda.

- Twoja informatorka już wyszła?
- Jest ze mną, poruczniku. Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

27

Ati Meneng była drobna, śliczna, przerażona.

Wyglądała na dziesięć lat mniej niż dwadzieścia dziewięć podane w prawie jazdy. Zajmowała tak mało miejsca, że Milo posadził ją w swoim pokoju i miał jeszcze wolną przestrzeń.

Standardowe kalifornijskie prawo jazdy, żadnych specjalnych konsularnych przywilejów. Przepisywała dokumenty w sekretariacie.

Jej cynamonowy kostium zakrywał wszystko oprócz dłoni i twarzy. Mimo ciepła w pokoju drżała. Przekrzywiła głowę, lśniąca tafla czarno-błękitnych włosów na wpół zasłoniła twarz.

- Wciąż nie rozumiem, co tu robię.
- To, co pani powiedziałem, Ati. Pomaga nam pani, a my jesteśmy bardzo wdzięczni - wyjaśnił Milo.

- Nie potrafię wam w niczym pomóc.

Podjechał bliżej ze swoim fotelem.

- Nie musi się pani stresować.

Siedziałem tuż pod otwartymi drzwiami, za mną stał Moe Reed. Młody facet ze słabością do aqua velva. Mój ojciec używał jej codziennie, kłął, kiedy alkohol rozpałał skaleczenia po goleniu się po pijaku.

Jeśli Reed oddychał, nie słyszałem tego.

- Mogę mówić pani po imieniu? - spytał Milo.

Mruknięcie zza zasłony włosów.

- Słucham?

- Jak pan chce.

- Dzięki, Ati. Po pierwsze, bardzo nam przykro, że musieliśmy cię zabrać w środku dnia pracy, ale to śledztwo w sprawie morderstwa. W razie czego porozmawiam z twoim szefem.

- Nie, nie. Nic nie wiem o żadnym morderstwie. - Krystaliczny głos, bez śladu akcentu.

- Od kiedy mieszkasz w L.A., Ati?

Włosy odplynęły jak gliceryna na szkle, odsłaniając idealny owal twarzy, o wydatnych wargach, zdominowany olbrzymimi czarnymi oczami.

- Całe życie.

- Gdzie się wychowałaś?

- W Downey.

- Jak zaczęłaś pracować w konsulacie?

- Dali ogłoszenie w indonezyjskiej gazecie. Potrzebowali kogoś, kto zna duński, moi rodzice w domu mówią po duńsku.

- Jak długo tam pracujesz?

- Jakies dziewięć miesięcy.

- A przedtem?

- W różnych miejscach.

- Na przykład?

- Czemu to ważne?

- Próbuję cię tylko lepiej poznać, Ati.

- Po co?

Milo trochę się odsunął.

- Przynieść ci coś do picia?

- Nie, dziękuję.

- Opowiedz mi o swoich poprzednich pracach.

- Głównie dorywcze.

- Nie lubisz być uwiązana niczym stałym?

- Na dorywcze miałam czas, kiedy chodziłam na castingi.

- Jesteś aktorką?

- Tak mi się wydawało.

- Nie poszczęściło się, co?

Odrzuciła czarne włosy.

- Zagrałam w paru reklamówkach w azjatyckiej kablówce. Myślałam, że mogę pracować jako modelka, ale uznali, że nawet w modzie dla drobnych się nie sprawdzę.

- Ciężka sprawa z tymi castingami - powiedział Milo.

- Każda głupia myśli, że da radę.

- Dahlia też?

Zmysłowe wargi rozchyliły się, odsłaniając białe zęby, śliskie od śliny. Brązowe dłonie dziesięcioletki mocno się spłotyły.

- Znaleźliście ją? - spytała Ati Meneng.
- Zaskoczona?
- Po prostu nie sądziłam, że tak się stanie.
- Dlaczego?
- Takim ludziom różne rzeczy uchodzą na sucho.
- Jakim ludziom?

Cisza.

- Takim jak księżę Teddy? - naciskał Milo.

Długie, wolne potaknięcie.

- Dopiero później usłyszałam, kto to jest.
- Jak Dahlia go poznała?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Przyjaźniłyście się, ale nie wiesz?

- Nie wiem dokładnie. Dlatego w ogóle z wami rozmawiam. Bo mi zależy, naprawdę była moją przyjaciółką.

- Opowiedz wszystko, Ati.

- Moi rodzice nie mogą się dowiedzieć - zastrzegła. - Myśla, że zawsze pracowałam w biurach.

- W porządku, nie powiem, obiecuję.

Milczenie.

- Robiłaś inne rzeczy niż prace biurowe - podjął Milo.

- Nie dostawałam żadnych prac biurowych, więc się zarejestrowałam na stronie... Azjatyckie Laleczki. To nie to, co się wydaje... po prostu kontaktowali przyjezdnych biznesmenów z młodymi kobietami o nienagannej prezencji, które potrafią się zachować w towarzystwie.

Zabrzmiało to jak bezpośredni cytat.

- Żeby się poczuli jak w domu - dodał Milo.

- Głównie to Japończycy - ciągnęła Ati Meneng. - Japonki miały pierwszeństwo, ale jak ich brakowało, brali wszystkie dziewczyny. Najczęściej byli sympatyczni. Ci faceci. Starsi.

- Najczęściej.

- Nigdy nie miałam żadnych problemów. Totalnie pozytywne doświadczenie. Uczciwa firma. Mae Fukuda umarła parę lat temu, jej dzieci nie chciały dalej prowadzić interesu. Niektóre takie firmy są świńskie. Dlatego pracuję w konsulacie, strasznie się nudzę.

- Azjatyckie Laleczki - powtórzył Milo. - Dahlii to chyba nie obejmowało.

- Ona nie musiała pracować, miała kupę forsy. - Spuściła wzrok na podłogę. - Poznałyśmy się na imprezie. Potem zaczęłyśmy się spotykać. Zabierała mnie w różne fajne miejsca.

- Czyli?

- Sale VIP w klubach, prywatne imprezy. W Playboy Mansion. Niesamowite bibki. Hefa nie było, udostępniał swój dom na cele charytatywne. Pływałyśmy w Grocie.

- A konkretnie gdzie poznałaś Dahlię?

- W klubie w Chinatown.

- W którym?

- U Madame Chiang.

- Hill Street, w dużej galerii, zgadza się? - powiedział Milo. - Na dole spora restauracja, na górze sala bankietowa.

-Aha.

- Świetne *dim sum* na lunch. Zwinęli się parę lat temu.

- Skoro pan tak mówi.

- Co tam robiłaś, Ati?

- Urządzili przyjęcie firmowe. Jubilerzy. Poszłam z biznesmenem z Kambodży. Podarował mi złoty łańcuszek. Głównie rozmawiał z kolegami po fachu, a ja mogłam robić, co chciałam.

- Kto jeszcze brał udział w tym przyjęciu?

- Ormianie, Izraelczycy, Chińczycy, Persowie. Paru białych. Organizował biały. Z biura burmistrza. Witał branżę jubilerską w L.A.

- Co sprowadziło tam Dahlię?

- Towarzyszyła jednemu z białych. Sprzedawał zegarki.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam. Starszy, siwe włosy, gruby. Szwed, tak samo jak ona.

- Dahlia powiedziała ci, że jest Szwedką?

- Aha.

- Tak naprawdę była Szwajcarką.

Olbrzymie czarne oczy powiększyły się do kreskówkowych rozmiarów,

- Tak, o właśnie. Pewnie uważacie mnie za idiotkę.

- Nietrudno się pomylić - uspokoił Milo.

- Dahlia nie lubiła o tym mówić. Że jest Szwajcarką.

- Dlaczego?

- Twierdziła, że to nudne miejsce, dlatego czasami kłamała, że pochodzi z innego kraju.

- Na przykład?

- Nie pamiętam. Może ze Szwecji i stąd mi się to wzięło. Że jest Szwajcarką, zdradziła mi dopiero po dłuższym czasie. Faceta, z którym wtedy się pojawiła, zna podobno ze Szwajcarii. Powiedziała, że to duży producent zegarków, znajomy rodziny, bo jej ojciec zbierał zegarki. Podobno miał ich setki w małych pudełkach, a te się ruszały, żeby nakręcić mechanizm. Przyszła z nim na przyjęcie z uprzejmości. Z tym od zegarków.

- Jako ozdoba.

- Wszystkie byłyśmy ozdobami. Faceci rozmawiali o interesach, dziewczyny zostały same i dużo nas zebrało się przy barze. Tam poznałam Dahlię. Zamówiłyśmy drinki. Ona taki dziwny, jasnyniebieski. Zażartowała, że wygląda jak płyn do zmywania. Zaśmiała się. Zaczęłyśmy rozmawiać. Zanim wyszła, zaproponowała, żebyśmy się spotkały, i dała mi swój numer.

- Polubiłyście się.

- Jasne. Dahila to chodząca radość - odparła Ati Meneng. - Bogaczka, ale nie robiła z tego wielkiego halo. Nawet o tym nie wiedziałam, dopiero jak się dłużej znałyśmy.

- Jak się dowiedziałaś?

- To znaczy już wcześniej podejrzewałam, bo nie pracowała i jeździła porsche boxerem, fajnym, takim małym, czerwonym. Upewniłam się, kiedy zabrała mnie do siebie do domu. Bardzo ładnego, wykończonego. Powiedziała, że dostała go od rodziców, bo jej nienawidzą.

- Ciekawy sposób okazywania nienawiści - skomentował Milo.

- Na pewno wcale jej nie nienawidzili, chodziło jej o to, że potrzebowali od siebie odpocząć.

- Miała z nimi problemy.

- Nie lubiła o tym gadać, wspomniła tylko, że są strasznie religijni i konserwatywni. Wysyłali ją do katolickich szkół, ona ciągle uciekała, do Niemiec i Francji, włóczyła się po klubach, poznawała facetów. Nigdy nie poszła na studia, jak jej siostra, i to ich wściekało. Lubiała tylko jeździć na nartach, pływać, podróżować pociągami i imprezować. Kiedy im oznajmiła, że chce zobaczyć Hollywood, ucieszyli się, że mogą się pozbyć wyrodnej córki. Kupili jej dom. Dla niej to znaczyło: „Nie wracaj tak długo, jak chcesz”.

- Jak się z tym czuła?
- Śmiała się z tego. Cała Dahlia. Powtarzała, że dojrzałość jest mocno przeceniana.
- Jak długo się przyjaźniłyście?
- Pół roku? Może trochę dłużej? Nie imprezowałyśmy aż tak często, bo musiałam pracować. Czasami do mnie dzwoniła, najczęściej czekała, aż ja zadzwonię, i jeśli miała czas, szłyśmy gdzieś. Płaciła platynowymi kartami. Bardzo hojna, ale ja tego nie wykorzystywałam. Jej towarzystwo dawało mi okazję się wystroić. Pokazać z najlepszej strony, rozumie pan? - Jej oczy zwilgotniały.
- Co jeszcze powiedziała o swojej rodzinie?
- Tylko tyle.
- Czy mówiła, skąd ojciec wziął tyle pieniędzy?
- Pewnie. Prowadził bank, który należał do jego rodziny od pokoleń.
- Ile miała rodzeństwa?
- Tylko siostrę. Starszą. Podobno mądrzejszą i poważniejszą. Studiowała architekturę czy coś takiego.
- Jak się między nimi układało?
- Nigdy się na nią nie żaliła, rzadko poruszała temat siostry. W ogóle mało mówiła o siostrze.
- Czyli rodzice kupili jej dom, a ona uznała, że chcą, aby trzymała się od nich z daleka.
- Radziłam, żeby do nich zadzwoniła, spróbowała odnowić kontakty. Bo ja tak zrobiłam. Mój ojciec jest bardzo staroświecki. Pragnął, żebym wyszła za Indonezyjczyka, siedziała w domu i wychowywała dzieci. Kiedy dostałam się do reklam, w ogóle ich nie oglądał. Ale teraz się dogadujemy.
- Czy Dahlia posłuchała twojej rady?
- Jeśli tak, nigdy nic nie powiedziała.
- Jak poznała księcia Teddy'ego?
- Z początku nie orientowała się, że to księżę.
- Dowiedziała się dopiero, jak zaczęli się spotykać.
- Aha. Chyba chciała go mieć całego dla siebie.
- Więc gdzie się poznali?
- W Le Beverly, to hotel w Beverly Hills, mały, z zewnątrz wygląda jak zwykły dom z mieszkaniami. Dahlia miała wejściówkę do

prywatnego baru na drugim piętrze. Zostałam umówiona na imprezę, ale facet odwołał, więc się nudziłam. Zadzwoiłam do Dahlii, a ona: „Jedźmy do B.H., zabawimy się”. Była tam już wcześniej. Zorientowałam się, bo barman znał jej drinka: blue lagoon, mieszają go ze specjalnym likierem niebieskim. Dahlia lubiła jego smak, ale głównie używała go jako dodatku.

- Do stroju?

- Miała takie niesamowite niebieskie oczy; nosiła kolory, które to podkreślały, najczęściej czerwony i żółty. Ale też trochę niebieskiego, tu i tam. Śmiała się, że blue lagoon działa jak biżuteria, zwraca uwagę ludzi na jej oczy. Taka była. Artystyczny talent. W domu trzymała mnóstwo swoich obrazów. Wszystkie niebieskie, faliste wzory. Jak ocean.

- Czyli ty i Dahlia siedziałyście w prywatnej sali w Le Beverly - podsumował Milo.

- Piłam mojito, a Dahlia blue lagoon. Po drugiej stronie sami Azjaci, grali w trik-traka. Dahlia zażartowała: „Zabieram cię w takie świetne miejsce, żebyś się rozerwała, a tu tak samo jak w pracy”. Wybuchnęliśmy śmiechem. Wtedy jeden z nich podszedł. Przez chwilę myślałam, że nas usłyszał i się wkurzył. Ale on powiedział: „Kobiety są piękne, kiedy się cieszą. Jeśli zgodzicie się do nas dołączyć, będę niezmiernie dumny”. Coś w tym stylu, trochę sztywno. Z akcentem, ale dało się go zrozumieć. Pomyślałyśmy, że to jakiś asystent; najniższy z nich wszystkich, nie najprzystojniejszy i najgorzej ubrany. Pozostali dwaj byli młodszy, wyższy, bardzo ładnie zbudowani, w garniturach od Zegny. Później się dowiedziałam, że to jego ochroniarze, a on zagadał do nas sam.

- Książę Teddy.

- Przedstawiał się jako Ted. Nie poznałby pan, że to ktoś ważny, miał na sobie sweter i dżinsy. I wyglądał strasznie młodo. Dahlia rzuciła: „Jasne”, wstałyśmy i ruszyłyśmy za Tedem. Nie pytała mnie, ale to nic, najczęściej pozwalałam jej podejmować decyzje. To dzięki niej w ogóle tam trafiłam.

- Czyli dołączyłyście do księcia i jego ochroniarzy.

- Myślałyśmy, że to po prostu trzech facetów. Zamówili jedzenie z baru i parę drinków, odłożyli trik-traka. Żaden nie zachowywał się nieprzyjemnie. Było miło i kulturalnie. Nikt by nie powiedział, że ci dwaj to goryle.

- Nie zgrywali twardzieli.
- Skąd! Zwyczajni kumple na wspólnym wyjściu.
- Bogaci kumple.

Zamrugła.

- Tak, chyba tak, skoro bawili się w prywatnej sali. Ale nie dlatego Dahlia do nich poszła, pieniądze nie robiły na niej wrażenia, miała własne. Najzwyczajniej na świecie wydał się jej niezły, uroczy i inteligentny. Tak, potrafił rozmawiać o różnych rzeczach.

- Na przykład?
- O przyrodzie, podróżach... Właściwie nie słuchałam.
- Dahlia później ci opowiedziała - domyślił się Milo.

- Następnego dnia rano. - Ati Meneng zacerwieńnięła się. - Tak, no dobra, pojechała z nim do domu. Ale nie żeby mnie wystawiła. W toalecie spytała, czy mi to nie będzie przeszkadzać, jeśli z nim się ulotni. On chciał się zabawić, ona też. Upierała się, że zostawi mi pieniądze na taksówkę. Miałam rano casting.

- Czy to dla Dahlii typowe? Że zabierała się z mężczyznami, których dopiero poznała?

Czarne oczy zaiskrzyły.

- Nie była dziwką.
- Oczywiście, że nie. Chodzi o to, czy szybko podejmowała decyzje.

- Nie - zapewniła gwałtownie Ati. - Tańczyła z facetami, całowała się z nimi na parkiecie, nawet... czasami zamykała się w prywatnym pokoju dla VIP-ów. Ale nie widziałam, żeby wyszła z jakimś na cały wieczór. Nigdy.

- Musiała bardzo polubić Teddy'ego.

- Kiedy zaczęli się spotykać, prawie straciłam z nią kontakt. Ale każdy ma własne życie.

- W końcu zdradziła ci, kim on jest.

- Chyba... parę tygodni później, nie pamiętam. Nie widziałyśmy się dość długo, a ona nagle zadzwoniła, żeby się zobaczyć. Prosiła, żebym przyjechała do Spago. Uważała, że to zabawne.

- Co?

- Że facet, którego brałyśmy za asystenta, okazał się członkiem jednej z najbogatszych rodzin na świecie. Po prostu nie lubił się stroić. Czasami wynajmował tani samochód, jeździł do McDonalda i jadł cheeseburgery. Następnego dnia siedział w swoim gulfstreamie, to

odrzutowiec, i leciał, dokąd chciał. Ona też nim latała. Podobno w środku cała maszyna jest odszykowana w czarne drewno...

- Dokąd zabierał Dahlię?

- Głównie do Vegas, ale raz na Hawaje. Lubił hazard. Dahlii przeszkadzało tylko to, że przy nim nie mogła pić. Muzułmanin, rozumie pan?

- Nie pił tamtego wieczoru w Le Beverly?

- Dietetyczną colę - odparła. - Ale nie świrował na tym punkcie. To znaczy na punkcie religii. Dahlia uważała, że jest fajnym małym facecikiem. Tak go nazywała. „Mój fajny mały facecik”.

- Jakież problemy były w ich związku?

- Bywał mrukliwy, denerwował się, ale bez obaw, był już członkiem... - Zaczerwieniła się, zasłoniła twarz włosami.

- Czego? - spytał Milo.

- To tylko taki dowcip.

- O czym?

Cisza.

- Do jakiego klubu należał Teddy? - spytał Milo.

Włosy opadły.

- Trzech P. Ale to żart. Dahlia mówiła, że to jedyna droga do serca mężczyzny. Trzy P: podkarmiać, pochlebiać, pieprzyć. Niech pan tego nie zapisuje, nie chcę, żeby moi rodzice to przeczytali.

- Widzisz tu gdzieś papier i długopis, Ati?

Pokręciła głową.

- Po prostu zależy mi na dyskrecji.

- Czyli Dahlia się nie skarżyła, że Teddy był wobec niej agresywny czy brutalny?

- Nigdy.

- Jedynie mrukliwy i się łatwo denerwował.

- Żadnych odpałów, zwykły facet,

- Ale powiedziałaś detektywowi Reedowi, że coś jej zrobił.

- Bo tak uważam.

- Uważasz?

- Nie mogę tego udowodnić, ale...

- Podejrzewasz.

Przytaknęła.

- Dlaczego, Ati? To ważne.

- A zrobił to?

- Nie wiemy. Pomóż nam.
- Wciągnęła powietrze, powoli je wypuściła.
- Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, miała z nim wyjechać. Obiecała, że jak wróci za kilka dni, to się spotkamy. Ale już więcej się nie odezwała, a kiedy ja do niej zadzwoniłam, numer był wyłączony. W domu nikogo nie zastałam.
- Dokąd się wybierała z Teddym?
- Do niego - odparła.
- Do Sranilu.
- Zmarszczyła brwi.
- Rodzice mi opowiadali o tej wyspie. Dziwne miejsce. Pełno tam barbarzyńców. Indonezja nie jest zacofana, Sranil nigdy nie wszedł w jej skład. Teddy'emu też się tam nie podobało, jeździł po pieniądze i wracał mieszkać z Dahlią. Już budował dom. Chciał być nowoczesny i żyć nawet z białą kobietą, uwolnić się spod presji brata.
- Dahlia ci to wszystko powiedziała.
- Tak.
- Może postanowiła zostać tam z Teddym.
- Wykluczone. Dlatego właśnie wiem, że coś się jej stało. Na sto procent planowała powrót. Już się umówiliśmy, że gdzieś wyskoczymy, jak wyląduje z powrotem w Stanach.
- Zgłosiłaś jej zaginięcie?
- Nie zaginęła, była z nim.
- Podejrzewałaś, że coś jej zrobił.
- Na początku tak nie sądziłam. Ja tylko... nie wiem, może to jego brat... ale bałam się wychylać. To sułtan, kto by mi uwierzył? - Spojrzała na Reeda. - Prawie o wszystkim zapomniałam, a później pan się pojawił i coś jakby zaskoczyło mi w głowie.
- Powiedziałaś detektywowi Reedowi o Szwedce, ale nie podałaś imienia Dahlii.
- Ja... nie byłam pewna. Nie rozmyślałam o tym cały czas. Kiedyś tak. Potem przestałam. Aż tu nagle on się pojawił... niepotrzebnie w ogóle się odzywałam.
- Nie, nie, bardzo dobrze zrobiłaś, Ati. Naprawdę jesteśmy wdzięczni. Co jeszcze?
- To wszystko.
- Dahlia zdecydowanie zamierzała wrócić do L.A.

- Ułożyłyśmy sobie nawet plan spotkania. Najpierw na wyprzedaż do Barney'sa i na lunch do knajpy na lotnisku Santa Monica, bo to niedaleko. Potem na obiad do Ivy, nie na plaży, do tej przy Robertson. A na koniec potańczyć. Ale ona nie wróciła. Zostawiła samochód i swoje rzeczy.

- Pojechałaś do niej, bo się martwiłaś.

Łzy zmieniły czarne oczy w mokre kamienie.

- Dzwoniłam i dzwoniłam. Komórka wyłączona, internetowy komunikator nie działa, w domu ciemno. Zaczęłam się zastanawiać. Miły facet, owszem, ale tak naprawdę go nie znałam. I przypomniałam sobie, co mówili moi rodzice.

- O Sranilczykach.

- Zabobonni wieśniacy. Kanibale, rytuały...

- Można się przestraszyć - przyznał Milo.

- Bardzo, więc wyrzuciłam to z głowy. Skontaktowałam się z jej rodzicami, ale nie wiedziałam, jak. Doszłam do wniosku że jeśli Dahli długo nie będzie, to coś zrobią.

- Chociaż chcieli się jej pozbyć.

- Pewnie tylko tak gadała. Przecież rodziny się wspierają. Dahlia mówiła, że mimo że są różne, kochają się z siostrą.

- Z tą poważną siostrą?

- Podobno zamierzała zostać zakonnica, potem skończyła architekturę, budowała domy.

- Skoro o domach mowa - podchwycił Milo. - Pamiętasz adres swojej przyjaciółki?

- Nie, Dahlia zawsze mnie zawoziła i odwoziła do domu. Lubiała jeździć bardzo szybko. Opowiadała, że w Niemczech nie ma ograniczeń prędkości; pruła tam dwieście na godzinę.

- W jakiej dzielnicy jest ten dom?

- W Brentwood.

- Potrafiłabyś go znaleźć?

- Pewnie.

Milo wstał.

- No to ruszajmy.

- Teraz?

- Nie przychodzi mi do głowy lepszy moment, Ati.

Dom, na którego widok Ati Meneng zawołała „To ten!”, był minikolonialnym budynkiem wciśniętym między dwa o wiele większe śródziemnomorskie. Dwadzieścia minut jazdy z posterunku, ładna część Brentwood, krótki spacer do Country Mart.

Symetryczna, parterowa fasada przykryta białymi deskami. Witrażowe okna, szare od firanek, z bokobrodami czarnych okiennic. Nad czerwonymi drzwiami świetlik. Trawnik nieduży, przystrzyżony, podjazd nieskazitelnie czysty.

Dwie przecznice dalej pusta działka - ten adres Helga Gemein podała swoim partnerom jako swoje miejsce zamieszkania.

- Jesteś pewna, Ati? - spytał Milo.

- Absolutnie. Pamiętam te drzwi. Mówiłam Dahlii, że czerwone drzwi w Azji mogą oznaczać szczęście. Zaśmiała się: „Nie potrzebuję szczęścia, jestem śliczna”.

- Dobrze, dziękujemy za pomoc. Detektyw Reed cię odwiezie.

Ati odwróciła się do Reeda.

- Może mnie pan podrzucić do mojego samochodu albo pójść ze mną coś zjeść. Zadzwoń do pracy i powiem, że zachorowałam.

- Jak pani chce - odparł beznamiętnie Reed.

- Aż mi w brzuchu burczy. A i tak pewnie na mnie nawrzeszcza.

Milo sprawdził adres. Podatki płaciło Towarzystwo Finansowe Oasis, firma inwestycyjna z Provo w Utah. Zadzwoił i wydobyl ostrożne potwierdzenie, że właścicielami są „zagraniczni obywatele, którzy pragną zachować prywatność”.

- Szwajcarzy czy Azjaci? - spytał Milo.

- Słucham?

- Skąd oni są?

- To ważne?

- Panie Babcock, prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Ofiarą jest Dahlia Gemein.

- Gemein - powiedział kontroler. - A więc już wiecie.

- Rozumiem więc, że to Szwajcarzy.

- Ode mnie pan tego nie usłyszał.

Milo się rozłączył.

- Tatko Gemein płaci za willę dwa lata po zniknięciu córki - zdziwiłem się. - Chyba że to rodzinny domek wczasowy na Zachodnim Wybrzeżu, czyli starsza siostra też tu mieszka.

- Trochę za słodki i za tradycyjny dla Helgi - uznał Milo. - Ale jeśli ojciec reguluje rachunki, pewnie jest elastyczna.

Włożył rękawiczki, podbiegł podjazdem, zerknął w okna. Poszedł do garażu i spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte, ale udało mu się podnieść je na kilka centymetrów, zajrzeć przez szparę.

Wstał i otrzepał ubranie.

- Małe czerwone porsche boxer, czerwony motocykl, chyba kawasaki. Ciekawe, czy krążył po Borodi albo w pobliżu.

Zadzwoił do Dona Boxmeistera, przekazał mu informacje.

W samą porę; zespół od podpaleń akurat przepytywał sąsiadów i na dzień przed pożarem widziano czerwony motocykl. Trzy przecznice na zachód od Borodi, zaparkowany wbrew przepisom na wyjątkowo ciemnym odcinku ulicy. Facetowi, który zauważył, nie chciało się tego zgłaszać. Druga rewelacja Boxmeistera dotyczyła materiałów dowodowych. Wstępna analiza osadów znalezionych w zgliszczach potwierdziła użycie wegańskiej galaretki, a wypalone przewody świadczyły o zastosowaniu elektronicznych zapalników czasowych.

Milo powtórzył Boxmeisterowi historię Ati Meneng, potem się rozłączył i spojrzął na wewnętrzną stronę okładki swojego notesu, gdzie trzyma listę, której nie chce mieć na komputerze: numery telefonów sędziów skorych do współpracy. Za każdym razem, kiedy zakłada nowy notes, skrupulatnie je przepisuje.

Przesunął palcem po kolumnie drobnego pochylonego pisma.

- To pana szczęśliwy dzień, sędzio LaVigne.

La Vigne był akurat u siebie w gabinecie i Milo zaatakował go na całego. O jasnowłosej joggerce opowiedział więcej, niż wynikało z faktów; czerwone kawasaki nazwał „stuprocentowo solidnym dowodem rzeczowym”. Podkreślił żywiołową nienawiść Helgi Gemein do ludzkości oraz jej wykrety podczas przesłuchania. Dodał sugestie o powiązaniach z międzynarodowym terroryzmem, może nawet z neonazistami.

- Otóż to, wysoki sędzie, jak Baader-Meinhof*. Czyli w tym domu, a właśnie na niego patrzę, prawdopodobnie trzyma się broń, materiały wybuchowe, zapalniki do bomb. I niewykluczone że to wszystko zostało użyte w podpaleniu i wielokrotnym morderstwie. Do tego podejrzana mogła już zniknąć. Naprawdę potrzebujemy ten nakaz natychmiast.

Doprawdy, przedstawienie pierwsza klasa i już po chwili Milo mrugał i pokazywał uniesiony kciuk.

- Uwielbiam tego faceta. Sam napisze nakaz, muszę tylko odebrać.

Telefon do Binchy'ego załatwił sprawę wycieczki do sądu. Sean wciąż tkwił w kancelarii Manny'ego Forbusha, i obiecał pojechać do śródmieścia, gdy tylko skończy kopiować zawartość dysków GHC.

Zaczekaliśmy na ślusarza, saperów i psy. Milowi rozładowała się komórka, więc skorzystał z mojego telefonu w samochodzie, żeby sprawdzić wiadomości. Kupa biurowego śmiecia i jedna ważna: od Chrisa Kammena z Departamentu Policji Port Angeles w stanie Waszyngton.

Bas Kammena zagrzechotał w głośnikach systemu głośnomówiącego.

- Cześć, co słyhać? O czwartej rano poszliśmy do tego magazynu. Ale pedanci! W życiu nie widziałem tak uporządkowanej sterty gratów. Dlatego z całą pewnością zaświadczam, że nie ma tam żadnych walizek pełnych pieniędzy. Ani za pianinem, ani nigdzie indziej.

- Żartujesz.

- Chciałbym - prychnął Kammen. - Na szczęście są kamery przemysłowe, które działają. Niestety, dużo nam to nie daje. O dwudziestej trzeciej czterdzięci trzy biały mężczyzna rasy kaukaskiej w ciemnej bluzie z kapturem otworzył magazyn kluczem i dziesięć minut później wyszedł z czymś, co moja babcia nazwałaby dwiema krępkimi walizkami. Robię kopię nagrania, wkrótce je dostaniesz, ale uwierz mi, guzik to da. Widać tylko rozmazane cienie; kaptur całkowicie zasłania twarz.

- Skąd wiesz, że biały?

- Po dłoniach.

- Nie zakładał rękawiczek - powiedział Milo.

- Najwyraźniej.

* Radykalnie lewicowa organizacja terrorystyczna (przyp. red.).

- Może dlatego, że jego odciski palców w składziku nie wzbudziłyby podejrzeń. Pani Flatt bardzo się denerwowała, że mąż się dowie o walizkach. Niewykluczone że je wywęszył.

- Tak też pomyślałem - odparł Kammen. - Więc pierwsze, co zrobiłem, sprawdziłem Flatta i na pewno nie on się zakradł. To wysoki gość, dwa metry wzrostu, grał w koszykówkę w naszej drużynie. Silny skrzydłowy, dobry rzut z daleka, przypominam sobie nazwisko. Porównaliśmy wzrost Zakapturezonego z wysokością bramy i on miał bliżej metra osiemdziesięciu.

- Mówisz: mężczyzna?

- A co? Namierzyles jakąś niegrzeczną dziewczynkę?

- Właśnie. Wygląda na to, że spaliła dzisiaj rano wielki dom.

- Ten, w którym wcześniej znaleźliście trupy? - spytał Kammen. - Aha.

- Ho ho. Skomplikowane to wasze L.A. O której to się zjarało?

- O trzeciej nad ranem.

- W takim razie Zakapturezony nie jest podpalaczem. Wykluczone, żeby grasował tu w okolicach północy i zdążył wrócić na czas. O tej porze żadne samoloty nie kursują bezpośrednio, a nawet jakby zdążył do Seattle, dodaj czas przejazdu, pobytu na lotnisku i ponad dwie godziny lotu. Wyślę ci taśmę, sam ocenisz, ale to facet. Chyba że wasza dziewczynka ma szerokie bary, gigantyczne dłonie i ciężki chód. - Parsknęcie śmiechem. - Chociaż, z drugiej strony, w końcu to L.A.

- Pewnie się nie mylisz - stwierdził Milo. - Ale moja podejrzana chyba dysponuje prywatnym odrzutowcem.

- Och. No tak, L.A. Mimo wszystko musiałyby się cholernie streszczać. Wiesz co, zadzwonię na lotnisko, zobaczą, kto przylatywał i wylatywał i skąd.

- Dzięki.

- Niezły numer, ktoś nas wyprzedził o włos w tym magazynie. Poszlibyśmy o normalnej porze, ale nie chcieliśmy, żeby pojawił się mąż. Nic się nie poradzi, jak bogowie nie sprzyjają. Na razie.

W samochodzie zapadła cisza.

- Dwie osoby mordują, dwie podpalają i zabierają pieniądze - podsumowałem. - Może Helga nie jest tak aspołeczna, jak twierdzi.

- Zabójczy duet Dick i Jane?

- Okrojony kwartet. Helga zapłaciła Backerowi i Fredd za spalenie budowy Teddy'ego. Dała im gotówkę, co znaczy, że całość zapłaty mogła być wyższa.

- Robota za sześciocyfrową sumę, motywacji pod dostatkiem - mruknął Milo. - Helga wynajmuje Desmonda i Doreen, ale po drodze dowiaduje się o podpalaniu wystarczająco, żeby stali się niepotrzebni, więc się ich pozbywa. Potem wysłała kumpla, żeby odzyskał forszę. Skąd znała adres skrytki?

- Takie informacje człowiek zwykle wyjawia, kiedy targuje się o swoje życie. Albo patrzy, jak jego dziewczyna jest gwałcona rewolwerem. Podobnie z kluczem do magazynu. Jeśli Backer nosił go przy sobie, było jeszcze łatwiej.

- Cholernie dużo zachodu, żeby spalić kupę desek.

Milo sięgnął w tył, wziął swoją teczkę, znalazł zdjęcie rodzinne Gemeinów.

- Helga nakłamała wszystkim, że zgłosiła się do przetargu rozbudowy Kraekera - powiedziałem. - Ta galeria coś dla niej znaczy. Założmy, że tam na balu rodzina po raz ostatni była w komplecie. Choć Helga jest zimna, kochała Dahlię. Może w ogóle tylko ją kochała. Gniew się skumulował, więc niszczyła, co się da.

- *Sutma*. Przypuśćmy, że Helga ma sekretne religijne odjazdy i podnieca ją wizja Teddy'ego, który nigdy nie trafi do raju. - Popatrzył jeszcze raz na zdjęcie. - Zobacz, Dahlia jest odsunięta od reszty.

- Ale stoi bliżej Helgi niż matki.

- Cóż, matka wygląda na tak ciepłą i serdeczną jak mrożony halibut. Ojciec, z kolei, bardziej przypomina... dorsza. A Helga to nasz rekin. - Wyszczrzył się. - Jak ci się podoba taka tania psychoanaliza? Zastanawiam się, czy plan zemsty to działka Helgi, czy przedsięwzięcie rodzinne.

- Nie możemy wykluczyć udziału rodziców, a tak czy inaczej to rodowe pieniądze fundują jej styl życia. Dahlii też, w tym dom, który jest nienagannie utrzymany. Ciekawe, czy sąsiedzi pamiętają jakichś Gemeinów.

- Zaczniemy przepytwać, gdy tylko przeszukamy dom. - Znów rzut oka na mały budynek. - Brakuje tu tylko płotku ze sztachet.

Zerknął na zegarek i zadzwonił do saperów. Już jechali ze swoim sprzętem i trzema najlepszymi psami. Mieli być za kilka minut.

Minęło piętnaście. Potem dwadzieścia pięć. Milo się wiercił, zapalił, znów zadzwonił. Jedna z nowoczesnych zabawek wymagała nagłej naprawy. Milo rzucił epitetem, wyskoczył z samochodu i zaczął po kolei pukać do drzwi. Dogoniłem go.

Dziesięć minut później trójka sąsiadów potwierdziła, że Helga Gemein mieszka w domu, ale nie widzieli nikogo innego.

- Zmienia wygląd - oznajmiła wysoka kobieta, zaciągając się różowym natem shermanem. - Jednego dnia blondynka, drugiego brunetka, trzeciego ruda. Myślałam, że to aktorka.

- Cała kolekcja peruk - sapnął Milo, kiedy wróciliśmy do samochodu. - To po cholerę w ogóle goliła głowę?

- Może to rytuał umartwiania - zasugerowałem.

- Nie nosi włosów w Wielki Post?

- Albo dopóki nie wykona zadania.

Saperzy przyjechali, obeszl dom, wrócili na ulicę. Czerwone drzwi zostały otwarte i pchnięte długą tyczką. Wszyscy się cofnęli.

Nic nie wybuchło.

Porucznik zajrzał do środka, wszedł, wyszedł i pokazał, że wszystko gra.

Do środka wpuścili psy.

Wykazywały zainteresowanie.

29

Dahlia Gemein nie było, ale w domu pozostał jej duch.

Koronkowe obrusy, pastelowe ściany, wesoła wiejska kuchnia - wyglądała, jakby nikt nigdy z niej nie korzystał. Wiklinowe stoliki zastawione słodkimi, szklanymi figurkami; wyraźne upodobanie do małek i delfinów. Pół tuzina amatorskich jasnoniebieskich abstrakcji z podpisem „Dahlia”. Zamiast kropki nad „i” małe złote słoneczko.

Szafki i szafy pełne drogich ubrań, wiele z nich z niemieckimi i francuskimi metkami. Żadnych zdjęć rodzinnych, ale dwie dziury po gwoździach w głównym korytarzu zdradzały, że coś zdjęto.

Mimo dziewczęcego wystroju dom sprawiał wrażenie pustego, tymczasowego.

Psy siadały prawie w każdym pokoju, wymuszając pięciogodzinne przeszukania, które niczym nie owocowały. Ale po odkurzeniu pustej sypialni znaleziono strzępki miedzi. Ledwie widoczne gołym okiem, drobinki metalu zostały wyssane ze szpary pod listwą przy ścianie. Technik saperów uważał, że to ścinki ze skracanych przewodów i kiedy psom naprawdę spodobało się w przyległej łazience, wezwano policyjnego hydraulika.

Nie trwało długo, zanim z wnętrza umywalki zdrapał resztki galaretowatej substancji na bazie benzyny.

- Ktoś mył z tego świństwa ręce - zaopiniował jeden z saperów. - Jak laska z tej sztuki, lady Makbet.

- To by wskazywało że nasza laska ma wyrzuty sumienia - odparł Milo. - Bardziej prawdopodobne, że chciała się porządnie domyc po ciężkim dniu pracy.

- Myślicie, że tutaj miała laboratorium?

- A wy nie?

- Spodziewałbym się więcej pozostałości, nieważne, jak dobrze by się szorowała.

- Psom się w domku podoba.

- Potrafią wywąchać pół atomu dzielone przez pierdylion. Wystarczy, że przywlokła jedną cząsteczkę, i reagują. Moim zdaniem tu raczej przychodziła z laboratorium. Na waszym miejscu szukałbym dalej. Dajcie zdjęcie podejrzanej w telewizji o szóstej i zobaczcie, czy ktoś się odezwie.

Milo zadzwonił do biura spraw publicznych.

- Coś takiego muszę załatwić z szefostwem - oznajmił tamtejszy porucznik.

- Czemu?

- Cudzoziemiec? Duża forsa? Naprawdę musi pan pytać?

Skrupulatne zdejmowanie odcisków palców i pobieranie próbek DNA przez techników potrwało do wieczoru. Dużo trafień we wszystkich spodziewanych miejscach, przynajmniej sześć różnych wzorów, ale przewaga dwóch. Gdyby Dahlia i Helga Gemeinówny zostały kiedykolwiek odnalezione, chemia potwierdzi coś, co było już wiadome.

Numery VIN boxstera i motocykla z garażu pasowały do tamtych pojazdów, które Dahlia zarejestrowała trzy lata temu. Ważność obu dokumentów wygasła. Wydział komunikacji wysłał kilka przypomnień, potem wrzucił sprawę w czarną dziurę archiwów administracji.

W nieskazitelnie czystym garażu tylko plamy oleju. Psy obeszły je bez zainteresowania.

- Gdyby chciała urządzić sobie warsztat, *to* miejsce nadawało by się idealnie - oznajmił saper. - Zdecydowanie poszukałbym gdzie indziej.

Milo z uprzejmości zadzwonił do Gayle Lindstrom, ucieszył się, kiedy włączyła się poczta. Potem do Reeda.

- Skończyłeś z Meneng?

- Już dawno i jestem na posterunku, poruczniku.

- Jak lunch?

- Zasugerowałem kawiarnię, uparła się na Pacific Dining Car przy Szóstej, nabiła osiemdziesiąt dolarów rachunku. *Surf and turf* ze wszystkimi dodatkami, ale żadnych nowych informacji.

- Spory apetyt jak na taką małą dziewczynkę.

- Prawie wszystko zapakowała na wynos, bez przerwy opowiadała, że chce być aktorką. Nic więcej.

- Dobre wieści to takie, że tak czy inaczej dostaniesz zwrot za żarcie. A złe, że to raczej wujek Milo wyłoży kasę.

- Nie ma mowy, poruczniku. To była moja decyzja.

- Jest mowa, Moses, wujek Milo dba o swoich ludzi. Druga dobra wiadomość: nie podkabluję doktor Wilkinson, że wsuwałeś steki z obcą laską.

- Piłem wodę gazowaną - sprostował Reed. - Osiemdziesiąt dolarów poszło na Meneng. Kalorii to zabrała chyba na tydzień. Co teraz robić?

- Zaczynj szukać nieruchomości należących do sułtana Sranilu. Wiemy już, że w papierach księcia nie ma nic oczywistego.

- Lokalnie czy w całym kraju?

- Zaczynj lokalnie, potem dalej. Jego Cesarska Ważniakowość na pewno ma więcej warstw kamuflażu niż Sherpa ubrań w zimie, ale musimy spróbować. Zaczynj od Mastersona. Powiedz tej jędzy, która odbiera telefony, że ktoś prześladuje ich najważniejszego klienta, ale

nie mów kto. Poza tym każ Seanowi przejechać się parę razy po Borodi i sąsiednich ulicach, na wypadek, gdyby La Łysola wróciła.

- Myśli pan, że może to podpalenie ją kręci seksualnie?
- Ludzi kręcą różne rzeczy Moses.

Wysiadł sprawdzić, jak idzie technikom. Jeszcze z godzinę. Kiedy wrócił do samochodu, zadzwonił Chris Kammen.

Żadne samoloty z południowej Kalifornii nie przylatywały wczoraj w nocy na państwowe lotnisko Port Angeles. Kammen posunął się dalej i sprawdził w SeaTac: ani jeden lot do L.A. Z Burbank czy Ontario samoloty startowały dość wcześnie, więc złodziej walizek, który wyszedł z magazynu o północy, nie zdążyłby, nie mówiąc już o jeździe samochodem do Seattle.

- Czyli na sto procent macie do czynienia z dwoma podejrzanymi, Zakapturzonego mogło do nas przywiać zupełnie kiedy indziej. To nie L.A., ale brakuje nam ludzi, żeby przeszukać wszystkie ciemne kąty. Zwłaszcza bez tego, co rada miasta nazywa wystarczającym powodem.

- Jasne - mruknął Milo. - Jak złapię podejrzanego, to się skontaktujemy.

- Hej! - zawołał Kammen. - Optymizm. Kiedyś o tym czytałem.

Kolejny telefon Milo do spraw publicznych spotkał się z krótkim: „Pracujemy nad pana prośbą” sekretarki.

- A konkretnie jak?

- Zostanie pan powiadomiony w odpowiednim czasie, poruczniku.

Milo się rozłączył.

- Pora na skok o tyczcze nad ich pustymi łbami. - Zadzwonił do zastępcy komendanta Weinberga, żeby wyprosić puszczenie w telewizji zdjęcia Helgi Gemein. Trochę okroił gadkę wciśniętą sędziemu LaVigne. Ledwie skończył pierwsze zdanie, Weinberg mu przerwał.

- Już do mnie dzwonili ze spraw publicznych. Nie pogrywaj sobie.

- Nikt mi nic nie powiedział, proszę pana.

- Najwyraźniej nie ma o czym gadać.

- Odpowiedź brzmi „nie”?

- Ty chyba sobie żartujesz, Sturgis.

- Biorąc pod uwagę, co znaleźliśmy w domu, to logiczny następny krok...

- Cudzoziemka? Z wpływowej rodziny? Chcesz, żebym straszył ludzi międzynarodowym terroryzmem na podstawie opiłków miedzi?

- Tu chodzi o coś więcej niż straszenie. Moja podejrzana zabiła już trzy osoby...

- Nie widziałem żadnych dowodów łączących ją z którymkolwiek z morderstw. Nawet z tym podpaleniem... to wszystko domysły. Biegająca kobieta? Wybacz, że mnie to nie powaliło. A nawet jeśli podłożyła tam ogień, co to tak naprawdę oznacza? Że pozbyła się paskudztwa, które kłuło w oczy sąsiadów. Opiłki z kabli i jakaś maź w rurze? Równie dobrze to może być klej, lubiła modelarstwo.

- Psy zareagowały.

- Uwielbiam psy, ale nie są nieomyślne - odparł Weinberg. - A jeśli rozlała benzynę gdy próbowała szczyścić plażową smołę? Werz mi, psy od razu by przysiadły na swoich małych tyłeczkach.

- Ale w tym wypadku...

- Nie oczekuj, że rozlepię zdjęcie tej kobiety we wszystkich wieczornych wiadomościach na podstawie tego, co mi dałeś. Nie możesz jej zarzucić nic konkretnego, a nie mówimy tu o zamachowcach-samobójcach w Disneylandzie.

- Dobra, zapomnijmy o terroryzmie, nawet o morderstwach, opiszmy ją po prostu jako podejznaną o podpalenie.

- Za mało macie, Sturgis. Poza tym, jeśli te fajerwerki to taka poważna sprawa, muszę pogadać z ludźmi od podpaień.

- Poproszą kapitana Boxmeistera, żeby...

- Jeśli będzie zadawał te same pytania, usłyszy te same odpowiedzi. Parę bąbli w rurze i opiłki kabli gównem znaczą. Daj mi odciski palców, płyny ustrojowe, coś poważnego, zanim zacznę prowokować ambasadorów.

- FBI i Departament Bezpieczeństwa Krajowego uważają, że jednak należy jej poszukać.

- Oni są w to zamieszani?

- FBI się do mnie zgłosiło.

- Ot, tak? Nagle zaczęli czytać w myślach na odległość?

- Zadzwoiłem do Bezpieczeństwa Krajowego po informacje, a oni wezwali federalnych...

- I nie przyszło ci do głowy dać mi znać.

- Chciałem zaczekać, aż zdobęde coś konkretnego.
- To po jaką cholere dzwonisz do mnie teraz?
- Wszystko to razem wydaje mi się konkretne - wyjaśnił Milo.
- W takim razie musisz nabrać dystansu.

Milo zacisnął zęby i pokazał światu środkowy palec.

- Dobrze, proszę pana, będę drażył dalej.
- Na pewno zaczniesz mi obrabiać dupę, jak tylko ta rozmowa się skończy, szefostwo to zawsze wróg - prychnął Weinberg. - Ale spróbuj... wiem, że to trudne, ale spróbuj mimo to oderwać się od chwili obecnej i popatrzeć na wszystko w szerszej perspektywie. Według twoich własnych słów ta kobieta pochodzi z superbogatej rodziny, jest szanowaną profesjonalistką, nie była notowana. To, co na nią zgromadziłeś, to plotki dzielone przez pogłoski.

- Jej siostra...

- Może z powodzeniem być wciąż żywa. Jakimi dysponujesz dowodami, że padła ofiarą przestępstwa? I to popełnionego przez naftowego szejka. Z takich spraw biorą się migreny, Sturgis. Zejdź na ziemię i trochę pościeraj podeszwy. Jestem pewien, że zносиłeś już kilka par butów.

Milo spojrział na swoje buty. Brązowe, płócienne mokasyny na gumowej podeszwie, dawno wymagającej wymiany.

- Jak pan rozkaże, proszę pana.

- Nie traktuj mnie z góry, Sturgis.

- Nie próbowałem. Mogę do pana zadzwonić, gdy znajdę coś konkretnego?

- Czy ja kiedykolwiek okazałem się głuchy na twoje potrzeby, detektywie?

- Nie, szefie. Zacznę zdzierać buty i miejmy nadzieję, że w tym czasie nic nie wyleci w powietrze.

Cisza.

- Proszę pana?

- Ustalmy jedno - szepnął Weinberg. - Uważam twoją prośbę za nieuzasadnioną, ale w imię ducha koleżeństwa porozmawiam z komendantem o tej telewizji. Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

- Gdyby zaobserwowano na niebie klucz lecących sów.

- Dziękuję panu.
- Nie ma za co, bo i tak nic z tego nie wyjdzie.

Milo nie skontaktował się ze mną do dziesiątej następnego dnia. Uznałem, że noc nie poszła za dobrze.

- Przygotowałam steki na grilla, zaprosimy wielkoluda - zaproponowała Robin.

Zadzwońnię pod wszystkie jego numery, odezwał się dopiero około osiemnastej. Był zgaszony, mówił półsłówkami. Śledztwo ledwo brnęło.

Gayle Lindstrom zrobiła, co obiecała, z rozczarującym wynikiem: ani śladu Helgi Gemein na żadnym lotnisku, nie figurowała też na listach pasażerów.

Telefony do Mastersona pozostały bez odpowiedzi, więc Moe Reed pojechał do biura. Nikt mu nie otworzył szklanych drzwi. Jeśli Elena Kotsos albo jej mąż siedzieli w środku, nie pokazywali się.

Poszukiwania nieruchomości w Kalifornii nic nie dały. Reed ślezczał teraz nad Nevadą, ale im bliżej było końca dnia i godziny zamknięcia publicznych instytucji, tym bardziej szanse malały.

Nie lepiej szło na zielonych ulicach Holmby Hills, gdzie grasował Sean Binchy przebrany za rolnika. Zaczynał za kierownicą swojego prywatnego samochodu, camaro rocznik '84 odziedziczonego po ojcu, potem powtarzał kółko dwa razy na rolnikach.

Po drodze na posterunek sam się tamtędy przejechałem. Olbrzymie domy, wyniosłe drzewa, nikogo na widoku. Jakby ziściło się marzenie Helgi Gemein o świecie wolnym od ludzi.

Milo zrobił rozszerzony obchód okolicznych budynków, ale jego wysiłki sprowadziły się do zapewniania mieszkańców, że nic im nie grozi. Jeszcze kilkoro z nich widziało Helgę, jak wchodziła lub wychodziła z małego, białego domku, ale nikt nie zamienił ani słowa z jasnowłosą/ciemnowłosą/rudą kobietą. Opisywali ją jako „trochę oziębłą”, „nieprzystępną”, „nieobecną”, „przebywającą we własnym świecie”.

Pewien mężczyzna twierdził, że jeździła średniej wielkości amerykańskim sedanem nieznannej marki. „Czarny, granatowy, ciemnoszary. Nie pamiętam dokładnie”.

Żaden sąsiad nie zauważył przy domku Desa Backera, Doreen Fredd czy księcia Teddy'ego. Zdjęcie Dahlii Gemein przywoływało nie-

jasne wspomnienia wesołej, ładnej blondynki. Jedna z sąsiadek kojarzyła Dahlię z czerwonym motocyklem. „To siostry? Mało podobne”.

- Jeden strzęp nadziei - westchnął Milo. - Laboratorium komputerowe przysłała odpisy zawartości dysków GHC. Wydruki na całe strony, przydałoby mi się trochę pomocy w przeglądaniu tej lektury. Pomyślałem, że machnęlibyśmy jakiś obiad w Moghulu, wróciliśmy do mnie do biura i poanalizowali. Chyba że jakieś zajęty.

- Robin i ja planowaliśmy grilla, dzwoniłem, żeby cię zaprosić.
- O. Nie sprawdziłem wiadomości. Dzięki, ale muszę odmówić.
- Zrób sobie przerwę na stek - zachęciłem. - Albo dwa.
- Kusząca propozycja, ale humor mi nie dopisuje, a poza tym muszę uważać na cholesterol.

- Tak nagle?
- Lepiej późno niż wcale.
- Cóż, w Moghulu serwują dobre warzywa.
- Myślałem o jagnięcinie tandoori, szpinaku z serem, może ho-marze.

- Ktoś wyhodował niskocholesterolowe owce i skorupiaki?
- No to skłamałem. Zjedz ze swoją ukochaną.
Rozłączyłem się, porozmawiałem z Robin.
- A jest jakiś wybór? - spytała. - Zresztą grill jeszcze nierozpalony. Jedź.

O szóstej czterdzieści Milo i ja przesiewaliśmy pliki GHC i każdy fragment e-maila wygenerowany w trakcie krótkiego życia firmy architektonicznej.

Bettina Sanfelice i Sheryl Passant większość czasu przy komputerze spędziły, przeszukując eBay, strony z przecenionymi ubraniami i plotkarskie błogi. Obie uwielbiały Johnny'ego Deppa.

Judah Cohen nie zalogował się ani razu.

Marjorie Holman korzystała z klawiatury oszczędnie: przeglądała strony poświęcone ekologicznej architekturze, portale informacyjne, sprawdzała swoje finanse, tak skromne, jak doniósł John Nguyen.

Używając różnych pseudonimów, umawiała się na regularne schadzki z sześcioma mężczyznami, między innymi z „mannyforbushem” z forbushziskinshapiro.net.

Helga Gemein i Desmond Backer prowadzili rzadkie, ale wiele mówiące rozmowy. Cyberkorespondencyjni przyjaciele w godzinach pracy pisali do siebie, siedząc niemal tuż obok siebie.

Skupili się na jednym: chłodnej wymianie informacji o materiałach wybuchowych, zapalnikach, celach i technikach ekoterroryzmu, czasem pojawiły się nostalgiczne refleksje o wrednej *przeszłości*.

Kiedy Milo nawijał sędziemu LaVigne, wspomniął o Baader-Meinhof, ale okazały się to prorocze słowa: tydzień przed śmiercią Backera i Doreen Fredd Helga Gemein osiem razy nadmieniała o niemieckiej bandzie morderców. Opisywała ich, bez śladu ironii, jako „odświeżająco nihilistyczną i skuteczną organizację”.

Helga: cudowne lata. żałuję, że urodziłam się za późno.

Backer: dla mnie to byli weathermeni*. chciałoby się, co?

Helga: wiedzieli, skąd wieje wiatr. Backer: bill i bernadette, a teraz sprzedali się popkulturze. Helga: nieuniknione, krew rzednie.

Backer: w dobrych dawnych czasach krew była gęsta, a wiatr wiał mocny i gorący, z naciskiem na gorący, lol. Helga: znów to? ty ciągle o jednym. Backer: masz coś lepszego lol szkoda że to nie z tobą. Helga: z tego co widzę na głowie masz dość. Backer: na głowie i innych częściach ciała. lol. Helga: wystarczy nie loluję z głupoty. Backer: chciałem z tobą o tym porozmawiać. Helga: o czym?

Backer: o twoim stanie umysłu. Helga:

mój umysł jest w porządku. Backer:

nigdy się nie © Helga: a z czego mam

się ©? Backer: hm... co powiesz na

wielkie bum? Helga: to? jeden mały

kroczek. Backer: do eliminacji ludzkości?

Helga: szkoda, że nie wierzę w boga.

Backer: czemu? Helga: mogłabym

powiedzieć „daj boże”.

* Weather Underground - amerykańska organizacja radykalnej lewicy (przyp. red.).

Milo odłożył papiery, wygładził ich rogi.

- Makabra.

- Jest w tym coś z flirtu - zauważyłem. - Zainicjowanego przez Backera, ale ona to podchwyciła.

- Gość nie przestał próbować. Widać jego średnia sukcesów udowodniła, że to dobra strategia.

- Na Helgę nie podziałała.

- Jedyna, która mu uszła. To zimna baba, Alex.

- Planowała zostać zakonnica. Może ma niskie libido. Albo postanowiła stłumić swoje popędy.

- Lub robi to z kimś innym i jest wierna.

- Helga i Zakapturzony? - spytałem. - Możliwe, ale założę się, że seks jest nisko na jej liście priorytetów.

Milo się uśmiechnął.

- Chętnie opowiedziałbym ci parę rzeczy o zakonnicach.

- Uciechy szkoły parafialnej?

- Niektóre były aniołami, najwspanialszymi kobietami, jakie znam.

Kilka to potwory, mniej więcej tak samo serdeczne i ciepłe jak Helga. Wyobrazasz ją sobie z metalową linijką w garści? Chyba znalazła własną religię. Pierwsze przykazanie: pozbaądź się włosów.

- W wielu kulturach włosy są symbolem zmysłowości. Fundamentalści często każą się zasłaniać swoim kobietom i sami noszą krótkie włosy. Buddyjscy mnisi golą głowy. Chodzi o wyzbycie się próżności i skupienie na nirwanie.

- Siostra Skinhead dąży do nirwany bezludzia. Znajduje płaszczyznę porozumienia z panem Wesołym Napaleńcem. Biedny dureń nie miał pojęcia, że Helga go wykorzystuje. - Przekartkował transkrypty.

- Chyba w końcu rozumiem, dlaczego Backer posuwał Doreen przy Borodi. Stary Des nigdy nie odróżniał obowiązków od przyjemności, liczyła się tylko zabawa. - Pokręcił głową. - *In flagranti destructo.*

Zamknął pokój, zesłiśmy schodami na parter, mineliśmy recepcjonistę. Tuż przy drzwiach zatrzymało nas wołanie. Recepcjonista stał i machał słuchawką.

- Telefon do pana, poruczniku Sturgis.

-Kto?

Ręka zakryła głośnik, szept:

- Bóg, przynosi tablice z góry Synaj.
- To był Mojżesz.
- Wszystko jedno, proszę. Milo wzięła słuchawkę.
- Sturgis... dobry wieczór panu... tak, ja... tak, on... rozumiem... dziękuję panu... też mam taką nadzieję, proszę pana. - Rozłączyła się.

- Wścikły? - spytał recepcjonista. - Wydawał się nieźle wkurzony, kiedy poinformowałem, że nie ma pana w biurze.

- Jest w siódmym niebie.

- Dobrze, dobrze, słyszałem różne plotki o cięciach budżetowych. A ja bardzo potrzebuję tej pracy.

- Wstawię się za panem.

Recepcjonista się rozpromienił.

- Naprawdę?

- Jeśli zostanie podjęty temat.

Zostawiając faceta, żeby to sobie rozszyfrował, wyszliśmy z posturunku na ciepłe, wieczorne powietrze. Na służbowy parking wjeżdżały i wyjeżdżały z niego patrolowce. Niedaleko ogrodzenia stał mundurowy, palił papierosa i wysyłał SMS-a z iPhone'a. Z biura kaucji pół przecznicy dalej wyszedł niechlujnie wyglądający mężczyzna i zgarbiony powlókł się w stronę Santa Monica. Kobieta spacerująca z psem zobaczyła go i przeszła na drugą stronę ulicy. Kiedy wypatrzyła odznakę przypiętą do kieszeni marynarki Mila, rozluźniła się.

Szum ruchu ulicznego. Zapach rozgrzanej smoły.

Milo wzięła głęboki wdech, szeroko rozłożył ręce.

- Uwielbiam, kiedy coś się wreszcie dzieje.

- Weinberg zmienił zdanie?

- Pieprzyć Weinberga, to był szef przez wielkie s.

- Jego Świątobliwość?

- W całej swojej niebiańskiej chwale. Okazuje się, że według niego pokazanie twarzy Helgi w telewizji to kapitalny pomysł. O ile tylko to „do czegoś doprowadzi i nie wyjdę przez ciebie na histrionicznie przesadzającego paranoika z wariacko-schizofreniczną teorią spiskową”.

- Gratulacje. Teraz musisz tylko zdobyć paszportową fotkę.

- Już jest dostarczona do telewizji.

- Gwardia pałacowa nie traci czasu.

- Żebyś wiedział. - Milo przypalił cygaro. - Panna Skinheadka debiutuje o dziesiątej. Po reklamie zapraszamy na sport i prognozę pogody.

30

Robin i ja obejrzelśmy telewizję w łóżku. Wciśnięta między nas Blanche przysypiała, na zmianę chrapała i popiskiwała, drgało jej lewe nie-toperze ucho.

Wiadomość podano na końcu nieciekawych doniesień z dnia. Ktoś, kto na nią nie czekał, mógł ją przegapić.

Ogółem dwanaście sekund, połowę tego z niewyraźnym, paszportowym zdjęciem ledwie rozpoznawalnej Helgi Gemein w tle, z prosto przyciętą czarną grzywką. Ani słowa o narodowości, terroryzmie, morderstwie. Po prostu kobieta „poszukiwana przez policję” w związku z podpaleniem; każdy, kto posiada jakieś informacje, proszony jest o telefon do porucznika Millera Sturgisa z...

- A teraz, z cyklu „przyłapani na gorącym uczynku”: słynna dziedziczka fortuny Roma Sheraton kupuje džinsy przy Robertson bez ma kijażu; wygląda, jakby wstała z łóżka lewą nogą! Więcej opowie nasza reporterka Mara Stargood.

Wyłączyłem telewizor.

- Miller Sturgis? - spytała Robin.

- Nawet komendant ma swoje ograniczenia.

Zadzwoił telefon.

- Trochę przypominała Bettie Page* - stwierdziłem.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - spytał Milo.

- Telefon zabrzczał jakby płacząco, a słuchawka obwisła.

- Duch Salvadora Dalego. Tak, pewnie nic z tego nie będzie.

Ale się mylił.

Do dziesiątej następnego dnia wpłynęło pięćdziesiąt donosów. Tylko jeden był coś wart. Ale komu potrzebna ilość, jeśli ma się jakość?

* Amerykańska modelka pin-up (przyp. red.).

Hiram Kwok prowadził komis meblowy przy Western Avenue, między Olympic a Pico. Modny, łąsy na klasykę renesans, który obrodził salonami przy La Brea oferującymi używane luksusy ominął Western. Witryny na połowie ulicy były zaciemnione, zasłonięte albo zabite deskami.

Lokal Kwoka to raj zbieracza zagracony sztucznym aksamitem i niedokładnie złożoną imitacją drewna, poszczerbioną ceramiką, obwisłymi abażurami, wyleniałymi futrami, podróbkami lamp Tiffany'ego w ogóle niepodobnymi do oryginałów. Przez wąskie przejście między sięgającymi sufitu stosami skarbów ledwie dało się przecisnąć.

Właściciel - chudy mężczyzna po pięćdziesiątce - miał zapadnięte policzki, rzadkie siwe włosy i nikotynowe zęby. Nad składanym stolikiem z laminatu, służącym mu za biurko, wisiało zdjęcie przystojnego młodego Azjaty w galowym mundurze Korpusu Marines.

- Pański syn? - spytał Milo.

- Teraz w Iraku - odparł Kwok. - Mówią, że wróci w przyszłym miesiącu, potem jedzie do Dubaju. Widać musimy chronić Arabów.

- Pewnie jest pan z niego dumny.

- Łebski chłopak, zna się na komputerach. Chciałem, żeby przejął sklep, wtedy mógłbym przejść na emeryturę, ale twierdzi, że to go przybija.

- Sklep?

- Obecność tylu gratów. Czyli jesteście tu panowie w sprawie tej kobiety, tak? Co za suka, żadna niespodzianka, że zrobiła coś złego. Chodźcie, pokażę wam jej lokal.

Poprowadził nas przez sklep, natknął się na elementy rozmontowanego dziecięcego kojca, odepchnął je na bok, poszedł dalej do tylnego wejścia.

Znaleźliśmy się w zaułku, zamkniętym ścianami sąsiednich posesji. Jedno z trzech miejsc parkingu Kwoka zajmowała toyota camry. Na tablicy rejestracyjnej: „Hiram”. Na szybach liczne ostrzeżenia o alarmie, na kierownicy gruba blokada.

Więcej zabezpieczeń niż w rezydencji przy Borodi.

Kwok szedł dalej, na południe, zatrzymał się za sąsiednim sklepem.

Żadnych samochodów, szyldów, ze szpar chodnika wyrastały chwasty. Większość ściany zajmowały garażowe drzwi z blachy falistej. Ręcznie otwierane, z uchwytem, zamknięte porządnym zamkiem szyfrowym.

- Nie trzyma się regularnych godzin - podjął Kwok. - Ale ciągle przyjeżdża i odjeżdża. Zawsze wiedziałem, kiedy jest, bo ta samolubna świnią zostawiała samochód tak, że nie mogłem zaparkować. Popatrzcie, panowie, miała mnóstwo swojego miejsca, dlaczego zajmowała moje? A jak byli jej kołesie, to jeszcze gorzej. Z początku ładnie poprosiłem, spojrziała na mnie jak na debila, w końcu przestawiła auto. Ale potem to samo. I znów, i znów, jakby chciała mnie zdenerwować.

- Czym jeździła?

- Buickiem LeSabre, rocznik 2002. - Kwok wyrecytował numery rejestracyjne.

- Znam je na pamięć, bo wam to zgłaszałem chyba ze dwadzieścia razy. I co usłyszałem? Spory między właścicielami prywatnych posesji muszą być rozwiązywane we własnym zakresie. A teraz coś spaliła. Musicie zmienić procedury.

Milo pokiwał głową.

- Niech mi pan opowie o jej kołesiach.

- Dwójka, japiszony. Pan Ładny i pani Ładna w bmw. Co oni z nią robili, tego nigdy nie udało mi się wykombinować, zastanawiałem się nawet, czy nie kręcą pornosy.

- Czemu?

- Bo to ukryte miejsce, trzeba wchodzić od tyłu. A tamta dwójka wyglądała jak aktorzy.

- Czyli dobrze?

- Za dobrze - odparł Kwok. - Najwyraźniej spędzali dużo czasu przed lustrem. Zwłaszcza facet. Poza tym nie pasowali do tamtej. Ona taka gotycka...

- Czarne ubrania, peruki - podsunął Milo.

- Właśnie. Najbardziej lubiła perukę a la Bettie Page. Pan wie, kto to Bettie, prawda? Najgorętsza laska z kalendarza w historii świata. Czasami trafiam na pamiątki z nią, sprzedają się na pniu. Gotycki styl... jedna z moich córek przez to przechodziła, więc się znam. la Niemka była na to za stara.

- W przeciwieństwie do pozostałej dwójki.

- Tamci to dzieciaki, Ken i Barbie. Po prostu nie pasowali. Dlatego pomyślałem o pornosach. Okazuje się, że robili jeszcze gorsze rzeczy, co?

Optymalna procedura zakładała rozpoznanie spośród sześciu fotografii, ale Milo miał tylko zdjęcia Desa Backera i Doreen Fredd, jej - pośmiertne.

Kwok kiwnął głową.

- Tak, to oni. Czyli razem są w to zamieszani?

- W tej chwili usiłujemy rozeznaczyć się w ich relacjach.

- Banda podpalaczy knujących coś za ścianą, no świetnie - wycedził Kwok. - Jak panowie podjeżdżaliście, zauważyliście, że cała jej witryna jest zaczerniona, z ulicy wygląda jak zamknięte. Mamy tu mnóstwo takich najemców: muzycy organizują próby pięć numerów na północ; pewna dziewczyna, podobno jej brat to gwiazda filmowa, zapomniałem, jak się nazywa, urządziła w swoim lokalu laboratorium fotograficzne. Ale nikt z nich nie przysyparza kłopotów. Próbowałem powiedzieć glinom z drogówki, że z tamtą coś tu nie gra, totalnie mnie olali.

- Jak to nie gra? - spytałem.

- To, jak chodziła, jak mówiła... Kiedy próbowałem jej wyjaśniać ten problem z parkowaniem, patrzyła na mnie, jakbym nie istniał. Jakbym był dla niej nikim.

- Kiedy po raz ostatni ją pan tu widział?

- Jakiś czas temu... miesiąc? Co konkretnie spaliła?

- Wciąż nad tym pracujemy - odparł Milo.

- Czyli nie moja sprawa? Jasne, byle tylko nie wróciła i nie wysadziła mnie.

- Jeśli pan ją zobaczy... tu jest moja wizytówka, panie Kwok.

- Nie zamierzacie jej obserwować?

- Zrobimy wszystko, żeby złapać tę kobietę, proszę pana.

Kwok nie wziął wizytówki. Milo trzymał ją wyciągniętą.

- Potraktuje mnie pan poważniej niż ci z drogówki?

- Oczywiście, proszę pana. Bardzo dziękuję za pomoc. Kwok schował wizytówkę.

- Następnym razem, jak będzie pan rozmawiał z synem, niech pan mu powie, że ojciec też jest bohaterem - rzucił na odchodne Milo.

Kwok się skrzywił.

- No, nie wiem, działam tylko logicznie. Tak, zadzwonię. Do diabła, kto by chciał, żeby tu wróciła i spaliła całą okolicę?

Ani śladu Helgi Gemein. Następnego dnia rzeka donosów skurczyła się do strumyka bezużytecznych podpowiedzi.

Milo znalazł właścicieli wynajmowanego lokalu, parę starszych ludzi nazwiskiem Hawes, mieszkających w Rancho Mirage. Umowa została zawarta przez agencję nieruchomości, a agentka zdążyła się wyprowadzić do New Jersey.

- Nie ma w tym żadnej lewizny - stwierdził Milo. - Niedawno wyszła za mąż, a mężuło został przeniesiony do Trenton. Może dlatego nie wykazała ostrożności. Helga podała własne nazwisko, ale wszystkie pozostałe informacje były trefne i nikt tego nie sprawdził. Czyny za cały rok z góry w gotówce też ułatwia procedurę. Dostałem od babci i dziadka Hawesów zgodę na przeszukanie. Mili ludzie, radykalizmu w nich tyle co w Normanie Rockwellu. Mocno wystraszeni, że ich lokal stał się fabryką wybuchów.

- To się potwierdziło?

- Saperzy znaleźli składniki wegańskiej galaretki, książki kucharskie takie jak te, które Ricki Flatt widziała w pokoju Desiego, szwajcarskie i niemieckie artykuły z prasy o ekosabotażu, komputerowe wydruki na temat Sranilu, drut miedziany, przełączniki, zdalnie wyłączane zegary, narzędzia i stoły warsztatowe. Do tego kolekcja damskich peruk owiniętych w potrójną folię. Na szczęście żadnych pułapek, więc zostawiliśmy wszystko na miejscu na wypadek, gdyby Helga wróciła. Budynek i zaułek są pod całodobową obserwacją, na trzygodzinne zmiany. Sean, Moses, ja, Del Hardy, bo służył w Służbach Specjalnych, cholernie nie lubi terrorystów, i ośmiu policjantów po cywilnemu.

- Armia Miła, dzięki Jego Łaskawości.

- Uwielbia mieć boską rację. W samym zaułku brakuje miejsca, żeby rozsądnie zaparkować, ale do Hawesów należy sporo innych lokali po tej stronie ulicy. Niektóre stoją puste, więc obstawiliśmy kryjówkę Helgi z obu stron. Gdy się tylko pokaże, będzie z niej kotlet mizantropiczny. Minus jest oczywiście taki, że może już być w drodze w tym swoim buicku. Numery podane przez Kwoka pochodzą z kradzionej ciężarówki. Jedenaście miesięcy temu gwizdnęli ją jakiemuś gościowi, właścicielowi myjni. Zgadnij, gdzie się podziewał? W Holmby Hills.

- Długo badała tę okolicę - zauważyłem. - Razem z Zakapturzonym. Od samego początku zamierzała wziąć czynny udział, nie tylko finansować. Backer i Fredd byli spisani na straty od momentu, kiedy się zgodzili.

- Tak, prawdziwy z niej skarb. Przyjadę do zaułka o siódmej, teraz gnam do motelu Ricki Flatt, bo skończyła z papierami odbioru Desiego, i odwożę ją na lotnisko.

- Dodatkowo uprzejmość. A przy okazji wysondujesz, co zrobiła.

- Jesteś niezmiennie sceptyczny - odparł. - I dlatego się kumplujemy. Chcesz mi towarzyszyć? Wyobrażam sobie, że może się przydać psychologiczne podejście.

31

Ricki Flatt czekała pod hotelem w zapiętej kurtce, z bagażem na ziemi.

Milo wyskoczył i pierwszy otworzył tylne drzwi.

- Naprawdę nie musi pan tego robić, poruczniku.

- Pojedziemy przez miasto, jedna obwodnica o tej porze to marny pomysł. - Chwilę później: - Jak poszło u koronera?

- Trochę to potrwało, ale w końcu wszystko załatwione. Wyślą... wyślą Desiego za dwa dni, rozmawiałam z zarządcą cmentarza w Seattle, gdzie leżą moi rodzice i jest wolne miejsce. Skierowali mnie do zakładu pogrzebowego tutaj, który zajmuje się logistyką i kosmetyką. Powiedzieli mi, że nie będzie dużo roboty, bo Desi wciąż dobrze wygląda. Jakieś postępy, poruczniku?

- Kroczek po kroczku. Och, przy okazji, walizek nie ma już w pani magazynie.

- Świetnie. Rozmawiałam rano ze Scottem i nic o nich nie wspominał, więc się udało.

- Owszem - przytaknął Milo. - Niestety, nie nam.

- Co to znaczy?

- Policja Port Angeles nie zabrała walizek. Ten facet okazał się szybszy.

Wygiął rękę, pomachał zdjęciem przysłanym przez Chrisa Kammena. Tak jak Kammen przewidział, zbyt niewyraźnym, żeby na coś się przydało.

- Kto to?

- Mieliśmy nadzieję, że pani będzie wiedziała.

- Ja? Dlaczego?

- To mógł być ktoś stamtąd.
- Cóż, nie mam pojęcia. - Pokręciła głową. - Zmrużyła oczy. -
Wziął wszystko?
- Wszyściutko;
- Jak tam wszedł?
- Otworzył drzwi kluczem - wyjaśnił Milo. - Kto go miał, oprócz pani i Desiego?
- Nikt... Czy Scott o tym wie?
- Nie. A pani mąż? Ma klucze?
- Ależ skąd. Wynajęliśmy magazyn, żeby trzymać w nim rzeczy moich rodziców, Scott bez przerwy mnie namawiał, żebyśmy się tego pozbyli. Ktoś ukradł pieniądze? Ten sam człowiek, który zamordował Desiego?
- Tego jeszcze nie wiemy.
- Ricki Flatt oddała zdjęcie.
- To dlatego zaoferował się pan mnie podwieźć. Myśli pan, że coś zataiłam i chce mnie wypytać.
- Tylko informuję panią o obecnej sytuacji, Ricki. Ten człowiek na zdjęciu skądś wytrzasnął klucz. Ma pani przypadkiem swój przy sobie?
- Ja... oczywiście. - Przeszukała torebkę, wyjęła kółko na klucze, znalazła właściwy. - Ten jest mój. Czyli ktoś użył klucza Desiego. I zamordował mojego brata. Dla pieniędzy, zawsze chodzi o tę cholerną forszę! - Ukryła twarz w dłoniach, zakotłosała się.
- Milo przejechał kolejnych kilkaset metrów.
- Ricki, co Desi mówił pani o swojej szefowej, Heldze Gemein?
- O niej? To się jakoś wiąże z jego pracą?
- Na razie mamy same pytania bez odpowiedzi, Ricki. Czy Desi wspomniał o Heldze? O pracy w ogóle?
- Lubił swoją pracę, twierdził, że jest zabawna i lekka. Panią Gemein poznał na zjeździe, a ona mu zaproponowała posadę.
- Jakim zjeździe?
- Tego nie powiedział. Czemu? Czy brała udział... O mój Boże. Kiedy Desi przywiózł pieniądze, podróżował z kobietą. Zupełnie wypadło mi to z głowy. Nie przyprowadził jej ze sobą, tylko jak zawieźliśmy walizki do magazynu, zaprosiłam go na kolację, a on na to, że niestety wraca do hotelu, bo ktoś na niego czeka. Oczywiście zauważyłam, że kobieta, bo przy Desim zawsze kręciło się mnóstwo kobiet. Zażartowałam, że jest w mieście jeden dzień i już zorganizował sobie randkę? Normalnie by się

po swojemu uroczo uśmiechnął. Tym razem się skrzywił: „Randka była by super, ale raczej małe szanse”. Zdziwiłam się, zawsze tryskał optymizmem. - Przełknęła łyżę. - Pamiętam, że nawet w duchu zatryumfowałam, Donzuan w końcu poniósł klęskę. Wyszła ze mnie mała zazdrośnica.

- Co jeszcze mówił o tej kobiecie? - spytałem.

- Tyle tylko, że przyjechał jej samochodem i musi go oddać. Prawie tak, jakby... się jej bał.

- Cóż, to w końcu szefowa.

- Dlatego właśnie sobie o tym teraz przypomniałam. Na pewno miała nad nim jakąś władzę, skoro się jej bał?

Marjorie Holman przeleciał bez oporów.

- Jaki to był samochód?

- Amerykański, ciemny, nie pamiętam. Nie przyglądałam się.

Milo przysunął w moją stronę akta. Przekartkowałem je, znalazłem wydrukowane z Internetu zdjęcia buicka LeSabre rocznik 2002.

- Nie znam się na samochodach - powiedziała Ricki. - Ale jasne, mniej więcej taki. To Helgi?

- Podobny - odparł Milo. - No i proszę, płynna jazda, dobrze, że nie pojechaliśmy obwodnicą.

Kilka chwil po tym, jak zaniósł bagaż pani Flatt do terminalu, rozmawiał już przez telefon z Chrisem Kammenem.

- Mogę zawęzić ramy czasowe podróży Backera, przyjacielu. Potrzebuję tylko potwierdzenia, że Backer albo Helga Gemein zameldowali się w którymś z waszych hoteli.

- Przyjacielu? - powtórzył Chris Kammen. - Za każdym razem, gdy się kontaktujemy, życie mi się komplikuje.

- Dzięki, Chris, naprawdę mi pomagasz.

Kammen się zaśmiał.

- Cóż, Port Angels to nie Gotham, ale też nie Mayberry, poszukiwania chwilę potrważą. Kim jest ta Helga?

Milo naświetlił mu sprawę.

- Międzynarodowy terroryzm. Wreszcie będę się miał czym chwalić dzieciakom. Chociaż na nastolatkach to i tak nie zrobi wrażenia.

Oddzwonił, zanim wróciliśmy na posterunek. W jego basowym głosie wibrowała tryumfalna nuta.

- Pomyślałem logicznie, doszedłem do wniosku, że ludzie z L.A. lubią lokale z wygodami, ale skoro są zamieszani w coś nielegalnego, raczej zatrzymują się z dala od najpopularniejszych miejsc. Mamy tu hotel, który spełnia te wymogi, trzydzieści kilometrów pod miastem, nad wodą, dużo drzew ze spa. Ludzie wybierają ten przybytek na miesiąc miodowy. Myrtlewood Inn, zabiorę tam żonę na rocznicę, jeśli będzie grzeczna. W każdym razie faktycznie, Helga Gemein zapłaciła swoim platynowym ameksem dokładnie w podanym terminie. Spała jedną noc. Albo i nie spała, zależy od perspektywy.

- Doskonale - powiedział Milo. - Daj numer karty.

Kammen go podyktował.

- Jeśli ten wasz Backer przyjechał tam z panią Gemein, to raczej nic się między nimi nie wydarzyło, bo wynajęła dwa pokoje. Zapłaciła za oba, nie mam podane, kto zajmował drugi. Ale ktokolwiek to był, nabił parę godzin płatnego porno. W przeciwieństwie do Helgi, która nie oglądała telewizji nawet przez chwilę, piła chyba wodę z kranu, bo nie doliczyli jej nic za obsługę pokoju, nawet orzeszków z minibarku.

- Jak zakonnica - stwierdziła Milo.

- Za to Backer obejrzał cztery świńskie filmy, zamówił stek i koktajl krewetkowy i złupił bar. W korcu maku się raczej nie dobrali.

- Łączyło ich dość, żeby robili różne złe rzeczy, Chris.

- No to wygląda na typowe małżeństwo.

- Ile macie w Port Angeles firm wynajmujących samochody? - spytałem.

- Wszystkie sieciowe i parę małych. A co?

- Chciałbym wiedzieć, czy Backer albo Helga używali wynajętego wozu.

- Pani Flatt mówiła, że brat jeździł autem szefowej.

- Ale akurat nie wtedy, kiedy dawał siostrze walizki. Mogli się rozdzielić.

- Aha - mruknął Kammen. - Dobra, sprawdzę. Nie rozłączajcie się, może uda się to załatwić szybko. - Cztery minuty później: - Speedy Gonzales to ja; w Myrtlewood Inn jest Avis. Helga wynajęła chevy cobalta. Trochę potrwa, zanim się dowiemy, ile nastukała kilometrów, ale to da się zrobić.

- Wielkie dzięki, Chris - odparł Milo. - Będę cię informował na bieżąco.
- Zaczyna mi się to podobać.

- Oddzielne samochody... - odezwał się po chwili - czyli Helga pojechała za Backerem do magazynu. Kiedy dostała w swoje ręce klucz, mogła bez trudu zabrać pieniądze. Nawet nie musiała go wydzierać siłą: pracowali w tym samym biurze. Towarzyski Backer wychodzi na obiad z koleżankami. Helga odludek zostaje, przeszukuje mu biurko albo kurtkę, robi kopię.

- W takim razie po co gwałt pistoletem?
- Każdy inaczej wyobraża sobie zabawę.
- Boże - westchnął Milo. - Chciałbym się umówić z tą dziewczyną w małym, jasno oświetlonym pomieszczeniu.

Nakaz wglądu w transakcje finansowe Helgi wiele nie dał. Skasowała konto w ameksie kilka dni po wyprawie do Port Angeles, nie znalazły się żadne inne karty na jej nazwisko.

- Tata ma skarbce pełne szeleszczących banknotów - powiedziałem. - Może departament wyśle cię do Zurychu.

Milo zadzwonił do Gayle Lindstrom i poprosił, żeby się przyjrzała GGI-Alter Privatbank.

- Spróbuję, ale życzę szczęścia - odparła. - Szwajcarskie banki są strzeżone lepiej niż silosy rakietowe.

- Wciąż nic na lotnisku?

- Nie lubię tajemnic, Milo. Gdyby coś było, pierwszy byś o tym słyszał.

Milo nie powiedział jej o lokalu przy Western. Spytałem dlaczego.

- W tym momencie mogłaby tylko skomplikować sprawy - wyjaśnił. - Jakieś sugestie, jak wysledzić pannę Piekiełną?

- Zastanawiam się, czy zaryzykuje podróż samochodem. W środkowej Ameryce raczej by się wyróżniała.

- Helga w sercu ładu, brzmi jak tytuł filmu.

- Z jednym wyjątkiem - zauważyłem. - Vegas.

- Tak, tam by się nie wyróżniała nawet trzygłowa małpa albinos, to Stolica Uciekinierów. Dobra, znam jednego marszala*, może Helga się

* U.S. Marshals Service - amerykańska federalna służba policyjna, zajmująca się transportem więźniów, aresztowaniami i ściganiem zbiegów (przyp. tłum.).

zmaterializuje przy stoliku do gry w kości w Caesars. Jeśli nie, to pewnie masz rację, wciąż siedzi w mieście. I wcześniej czy później wróci do swojego wybuchowego warsztatu.

- Stawiam, że wcześniej.
- Bo jesteś moim kumplem?
- Bo to jej świątynia.

Zadzwoiła Gayle Lindstrom. Rozmawiała ze swoimi szefami o sprawdzeniu banku. Biorąc pod uwagę przeszłe kontakty ze szwajcarskimi władzami w sprawie złota nazistów i splądrowanych kont z czasów wojny, przewidywali lata szarpaniny.

- Nie ma to jak neutralność - skomentował kwaśno Milo.
- Co nam się udało - ciągnęła - to zarządzić kontrolę paszportów dla całej rodziny Gemeinów, żeby mieć podstawy do oskarżenia o spisek, jeśli kiedykolwiek znajdziecie Helgę. Biuro się tą całą sprawą denerwuje.
- Faktem, że Doreen była opłaconym słupem i zrobiła nas w trąbę?
- Wykiwała moich poprzedników - sprostowała Lindstrom. - Moim celem tutaj jest dopilnować, żeby postrzegano mnie jako kogoś z boku.

O siedemnastej czterdzieści trzy Milo pochłaniał śmieciowe jedzenie w gabinecie, szykował się na swoją zmianę w zaułku.

Z ustami pełnymi odgrzewanego burrito odebrał telefon od Seana.

- Mam ją, poruczniku! - poinformował Binch. - Siedzi skuta w moim wozie, dała się zdjąć bez problemów!

32

Helga Gemein, cała w czerni i w peruce Bettie Page, zaparkowała buic-ka byle jak, na samym skraju miejsc Hirama Kwoka. Właśnie otwierała kluczem swoją wytwórnię bomb, kiedy Sean Binchy dopadł ją z tyłu.

Krzyknął: „Policja”, wykręcił jej rękę, długimi palcami basisty przytrzymał nadgarstki i w kilka sekund zakął w kajdanki.

- Wszystko to przez dechy? - spytała Helga.

Binchy lekko ją obszukał i odwrócił.

- Dechy?

Spojrzenie Helgi mówiło, że nie ma już dla niego nadziei.

Kiedy z drugiego końca uliczki nadbiegł Moe Reed, Sean zdążył wsadzić ją na tylny fotel swojego nieoznakowanego radiowozu. Ponuro wyglądała przez szybę.

- Świetnie, bracie - pochwalił Reed. Otworzył drzwi, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Wygląda pan jak bojówkarz - stwierdziła Helga.

- A pani jest od tego ekspertem - odparował Reed. - Nie przyszło pani do głowy zmienić wizerunek?

- A po co?

- Wygląda pani tak samo, jak w wiadomościach.

- Jakich wiadomościach?

- Telewizyjnych.

- Telewizja to śmieć - prychnęła Helga. - Szkoda mi na nią czasu.

Dwie godziny później siedziała w pokoju przesłuchań West L.A., ze znudzoną miną słuchając Mila recytującego jej prawa. Z sąsiedniego pomieszczenia patrzyła grupka ludzi: Binchy, Reed, Don Boxmeister.

Gość honorowy: kapitan Maria Thomas, w tweedowym kostiumie, jasnowłosa, wygadana asystentka komendanta.

Ostatnich kilka minut upłynęło na rozmowie o wynajętym lokalu przy Western Avenue, który Helga lekceważąco nazwała „swoją pracownią”.

- Pracownią czego?

- Sztuki koncepcyjnej.

- Te lonty...

- Do kolażu.

- Jakiego kolażu?

- Pan i tak tego nie zrozumie.

Milo nie zadawał sobie trudu, żeby ją pytać, gdzie mieszkała. Klucz z agencji wynajmu pasował do domu w Marina Del Rey. Del Hardy pojechał tam z ekipą policjantów. Pięć plazm, ale bez kabłówki ani satelity. Brak komputera, ale w szufladach pełnych papierów znalazły się wydruki e-maili. Wszystko po niemiecku. Hardy wysłał je do tłumaczenia detektywowi drugiej klasy Hollenbeck Division Manfredowi Obermannowi.

- Nie zgadniecie, od kogo wynajmuje dom. Od Alonza Jacquarda
- powiedział Hardy.
- Doktor Kosz? On w ogóle wie, kim jest jego najemca?
- Trenuje drużynę we Włoszech, wszystko szło przez agencję. Pani Przyjacielska z góry zapłaciła gotówką, tak samo jak za warsztat. Zabawny wybór jak na nią, willa jest do przesady wulgarna, cały Alonzo. Salon trofeów, sześć pełnych barów, sala disco, rura do striptizu, kino domowe, stojaki z DVD, których ja nie trzymałbym na wierzchu. Za to świetny widok na wodę. Ale ona miała pozaciągane zasłony, spała w małym pokoju gościnnym przy kuchennym wejściu, prawie jak w klasztorze. Oprócz zabawek.
- Jakich zabawek?
- Nie każ mi wchodzić w szczegóły, Milo. - Śmiech. - Powiedzmy tylko, że lateksowe lobby ją lubi.
- Może to zabawki Alonza - zasugerował Milo.
- Nie, na pewno jej, same dla dziewczyn. - Hardy westchnął. - Alonzo, ten to miał talent. Szkoda że go nie było, wziąłbym autograf dla dzieciaka.

Milo zadał jeszcze kilka pytań na temat sztuki. Helga na każde odpowiadała: „Niech pan nie marnuje mojego czasu, jest pan ignorantem”.

- Niewiarygodnie arogancka - stwierdziła kapitan Maria Thomas.
- Tym lepiej dla nas, prawda? - powiedział Boxmeister. - Myśli, że tu rządzi, nie zasłoni się prawnikiem.
- Thomas sprawdziła swoje blackberry.
- Na razie wszystko dobrze, ale nie doszedł jeszcze do poważnych spraw.

Milo odegrał scenkę zakładania okularów, upuszczania papierów, podnoszenia ich po jednej kartce.

- Hm... dobrze... porozmawiamy więc o domu przy Borodi...
- Bła, bła, bła - przerwała mu Helga.
- Domu przy Borodi Lane, gdzie...
- Bła, bła, bła. Milo się uśmiechnął.
- Coś pana bawi, policjancie?
- Bła, bła, bła to jedno z moich ulubionych powiedzonek.

Helga zakręciła palcem w powietrzu.

- To ma stworzyć poczucie wspólnoty między nami?
- Nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek wspólnoty między nami.
- O?
- Pani gardzi ludźmi. Ja zazwyczaj uważam się za człowieka - wyjaśnił Milo.

- Gardzę ludźmi?

- Tak pani powiedziała, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy.
- Musi pan przestać dekodować wszystko dosłownie.

Milo cmoknął:

- Wiedziałem, że powinienem bardziej uważać na zajęciach z metaforyki.

Helga przesunęła wymanikiurowanym palcem pod prostą czarną grzywką.

- Policjant, który czytał słownik.
- Zacząłem od A i doszedłem do B. Niestety, utknąłem na „bum”.

Helga nie zareagowała.

- Dom przy Borodi...
- Spaliłam jakieś dechy. I co z tego?
- Dechy.

- Kupa próchniejących desek, potworność. Wyświadczyłam światu przysługę.

- Puszczając z dymem dom...

- Nie dom - odezwała się Helga. - Ruiny. Śmieci. Syf. Gówna. Dokonałam aktu oczyszczenia w imię estetycznej słuszności, strukturalnej integralności, epistemologicznej spójności i metaekologii.

- Metaekologia. W słowniku nie byłem nawet blisko metaekologii.

- Tam i tak by pan nie znalazł. Ja ją skonstruowałam.

-Aha.

Helga Gemein podniosła palec.

- Oznacza odejście od trywialnych składników struktury, które wspomagają układ, nie posiadając funkcjonalnej autonomii.

- Spojrzenie na wielką kosmiczną maszynę, a nie trybiki - zgadywał Milo.

Helga mu się przyjrzała.

- Jako Amerykanin nigdy pan tego nie załapie, bo Amerykanie to ludzie religijni.

- Paru ateistów tu mieszka.

- Tylko z nazwy, policjancie. Nawet oni są religijni, ponieważ amerykańska wiara jest nieskończona. Karmiąca maciora, która nigdy nie przestaje składać w darze swojego ciała.

- Obawiam się, że...

- Wmówiliście sobie, że możliwości nie mają granic, zakończenia są szczęśliwe, zagadki się rozwiązują, że przyszłość to reklamowy dzin-giel, że wasz sposób życia jest święty, a siła oznacza słusność. Gdyby Amerykanie oderwali się od swoich badyli, od wszechobecnego stylu i użyli oczu, uszu i nosów do rozbioru rzeczywistości, zmieniliby swoją strukturę poznawczą.

- I popadli w kliniczną depresję jak Europa - mruknęła Maria Thomas.

- Amerykanie są pokojowymi pieskami tego świata - ciągnęła Helga. - Uległymi, zjadającymi własne gówno. Dopóki coś ich nie roz-wścieczy, a wtedy wybucha wojna.

- Gada jak potłuczona - stwierdził Boxmeister.

- Bywałam na konferencjach Interpolu. To po prostu jeszcze jeden rozwydrzony europejski bachor - powiedziała Thomas.

- Ale może jest też trochę szurnięta, co? - Boxmeister szturchnął mnie w ramię. - Jak pan myśli, doktorze?

- Niech się pan ugryzie w język, detektywie - skarciła go Thomas.

- A pan nie odpowiada, doktorze. Użeranie się z cudzoziemką będzie wystarczająco upierdliwe. Ostatnie, czego nam potrzeba, to ograniczo-na pocztałość.

- Czyli spalenie dech to akt oczyszczenia - mówił Milo.

- Usunięcie odpadów.

- Wyniesienie śmieci.

Helga zmrużyła niebieskie oczy.

- Czy lepiej nazwać to „altruizm”? - spytał Milo.

Smukłe dłonie z czarnymi paznokciami zacisnęły się w pięści.

- To głupie słowo.

- Dlaczego?

- Altruizm jest wyłącznie mutacją egoizmu.

Helga zakręciła palcem w powietrzu.

- To ma stworzyć poczucie wspólnoty między nami?
- Nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek wspólnoty między nami.
- O?
- Pani gardzi ludźmi. Ja zazwyczaj uważam się za człowieka - wyjaśnił Milo.
- Gardzę ludźmi?
- Tak pani powiedziała, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy.
- Musi pan przestać dekodować wszystko dosłownie.

Milo cmoknął:

- Wiedziałem, że powinienem bardziej uważać na zajęciach z metaforyki.

Helga przesunęła wymanikiowanym palcem pod prostą czarną grzywką.

- Policjant, który czytał słownik.
- Zacząłem od A i doszedłem do B. Niestety, utknąłem na „bum”.

Helga nie zareagowała.

- Dom przy Borodi...
- Spaliłam jakieś dechy. I co z tego?
- Dechy.
- Kupa próchniejących desek, potworność. Wyświadczyłam światu przysługę.

- Puszczając z dymem dom...
- Nie dom - odezwała się Helga. - Ruiny. Śmieci. Syf. Gówna. Dokonałam aktu oczyszczenia w imię estetycznej słuszności, strukturalnej integralności, epistemologicznej spójności i metaekologii.

- Metaekologia. W słowniku nie byłem nawet blisko metaekologii.

- Tam i tak by pan nie znalazł. Ja ją skonstruowałam.

-Aha.

Helga Gemein podniosła palec.

- Oznacza odejście od trywialnych składników struktury, które wspomagają układ, nie posiadając funkcjonalnej autonomii.

- Spojrzenie na wielką kosmiczną maszynę, a nie trybiki - zgadywał Milo.

Helga mu się przyjrzała.

- Jako Amerykanin nigdy pan tego nie załapie, bo Amerykanie to ludzie religijni.

- Paru ateistów tu mieszka.

- Tylko z nazwy, policjancie. Nawet oni są religijni, ponieważ amerykańska wiara jest nieskończona. Karmiąca maciora, która nigdy nie przestaje składać w darze swojego ciała.

- Obawiam się, że...

- Wmówiliście sobie, że możliwości nie mają granic, zakończenia są szczęśliwe, zagadki się rozwiązują, że przyszłość to reklamowy dzینگiel, że wasz sposób życia jest święty, a siła oznacza słuszność. Gdyby Amerykanie oderwali się od swoich badyli, od wszechobecnego stylu i użyli oczu, uszu i nosów do rozbioru rzeczywistości, zmieniliby swoją strukturę poznawczą.

- I popadli w kliniczną depresję jak Europa - mruknęła Maria Thomas.

- Amerykanie są pokojowymi pieskami tego świata - ciągnęła Helga. - Uległymi, zjadającymi własne gówna. Dopóki coś ich nie rozwścieczy, a wtedy wybucha wojna.

- Gada jak potłuczona - stwierdził Boxmeister.

- Bywałam na konferencjach Interpolu. To po prostu jeszcze jeden rozwyrzony europejski bachor - powiedziała Thomas.

- Ale może jest też trochę szurnięta, co? - Boxmeister szturchnął mnie w ramię. - Jak pan myśli, doktorze?

- Niech się pan ugryzie w język, detektywie - skarciła go Thomas.

- A pan nie odpowiada, doktorze. Użeranie się z cudzoziemką będzie wystarczająco upierdliwe. Ostatnie, czego nam potrzeba, to ograniczona poczytalność.

- Czyli spalenie dech to akt oczyszczenia - mówił Milo.

- Usunięcie odpadów.

- Wyniesienie śmieci.

Helga zmrużyła niebieskie oczy.

- Czy lepiej nazwać to „altruizm”? - spytał Milo.

Smukłe dłonie z czarnymi paznokciami zacisnęły się w pięści.

- To głupie słowo.

- Dlaczego?

- Altruizm jest wyłącznie mutacją egoizmu.

Milo założył nogę na nogę.

- Przykro mi, nie dekoduję.

- Robię to, co społeczeństwo uważa za pożyteczne, więc czuję się spełniona. Co może być większym narcyzmem?

Milo udał, że się zastanawia.

- W porządku, czyli to nie był altruizm, tylko...

- To, co powiedziałam.

- Akt metaekologicznego oczyszczenia. Hm.

- Niech pan nie udaje idioty, policjancie. Ma pan pod dostatkiem naturalnych defektów, po co je mnożyć.

- Auć - jęknął Boxmeister. - Heil, Helga.

Milo rozprostował nogi, jeszcze raz zajrzał w notatki, odsunął krzesło parę centymetrów w *tyi*. Z kieszeni spodni wyjął chustkę, wytarł czoło.

- Robi się tu gorąco, co? Helga

Gemein poprawiła perukę.

- Mnie jest dobrze.

- A mnie za gorąco. Myślałem, że pani w tym czymś będzie jeszcze gorzej.

- W jakim czymś?

- W peruce. Dynel nie oddycha.

- To są prawdziwe włosy. Z Indii.

Uśmiechnął się.

- Czyli nie ma pani rozpalonej głowy. Helga prychnęła i usiadła bokiem do niego.

- Nie, mówię poważnie - powiedział Milo. - Widać, że polega pani na rozsądku, a nie na impulsach.

Maria Thomas nachyliła się do przodu.

- Tak, tak, dawaj.

- A nie powinnam polegać na rozsądku? - spytała Helga Gemein.

- Oczywiście, że tak - odparł Milo. - Wszyscy powinniśmy. Ale czasami spontaniczność...

- To wytłumaczenie złego planowania - dokończyła.

- A pani lubi planować.

Brak odpowiedzi.

Maria Thomas ledwie mogła ustać w miejscu.

- Teraz spokojnie.

- Jest pani architektką, więc rozumiem, że lubi pani projekty.

Helga odwróciła się do Mila.

- Bez projektów, policjancie, nawet chaos nie działa.

- Nawet chaos?

Uniosła pedantycznie wypielegnowany palec.

- Istnieje chaos emanujący z głupoty. Na przykład płaskostopi policjanci w kurtkach z mosiężnymi guzikami i wysokich czapkach, którzy potykają się o własne nogi. I istnieje też chaos naprawiaczy. I ten musi być zaplanowany.

- Spalenie tych dech nie wynikało z głupoty. Rozważyła pani każdy detal.

- Zawsze tak robię - stwierdziła Helga.

- Zawsze?

- Zawsze.

Maria Thomas machnęła pięścią.

- Tak!

Helga Gemein pociągnęła nosem.

- Czuć tu jak w toalecie.

- Powietrze czasem się tu trochę zastaje - przytaknął Milo.

- Często sprowadzacie prostytutki?

- Słucham?

- Na swoje policyjne imprezy po pracy.

- Musiałem przegapić.

- Och, proszę. - Helga przewróciła oczami. - Powszechnie wiadomo, co gliniarze robią z kobietami, które zdominowali. Rzucają je na kolana, wtedy wydają się tacy wielcy.

- Chyba pracuję w niewłaściwym wydziale - skomentował Boxmeister.

Maria Thomas posłała mu ostre spojrzenie. Wzruszył ramionami.

- Policjanci w Szwajcarii tak robią? - spytał Milo.

- Jeśli interesuje pana Szwajcaria, niech pan sobie kupi bilet na samolot. Do widzenia. Zanudził mnie pan już wystarczająco, wychodzę. - Ale nie próbowała nawet wstać.

- Wychodzi pani?

- Dechy? Wypalanie świństwa? Co za to grozi, grzywna? Zapłacę.

- Tymi pieniędzmi z torebki?

- Od kiedy to przestępstwo mieć pieniądze? Ameryka je czci.

- Sześć tysięcy przy sobie to dużo.
Helga uśmiechnęła się pod nosem.
- To był czysty bogaty bachor - zawyrokowała Thomas. - Ona nigdy nie usłyszała słowa „nie”.
- Ile wynosi moja grzywna? - spytała Helga.
- Nie jestem jeszcze pewny paragrafu na dechy - odparł Milo. - Wciąż szukamy.
- No to się pospieszcie.
- Gdy tylko prokurator okręgowy da mi znać, ruszę z papierami.
A na razie omówmy ten akt oczyszczenia.
- Od nowa? Nic z tego.
- Chcę tylko się upewnić, czy dobrze rozumiem.
- Jeśli nie zrozumiał pan do tej pory, jest pan beznadziejnie ograniczony.
- Wszystko możliwe. - Milo poszeleścił papierami, ściągnął brwi, wystawił czubek języka, zanucił coś cicho. - Na pewno nie chce pani wody?
- Jeszcze mam. - Zerknęła na kubek, który przyniósł jej pięć minut wcześniej.
- Dobrze, może pani wziąć łyka - powiedział Milo.
Gemein wypłała wszystko. Siła sugestii.
Punkt zwrotny przesłuchania.
Odstawiła kubek.
- Czyli... - zaczął Milo, nie odrywając wzroku od notatek. - Zaplanowała pani podpalenie i puściła z dymem te dechy zupełnie sama. Proszę mi opowiedzieć, jak pani to zrobiła.
- Grzywna to niewystarczająca kara? - Helga znów się uśmiechnęła.
- W Ameryce pieniądze naprawiają wszystko.
- Mimo to chcielibyśmy znać fakty.
- Jako architekt z dużym doświadczeniem w inżynierii budowlanej posiadam dogłębną znajomość słabości konstrukcji. Zlokalizowałam defekty tej sterty badzewia, precyzyjnie rozmieściłam ładunki, użyłam zdalnego zapalnika i patrzyłam, jak cała rudera zmienia się w popiół.
- A zatem była pani na miejscu.
- Dość blisko, by kapać się w ciepłe i blasku.
- Kilka domów dalej?
- Nie liczyłam.
- Ale zaparkowała pani motocykl trzy przecznice od Borodi.

- Niebieskie oczy zaiskrzyły.
- Skąd wiecie, że jeżdżę motocyklem?
 - Ktoś go zauważył i zgłosił.
 - Skoro pan zna odpowiedzi na swoje pytania, proszę nie marnować mojego czasu.
 - Potrzebujemy potwierdzenia. Do raportu, żebyśmy mogli panią wypuścić i mieć to z głowy.
 - Odpowiednia procedura pozwala wam udawać kompetencję - skomentowała szyderczo.
 - Wie pani sporo o procedurach.
- Helga uniosła brew.
- Jak w tym starym dowcipie - ciągnął Milo. - Piekło to miejsce, gdzie Włosi ustalają procedury, a Szwajcarzy zajmują się designem?
 - Piekło, policjancie, to miejsce, gdzie Amerykanie obżerają się do nieprzytomności i łudzą bezmyślnym optymizmem.
 - Tej wersji nie słyszałem. Ale musi pani przyznać, że Szwajcarzy są niezli w projektowaniu. Kto robi najlepsze zegarki? A propos, pomówmy o zegarach do zapalników. Skąd je pani miała?
 - Od Desa.
- Szybka odpowiedź zaskoczyła Mila. Zamaskował to powolnym kiwnięciem głową.
- Desa Backera.
 - Nie, Desa Hitlera. Oczywiście że Backera. Chcę już iść, zapłacić grzywnę i zniknąć.
 - Zaraz. W co jeszcze zaopatrzył panią Des?
 - We wszystko.
 - To znaczy...
 - Wdarliście się do mojej pracowni; widzieliście, co tam jest.
 - Lonty, kable, wegańska galaretka. Des znał się na tym, bo...
 - Twierdził, że jest anarchista.
 - Twierdził? Pani uważa, że udawał.
 - Folgował sobie.
 - Des i kobiety.
 - Niepoważny człowiek.
 - Gdzie się państwo poznaliście? - spytał Milo. - Na zjeździe anarchistów. .. to chyba oksymoron, prawda?
 - Na czacie.

- Którym?
- Shards.net.
- Shards, czyli odłamki, jak rozbite szkło?
- Jak rozbity wszechświat. Ten czat już nie istnieje. Anarchistom brak wytrwałości.

- Kiepska organizacja - podsumował Milo.

Cisza.

- Poznaliście się więc przez Internet... Des był architektem, musiał się doskonale nadawać. Chociaż to trochę dziwna kombinacja. Budowanie i niszczenie.

- Nie ma w tym sprzeczności.

- Dlaczego?

- Cóż wszystko zależy od kontekstu. Ale tak czy inaczej, nie należę do anarchistów, nie przyłączyłam się do tego ruchu.

- Czyli jest pani...

- Jestem sobą. - Helga Gemein po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Milo jeszcze trochę poprzekładał papiery, udając zmieszanie.

- Coś w rodzaju jednoosobowego damskiego oddziału prawdy...

Poznała pani Desa przez Internet i razem postanowiliście spalić trochę dech.

- Ja postanowiłam.

- On robił za dostawcę. Wiedział, skąd brać sprzęt. Właśnie dlatego go pani zatrudniła. To także prawdziwy powód założenia przez panią firmy.

Cisza.

- Niezła przykrywka na wytłumaczenie swojej obecności w L.A.
- ciągnął Milo. - Pretekst do przebywania z Desem. Kamuflaż wydatków. Pięćdziesiąt tysięcy w gotówce? Kto jest prawdziwym źródłem tych pieniędzy, pani ojciec?

Brak odpowiedzi.

- Wycieczka samochodem do Port Angeles, Helgo. Nowiutkie, pachnące banknoty w dwóch walizkach. Takie, jakie się dostaje prosto z banku. Jakie są wydawane, kiedy jeden bank rozmawia z drugim.

Helga Gemein wetknęła palec pod perukę.

- Chciałabym dostać wody.

Milo zebrał papiery i wyszedł. Helga została sama. Bawiła się włosami, gładziła lśniące, czarne kosmyki, grzebała pod peruką.

- Co jest, dostała wysypki? - spytał Don Boxmeister. - Może trzeba było jej zrobić rewizję.

- Don - przypomniała Maria Thomas. - Nie należy jej alienować na samym początku. Taka taktyka się opłaca. Babsztyl przyznał się do działania z premedytacją. - Kilka stuknięć w blackberry. - Za godzinę muszę wracać. Mam nadzieję, że uda mu się szybko tę sukę załatwić.

Helga poprawiła perukę, odwróciła się, oparła o stół. Usiadła i równo ustawiła stopy. Zamknęła oczy, jej głowa się zakołysała.

- Co ona wyprawia, do cholery? - spytał Boxmeister. - To jakaś medytacja?

- Prawdopodobnie dysocjacja - odparłem. - Przenoszenie się w inne miejsce to jej podstawowa strategia.

Milo wrócił z wodą. Helga nie zareagowała, ale otworzyła oczy, kiedy powiedział „proszę” i postawił mały kubek przed nią.

Założył okulary, przejrzał notatki. Patrzyła na niego, w końcu upiła łyk.

- Dobrze, proszę mi opowiedzieć o wyprawie do Port Angeles.

Dotknęła skraju peruki.

- Zająłam się turystyką. Życiodajnym płynem amerykańskiej pseudo-kultury.

- Wycieczka dla przyjemności?

- Byłam też w Disneylandzie.

- Chyba nie muszę pytać, czy się pani podobał.

- Właściwie był całkiem przyjemny, na swój odrzucający sposób.

Spójny.

- Z wulgarnością amerykańskiej kultury?

- Ze światem wypranym z rozsądku.

Milo głośno odchrząknął. Podsunął jej kilka kartek.

- To pani formularz meldunku z Myrtlewood Inn w Port Angeles.

A to umowa wynajmu samochodu.

- Zatrzymałam się w miłym hotelu, no i co?

- Z Desem Backerem - uściślił Milo. - Wzięła pani dwa pokoje. Obsługa pamięta, że płaciła pani za oba. Widzieli też was przy śniadaniu.

Zgadywał. Zgadł. Helga Gemein zmarszczyła brwi.

- I co z tego? Już powiedziałam, że załatwił mi sprzęt.

- Wspólne zakupy.

- Zwiedzanie, potem zakupy.

- Dlaczego dała pani Desowi swój samochód, a dla siebie wynajęła inny?

- Bo nie byliśmy razem.

- W znaczeniu...?

- Niebycia razem.

- Pojechaliście tam we dwoje?

- Ja pojechałam, on poleciał.

- Żeby nikt w biurze nic nie podejrzewał.

- Ja wolałam pojechać. On wybrał podróż samolotem. Chciał odwieźć rodzinę.

- Co pani robiła, kiedy Des spotykał się z krewnymi?

- Kupowałam.

- Zapalniki i lonty?

- Między innymi.

- Jakimi innymi?

- Ubraniem.

- Trafiała pani na jakieś okazje?

- Dzinsy. - Poglądziła kształtne udo. - Czarne dzinsy na wyprzedazy.

- Wybrała się pani samochodem, bo nie mogła ryzykować odprawy na lotnisku z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w dwóch walizkach.

Helga odpowiedziała dopiero po kilku sekundach.

- Skoro tyle pan wie, po co zawraca mi pan głowę?

- Znów te przekłete procedury. Muszę to usłyszeć od pani.

- I to wszystko przez dechy?

- Niestety. Zebrało się ich tam całkiem sporo i należały do kogoś ważnego.

- Nikt nie jest ważny.

- Najwyraźniej dla pani ktoś był, Helgo. - Przysunął się bliżej, jak to robił wiele razy. Rozszerzył ramiona; jego głos stał się twardszy.

Wzdrygnęła się odruchowo. Zmusiła do uśmiechu.

Milo zatrzymał swoją wielką twarz centymetry od jej nosa.

- Helgo, ktoś był dla pani wystarczająco ważny, żeby zapłaciła pani pięćdziesiąt tysięcy dolarów za podpalenie, założyła firmę-przykrywkę, i ułożyła precyzyjny plan.

Pierś Gemein unosiła się ciężko i opadała. Kobieta odwróciła wzrok. Początek końca.

- Helgo, chciałaby pani, żebym myślał, że w nic pani nie wierzy, ale ja to widzę tak, że wszystko, co pani robiła, wynikało z czystej wiary. Bo tym właśnie jest zemsta, prawda? Czystą wiarą w moc naprawiania zła.

Ładne usta zadrżały. Zapanowała nad nimi kolejnym uśmiechkiem.

- Niedorzeczne.

- Wiary motywowanej miłością, Helgo.

Cisza.

- Kochała pani Dahlię - mówił dalej Milo. - Nie ma się czego wstyżać, wręcz przeciwnie. Jednak wiara tak daleko posunięta to już fundamentalizm. Kpi pani z religii, ale czerpie z niej garściami, kiedy to pani pasuje.

Gemein przewróciła oczami. Wybuchła nerwowym, zbyt głośnym śmiechem.

Zdradziło ją nagle uniesienie ramion; dreszcz przeszedł ciało.

- *Sutma* - rzucił Milo.

Brak odpowiedzi.

- Słyszała pani o *sutmie*, Helgo.

- Prymitywna bzdura.

- Niewykluczone, ale ważne, że książkę Teddy i jego rodzina tak nie myślała.

Czekał na reakcję na imię. Jedno

mrugnięcie. Potem nic.

- Albo nie chodzi tylko o nich - ciągnął. - Może pani naprawdę wierzy w raj i piekło, i wszystko, co się z tym wiąże. Ale to tak naprawdę bez znaczenia. Ważne, że wierzą w to sułtan i reszta rodziny, a po tym, co zrobiono Dahlii, musiała pani chwycić się każdego skrawka zemsty. Ponieważ Teddy znalazł się poza zasięgiem. Geograficznie, fi nansowo nie może go pani tknąć. Ale duchowo? Spaliła pani te dechy, żeby Teddy zawisł w kosmicznej pustce. To przerażające dla kogoś, kto wierzy w *sutmę*.

Milczenie.

- Chociaż to zabawna koncepcja - podjął po chwili Milo. - Gdybym ja był religijny, wołałbym wierzyć, że jest wprost przeciwnie, że zniszczenie szczątków materialnych przyspiesza przejście na tamten świat.

Zaśmiał się, klasnął głośno w ręce, wstał gwałtownie, dwa razy przemierzył pokój.

Helga patrzyła na niego z niepokojem. Zmusiła się, żeby nie śle-
dzić wzrokiem jego okrażeń. Znieruchomiła, kiedy zatrzymał się za
jej plecami.

Patrzyła na wprost; udawała, że nie zwraca uwagi na potężną po-
stać rzucającą na nią cień.

Linia jej szczęki była infostradą.

- Nagle coś zrozumiałem, Helgo. Po prostu mnie oświeciło. Pani
bezgranicznie wierzy w rytuały. Na przykład ogolenie głowy. Od pierw-
szego naszego spotkania zadawałem sobie pytanie, dlaczego pani to
zrobiła. Ale teraz już wiem. To rytuał samoupokorzenia, który trwa,
dopóki nie osiągnie pani celu. Jak głodówka w Wielki Post. Nie zdi-
wiłbym się, gdyby pani też pościła. Nie tylko w ten sposób. Może nawet
złożyła pani śluby czystości.

Zagryzła zęby.

- Kiedy zaczęła pani jeść mięso w Wielki Post? Czy w ogóle? Ży-
wisz się, Helgo, wielkopostnymi warzywkami i tłumaczysz to metaeko-
logią?

Zacisnęła powieki.

- Mimo wszystko to jednak religia. Jest pani ścisłą wegetarianką?
Czy przemyca pani mięso, kiedy nikt nie widzi?

Cisza.

- Jak ktoś raz zostanie katolikiem, to umrze katolikiem. Niech mi
pani wierzy.

Skrzyżowała ramiona, opuściła je, zaczęła głęboko oddychać.

- Och, niech pani da spokój i wykrzesze z siebie trochę uczciwości,
wyspowiada się, jak panią nauczyl w przyklasztornej szkole. W głębi
duszy jest pani głęboko wierząca. Grzech musi zostać ukarany, prawda.
A nie ma większego grzechu niż morderstwo. Zwłaszcza niewinnego
człowieka, takiego jak Dahlia.

Powieki Gemein zacisnęły się jeszcze mocniej. Pocięły łzy.

- Kochała pani siostrę, to nic złego; ona panią też kochała. Wiara
to dobra rzecz, Helgo. Pomaga mi panią zrozumieć. Chciała pani, żeby
sprawiedliwości stało się zadość. Nie pojedzie pani na Sranil i robi
tego, o czym marzy, chociaż na pewno tak do końca sobie pani nie od-
puściła. I może pani ojciec też nie. Ale na razie...

Zaszlochała. Zakryła usta dłonią.

Milo nachylił się, tuż nad jej uchem, zniżył ton.

- Pani ocalała i pragnie sprawiedliwości. To ludzka rzecz, Helgo, i nieważne, co pani twierdzi, jest pani człowiekiem.

Cały dół twarzy Helgi zaczął drżeć. Przycisnęła dłoń do policzka, nie zdołała powstrzymać fali dygotu.

Milo przysunął swoje krzesło tak, że ich kolana prawie się stykały.

- Niech bydlak sobie wisi - powiedział łagodnie. - Zasłużył na to. Jeszcze bliżej.

- Nie wiem tylko, dlaczego pani zabiła Desa i Doreen.

Otworzyła oczy.

- O czym pan mówi?

- Wydawało mi się, że udawanie zostawiliśmy już za sobą.

- Jest pan śmieszny.

Podał jej chusteczkę. Gwałtownie ją odtrąciła.

Milo patrzył, jak chusteczka miękko leci w dół. - Dlaczego ich pani zamordowała? Zrobili się chciwi, żądali więcej pieniędzy?

Pokręciła głową.

- Głupiec.

- A może byli tylko przeszkodą do usunięcia? Pora zatrzeć ślady.

Spróbowała odsunąć się razem z krzesłem. Nogi krzesła utknęły.

Milo nachylił się bliżej. Helga odchrząknęła. Odchyliła głowę.

- Oo - powiedział Boxmeister.

Milo odsunął się w samą porę, by uniknąć pocisku ze śliny.

Mokra pacynka spadła na podłogę. Helga zacisnęła pięści, poczerwieniała na twarzy, dyszała. Milo pokręcił głową wciąż cierpliwym jak nauczyciel.

- Wygląda na to, że trafiłem w słaby punkt.

- Trafił pan w gówno - warknęła. - Nigdy nikogo nie zabiłam.

Nigdy.

- Ale o co chodzi? Przecież nienawidzi pani ludzkości...

- Ludzkość to gnojowisko. Nie brudzę sobie rąk gnojem.

- Chyba że to służy pani celom.

Pokręciła głową.

- Idiota.

Milo sięgnął po papiery, wyjął kolejną kartkę. Zręcznie, koniec z nieporadnością. Zdjęcie mężczyzny w kapturze

- Zabiła pani Desiego i Doreen z pomocą tego człowieka.

Twarz Helgi Gemein się wygładziła. Na usta powoli wypełził uśmiech - tak spokojny, że aż skurczył mi się żołądek.

- Nigdy nie widziałam tego człowieka.

- O rany - wymamrotała Maria Thomas.

- Co? - spytał Boxmeister.

- To ci wygląda jak przyznanie? Zdjęcie ją uspokoiło. Cholera. - Odwróciła się do mnie. - Albo to wariatka, albo naprawdę nie wie, o czym mówimy. Tak czy inaczej, mamy *mucho problemno*.

Milo wciąż trzymał fotografię.

- Może pan machać nią w nieskończoność - prychnęła Helga. - Swoją małą policyjną flagą.

- To pani wspólnik, Helgo, pomógł pani zamordować Desa i Doreen. Pojechała z nim pani do Port Angeles?

Pokręciła głową.

- Jest pan skończonym głupcem.

- Zdjęcie zostało zrobione w Port Angeles kilka dni temu. Ten człowiek pojechał tam zabrać pieniądze. To się nazywa dobre planowanie. Nigdy nie zamierzała pani zostawiać Desowi ani centa. Bo od początku był skazany na śmierć. Tak naprawdę wypożyczyła pani samochód, żeby śledzić Backera i dowiedzieć się, gdzie schował forszę. Po powrocie do L.A. przechwyciła pani jego klucz, wyłuskała mu z kieszeni albo znalazła w szufladzie biurka i dorobiła kopię. Może przeprowadziła pani tę akcję, kiedy zabawiał się z koleżankami, a pani miała całe biuro dla swojej tysej, umartwiającej się, nie do końca byłej katolickiej fundamentalistycznej osoby.

Gemein zachichotała.

- Pan naprawdę wierzy w ten *scheiss*.

- Dowody każą mi wierzyć.

- W takim razie dowody to *scheiss*. - Cmoknęła. - Spaliłam dechy, to wszystko. Teraz chciałabym iść, zapłacić grzywnę i nie musieć już wysłuchiwać tych wariackich bzdur.

- My sprzątniecie dech nazywamy podpaleniem i to przestępstwo.

Helga wzruszyła ramionami.

- Wynajmę prawnika. On zrobi z tego dowcip, który się wymknał spod kontroli, i będę wolna, a pan pozostanie głupi.

- Cholera - zaklął Boxmeister.

- Nie poprosiła jeszcze - uspokoiła go Thomas. - Tylko zagroziła.
- Przynęła się do lustra. - Zmień temat, koleś.
- Jeszcze wody? - spytał Milo.
- Tak! - zawołała Thomas.
- Nie, dziękuję - odparła Helga. Słodki uśmiech. Niepokojący. Nie na miejscu.

- Des i Doreen zostali zamordowani w wieżyczce tamtego domu. Mimo to pani tam wróciła.

- Miałam sprawy do załatwienia.
- Morderstwo pani nie przeszkadzało?
- Nie moje zmartwienie, policjancie.

Milo podsunął jej kolejną kartkę.

- Co to jest?

- Szczątki pewnego dżentelmena Charlesa Ellstona Rutgera. Wychował się w domu, który kiedyś stał na działce przy Borodi. Jak to czasem się zdarza, był głupio, sentymentalnie przywiązany do tej ziemi, dlatego lubił się tam zakradać, siadać w wieżyczce, wspominać dobre stare czasy. Widzi pani to świecące? - Wskazał palcem. - To cząstka jego kieliszka do wina. A to? Puszka foie gras. Pan Rutger rozkoszował się przekąską, po piął ją wyśmienitym bordeaux, kiedy pani zredukowała go do popiołu.

Chwyliła odbitkę.

- To zdjęcie z miejsca zbrodni. Proszę sprawdzić datę. Niewiele z faceta zostało, prawda? Zabiła go pani.

Helga rozdziawiła usta.

- Nie - wyszeptła.

- Wręcz przeciwnie. Tak. Wielkie, tłuste tak. Pan Rutger miał pecha i relaksował się w wieżyczce tej makabreski, kiedy pani przyszła, rozłożyła lonty, zapalniki i pojemniki z galaretką. Nic nie słyszał, bo działała pani ostrożnie i cicho, a on był starym człowiekiem i siedział na samej górze. Popijał wino, kiedy pani stanęła na chodniku i rozpoczęła swój akt oczyszczenia.

- Nie!

- On nie słyszał nadciągającej domowi zagłady, ale pani jest młoda, ma zdrowe uszy, więc założę się, że pani go słyszała. Ale nie przejęła się, czymże jest kolejny kawałek ludzkiego *scheissu*?

Wypuściła zdjęcie, jakby ją oparzyło. Spadło na podłogę. Patrzyła na nie oczami wielkimi ze zgrozy.

Po raz pierwszy pokazała coś zbliżonego do właściwych emocji. Trochę się tym zrehabilitowała, ale niewiele.

- O Boże - jęknęła.

W ciężkich chwilach nie ma ateistów.

- Pani dechy stały się stosem pogrzebowym dla człowieka. To z kolei nazywamy zabójstwem. Spowodowaniem śmierci podczas popełnienia ciężkiego przestępstwa, choćby nieumyślnym. To już nie grzywna, Helgo.

- Ja nie wiedziałam - powiedziała cienkim, cichym głosem. - Musi mi pan uwierzyć.

- Muszę?

- Mówię prawdę! Ja nie wiedziałam!

- Nie słuchała pani. Nieważne, czy pani wiedziała, to wciąż zabójstwo.

- Ale to... bez sensu.

- Nie ja piszę zasady.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Pan kłamie. To fotomontaż. Każdy może przerobić datę. Chce mnie pan skołować, żebym się przyznała do zabójstwa Desa i Doreen, nic z tego, bo ich nie zabiłam.

- Niestety pan Rutger jest prawdziwy. Był. Pokazać pani raport z autopsji? Spaliła go pani na skwarę.

- Ja nie morduję.

- Już się pani przyznała do podpalenia. W pożarze zginął człowiek, stoi pani przed długim wyrokiem więzienia. Jedyne sposobem, żeby się pani z tego wyplątała, to wytłumaczyć się. Proszę mi powiedzieć, czemu postanowiła pani wyeliminować Desa i Doreen. Motyw sam mi się nasuwa: próbowali panią szantażować. Jeśli tak, to dobre wyjaśnienie, ludzie rozumieją, to rodzaj samoobrony.

Pokręciła głową.

- A jeśli ten facet w kapturze zabijał bez pani wiedzy i zdradzi nam pani, kto to jest, to też może się okazać pomocne.

- Co za idiotyzm. - Helga zaczęła wykręcać sobie palce. - Nikogo nie zabiłam.

- A ja widzę pani partnera jako głównego sprawcę śmierci Desa i Doreen, bo w tych morderstwach była swego rodzaju męska głupota, a głupota mi do pani nie pasuje. Zaczniemy więc od tego, kto to jest.

- Dalajlama.
- Słucham?
- Dzisiaj to dalajlama. Jutro? Cesarz Franciszek Józef, Nikola Tesla, Walter Gropius. Do wyboru.
- Nie pomaga pani sobie, Helgo.
- Myśli pan, że chcę panu pomóc?
- Rozumiem, nie pociągnęła pani za spust, więc myśli pani...
- Nic nie rozumiesz! - wrzasnęła. - Nikogo nie zabiłam!
- Charles Rutger miałby inne zdanie, gdyby mógł.
- Wypadek - powiedziała. - Gdybym go usłyszała, zaczekałabym.
- Chociaż nie obchodzą pani ludzie.
- Unikam komplikacji.
- Cóż, w końcu narobiło się całe mnóstwo komplikacji.
- Jest pan beznadziejnie uparty.
- Jak ktoś inny, kogo pani zna?
- Kto?

Milo się uśmiechnął.

- Miałem takiego ojca.

Helga zadygotała. Tym razem to ona zamaskowała ukłucie emocji jeszcze szerszym uśmiechem.

- Żal mi pana, policjancie.
- Wróćmy do podstaw, Helgo, pani stąd nie wyjdzie. Ale ma pani szansę pomóc sobie, jeśli mi powie...
- Muszę więc...
- O cholera - mruknęła Maria Thomas.
- ...mieć chwilę do namysłu. Sama. - Cichy głos, prawie łagodny. - Zaskoczył mnie pan. - Potrzebuję trochę czasu.
- Ile pani zechce - odparł Milo.

33

Drzwi do pokoju obserwacyjnego się otworzyły. Milo wszedł do środka, wycierając pot z twarzy.

W obecności Helgi zachował spokój: zen i sztuka detekcji.

- Wcale nie wygląda na zdenerwowaną tymi dwoma morderstwami
- powiedziała Maria Thomas.

- Nawet jeśli, mamy ją w sprawie Rutgera, pójdzie siedzieć na długo
go - stwierdził Don Boxmeister.

- Nie bądź taki pewny - odparła Thomas. - Nie zapomnij o rodzinnych pieniądzach. Zakład, że każdy szanujący się prawnik od razu skazuje ostatnie dwie godziny, bo była pod emocjonalną presją?

- Milo nie cisnął jej mocno, Mario.

- A kogo to obchodzi, Don? To gra, a bogaci mają lepszą statystykę wygranych partii. - Odwróciła się do Mila. - Dobrze, że to taka arogancka baba, tylko dlatego nie zasłoniła się prawnikiem. Wydaje jej się, że jest sprytniejsza od ciebie. Ale teraz, kiedy powiedziałeś jej o Rutgerze, nie licz, że tego nie zrobi. Jaki planujesz następny krok?

Milo ciężko usiadł. Patrzył na Helgę przez szybę.

Nie wstała z krzesła. Posąg w czarnej peruce.

- Milo, śpisz? - Thomas szturchnęła go lekko.

- Nie wiem.

Na blackberry Marii przyszła wiadomość. Kapitan spojrzała na ekran, postukała rysikiem, przewinęła.

- Detektyw Obermann skończył tłumaczenie z niemieckiego, wyśle ci je e-mailem, ale z przyjemnością omówi przez telefon. I... wygląda na to, że rozszyfrował część liczb, które znalazłeś też w papierach Gemein. To namiary GPS na prywatny hangar na lotnisku Van Nuys. Zarejestrowany na... DSD Inc. Coś ci to mówi?

Milo się wyprostował.

- Bardzo dużo. To holding sultana.

- Czyli nasza szwajcarska dziewczeczka planowała kolejne podpalenia. Porozmawiam ze sranilskim konsulatem, poproszę o zgodę na wejście do hangaru.

- Nie ma konsulatu.

- No to z ambasadą w Waszyngtonie.

- Powiedzą „nie" i go wyczyszczą.

- Z czego?

- Ich królewska rodzina jest zamieszana w morderstwo, wejda w tryb całkowitego krycia tyłka.

Thomas się zamyśliła.

- Chyba mamy problem.
- Helga Gemein zamknęła oczy.
- A co powiecie na to? - wtrącił się Boxmeister. - Wystąpimy o nakaz w obliczu nagłego zagrożenia. Prawdopodobna obecność łatwopalnych chemikaliów, wysokie ryzyko pożaru.
- Hangar może wybuchnąć? - spytała Thomas. - Jakie przedstawimy dowody?
- Poprzedni zły postępek Helgi i jej szukanie koordynat GPS. Dla mnie to wyraźny zamiar.
- Szukać to jedno, a dostać się tam to zupełnie inna historia, Don.
- Wyczarteruje prywatny odrzutowiec - powiedział Milo. - A na miejscu jakoś znajdzie dostęp do hangaru - podsunął Milo.
- Właśnie - przytaknęła Boxmeister. - Jak w prywatnych klubach. Trudno przejść przez bramkę, ale gdy znajdziesz się w środku, możesz wszystko.
- Żaden sędzia tego nie kupi - stwierdziła Thomas. - A do tego mówimy o rodzinie królewskiej.
- A jeśli już tam była i rozstawiła galaretkę? - spytał Milo. - Pomyślcie, dookoła mnóstwo samolotów pełnych lotniczego paliwa.
- Cholera, wołę sobie tego nie wyobrażać - mruknął Boxmeister.
- Na pewno bardzo bym nie chciał być tym, który nie podjął żadnych kroków.
- Sprytnie, chłopcy - zadrwiła Thomas. - Podpuszczacie mnie, że bym spytała szefa.
- Milo zerknął w weneckie lustro. Helga wciąż siedziała bez ruchu.
- Jak uważasz, ale ja już zużyłem na nią swój cały urok.
- Thomas postukała w blackberry. Zaczęła pisać. Gemein podeszła do lustra i stanęła do nas plecami. Podniosła rękę, zrobiła coś z peruką.
- To jej odruch w chwili zdenerwowania, kombinowanie z peruką
- stwierdziła Boxmeister. - Mówię wam, zacznie sypać.
- Jeśli to dodało Milowi otuchy, nie dał niczego po sobie poznać.
- Thomas dalej pisała.
- Helga znów się odwróciła, twarzą do nas.
- Patrzyła, ale nie widziała.
- Puste oczy; znalazła się w swojej samotni.

Jednym zwinnym ruchem zerwała perukę, odsłoniła pięknie ukształtowaną głowę, wygoloną do połysku. Trzymając perukę przed sobą, wnętrzem do góry jak kielich, uśmiechnęła się.

Smutny uśmiech. Widziałem go drugi raz. Nie podobał mi się tak samo jak pierwszy.

Sięgnęła do peruki i dwoma palcami wyciągnęła coś małego, białego, w kształcie kapsułki, trzymanego między kciukiem i palcem wskazującym.

Wciąż się uśmiechając, otworzyła usta i wrzuciła w nie białe coś. Przełknęła.

Jej uśmiech stał się szerszy, oddech szybszy.

- O cholera - zawołał Boxmeister.

Milo już gnał do sali przesłuchań.

Maria Thomas podniosła wzrok znad blackberry.

- Co się dzieje?

Milo ją wyminał, trzasnął za sobą drzwiami. Centymetry za szybą Helga Gemein się zachwiała. Chwyciła się za brzuch, sapnęła. Zacharczała.

Z jej ust pociekła zielona i lepka wydzielina.

Ze zwiotczałych ust zniknął uśmiech.

- O mój Boże - jęknęła Thomas i wybiegła. Boxmeister ruszył za szefową.

Ja zostałem na miejscu. Nie było sensu robić tłoku.

Helga dostała konwulsji. Oddychała coraz ciężiej. Zakotłowała się, przysunęła bliżej lustra, zaczęła nierówno dyszeć. Szkło zaszło parą. Potem pojawiły się na nim błyszczące kropelki śliny małe punkty czerwieni.

Potężny spazm zaczął się w jej oczach, popędził w dół, obejmując całe ciało.

Szmaciana lalka potrząsana ręką niewidzialnego boga.

Z ust wykipiiała piana, Niagara żółci. Płaty śluzu pokryły szkło, zasłoniły widok. Ale udało mi się zobaczyć Mila - wbiegł, chwycił Helgę w upadku.

Położył ją ostrożnie na ziemi, zaczął masaż serca. Thomas i Boxmeister stali obok jak zahipnotyzowani.

Milo miał doskonałą technikę. Rick upiera się, żeby porucznik co dwa lata ponawiał kurs. Milo marudzi na kolosalną stratę czasu, wy-

dział zabójstw to praca umysłowa, niby kiedy mógłby wykazać się bohaterstwem.

Dzisiaj mógł.

Dzisiaj to było bez znaczenia.

34

Twarz komendanta policji jest dziobata bardziej niż Mila. Bujny, siwy wąs całkiem niezle maskuje zajęczą wargę.

To szczupły mężczyzna, bez widocznego tłuszczu na ciele. Skóra mocno opina mu czaszkę, uwypukla każdy dołek, wyblyszczają skazy i blizny. Sama głowa jest dziwnie ukształtowanym trójkątem - u góry szeroki i nienaturalnie płaski pokryty jedwabistymi, białymi włosami zwęża się do spiczastego jak nóż podbródka. Oczy są małe i ciemne, a ich zachowanie to na przemian oszalałe skoki i długie okresy zniechęcenia bez jednego mrugnienia. Kiedy komendant obraca głowę w pewien sposób, poacie napiętej, umęczonej skóry nadają mu wygląd ofiary rozległego poparzenia.

Często ją tak obraca i zastanawiam się, czy robi to celowo.

Bierz mnie takim, jaki jestem.

Cała jego przeszłość potwierdza życiową zasadę „pieprzcie się”: kariera od niczego, dyplom z uniwersytetu Ligi Bluszczowej, który komendant lekceważąco nazywa „azylem dla rozpieszonych bachorów”. Bohaterstwo wojenne i mozolne awansowanie w słynącej z korupcji policji na Wschodnim Wybrzeżu, lata kopania tyłków biurokracji i oczyszczania departamentu ze złogów. Walcząc z szefostwem i związkami zawodowymi z jednakową pogardą dla obu, doprowadził do widowiskowego spadku przestępczości w mieście uznawanym za „niezarządzone” przez okrągłogłowych, których lekceważąco nazywał „spasionymi gnojkami z mentalnym zatwardzeniem i słowną biegunką”. Oszalałymi sukces został wykorzystany, by zażądać i otrzymać najwyższą pensję w historii amerykańskiej policji.

Miesiąc później bezceremonialnie zrezygnował, kiedy L.A. przebiło stawkę.

Wszyscy prorokowali, że na L.A. się wyłoży.

W ciągu roku od przyjazdu rozwiódł się z trzecią żoną, dziesięć lat młodszą, ożenił z czwartą - dwadzieścia lat różnicy - bywał na licznych hollywoodzkich przyjęciach i obniżył wskaźniki przestępczości o dwadzieścia osiem procent.

Kiedy przyjmował posadę, różne departamentowe siusiaki zaczęły obmawiać Mila jako „nieustannego awanturnika i zbrojeńca”, domagając się jego degradacji albo i gorzej.

Komendant sprawdził statystyki rozwiązanych spraw, większość siusiaków trafiła na wcześniejszą emeryturę. Milo dostał możliwości wykonywania swojej roboty ze stosunkową elastycznością. Dopóki miał wyniki.

Wcześniej spotkałem komendanta raz. Zaprosił mnie do swojego biura, pokazał zbiór książek psychologicznych, wyłożył co ciekawsze punkty terapii behawioralno-kognitywnej, a potem złożył mi propozycję: etat szefa policyjnego wydziału nauk behawioralnych. Choć obiecał zwiększyć mi pensję o czterdzieści procent, suma wciąż nie zbliżyła się do tego, co zarabiałem prywatnie. Ale nawet gdyby ją potroił, nigdy bym się nie zgodził. Wiem, jak skutecznie grać z innymi, ale wolę własne zasady.

Podczas tamtego spotkania był ubrany dokładnie tak samo jak dzisiaj: dopasowany, czarny jedwabny garnitur, błękitna koszula, czerwony krawat za pięćset dolarów od Stefano Ricciego z wszytymi maleńkimi kryształkami. Na kimś mniejszego pokroju taki komplet krzyczałby wprost „za bardzo się staram”. Na nim cały ten luksus podkreślał jedynie skazy cery.

Taki jestem.

Siedział naprzeciwko Mila i mnie w boksie w restauracji przy Siódmej ulicy. Wejścia pilnowało dwóch zwalistych gliniarzy po cywilnemu; trzech kolejnych zajęło upatrzone pozycje w środku. Aksamitny sznur odgradzał innych gości od tego przyciemnionego kąta na uboczu. Przydzielony nam kelner był usłużny, lekko wystraszony.

Na obiad komendanta składała się kanapka z kurczakiem, chleb siedem ziaren, sałatka bez przybrania. Dla Mila zamówił prawie kilogramowy stek, średnio wypieczony, ze wszystkimi dodatkami; dla mnie skromniejsze żeberka. Gdy przyszliśmy, od razu podano nam jedzenie.

- Zgadł pan - powiedział Milo.

Komendant uśmiechnął się krzywo.

- W gułagu zbieramy informacje o dysydentach. - Wziął nóż i pokroił kanapkę na ćwiartki. Każdą zjadał w pięciu kęsach, gryząc powoli i dokładnie. Ostre, białe zęby, coś pomiędzy lisimi a wilczymi. - Otarł usta wykrochmaloną, lnianą serwetką. - Kupiłem ci polisę ubezpieczeniową na Gemein, Sturgis. Wiesz, o czym mówię?

- Kapitan Thomas.

Palec wycelowany nad stołem jak pistolet.

- Masz szczęście, że Maria tam była, kiedy ta rąbnięta dziwka połknęła cyjanek, bo odpowiedzialność idzie w górę, jak gorące powietrze. A jeszcze bardziej ci się pofarcilo, że to pani kapitan nie chciała robić rewizji. Jest bystra i zaradna, ale czasem za dużo myśli.

- I tak bym nie przeszukiwał Helgi - przyznał Milo.

- Co to, Sturgis? Pokuta?

- Mówię prawdę.

- Dlaczego byś jej nie sprawdził?

- Zależało mi na nawiązaniu porozumienia.

- Poza tym nawet superglina taki jak ty nie wymyśliłby, że ta suka schowała coś pod peruką - stwierdził komendant. - To ci dopiero przesadzony dramatyzm. O tyle dobrze, że udało mi się zablokować meły z prasy, kiedy zaczęły robić szum. Ich życiowy cel to doprowadzić nas do upadku, Sturgis, bo *to* bezużyteczne małe gówienka. A koncentracji na danym temacie mają tyle, ile byś wyskrobał z muszli winniczka. Niedawno opracowałem metodę radzenia sobie z kretynami z mediów, jak sądzę, kulturalną i skuteczną.

Z kieszeni marynarki wyjął srebrny wizytownik, ozdobiony dużym monogramem. Zręczne naciśnięcie guzika i pokrywka odskoczyła. W środku znajdowały się jasnoniebieskie wizytówki. Podał jedną nad stołem.

Gruby papier, eleganckie tłoczenie. Trzy linijki tekstu.

„Państwa opinia została wysłuchana z wielkim entuzjazmem. Bardzo uprzejmie proszę wypierdalać”.

- Doskonale.

- Poproszę to z powrotem, Sturgis. Cały czas się zastanawiam, czy dobrze dobrałem słowa.

Komendant zajął się swoją lodową sałatą. Zacisnął wąskie, blade wargi i nożem zredukował ją do postaci z grubsza posiekanego coleslawu. Nadział kilka zielonych strzępów, zaczął je żuć z uwielbieniem, jakby konsumowanie nieprzybranej zieleniny było jakąś zakazaną rozkoszą.

- Tak czy inaczej niedorzeczny akt samozniszczenia Gemein traci zainteresowanie opinii publicznej, nie widzę potrzeby wpychać pod autobus nikogo więcej.

- Dziękuję.

- Doktorze Delaware, czemu ta baba się wykończyła?

- Trudno powiedzieć.

- Gdyby było łatwo, to bym nie pytał. Niech pan poteoretyzuje, jakby ktoś panu za to płacił, nie powołam się na pana odpowiedź.

- Mogła żyć przez długi czas z poważną utajoną depresją - zacząłem.

- Biedna mała bogata dziewczynka? Z tego, co słyszałem, raczej nie należała do tych, co łkają i biją się w piersi.

- Nie mówię o pasywnej depresji. Zareagowała tak jak reagują niektórzy mężczyźni, wrogością i izolacją.

- Mężczyźni z pogranicznym zaburzeniem osobowości?

- To jedna z hipotetycznych diagnoz.

- Depresja. - Odłożył widelec. - Jaka rodzina ma w dupie samobójstwo? Z Zurychu nikt nawet nie pisał. Nam akurat w to graj, to są iiberbogaci ludzie. Jeszcze nam tylko pana potrzeba. Kazałem zastępcy Weinbergowi zadzwonić do nich osobiście i odegrać Colina Powella: surowa władczość plus dyplomacja. Matka podziękowała mu za wiadomość, jakby informował ją o pogodzie, a potem oddała słuchawkę staremu, który zrobił to samo. Uprzejmie, bez emocji, bez pytań, przyslijcie ciało, kiedy skończycie. Co za banda zimnych sukinsynów. Nic dziwnego, że popadła w depresję. Myśli pan, że dlatego nie uprawiała seksu, doktorze? Zgoliła sobie włosy... przy okazji, to było dobre powiedzonko, Sturgis. Samoumartwienie. Któregoś dnia użyję go w jakimś przemówieniu. Twierdzi pan, że cały ten bałagan to skutek niedostatku prozacu, doktorze?

- Uważam, że depresja mogła być stanem bazowym, a Helga próbowała nadać swojemu życiu sens, obierając sobie cel.

- Spalić głupi stos desek, żeby pomścić siostrę, to całe plemienne jak mu tam?...

- *Sutma* - odpowiedział Milo.

- Brzmi jak Kamasutra - zauważył komendant. - Albo coś ze specjalnego wydania „National Geographic”. Z drugiej strony żyjemy w czasach wielokulturowych, więc nie lekceważę prymitywnych zwyczajów. Dobra, wyznaczyła sobie zadanie, spieszyła sprawę, wykończyła się ze wstydu. Do mnie to przemawia. Czy to ona załatwiła tych trupów w wieżycze?

- Nie wiem na sto procent, ale przecucie mi mówi, że nie.

Komendant zjadł jeszcze sałaty.

- Ktoś ma jakieś przecucie, czy książkę Teddy żyje?

- Nie - odparł Milo.

- Co planujesz w sprawie morderstw przy Borodi?

- Jeszcze nic nie wymyśliłem.

- W takim razie się pospiesz. Chciałbym, żebyś się uporał z kolejnym wyzwaniem. Chodzi o jakieś szumowiny z gangów w Southwest Division przyssane do federalnego cycka. Dostają dotacje na walkę z gangami. To tak, jakby płacić pedofilom za prowadzenie przedszkola. Podejrzewam, że za te pieniądze kupowana jest ciężka artyleria.

- Southwest Division potrzebuje mojej pomocy?

- Ja ustalę, kto czego potrzebuje. Daję ci dwa tygodnie, żebyś zamknął sprawę morderstw w wieżycze, potem trafiają do zamrażarki. - Wypiełgnowane palce podniosły ćwiartkę kanapki. - Stek ci nie smakuje?

- Jest świetny.

- No to wsuwaj. Parę odświeżających beknieć i jedziesz do Van Nuys obejrzeć hangar.

- Sranilska ambasada udzieliła pozwolenia?

- Czterdzieści osiem godzin ignorowania naszej rozsądnej prośby plus istniejące zagrożenie? Pieprzyć ich, Sturgis. Ja pozwalam.

35

Piękne popołudnie na lotnisku Van Nuys. Żadnych kolejek do odprawy, żadnych opóźnień ani innych upokorzeń. To był Mont Blanc podróżowania, wszystko prywatne, każdy

szczęśliwy podróżnik posiadał albo leasingowa! jeden z nieskazitelnie białych odrzutowców pyszniących się na płycie.

Cisza. Tylko jeden samolot grzał silniki. Citation X smukły jak wyścigówka. Bagażowi pospiesznie zapełniali ładownię walizkami Yuittona, a na pokład wsiadała zadbana, czteroosobowa rodzina w przeciwsłonecznych okularach. Matka koło trzydziestki, ojciec koło pięćdziesiątki, dwoje dzieci poniżej dziesięciu lat. Wszyscy w zamszach.

Luksusowy terminal przylegający do pasów startowych tonął w zieleni. Tak samo trzy eleganckie magazyny, które minęliśmy. Hangary stały na północnym skraju lotniska, monumentalne skrzynie z zabawkami.

Kiedy Milo i ja przybyliśmy na miejsce, przy hangarze 13A czekali już saperzy. Twarze znajome z akcji w domu Helgi i jej warsztacie, wszystkie gadzety gotowe do powtórki.

Nowy pies. Doskonale ułożona, krótkowłosa suka retrievera, Sinead, czekała cierpliwie u boku. Emanowała pewnością siebie płynącą z urody i dużego talentu.

- Mogę pogłaskać, Mitch? - spytał Milo.

- Jasne - odparł opiekun.

Wielka dłoń pogładziła łeb psa. Sinead zamruczała jak kot.

- Działa solo?

- Tylko jej możemy ufać, bo nie skołuje jej paliwo lotnicze i inne takie.

- Dobry nos, co?

- Najlepszy - pochwalił podopieczną Mitch. - Już sprawdziliśmy dookoła. Nic podejrzanego. Wchodźmy do środka.

Sinead wbiegła i wybiegła w kilka sekund. Saperzy dokładnie przeszukali pomieszczenie, ogłosili, że hangar jest czysty, dali znak, żebyśmy weszli.

Wnętrze było mniejsze niż dom przy Borodi, ale niewiele. Dach sięgał siedmiu metrów, podłogę pokrywała wykładzina, ściany - cedrowa boazeria. Na środku granatowy gulfstream 5. Numery na ogonie odpowiadały międzynarodowym oznaczeniom Sranilu. Jeden z trzech samolotów zarejestrowanych na wyspie, wszystkie należały do królewskiej rodziny. Złoty wieniec na drzwiach otaczał sranilską flagę - liście palmowe, korona, trzy gwiazdy w poziomym rzędzie.

Za samolotem, na trzy metry w górę piętrzyły się drewniane skrzynie. Milo kazał policjantom zestawić kilka, zaczął otwierać je łomem.

W pierwszej perły Mikimoto. Tysiące, w pudełkach wyłożonych akksamitem. W następnych trzech - zafoliowane futra, z przewagą sobolowych. Skrzynię numer cztery zajmował półtorametrowej średnicy żyrandol od Tiffany'ego: malwy w zawierusze kolorów i światła.

Piąta i szósta: sztabki złota. Potem platynowa biżuteria. Gobeliny. Obrazy, głównie o tematyce sielankowej. Kwasoryty dawnych mistrzów, znów złoto, worki brylantów.

- Dostaniemy znaleźne? - spytał jeden z gliniarzy.

Milo odłożył łom, przeszedł na drugi koniec hangaru, gdzie za macucim cielskiem samolotu stała flota samochodów przykrytych granatowymi plandekami. Na każdej te same królewskie insygnia.

Czerwone ferrari enzo, czarne bugatti veyron, limonowy kabriolet lamborghini, srebrna limuzyna rolls-royce phantom. Za limuzyną biały prius.

- O rany - jęknął policjant. - Że też nie urodziłem się w Arabii Saudyjskiej.

- Na Sranilu - poprawił drugi.

- Wszystko jedno. Za tyle błyskotek mogę się nazywać Husajn i dać obrzezać tęym nożem bez znieczulenia.

- Pierwszy raz za mało bolał? - rzucił jego kumpel.

- Słyszałem, że nie zostawili za dużo na później - dodał trzeci.

- Źle słyszałeś, stary. Spytaj swojej żony.

Śmiech.

- Co tu robi ta hybryda? - zainteresował się pierwszy. - Wygląda jak pryszcz na tyłku rollsa.

- Pewnie wstawili silnik ze złota. Albo zrobili niezły tuning... mogę zajrzeć pod maskę, poruczniku?

Milo powstrzymał go gestem. Obszedł samochody, włożył rękawiczki. Wszystkie auta miały przyciemniane szyby, ale otwarte drzwi. Milo szarpnął za klamkę pirusa od strony kierowcy i zamarł.

Podbiegliśmy.

- O Jezu - zawołał jeden z policjantów. - Obrzydlistwo.

Tylny fotel samochodu zajmowały dwa szkielety, skulone, przytulone, duet szcepionych kości. Na moje oko to nie była pozycja ułożona, raczej naturalny odruch bliskości w obliczu najgorszych wieści.

Milo wycelował latarkę w szkielety, a ja spojrzałem mu nad ramieniem. Mniejszą czaszkę pokrywały przypominające watę jasne kępki, większą oblepiały ciemniejsze kosmyki.

Kości udowe i miednice przyciśnięte do siebie, palce splecione.

Wieczni kochankowie.

- W każdej czaszce po dwie dziury po kulach - powiedział Milo. Na czole i pod nosem.

- Egzekucja - stwierdził funkcjonariusz, który chciał oglądać silnik. -I zmusili ich, żeby patrzyli.

Milo przesuwiał strumień światła.

- Zostało trochę skóry, głównie na dolnych kończynach, wygląda na wyschniętą.

- Mumifikacja - oznajmił jeszcze inny gliniarz. - Mają tu kontrolę wilgotności i temperatury, pewnie to spowolniło rozkład, ale go nie zatrzymało.

- No proszę, ktoś tu oglądał *Akta zbrodni*.

- Poruczniku, jak pan myśli, ile tu leżą?

- Zaczekamy na koronera, ale na moje oko parę lat.

- To by się zgadzało. Gość z ochrony nie pamięta, żeby ktoś tu wchodził, a pracuje na lotnisku półtora roku. W przeciwieństwie do tego hangaru obok, to garaż piętnastu porszaków Stonefielda. Larry lubi codziennie jeździć innym, jego ekipa bez przerwy się tam kręci.

- Piętnastu? Człowieku, daj mi jednego i będę szczęśliwy.

- A ty daj mi jedną z tych skrzynek; moja dziewczyna zabiłaby za milionową część tego, co w nich jest.

- Dobry dobór słów, kolego.

Milo poświecił latarką w stopy szkieletu, zajrzał głębiej, wycofał się.

- Na dywanikach plamy i brudy. Jeśli nie załatwili ich w samochodzie, to gdzieś blisko. Dobra, ogradzamy teren.

Porównanie mitochondrialnego DNA za szpiku kości blondwłosego szkieletu i ze zwłok Helgi potwierdziło, że Dahlia nigdy nie doleciała na Sranil.

Tożsamość drugich szczątków pozostała nieustalona, być może na zawsze. Władze Sranilu złożyły oficjalną skargę na nieautoryzowane

wejście do hangaru, zażądały natychmiastowego zwrotu samolotu, skrzyń, ciemnowłosego szkieletu. Powołały się na przywilej dyplomatyczny i ściągnęły na pomoc armię pozbawionych twarzy mężczyzn i kobiet z Departamentu Stanu.

- To musi być mój szczęśliwy tydzień, Sturgis - stwierdził komendant. - Spotykam cię drugi raz.

- To ja mam szczęście.

Komendant dotknął pośladek.

- Przyjemnie być tam całowanym. Czyli do akcji weszły źle leżące garnitury ze swoim arsenałem drobnego druku. My dostajemy szkielet kobiety, reszta wraca do sutmalandu. Czy wyglądam na zdenerwowanego, Sturgis?

- Nie, proszę pana.

- Dyplomaci to amoralne, lizodupne robaki, szkoda na nich mojego czasu. Gdyby zadzwonił prezydent, powiedziałbym mu to samo.

- Na pewno.

- Pomyśl o wyborach, Sturgis: jakiś socjopata wydaje setki milionów dolarów, żeby dostać pracę za sześciocyfrową sumę. To już poważna psychopatologia, zgadza się, doktorze?

Uśmiechnąłem się.

- On myśli, że żartuję - mruknął komendant. - W każdym razie do diabła z federalnymi, z sułtanem, z tym brudnym luksusem, który gromadził Teddy. Rzeczywiście, na wiele mu się to przydało. Chociaż chyba nie mogę mieć pretensji do sułtana, że nie chciał pójść z torbami przez te wydatki.

- A Dahlia? - spytał Milo.

- Złe miejsce, zły czas. Albo w Sranilu nie lubią blondynek.

- Czyli to koniec.

- Jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, koniec. Zegar jednak wciąż tyka, jeżeli chodzi o morderstwa w wieżyczce. Jeszcze dwanaście dni, potem zabierasz się do Southwest.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj, tylko wiosłuj jak galernik.

Mijały dni. Tydzień. Milo pogodził się już z perspektywą Southwest Division.

- Był tam kiedyś bar z żeberkami. Na razie odżywiam się zdrowo. Dzisiaj to oznaczało potrójną porcję jagnięciny i warzywa bez ograniczeń z osobistego bufetu w Moghulu.

Kobieta w sari dolewała mrożonej herbaty, jakby płacili jej od dzbanka.

- Nie zgadniesz - rzucił Milo. - Jeden z głównych podejrzanych o handel bronią jest bratankiem radnego Ortiza, a Ortiz to oleisty glut w kranówce Jego Wspaniałości.

- Polityka - powiedziałem.

- Cokolwiek by mówił, sam jest jednym z nich.

Drzwi na ulicę się otworzyły. Do środka wszedł średniego wzrostu mężczyzna w okularach, ciemnozielonej bluzie z kapturem, dzinsach i adidasach. Bez wahania ruszył w naszą stronę.

Pod trzydziestkę, wygolona głowa, wystające kości policzkowe, szybki, zdecydowany krok.

Po bluzą charakterystyczne wybrzuszenie.

Zanim zbliżył się na trzy metry, Milo już miał w rękę glocka.

Kobieta w sari wrzasnęła i padła na podłogę.

Facet zrobił oczy jak spodki.

- Co, do... o cholera, przepraszam.

- Ręce na głowę, nie ruszaj się.

- Poruczniku, jestem Thorpe. Pacific Division.

- Ręce na głowę. Już!

- Jasne, jasne. - Mężczyzna usłuchał. - Poruczniku, musiałem wziąć broń, robimy akcję przeciwko złodziejom samochodów, przynęta stoi niedaleko stąd, uznałem, że... dzwoniłem do pana do biura, poinformowali mnie, że jest pan tutaj, pomyślałem, że po prostu...

Milo sięgnął mu pod bluzę, zabrał pistolet. Taki sam glock. Obszukał gościa, znalazł odznakę w kieszeni spodni.

Funkcjonariusz Randolph E. Thorpe, Pacific Division.

W portfelu zdjęcia: ładna, młoda żona i trójka berbeci, Thorpe dumnie usadowiony na harleyu-davidsonie, w tle dom z bitumicznym

pokryciem dachu. Dwie karty kredytowe i potwierdzenie członkostwa kościoła baptystów w Sirni Valley.

- Dobra, niech się pan uspokoi - powiedział Milo.

Thorpe odetchnął.

- O mało się nie złałem.

- To niedobrze. Co mogę dla pana zrobić?

- Rozmawialiśmy jakiś czas temu. O automacie telefonicznym przy Venice Boulevard. Szukał pan donosiciela, kogoś o imieniu Monte. Chyba go znalazłem. Nie Montego, tego dzwoniącego.

Milo oddał mu pistolet.

- Proszę siadać, funkcjonariuszu Thorpe. Stawiam panu obiad.

- Ee, nie, dziękuję, poruczniku. Już jadłem, zresztą żołądek trochę mi się skurczył.

Thorpe pomasaował brzuch.

- Może herbaty?

- Nie trzeba. - Thorpe się rozejrzał. - Tu jest niebezpiecznie?

- Jak ktoś do mnie idzie wyraźnie uzbrojony, włącza mi się odruch obronny. Wyglądał pan trochę agresywnie, przyjacielu.

- To przez tę pracę - odparł Thorpe. - Mocno się skupiam na wszystkim, co robię. Moja żona mówi, że zamieniam się w robota, jak oglądam telewizję. Przepraszam, jeśli...

- Złożmy to na karb nieporozumienia. Dostaniemy trochę herbaty dla funkcjonariusza Thorpe'a?

- Tak, proszę pana. - Kobieta w sari już stała, wcale nie wyglądała na wzburzoną. Wydawała się wręcz zadowolona. Jej wiara w ochronne moce Mila po raz kolejny znalazła potwierdzenie.

- Kim jest ten dzwoniący, funkcjonariuszu Thorpe?

- Wystarczy Randy, proszę pana. Nie wiem na pewno, ale w okolicy mieszka taki starszy facet, przypomniałem go sobie kilka dni po naszej rozmowie. Nie dzwoniłem do pana od razu, bo nic konkretnego nie miałem. Ale wczoraj zauważyłem go, przy tym autobusie. To był mój ostatni dzień w mundurze przed akcją z samochodami. Akurat piłem kawę po drugiej stronie ulicy, on zbliżył się do budki, jakby chciał zadzwonić, rozmyśla się, odchodzi. Wraca parę minut później, podnosi słuchawkę, znów rezygnuje. Zostałem tam, ale więcej nie przyszedł. To może nic nie znaczyć...

- Dzięki, Randy. Znasz nazwisko?

- Tylko imię, George. Jest z pobliskiego domu starców. Oto adres.
- Doskonale - pochwalił Milo. - Nie trać czujności, Randy. Jak to się uda, szepnę za tobą słówko komendantowi.
- Może pan?
- W każdej chwili.

W miętowozielonym bloku przerobionym na Centrum Opieki „Ogrody Spokoju” mieszkało dwóch George’ów. Bannahyde siedział przykuty do wózka i nigdy nie opuszczał budynku. George Kapłan, „jeden z najsprawniejszych”, zajmował pokój na pierwszym piętrze.

Bardzo wiele domów starców to przechowalnie urządzone z myślą o nabijaniu kabzy właścicielom pieniędzmi podatników. Ten był czysty, świeżo pachnący, subtelnie oświetlony, z obfitością przekąsek. Zadbani, dobrze odżywieni pensjonariusze grali w gry planszowe, ćwiczyli na matach, oglądali filmy na panoramicznych telewizorach. Na wywieszanej liście zajęć od rana do nocy ani jednej przerwy, z wyjątkiem posiłków.

Milo zapewnił recepcjonistkę, że pan Kapłan nie ma żadnych kłopotów z prawem, wręcz przeciwnie, może się okazać przydatny dla policji.

- George?
- Jest u siebie?
- W swoim pokoju. Zadzwońię po niego, jeśli pan chce.
- Nie, nie trzeba, sami go odwiedzimy.

Idąc przez salę dzienną, ściągaliśmy na siebie liczne spojrzenia. Weszliśmy po schodach do świeżo odkurzonego korytarza. Sprężysta brązowa wykładzina, ściany z tynkiem imitującym suszoną glinę, drzwi w kolorze palonego pomarańcza z imiennymi tabliczkami.

Drzwi „G. Kapłana” były otwarte. Na starannie zaślany łóżku siedział drobny, zgarbiony, jasnoczarnoskóry mężczyzna w białej koszuli zapiętej pod szyję, idealnie wyprasowanych bordowych spodniach i czarno-białych pantoflach wypolerowanych na wysoki połysk. Rzadkie siwe włosy aż lśniły od pomady. Szaroniebieskie oczy, podobne odcieniem do moich, przyglądały się nam z rozbawieniem. Na szafce nocnej pudełko krakersów, buteleczka prażonych orzeszków ziemnych i kawa rozpuszczalna. Na ścianie nad łóżkiem wisiały portrety Martina Luthera Kinga i Lyndona Johnsona, ten drugi podpisany.

Przed łóżkiem - dwa krzesła.

- Proszę siadać - George Kapłan wskazał nam miejsca. - Gemma dzwoniła z dołu, jestem gotowy.

Melodyjny głos, aksamitna intonacja; jeden z licznych nowoorleańskich wariantów akcentu. Oczy patrzyły spokojnie, ale dłonie się trzęsły, a głowa drgała w nieregularnych odstępach. Parkinson albo coś podobnego.

- Dziękujemy za spotkanie.

- Nic innego nie miałem do roboty. - Usta mężczyzny się rozchyliły, sztucznie białe protezy zębów zastukały. - Co wymiar sprawiedliwości zamierza w odniesieniu do George'a S. Kapłana?

Milo, zanim usiadł, przyjrzał się zdjęciom.

- LBJ? Zazwyczaj to jest JFK.

- George S. Kapłan nie jest zwyczajny. Ród Kennedych był w porządku, jeśli ktoś lubi ładne buźki. Prezydent Johnson nie wyglądał jak gwiazdor filmowy, o nie. Ale to on przepchnął ustawę godzącą rasy.

- Wielkie Społeczeństwo.

- Marzyciel, tak samo jak doktor King. Robiłem mu buty, w hotelu Ambasador. Prezydentowi, nie doktorowi Kingowi, niestety. Pracowałem tam przez czterdzieści osiem i pół roku. Kiedy postrzelili Roberta Kennedy'ego, próbowałem powiedzieć policji, że widziałem tego jordańskiego szaleńca, jak się całymi dniami kręcił po korytarzach i marmotał do siebie. Moje zdanie nikogo nie obchodziło.

- Nas obchodzi.

Kapłan pomasażował perłowy guzik koszuli, siłą woli uspokoił ręce.

- Wiecie panowie, ile mam lat?

- Dobrze się pan trzyma.

- Niech pan zgadnie, panie posterunkowy... przepraszam, detektywie. Jest pan detektywem, prawda?

- Tak.

- Zgadnie pan? Bez obaw, nie obrażę się.

- Dałbym z siedemdziesiąt, ale jeśli pracował pan w Ambasadorze przez czterdzieści osiem lat, a zamknęli go około...

- W 1989 roku. Służył przez sześćdziesiąt osiem lat, a pozwolili mu zgasnąć. Arcydziało Myrona Hunta. Słyszał pan o nim?

- Nie, proszę pana.

- Słynny architekt. Projektował Rose Bowl. Ambasador to był pałac, przyciągał najwspanialsze osobistości. Szkoda że nie widział pan

ślubów, bali. Nie raz i nie dwa doczyszczałem tam w ostatniej chwili skórę, a to już zaginiona sztuka. Posesję kupiło miasto, podobno założą tam szkołę. Bałaganiący nastolatki w Ambasadorze, też pomysły. No to ile mam lat?

- Osiemdziesiąt...

- Dziewięćdziesiąt trzy.

- Świetnie pan wygląda, panie Kapłan.

- W takim razie pozory mylą. Brakuje mi sporo narządów wewnętrznych, lekarze bez przerwy mi coś wycinają. Najwyraźniej niektóre organy można usunąć bez poważnych konsekwencji. Dlaczego? Trzeba by zapytać Boga. Chyba niedługo będę miał okazję. Poczęstujecie się panowie krakersami?

- Nie, dziękujemy.

- Orzeszka?

- Dziękujemy.

- W takim razie dlaczego George S. Kapłan interesuje policję Los Angeles?

- Monte.

Kapłan spuścił wzrok na swoje kolana.

- Noszę żydowskie nazwisko, jeśli pan nie zauważył. Kapłan pochodzi z hebrajskiego. Oznacza kapelana. Ciągłe tego nie rozgryzłem. Ktoś zasugerował, że moja rodzina pewnie pracowała dla żydowskiego właściciela niewolników, ale to się nie zgadza, byliśmy wolni od samego początku. Przyjechaliśmy już po zniesieniu niewolnictwa, z Curaçao, to wyspa na Karaibach, mieszkało tam dużo Żydów, więc kto wie? Jak pan myśli, detektywie? Czy da się tę zagadkę rozwiązać?

- W Internecie jest dużo stron o genealogii...

- Sprawdziłem wszystkie. Mój prawnuk Michael jest komputerowym maniakiem, tak o sobie mówi. Stąd się dowiedziałem o hebrajskim pochodzeniu swojego nazwiska. Ale donikąd mnie to nie doprowadziło. Widać niektóre tajemnice nie chcą być wyjaśnione.

- A niektóre chcą. Monte?

- Jak mnie znaleźliście?

- Zlokalizowaliśmy budkę, z której pan dzwonił.

- Wiele osób z niej korzysta.

- Nie tak dużo, jak pan przypuszcza, panie Kapłan.

- Komórki. Ja jej nie potrzebuję.

- Policjant obserwujący budkę zobaczył wczoraj, jak pan do niej wchodzi. Odnosił wrażenie, że zamierza pan zadzwonić raz jeszcze.

Kapłan się zaśmiał.

- No proszę, a starałem się być ostrożny.

- Chętnie by pan pomógł, ale nie tak, żeby się za bardzo angażować.

- Monte... Straszny człowiek. Przeżyłem dziewięćdziesiąt trzy lata, pragnąłbym jednak przeżyć jeszcze parę.

- On się nie dowie, panie Kapłan.

- Jakim cudem, skoro go aresztujecie na podstawie moich zeznań?

- Będzie pan figurował w moich notatkach jako „anonimowy informator”.

- Dopóki jakiś prawnik nie zacznie węszyć i nie poczuje pan presji.

- Złe reaguję na presję - odparł Milo. - I nigdy nie łamię słowa. Obiecuję, że pana nazwisko nie pojawi się w żadnych materiałach sprawy.

Kapłan nie podnosił wzroku.

- Na pewno nie chce pan krakersa?

- Nie jedzenia potrzebuję w tej chwili.

- Myślicie, że Monte zabił tę dziewczynę.

- Co pana w nim tak niepokoi?

- Ha! George S. Kapłan wykonuje swój obywatelski obowiązek, jak uczyła go matka, i proszę, dokąd to go zaprowadziło.

- Jeśli Monte jest niebezpieczny, tym bardziej należy go zabrać z ulicy.

- Nie widziałem, żeby robił coś niebezpiecznego.

- Ale to straszny człowiek.

- Żyję na tym świecie wystarczająco długo, żeby rozpoznać straszego człowieka. Nie szanuje starszych.

- Zachował się wobec pana nieuprzejmie?

Głowa Kapłana poruszyła się z boku na bok. Znieruchomiała.

- Ta młoda kobieta z telewizji, ta ładna, co zginęła w wielkiej willi niedaleko Bel Air... mieszkała z nim i z jego drugą dziewczyną. Cała trójka wchodziła i wychodziła z domu. Można by pomyśleć, że chcą sobie pofiglować, ale za każdym razem, kiedy ich widziałem, nie wyglądali, jakby się dobrze bawili.

- Poważni?

- Bardziej niż poważni, skupieni. Ukradkowe spojrzenia, jakby coś knuli. Dużo spaceruję po okolicy, to dobre na stawy i mięśnie, zauważam rzeczy, których nie widzą inni. Kawalek dalej mieszka kobieta. Od blisko sześciu lat puszcza się z ogrodnikiem. Całuje męża, na odchodne, jakby go kochała nad życie, a potem harcuje z ogrodnikiem. Ludzie robią szalone rzeczy. Opowiedziałbym panom mnóstwo historii...

- Niech pan opowie o Montem i dziewczynie z telewizji.

- Ostatni raz widziałem ją z tydzień przed tym, jak zginęła. Drugiej dziewczyny nie było, tylko tamta i Monte. Wchodzili do domu i zacząłem się zastanawiać, czy Monte nie zdradza pierwszej z tą drugą, zdecydowanie ładniejszą. Ale nie wyglądali na rozszechcbotanych kochanków. Tacy ponurzy. To dobre słowo. Bardzo ponurzy. Kiedy Monte wpuścił dziewczynę do domu, odwrócił się i rzucił mi paskudne spojrzenie. Warknął: „Masz jakiś problem, dziadku?” Poszedłem dalej, czułem, że mnie obserwuje; aż zjeżyły mi się włosy na karku. Nigdy więcej się tam nie zbliżyłem. Później oglądałem telewizję na dole, zaczęły się wiadomości i proszę, ona. Rysunek, ale to ona. No to spełniłem swój obywatelski obowiązek. Nie sądziłem, że będę musiał zrobić więcej.

- Wie pan, jak facet ma na nazwisko?

- Słyszałem tylko, że dziewczyny wołały na niego Monte.

- Gdzie jest ten dom?

- Dwie przecznice na wschód, jedną na północ. Monte jeździ czarnym pikapem. Ona hondą. Szarą, ta druga dziewczyna. Tej ładnej nie widziałem za kierownicą, zawsze faceci ją wozili.

- Nie zna pan przypadkiem adresu?

- Przyrzeka pan, że moje dane nigdzie się nie pojawią?

- Słowo skauta.

- Był pan skautem?

- Owszem.

- Też chciałem być - powiedział George S. Kapłan. - Ale w Baton Rouge nie stworzyli wtedy drużyny dla kolorowych. Mimo to zawsze można na mnie liczyć. - Sztuczne zęby w uśmiechu. Sięgnął do szuflady komody. - Znajdę ten adres i go panu zanotuję. Drukowanymi, żeby nikt nie doszedł do mnie po charakterze pisma.

Dom był kanciastym bungalowem w kolorze starej owsianki, wąskim, z dachem pokrytym papą i pozamykanymi okiennicami. Zamiast trawnika betonowy plac, żadnych samochodów, stosów poczty.

Szybko przejechaliśmy obok, zaparkowaliśmy kilkaset metrów dalej. Milo zadzwonił z komórki do Moe Reeda, poprosił o ustalenie stanu własności posesji.

Budynek należał do agencji nieruchomości z Covina i został wynajęty niejakiemu M. Carlowi Scoppiowi.

- Namierzyłem go, poruczniku. Biały mężczyzna, trzydzieści dwa lata, nieposzukiwany, nienotowany. Właściciele nie mogą go eksmitować, choć by chcieli.

- W czym problem?

- Płaci czynsz, ale chronicznie się spóźnia - poinformował Reed.

- Zwleka z zapłatą, ile się da. Powiedzieli, że pozbycie się lokatora to kłopot, nawet jeśli to zupełny menel, a Scoppio pilnuje, żeby nie dać im pretekstu. Do tego jest prawnikiem, wolą nie zdrażniać sprawy.

- Rysopis?

- Metr siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt kilo, włosy brązowe, oczy zielone. Na zdjęciu wygląda jak ktoś, na kogo się nie zwraca uwagi. Ma pan pod ręką faks?

- Nie, ale to pasuje do Zakapturzonego. Gdzie Scoppio pracuje?

- Jeszcze nie sprawdziłem, ale zaraz...

- Nie zwracaj sobie głowy, ja się tym zajmę. Dzięki, Moses, wracaj na Olimp.

- Monte Carlo? - rozmyślałem na głos.

- Na oko się zgadza, ale stary George naprawdę jest stary. Nawet starożytny. Scoppio pyskuje. Kapłan pielęgnuje niechęć, kilka dni później widzi portret w telewizji, wmawia sobie, że popędził go morderca.

- A wydawało mi się, że całkiem dobrze kojarzy. Co ważniejsze, nie masz nic innego, a kto wie, czy ten bar z żeberkami jeszcze istnieje.

- Czas desperacji... moja ulubiona pora.

Wyszukiwanie adresu firmy mecenas M. Carla Scoppia nic nie dało. Podobnie jak zapytanie w adwokaturze.

- Skłamał. Doskonale początek - burknął Milo.
- Prawnicy mogą pracować na innych stanowiskach.
- Milcz, bezczelny. Wracamy do biura, przyjedziemy tu około piętej. Jeśli dobrze trafimy, pogadam sobie z tym kochasiem.

Wpisaliśmy w Google „m. carlo scoppio”. Wskoczył link na stronę kancelarii Baird, Garroway i Habib z East L.A. Specjalizacja: pozwy cywilne o naruszenie dóbr osobistych. Nazwisko Scoppia figurowało na dole listy pracowników. Pomoc kancelaryjna.

- Nie tylko skłamał, ale też się trochę nadmuchał - powiedział Milo. - Jesteśmy kroczek bliżej do socjopaty. - Przejrzał dane. - *Hablo Español...* i pięcioma innymi językami. Pozwy o poniesienie szkody na cudzym terenie. Podstawieni biedacy trafiają do szpitala, a prawnicy zgarniają kasę. Może pomoc kancelaryjna oznacza, że Scoppio wyszukuje frajerów.

Wśród artykułów na temat kancelarii pojawiło się kilka doniesień prasowych o dochodzeniu prowadzonym przez miasto. Wszyscy trzej adwokaci byli podejrzewani o ustawianie wypadków drogowych, współpracę ze skorumpowanymi lekarzami, fizjoterapeutami i kręgarzami. Nie postawiono żadnych zarzutów.

Ani słowa o Carlu.

Milo skontaktował się ze swoją znajomą z kancelarii prawnej miasta. Kobieta nie знаła tej sprawy osobiście, ale sprawdziła jej status.

- Czeka w zawieszeniu, poruczniku.
- Czyli?
- Najprawdopodobniej jest za mało dowodów, żeby ruszyć. Chyba podstawiali nielegalnych imigrantów. Nie ma szansy znaleźć świadków, którzy zechcieliby zeznawać.

- Czy pojawia się tam gdzieś M. Carlo Scoppio?
- Scoppio... nie, wygląda na to, że... o, jest, to pomoc... podejrzewany o werbunek. Zabił kogoś? Przydałoby się nam coś takiego.

O czwartej czterdzieści osiem wróciliśmy pod dom Scoppia. Wciąż ani śladu czarnego pikapa, ale na betonowym placu uważaliśmy szarą hondę.

- Dziewczyna już jest - powiedział Milo. - Może amant niedługo się zjawi.

Na ulicy stało mało samochodów i podjeżdżanie blisko było zbyt ryzykowne. Zaparkowałem cztery domy dalej, wyłączyłem silnik. Milo położył na kolanach lornetkę, zaczął żuć panatekę, od czasu do czasu wypływał strzępki tytoniu przez okno pasażera.

- Pewnie trochę tu posterczymy, włącz muzykę, jak chcesz, mnie nie przeszkadza.

- Na co masz ochotę?

- Na cokolwiek, od czego nie krwawią uszy... no popatrz tylko.

Czarny ford półtonówka nadjechał z południa i zatrzymał się obok hondy.

Milo chwycił lornetkę, zogniskował ją na drzwiach kierowcy, kiedy mężczyzna wysiadł z samochodu.

- To on, zgadnij, w co jest ubrany? W szarą bluzę z kapturem.

Carlo Scoppio przeszedł na stronę pasażera, wyjął coś z samochodu.

Foliowe torby. Pięć. Położył je na betonie.

- Albertsons - przeczytał Milo. - Monte C. robi zakupy, jakie to wzruszająco rodzinne.

Scoppio wrócił do drzwi kierowcy, sięgnął do środka, zatrąbił. W drzwiach bungalowu pojawiła się kobieta. Wysoka, w białej bluzce i dżinsach.

Scoppio wskazał pakunki. Kobieta do nich podeszła.

Milo zeszywniał.

- Nie uwierzysz. Popatrz.

- Na co?

- Na nią.

38

Podwójne soczewki powiększyły ładną twarz, okoloną rudobrazowymi lokami. Około trzydziestki, różowe policzki, czyste niebieskie oczy.

- Nasza początkująca śledcza koronera - powiedział Milo. - Lara jakaś tam.

- Pomocna panna Rieffen.

Carlo Scoppio wziął trzy torby, Larze Rieffen zostawił dwie. Żadnej wymiany uprzejmości. W ogóle żadnej rozmowy. Weszli do domu. Drzwi się zamknęły.

- To wszystko zmienia - mruknął Milo.

W drodze na posterunek zadzwonił do Dave'a McClellana, głównego śledczego koronera. Spytał, czy przydział Lary Rieffen do mordstw w wieżycze wynikał z rozkładu dyżurów.

- Schrzała coś? - spytał McClellan.
- Nie, po prostu muszę wiedzieć, Dave.
- Nie mam przed sobą grafiku, siedzę w ratuszu, usiłuję zrobić wrażenie na radnych. Po co ci *to*?
- Z kim mogę porozmawiać o dyżurach?
- Zaczynam się bać. Mów prawdę. Rieffen coś grubo spieprzyła?
- A ma tendencje?
- Jest nowa, trochę leniwa.
- Na Borodi sprawiała przeciwne wrażenie. Zachowywała się jak pracowita pszczołka.
- Może cię polubiła.
- Brzemień uroku osobistego, takie życie. Skąd mogę wziąć grafik?
- Nie zdradzisz mi, o co chodzi? Nagle zaczął mi się kurczyć żołądek.
- Możliwe, że to nic takiego, Dave.
- Teraz puszczają mi zwieracze - jęknął McClellan. - Zadzwon do Irmy, mojej asystentki. Ona wie wszystko. Ja też bym chciał.

Irma Melendez potrzebowała pół minuty, żeby udzielić odpowiedzi: w kolejce do wezwania na Borodi był śledczy Daniel Paillard.

- Nie wziął tego, poruczniku Sturgis? Tu jest napisane, że wziął.
- Przyjechała Lara Rieffen.
- Ona? - zdziwiła się Melendez. - Jak to?
- Myślałem, że pani wie.
- Nie mam pojęcia, poruczniku. Musieli się jakoś umówić, może Danowi coś nagle wypadło. Ona się do niczego nie zgłasza na ochotnika.

- Nie cierpi na pracoholizm?
- Delikatnie ujmując.
- Gdzie znaję Paillarda?
- Dzisiaj ma wolne.
- Niech mi pani poda jego numer komórki i domowy.
- Dan coś przeszkrobał?
- Nie, absolutnie.
- To dobrze - powiedziała Melendez. - Jego akurat lubię.

Daniel Paillard był z dziewczyną w Universal Studios.

- To coś ważnego?
- Pewnie nie - odparł Milo - ale niech mi pan opowie.
- A o czym tu opowiadać. Przyszła do mnie dzień wcześniej, powiedziała, że potrzebuje wolnego w przyszłym tygodniu, czy się zamienię. Zgodziłem się, czemu nie.
- Na co brała wolne?
- Nie tłumaczyła się.
- Zgłosiła się po rewanż?

Cisza.

- Dan?
- Nie. A ja nie przypominałem... darowanemu koniowi... wie pan? Podpadłem? To było między nami...
- Spokojnie, Dan.
- Harowałem jak wół tygodniami, tyle strzelanin gangów - powiedział Paillard. - Kiedy mnie poprosiła, nie widziałem żadnego problemu, byle zrobić co trzeba... Coś schrzaśniła?
- A chrzani?
- Jest zielona.
- Niech mi pan wyświadczy przysługę, Dan. Proszę jej nie mówić o naszej rozmowie.
- Ma jakieś kłopoty?
- Jeszcze nie - odparł Milo. - Niech pan będzie dyskretny, Dan, to ja też się nie wygamam.
- Tak, tak, jasne. Niedoświadczona, trochę leniwa... naprawdę to wszystko, co mogę o niej powiedzieć.

Milo odwrócił się na fotelu twarzą do mnie.

- Leniwy żółtodziób, ale zgrywa twardziela. Pozerka, tak samo jak Scoppo. Przyjmowała zwłoki, komentowała, że ciuchy Doreen wyglądają tndetnie. Teraz to zupełnie inaczej wygląda.

- Rieffen zamieniła się na dyżury dzień przed morderstwem - rozważałem głośno. - Wiedziała zatem, że Backer i Fredd będą w więzycze. Mieszkała z Doreen, więc to nie tajemnica. Jeśli Scoppio to pan Zakapturzony z Port Angeles, mamy pięćdziesiąt kawałków motywu. Ale te zabójstwa cały czas śmierdziały mi sprawą osobistą, więc mogło chodać o coś więcej niż pieniądze. Kapłan zauważył, że cała ich trójka wyglądała ponuro. Pewnie ich związek zmatowiał.

- Zły koniec trójkąta.

- Może dlatego, że z trójkąta zrobił się dwukąt.

- Doreen rzuciła swoich współlokatorów dla Backera - podsunął Milo. - Na nowo rozgorzał dawny płomień. Że tak się wyrażę.

- Backer i Doreen dostali pieniądze od Helgi, żeby wysadzić pałac Teddjego, rozejrzeli się na miejscu i odkryli, że więzyczka nadaje się do zabawy. Ned Holman widział ich tam dwa miesiące przed morderstwami. Możliwe że urządzili sobie prywatną imprezownię, mogli nawet zibierać ze sobą Montego i Rieffen. Tak czy inaczej, łatwo daliby się wysledzić. Od początku wszystko wskazywało na dwóch morderców. Teraz mamy nową parę kandydatów.

- Rieffen jest zamieszana w morderstwo, załatwia, żeby ją wysłali na miejsce. Uroczo. Oczywisty powód to kombinowanie z dowodami, zacieianie śladów obecności swojej i Scoppia. Była na górze, zanim przyjechałem. Bóg jeden wie, co przez ten czas robiła.

-Jedno, czego nie ukryła, to plama nasienia na nodze Doreen - zauwiżyłem. - Przeciwnie, zwróciła na nią twoją uwagę. A to każe mi się zastanawiać, czy nie próbowała z tobą pogrywać psychologicznie. Backtr zawsze używał prezerwatyw, zakładaliśmy, że dla Doreen zrobił wyjątek. A jeśli nie, nasienie pochodziło od kogoś innego?

-Monte dusi Doreen, a potem bezczęści zwłoki? Dlaczego Rieffen miałaby pokazywać tę plamę? I dlaczego nie wytarła jej od razu po morderstwie?

-Może Monte nie chciał. Był dumny z siebie. Rieffen zachowałaby większą ostrożność. Albo ją też to bawiło. Tak czy inaczej wiedziała, że plami zniknie, zanim zwłoki trafią do Jernigan. Dokładnie takiej adre-

naliny i ryzyka łakną psychopaci. Rieffen przejmuje kontrolę nad dowodami, przy okazji sprawia, że wychodzi na spostrzegawczą. Potem w krypcie znajduje chwilę i niszczy dowody. Reszta personelu koronera wychodzi na bandę niekompetentnych oprychów.

- Nie wystarczy, że mi się udało. Musi się jeszcze nie udać wam - podsumował Milo.

- Antyspołeczna bufonada w najlepszym wydaniu, wielkoludzie.

- Jedna kropelka DNA mogła położyć całą sprawę, gdyby ktokolwiek zadał sobie trud i przebadał tę plamę. Ale Rieffen jest cholerną śledczą koronera, wiedziała, jak do tego nie dopuścić.

- Nie było powodu analizować DNA - powiedziałem. - Ułożenie ciała od razu wskazywało na dawcę.

- Skoro o Backerze mowa, może tu chodzi o czworokąt zredukowany do dwukąta. Wszyscy znali się nawzajem. Jeden strzał w głowę, Desi znika z horyzontu, zdobywają klucz do magazynu. Z dwójką uzbrojonych drani zostaje Doreen. Obezwładnić ją to bułka z masłem. Rieffen celuje z małego pistoletu, Monte wpycha duży. Potem ją dusi, wymierzając niewiarygodnie ponizający cios łaski. Później układają ciała.

- Zostawiają portfel Backera, ale zabierają dokumenty Doreen, bo z nimi mieszkała i można by do nich trafić.

- Rieffen i Monte zadawali się z piromanką, Monte zwinął pięćdziesiąt kawałków... czyli raczej wiedzieli o planie. A jeśli ten czworokąt to układ biznesowy, Alex?

- Wszyscy mieli coś wspólnego z pożarem.

- Wyeliminujemy Backera i Doreen, to zostanie dwa razy więcej do podziału.

- Czworokąt... - Zamyśliłem się. - W sprawie pożaru w Bellevue podejrzanych było jeszcze dwoje dzieciaków. Kathy jakaś tam. Zapomniałem, jak się nazywał chłopak.

Milo chwycił notes.

- Kathy Vanderveldt, Dwayne Parris. Podobno wyszli na prostą, ona skończyła medycynę, on prawo. Tak mówiła Lindstrom.

- Nigdy jednak się z nimi nie spotkała; zrelacjonowała wam notatki poprzedniego agenta. A jeśli Kathy i Dwayne planowali kariery w medycynie i prawie, ale im się nie udało? Śledczy koronera pracuje przy ludzkich ciałach, ale pod nadzorem lekarza. Pomocnik kancelaryjny odpowiada przed mecenasem.

- Nie powiodło im się, zmienili nazwiska... federalni, dokładni jak zwykle, to przeoczyli. - Milo odwrócił się do komputera. - Dobra, zobaczmy, co wygrzebią lokalni.

Otworzył kilka licealnych portali społecznościowych, znalazł jeden, który oferował albumy pamiątkowe. Wyszukał Seattle; Kathy Vanderveldt odnalazła się natychmiast w Center High. Dwayne Parris chodził do tej samej klasy. Milo zapłacił własną kartą kredytową za zdjęcia i je wydrukował.

Czarno-białe, ale wystarczająco wyraźne.

Młodsze wersje dwóch osób, które niedawno widzieliśmy z zakupami.

Kathy Lara Vanderveldt uśmiechała się serdecznie do obiektywu. Członkini kółka naukowego, kółka przyrodniczego, Przyszłych Lekarzy Ameryki.

Dwayne Charles Parris zachował stoicką powagę. Przeciętny chłopak pod każdym względem. Gęste, ciemne włosy przycięte nisko nad oczami. Szkolna drużyna hokejowa, klub księgowości.

- Ona używa drugiego imienia jako pierwszego - powiedziałem. On jest Charlesem, czyli po włosku Carlem. Ciekawe, skąd wziął „Scoppia”.

- Może to coś znaczy po włosku.

Znaczyło.

Eksplozja.

- Monte robi bum - skomentował Milo.

Szukał dalej, zaczynając od Kathy Vanderveldt. Nienotowana, tak samo jak Dwayne Parris, ale w „The Seattle Times” znalazł się reportaż ze zjazdu rodziny Vanderveldt-Rieffen sprzed pięciu lat. Duże zainteresowanie, udział wzięły sto pięćdziesiąt trzy osoby. Grupowe zdjęcie na całą stronę, Kathy nigdzie nie było widać, ale w pierwszym rzędzie siedziało rozpromienione dziecko o tym imieniu.

- Mała kuzynka dociera na imprezę, ale duża Kathy nie, bo używa pseudonimu. Ucieka przed czymś złym, choć nienotowana? - zastanawiał się Milo.

- Możliwe że to, przed czym ucieka, nigdy nie trafiło do akt - zasugerowałem. - Jej własne stracone lata.

- Jeszcze jedna nastoletnia ekoterrorystka, która ruszyła w drogę?

- I której kariera potoczyła się nie tak, jak miała. Doreen oszukała FBI; Lindstrom jednak powiedziała, że dziewczyna rzuciła im parę ochłapów. Drobiazgów, ale wszystko jest względne, dla Biura drobiazgiem może być to, że nie wyleciało w powietrze nic wielkiego. A jeśli informacje Doreen obciążały Kathy i Dwayne'a na tyle, żeby pokrzyżować im plany edukacyjne i zmusić ich do zniknięcia? Kathy i Dwayne domyślili się, kto zdradził, ale Doreen i Backer o tym nie wiedzieli. Lata później cała czwórka spotyka się w L.A. i razem zgadzają się puścić z dymem dom przy Borodi. Echo pożaru w Bellevue, w którym zginął Van Burghout, ale teraz mają dostać poważne pieniądze. Kathy i Dwayne współpracują, dopóki nie wpadają na pomysł, jak zgarnąć wszystko. Potem Backer i Doreen przechodzą do historii.

- Spotkanie kochających przyrodę ekopiromanów. Dobra, pora uderzyć do gościnicy Gayle - zdecydował Milo.

39

Agentka specjalna Gayle Lindstrom spotkała się z nami w pizzerii w Westwood Village, niedaleko gmachu federalnego. Studencka klientela oznaczała oceany taniego piwa z beczki i nieprzesadny wystrój wnętrza. Milo mówił, Lindstrom słuchała, z każdą rewelacją coraz bardziej spięta.

- Ci dwoje... O, cholera - zakleła, kiedy skończył.
- Kathy i Carlo to twoi kumple.
- Ich nazwiska są w aktach.
- Przedstawiłaś to tak, jakby wyszli na przykładnych obywateli. Ona lekarka, on prawnik, brakuje tylko wodza Indian.
- Czerpałam informacje z dokumentów. Nie ma zupełnie nic, co by ich obciążało kryminalnie, nie mówiąc już o zabójstwach.
- Wiesz tyle, ile ci powiedziałem.
- Przestań - warknęła. - I tak już się czuję idiotką.
- Jeśli nie opracowywałaś Vanderveldt i Parrisa, to niepotrzebnie.
- Nie rozumiesz. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, domyśliłeś się, że mam swoje problemy. Na przykład z ignorowaniem głupich

decyzji, podejmowanych bardziej z myślą o kryciu własnego tyłka niż dobru publicznym. Lubię sobie powtarzać, że gdybym to ja zajmowała wysokie stanowisko, tragedia jedenastego września nigdy by się nie wydarzyła. Może to głupie rojenia, może muszę sobie tak uprzyjemniać życie, bo moja praca okazała się czymś innym, niż oczekiwałam. Jakkolwiek chcesz to widzieć, jestem wyrzutkiem i czego potrzebuję, potrzebowałam, to ulaskawienia. Kiedy się dowiedziałam, że przyskrzyniłeś tę szwajcarską wiedźmę, byłam gotowa postawić ci obiad w Spago. A potem trach, Helga Gemain nie miała nic wspólnego z zabiciem Doreen, a Departament Stanu siedzi nam na karku, bo weszliście do hangaru bez pozwolenia. Nie tylko mi nie pomogłeś, ale utrudniłeś życie.

- O rany. - Milo pokręcił głową. - Cały czas myślałem, że zajmuję się tropieniem morderców, a tu się okazuje, że robiłem za twojego życiowego doradcę.

Lindstrom zacisnęła pięści.

Sturgis skubnął plasterek pepperoni.

- Milo, razem stoimy po stronie dobrych, czemu skaczemy sobie do gardeł?

- Pomóż mi, Gayle, to znów zostaniemy kumplami z piaskownicy.

- Dlaczego uważasz, że mogę ci pomóc? Jestem niepopularną dziewczyną z boksem zawalonym starymi, wystygłymi sprawami i poleceniem dokończenia ich, bo będzie źle. To mniej więcej tak, jakby kazali mi nauczyć Britney fizyki jądrowej.

- Zapomnijmy o fizyce. Pomówmy o medycynie. I prawie.

- Chcesz, żebym sprawdziła, czy Kathy poszła na studia, dobrze. To samo tyczy się Parrisa i szkoły prawniczej. Ale co ci to da? Potrzebujesz konkretnych dowodów.

- W tym przypadku wszystko jest warte zachodu, Gayle. Co dokładnie Doreen wcisnęła Biuru, zanim prysnęła.

- To drobiazg.

- Lubię drobiazgi.

- Ta sprawa nie wyszła nawet poza Służbę Leśną. W północnym stanie Waszyngton był kawałek spornej federalnej ziemi. Jak zwykle strona popierająca wycinkę walczyła ze stroną domagającą się, żeby zostawić teren w spokoju. Doreen na ochotnika poszła chronić drzewa na kilka miesięcy przed tym, jak została przyłapaną na prostytutce w Seattle. Robiła testy terenowe czy coś tam. Kiedy ją przycisnęliśmy, wyjawiała dwa

plany. Pierwszy zakładał, że jej koledzy wolontariusze oszukiwali, podzucając w okolice drzew włosy z sierści kanadyjskiego rysia, zostawiali ślady DNA, a potem je „znajdowali”. Najwyraźniej ryś jest mocno zagrożony, więc to by oznaczało poważne ograniczenia w korzystaniu z tej ziemi. Drugi przekręt polegał na tym, żeby truć dzikie konie i zostawiać ich trupy w miejscach, gdzie nie bywają niedźwiedzie grizzly, żeby je tam przyciągnąć i zwiększyć ich zasięg występowania. Widzisz, do czego zmierzam? Nic specjalnego, Służba Leśna przejęła się jeszcze mniej niż Biuro, nic nie zrobili. Potem senator, który zbił fortunę na wycinkach, dowiedział się, narobił smrodu i zaczęło się dochodzenie. Nikt nie poszedł do więzienia, ale parę osób wykopano z pracy.

- Nazwiska - zażądał Milo.

- Nie znam żadnych. Mój poprzednik nie wierzył w nadmiar zbędnych szczegółów.

- Może nie zbędnych, Gayle, jeśli Kathy Vanderveldt i Dwayne Parris byli wśród tych ochotników. Jedni ludzie stracili pracę, inni mogli pożegnać się z karierą.

- Wyrzuceni ze studiów medycznych i prawniczych za brak kwalifikacji moralnych? Tak, niewykluczone. Wstała, położyła pieniądze na stole. Wokół jej dłoni zamknęła się wielka dłoń Mila.

- Ja stawiam, Gayle.

- Dlaczego?

- Zasłużyłaś.

- Jasne - burknęła Lindstrom. - Jak dostawałam złe stopnie, tata też mi tak kłamał.

- Manipulacja dowodami rzeczowymi - powiedziałem.

- Kathy Lara nie została lekarzem, ale załatwia sobie fuchę, gdzie wciąż może się zabawiać biologią. Stara śpiewka, tym popapranym ty-pom zawsze chodzi o kontrolę.

- Każdemu chodzi o kontrolę - zauważyłem. - Ważne tylko, co człowiek z tym robi.

Lindstrom oddzwoniła, kiedy jechaliśmy na posterunek.

- Szybka jesteś, Gayle.

- Chciałabym powiedzieć, że pociągnęłam za właściwe sznurki. Ale wystarczyło, że wyjęłam naszą kopię akt Służby Leśnej. Vanderveldt i Parris figurują jako sprawcy obu oszustw. Właściwie są jedynymi

wymienionymi z nazwiska. A Vanderveldt faktycznie wyleciała z medycyny na Uniwersytecie Idaho, gdzie była najgorsza na roku. Parris na prawie na Uniwersytecie Waszyngtonu radził sobie całkiem nieźle, ale jego też wyrzucili. Oboje dwa razy się odwoływali. Bez skutku. Naprawdę uważasz to za motyw?

- To i pięćdziesiąt tysięcy, Gayle.
- No tak, chyba wystarczy. I co teraz?
- Pogadam z nimi.
- Chciałabym przy tym być.
- W swoim czasie.
- Mam nadzieję, że nie kłamiesz. Tatę zawsze potrafiłam przejrzeć, z tobą mi nie idzie tak łatwo.

40

Zastępca prokuratora okręgowego John Nguyen potwierdził to, co Milo już wiedział: za mało podstaw, by aresztować Rieffen i Scoppia za cokolwiek; wszystkie rozmowy musiały być dobrowolne.

- Serdecznie zapraszamy na parę słów?
 - Chyba że nakryjesz ich na robieniu czegoś niegrzecznego i za to przymkniesz.
 - Przejechanie na ciągłej wystarczy?
- Nguyen się zaśmiał.
- Myślałem o jakiejś krwawej akcji.
 - Co powiesz na posmarowanie czegoś DNA rysia?
 - A co to jest ten ryś, do cholery? - spytał Nguyen. - Coś, z czego się robi futra, tak?
 - Uważaj, John.
 - Mówię teoretycznie, Milo. Przy moich zarobkach żona może liczyć najwyżej na wełnę.

Ponownie przejrzelismy zgromadzone informacje o podejrzanych i uznalismy, że Rieffen będzie mniej skłonna do przemocy, łatwiejsza do złamania. Być może.

Reed i Binchy wzięli dwa nieoznakowane radiowozy i zaczęli dyskretnie obserwować człowieka, który się podawał za Carla Scoppia. Wyszedł do pracy o dziewiątej, pojechał samochodem do kancelarii w East L.A., o jedenastej trzydzieści wciąż tam był.

- Poruczniku, coś mi przyszło do głowy - powiedział Reed. - Ta kancelaria jest bardzo blisko miejsca, gdzie postrzelili śledczego Escobara.

- Jak blisko, Moses?

- Ze trzy przecznice. To teren hrabstwa, należy do ośrodka medycznego, ale jest niezabudowany.

- Rozejrzałeś się?

- Byłem w pobliżu, zacząłem się zastanawiać. Niedaleko znajduje się skrzyżowanie. Mało ruchu, ale długie czerwone światło. Jeśli Escobar nie łamał przepisów, bez trudu mogli go przyłapać i przejąć samochód.

- Wróć tam i porób zdjęcia - polecił Milo. - Jak Sean cię zmieni.

- Kupię aparat.

- Żeby zbierać wspominki, wystarczy tani, Moses. Któregoś dnia zrobimy sobie album.

Lara Rieffen pełniła dyżur, pracowała przy ofiarach strzelaniny w Pacoima. Plan zakładał, że „natkniemy się” na nią na parkingu, kiedy wróci z dokumentacją. Milo zamierzał zagadać do niej przyjacielsko, udając, że przyjechał tu w sprawach służbowych. Potem planował wejść z nią do budynku i znaleźć pomieszczenie na „uzupełniającą” rozmowę. Na spokojnie, żeby nie poczuła się zagrożona, a personel konerona nie zauważył żadnego zamieszania.

Ale szef musiał wiedzieć, więc Milo zadzwonił do Dave'a McClellana i przekazał mu złe wieści.

- Od ostatniej rozmowy zgrzytałem zębami - powiedział McClellan. - Naprawdę jest taka podła? Świetnie wypadliśmy.

- Na czole nie miała wypisane.

- Zrób cokolwiek, żeby przymknąć tę dziwkę, Milo. Dopilnuję, żeby na dole był jakiś otwarty pokój.

- Dzięki. Załatwię to najciszej jak się da.

- Jak dla mnie możesz ją związać w kij na widoku - wycodził McClellan. -1 nie martw się zamieszaniami, i tak pełno u nas gliniarzy.

- Dlaczego?
- Chodzi o Bobby'ego Escobara. Ni z tego, ni z owego wydział zabójstw szeryfa uznał, że musi obejrzeć jego biuro. Przysłali swoich techników, ale nie chcą powiedzieć dlaczego. Siedzą u nas od szóstej rano.
- Kto jest detektywem prowadzącym?
- Jakiś nowy, Irvin Wimmers.
- Znam Irva, porządny facet.
- Moim zdaniem usiłują tylko kryć swoje tyłki. W każdym razie ściągnąć Rieffen o jakiejś konkretnej godzinie?
- Kiedy wraca?
- Czwarta, piąta, zależy jak pójdzie i czy będą korki.
- Umówmy się na piątą.
- Stoi. Wyrwij chwasta.

Milo zadzwonił do detektywa wydziału zabójstw biura szeryfa i poprosił go o spotkanie, kiedy tylko znajdzie czas.

- Może teraz? - zaproponował Wimmers.
- Nawet ci nie powiedziałem, w czym rzecz, Irv.
- Daj spokój. Na ilu konferencjach byliśmy razem? Denver, Waszyngton, Filadelfia. I ta najfajniejsza w Nashville. Pamiętasz slajdy o rozkładzie? Jak tylko się spotykamy, od razu idziemy na kawę. A jak często do siebie dzwoniemy w L.A.?
- Nie wiem.
- To ja ci przypomnę. Zdarzyło się to raz. Przy okazji morderstwa siekierą w Compton. Podsunałeś mi wtedy stare akta sprawy, nad którą pracowali wasi emerytowani. Dzięki temu przyskrzyniliśmy sukę, co przerobiła na kotlety dwóch mężów, a nie jednego. Tak więc sobie kombinuję, że pewnie znów zdobyłeś dla mnie coś użytecznego. Może w sprawie Escobara? Powiedz, że tak, poprawisz mi nastrój.
- Chodzi o Escobara, Irv, ale może to nic ważnego. Pracował w krypcie według grafiku?
- W ogóle już nie pracował - odparł Wimmers. - Uczył się, ale pozwolili mu zatrzymać klucz. Dali chłopakowi mały pokoik; ślęczał nad magisterką.
- Co badał?

- Zaniedbania w zabezpieczeniu dowodów. Pisał o ludziach, którzy paprzą zdejmowanie odcisków palców, niedokładnie zbierają włókna i tak dalej. Co jest grane, Milo?

Wimmers wysłuchał streszczenia.

- Niezła afera. Słuchaj, mój partner niedługo tu się zjawi, a ja tyram od piątej, więc muszę coś zjeść, bo zemdleję. Skąd dzwonicz?

- Z biura.

- Dasz radę spotkać się w pół drogi? Znam fajny lokal, na pewno ci się spodoba.

Indycki Teatr Ruby mieścił się w pawilonie przy Ósmej, kawałek na zachód od Wilton.

Monumentalne ptaszyska, krojone na zamówienie, aż lśniły od tłuszczu.

Irvin Wimmers - czarnoskóry wyższy i szerszy od Mila, z wąskim wąsikiem, bródką i wygoloną, czaszką, poznaczoną wzdłużnymi bruzdami - był ubrany w dwurzędowy, cynamonowy garnitur, bordową koszulę i wąski, oliwkowy krawat w pomarańczowe okręty wojenne.

Na talerzu przed nim leżała jędra, brązowa ćwiartka indyka, oblaną gęstym sosem żurawinowym, okra, kapusta, ociekający stos makaronu i ser. Drugi talerzyk gościł ziemniaki wielkości piłek tenisowych, nasiąkające czymś, co wyglądało jak sos z szynki. Gdyby ktoś potrzebował kija baseballowego, indycza noga świetnie by go zastąpiła.

- Widzę, że Święto Dziękczynienia w tym roku przyszło wcześniej, Irv - zażartował Milo.

- Moja filozofia: świętuj, kiedy tylko się nadarzy okazja - odparł Wimmers. - Co słysząc, chłopaku z miasta?

- Jakoś leci. - Szybki uścisk dłoni. Milo mnie przedstawił.

- Słyszałem o panu, doktorze. Myślał pan kiedyś, żeby przejść na stronę hrabstwa? To my walczymy o prawdę, sprawiedliwość i amerykański styl życia.

Uśmiechnąłem się.

- Niewypowiedziane jak na psychologa przystało... siadajcie. Zamówić wam pół ptaka?

- Wystarczy ćwiartka, Irv.

- Na każdego?

- Dla obu.
- Jesteś na diecie, Milo?
- Boże broń.

Wimmers zahuczał z rozbawieniem.

- Czego się napijecie? Serwują tu dobrą mrożoną herbatę, dolewają soku z granatów. Podobno to zdrowe, spowalnia rdzewienie.
- Jakby nie mieli, wezmę WD-40 - odparł Milo.

Wimmers poszedł do kasy, wrócił z dwoma półlitrowymi szklankami czerwono-brązowej herbaty.

- Czyli uważacie, że tą lewą śledczą łączy coś z Bobbym Escobarem?
- Nie potrafię tego udowodnić, Irv, ale na pewno wytarła plamę nasienia, bo należało do jej chłopaka. A Bobby obserwował kombinacje z dowodami i mógł coś zauważyć, bo był bystry.
- Podobno nawet za bystry, Milo. Kiedy pracował jeszcze jako śledczy, działał ludziom na nerwy. Nadęty, pewny siebie, rozumiesz? Jak dzieciak w klasie, który przypomina nauczycielowi, że zapomniał zrobić klasówki?

- Jak daleko siedział od chłodni, w której trzymają opisane ciała? - spytał Milo.

- Po drugiej stronie korytarza - odparł Wimmers. - Hm, to dopiero. Teraz tak: powiedziałem ci, że Bobby nie działał według grafiku. Ale zanim tu przyjechałem, zadzwoniłem do jego żony. Stwierdziła, że oprócz studiów i pracy na pół etatu w laboratorium medycznym czasami przychodził do krypty około północy. Tak właśnie śledzał nad czymś, kiedy go zabito. Tak samo w dwa poprzednie dni, czyli akurat wtedy, kiedy Rieffen przeprowadzały swoje machinacje. Może więc zakradła się w nocy, żeby napsocić, sądziła, że nikogo nie zastanie. Ale Bobby był w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, pisał na laptopie. Ona wślizguje się do chłodni, robi swoje, a wychodząc, przypadkiem spotyka Bobby'ego.

- Pracowała tam, miała odznakę, ktoś inny nie zwróciłby na nią większej uwagi - dodał Milo. - Ale ambitnego chłopaka to zaciękało.

- Problem w tym, Milo, że Bobby jak tylko widział coś podejrzanego, od razu to zgłaszał. Zawsze.

- No to zostawił komuś notatkę na biurku - zasugerował Milo. - Rieffen ją zobaczyła, zabrała.

- Możliwe - zgodził się Wimmers. - Ale spróbuj to udowodnić.
- Nawet jeśli Bobby coś podejrzewał - wtrąciłem się - i zajrzał do chłodni, jak miałyby ją nakryć? Mówimy o usunięciu dowodu. Przecież nie zdołałby potwierdzić nieobecności czegoś.

- To po co go zabiła?

- Może popatrzył dziwnie i to ją zdenerwowało. Albo rzucił jakąś uwagę. Wiedział za mało, żeby napisać raport, ale wystarczająco dużo, żeby Rieffen się zlekła. Powiedziała Montemu, on postanowił usunąć problem.

- Chłopak zabójca. - Wimmers pokręcił głową. - Wprost nie wierzę, że wkręciła się w pracę przy morderstwie, które popełniła. To chyba pierwszy taki przypadek.

- Nie nakręciła się zbyt wiele - odparł Milo. - Zaproponowała zamianę innemu śledczemu. Zdradziło ją to, że nie skorzystała z tej zamiany w drugą stronę.

- No pięknie. Niezła zagwozdka - westchnął Wimmers. - Teraz tylko trzeba to wszystko udowodnić.

- Po co wróciłeś dzisiaj do pokoju Escobara?

Wimmers zaczął przesuwając sos żurawinowy po talerzu.

- Chciałem sam zbadać sprawę od początku. Najpierw wezwanie dostało dwóch żółtodziobów, mieli robotę przy gangach i spisali to jako niefortunnie zakończony napad. Biorąc pod uwagę okolicę i brak portfela Escobara, na pierwszy rzut oka to tak wyglądało. Ale kiedy się przyjrzałem dokładniej, ich hipoteza zaczęła się sypać. Komórka Escobara nie zginęła, leżała na fotelu pasażera. Zostały też błyskotki, które chłopak nosił. Odziedziczył je po ojcu, właścicielu lombardu. Mówię o wielkim złotym sygnecie z brylantem, złotej bransoletce z nazwiskiem, złotym kolczyku z brylantem. Takie fanty łatwo opchnąć. Poza tym Escobar siedział za kierownicą, gdy go znaleźli, ale większość krwi była poza samochodem. I namierzyłem tam coś, co wyglądało jak ślady wleczenia.

- Zastrzelili go na zewnątrz i wsadzili z powrotem?

- Ilu znanych ci bandytów traciłoby na to czas? Jak dla mnie to śmierdziało inscenizacją.

- Rieffen i Monte mają w tym doświadczenie. - Milo bardziej szczegółowo opisał morderstwa w więzycze.

- Proszę, powiedz mi, że wasz koleżka został zastrzelony z rewolweru kaliber 22 albo z pistoletu i ktoś pozbiierał łuski.

Milo kiwnął głową.

- Wasza kula nadaje się do analizy? - spytał Wimmers.
- Koroner mówi, że to odłamki, ale mogą je poskładać.
- Kto dzwoni do balistyki, ty czy ja?
- Ludzie szeryfa przodem, Irv.

Wimmers skontaktował się z laboratorium balistycznym, umówił na bezzwłoczne porównanie.

- Potrzebowali czterdziestu ośmiu godzin, wyblągałem dwadzieścia cztery. - Zatarł gigantyczne dłonie. - To zaczyna smakować nawet lepiej niż mój indyk.

41

Istnieje szósty zmysł, wyczulona wrażliwość na zagrożenie, doświadczana przez żołnierzy w walce, weteranów policji i pewien typ bezlitosnych psychopatów.

Lara Rieffen wysiadła ze służbowego samochodu na parkingu krypty. Milo podszedł do niej bardzo subtelnie, udając dobry humor. Odpowiedziała na uprzejme zagajenie, dostosowała krok do swobodnego, luźnego tempa porucznika, ale ja czytałem w jej oczach i mogłem się założyć, że myślała o ucieczce.

Milo chyba to wyczuł, podtrzymywał jednak pozory, kiedy całą trójką weszliśmy do północnej części kompleksu biur koronera. Tam, gdzie wykonywano mokrą robotę.

W środku lekko musnął kciukiem ramię Rieffen, kierując ją w stronę pustego pokoju, który przygotował Dave McClellan. Nie miała powodu się opierać ani nic podejrzewać, ale zacisnęła usta i wysforowała się przed Mila. Dogonił ją, a kiedy dotarli do otwartych drzwi, chwycił za łokieć i zatrzymał pochód.

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów, Laro.
- Sztywny uśmiech.
- Na jaki temat, poruczniku?
- Miejsca zbrodni przy Borodi. Muszę ustalić parę szczegółów, zanim skończę raport.
- Zamknął pan tę sprawę?

- Ba, chciałbym. Ale jeszcze kawałek drogi przede mną, a dostałem nowy przydział od szefostwa, więc muszę się sprężyć.

Niebieskie oczy zamrugały.

- Och. To pewnie frustrujące.

- Taka praca. Dosłownie minutę, dobrze? - Popchnął ją do pokoju, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Dwa krzesła naprzeciwko jednego, obok stół, na którym leżała zmięta kurtka Mila. Kathy Vanderveldt alias Lara Rieffen usiadła tam, gdzie powinna.

Nie było tu weneckiego lustra ani sposobu, żeby wprowadzić Gayle Lindstrom, więc Milo ją o tym poinformował.

„Jak przystawka wejdzie gładko, podzielimy się daniem głównym, Gayle”.

Zająłem miejsce obok przyjaciela. Lara Rieffen przyglądała mi się. Moja obecność wyraźnie ją niepokoiła.

- Doktor nadal z nami współpracuje - wyjaśnił Milo. Otworzył swoją teczkę, schował się na chwilę za wiekiem, grzebał w środku jak kiepski iluzjonista szukający rekwizytu.

Lara Rieffen chciała wyglądać na znudzoną, ale jej ciało robiło swoje. Na siłę próbowała się rozluźnić, w efekcie była spięta i zdenerwowana jak początkujący adept jogi na macie.

Milo dalej przerzucał papiery. Spojrzała na zegarek.

- Pracowity dzień? - spytałem.

- Jak zwykle. Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak tu jest.

- A gdzie pani przedtem pracowała?

- W laboratoriach. Nie sądowych, medycznych.

- Zawsze pociagała panią nauka, co?

- Tak.

- Przepraszam, mam tu straszny bałagan, jeszcze odrobina cierpliwości. - Milo cmoknął językiem.

Lara Rieffen zaczęła się odprężyć naprawdę. Jego niekompetencja ją uspokoiła.

- Niech się pan nie spieszy, poruczniku. Chcę się przyczynić do rozwiązania, a nie robić problemy.

- Dzięki, Laro. Szkoda że nie wszyscy mają takie podejście.

- Dobra, zaczynamy. - Zamiast wyciągnąć papiery zatrzasnął teczkę; postawił ją na podłodze. Uśmiechnął się do Rieffen i dalej ją obserwował leniwym spojrzeniem spod przymkniętych powiek, które stosuje, kiedy nastrój jest odpowiedni.

Kąciki jej ust powędrowały w górę. Raczej zemdlona dezorientacja niż cokolwiek związanego z humorem.

- W czym mogę pomóc, poruczniku?

- Cóż, na początek porozmawiajmy o Montem.

Głowa Lary Rieffen skoczyła w tył. Ładne, niebieskie oczy śmignęły ku drzwiom.

Milo założył nogę na nogę i splótł ręce za głową. Spróbuj uciec, proszę bardzo, jesteś moja, nie boję się.

- Montem? - powtórzyła, jakby wymawiała słowo w obcym języku.

- Podpowiem: Carlo. Scoppio.

Brak odpowiedzi.

- Podpowiem: Dwayne Parris.

Rieffen pokręciła głową.

- Podpowiem: bum - dodał Milo.

Rieffen też założyła nogę na nogę. Uśmiechnęła się słabo i odechnęła.

- Dzięki Bogu.

- Za co, Laro?

- On mnie przeraża. Grozi, że jak tylko pomyślę, żeby go zostawić, potnie mnie i wyrzuci szczątki gdzieś, gdzie ich nikt nie znajdzie.

Milo się skrzywił.

- Mocne.

- Cholernie mocne, poruczniku, ale skoro pan pyta o Carla, to pewnie pan go zna.

Sondowała, ile wiemy. Kiedy to się nie udało, zmrużyła oczy, spróbowała wycisnąć łzy. Wydusiła dwie żalodne kropelki. Milo położył swoje wielkie, grube paluchy na jej dłoni.

- W końcu - szepnęła. - Ktoś, kto zapewni mi bezpieczeństwo.

- Tak, jestem tu, by chronić i służyć. Dobrze, przejdźmy do szczegółów, żebyśmy mogli tego drania przyskrzynić na dobre.

Lara Rieffen stosowała technikę klasycznego oszusta: połączenie niedomówień, odwracania uwagi i bezczelnych kłamstw. Przedstawia-

ła Dwayne'a Parrisa alias Montego Scoppia jako wcielenie zła, siebie jako uległą ofiarę. Cały czas usiłowała wydobyć, jaką część prawdy zna Milo.

On bawił się z nią, rzucał błąd jako przynętę, a potem go cofał, na wesoło wytykał drobne nieścisłości, jednocześnie pomijając te wielkie.

Wbijał haczyk.

- A więc... kiedy dokładnie poznałaś Montego?
- Parę lat temu.
- Naprawdę? Hm. - Kolejne łowy w teczce i mamrotanie pod nosem. - Hm, może się mylę, ale chyba mam tu notatkę... niestety nie mogę znaleźć... nieważne.

- Jaką notatkę, poruczniku?

- Rozmawialiśmy o Montem z kilkoma osobami. Sprawdzaliśmy go, rozumiesz? Ktoś twierdził, że znacie się od bardzo dawna, od liceum.

- Niezupełnie.

- To nieprawda? - Znów poszukiwania. - O, jest, Center High, rocznik...

- A, to. Zasadniczo się zgadza, ale Center to olbrzymia szkoła, obcaliliśmy się w różnych towarzystwach.

- Czyli wiedziałaś, kim on jest...

- Ledwie. Spotkaliśmy się wiele lat później i nawet wtedy jakoś specjalnie się do siebie nie zbliżyliśmy.

- Parę lat temu.

- Tak.

- Gdzie?

- Wyjechałam na wycieczkę ze znajomymi do Oregonu. On obozował na tym samym kempingu. Nie poznałam go, ale on poznał mnie. Potrafi być uroczy, właśnie zerwałam z chłopakiem, pewnie byłam podatna.

- Aha. - Gryzmolenie. - No dobrze, to już wyjaśniliśmy... Chciałaś coś do picia, Laro?

- A więc... to Monte spotkał w Venice Desa Backera i Doreen. Domyślałam się, że w niedzielę.

- Na pewno w niedzielę, poruczniku. Wybrał się tam pojeździć na wrotkach. Lubi to.

- Ty nie.
- Wołę rower. Jechał ścieżką, kiedy ich zobaczył.
- Co Des i Doreen robili?
- Nie mówił. Wrócił i powiedział, że natknął się na jakichś ludzi z Center.
- Czy wtedy już wiedziałś, że jest skłonny do przemocy?
- Nie. To znaczy czasem reagował wybuchowo, ale mnie nie dotknął, jeszcze nie.
- Później to się zmieniło.
- O tak.
- Chusteczkę, Laro?
- Nie trzeba.
- Dobrze... czyli Monte poinformował cię, że spotkał Desę i Doreen. Co o tym myślał?
- To znaczy?
- Był zadowolony? Zaskoczony? Zły?
- Zdecydowanie zły. Miał do nich pretensje, ale nie wiem o co. O coś z przeszłości. Kiedy o tym mówił, wpadał w furję.
- Nie chciał zdradzić, w czym rzecz.
- Jest bardzo zamknięty w sobie.
- Coś z przeszłości... może chodziło o pokrzyżowanie jego prawniczej kariery?
- Nie wspominał.
- Ale czy to by się zgadzało? Studia prawnicze?
- Chyba tak.
- Wiemy, że został wydalony z uczelni. Nigdy ci o tym nie opowiadał?
- Nie i wiedziałam, że lepiej nie pytać.
- Cóż, oto co usłyszeliśmy od ludzi: przez Desę i Doreen Monte wyleciał z prawa. Mógł żywić do nich urazę, nie sądzisz? Podaje się za prawnika, chociaż nie jest.
- To ma sens, tak.
- Przy okazji, kiedy zaczął nazywać siebie „Monte”?
- Wtedy.
- Kiedy?
- W szkole. Podobno. Lubił hazard.
- Monte Carlo.

- Używał sfalszowanych dokumentów, żeby grać w indiańskich kasynach. Przynajmniej takie krążyły plotki.

- Dobrze... jeszcze jedno, Laro. Ludzie napomknęli również, że Des i Doreen ciebie też załatwili. Coś o studiach medycznych?

Cisza.

- Laro?

- Musiał się pan pomylić.

- Nie chodziłaś na medycynę? Uniwersytet Stanu Idaho, rocznik...

- Zaczęłam, ale zmieniłam zdanie.

- Bo...?

- Moim celem nie jest zarabianie pieniędzy, wolę czystą naukę.

- Laboratoria.

- Właśnie.

- Czyli to nie wiązało się z sierścią rysy?

Cisza.

- Laro?

Przeciągłe westchnienie. Chory uśmiech.

- W porządku, opowiem panu o tym, poruczniku. Nie chciałam, ponieważ to zbyt bolesne i po prostu nie widzę powodu.

- Rozumiem, Laro, ale powód jest taki, że musisz mi dać wszystko, czego mogę użyć przeciwko Montemu. Jeśli więc Des i Doreen zachowali się wobec ciebie nie w porządku, tym bardziej prawdopodobne, że zrobili to i jemu. A z tego, co zeznały Służby Leśne, najwyraźniej kablowali.

- Poruczniku, to było wielkie nieporozumienie. Oczywiście trzymam to w sekrecie, bo niełatwo o dobrą pracę, a ja swoją lubię. Poza tym już potem zrozumiałam, że miałam szczęście.

- Jak to szczęście?

- Że zrezygnowałam ze studiów. Medycyna stała się jednym wielkim biznesem.

- Tutaj masz okazję prowadzić badania?

- Może kiedyś się uda. Na razie cały czas się uczę, a to zaspokaja moją wewnętrzną ciekawość. W końcu wrócę na studia i napiszę doktorat.

- No tak... czyli ta sprawa z sierścią rysy...

- Wielkie nieporozumienie, poruczniku. Jeszcze jeden z genialnych pomysłów Montego. Ale przyznaję, z głupoty dałam się w to wciągnąć.

- Dobrze... doceniam, że jesteś szczerą, Laro. Choć zdarzyło się parę falstartów.

- Przepraszam. Zaskoczył mnie pan, nie potrafię za dobrze robić kilku rzeczy naraz. Kiedy muszę, to mogę, ale trudno mi się nie rozprasać. To jakieś zaburzenie, kiedyś rodzice robili mi badania. Psycholog stwierdził, że jestem utalentowana, ale mam problemy z organizacją i pamięcią. Jeśli więc o czymś zapomnę, proszę wybaczyć.

- Umowa stoi... porozmawiajmy o broni Montego.

- Och, trzyma tego na tony. Karabiny, strzelby.

- A pistolety?

- Też.

- Z którego zastrzelił Desa Backera?

- Nie wiem.

- Z głowy Desa wyjęliśmy kulę kaliber 22. Czy Monte ma dwudziestkędwójkę?

- To taki mniejszy pistolet?

- Najczęściej.

- Widziałam całe pudełko pistoletów, poruczniku. Naładowanych. Stoją na podłodze w szafie w naszej sypialni. Zaraz obok moich butów; dręczyły mnie koszmary.

- Na temat...?

- Ta jego wybuchowość... A jak mu odbije? Trzyma też jeden naładowany w szafce nocnej. Czasami śnią mi się wariackie sny, ale wydają się takie realne.

- Na przykład.

- To jeden i ten sam sen w kółko. W domu jest pożar i ogień dochodzi do szafy, pistolety odpalają od żaru i strzelają wszędzie dookoła. Zrywam się spocona, serce mi wali. Raz go obudziłam, chciałam, żeby mnie pocieszył. Kazał mi zamknąć ryj i spać.

- Dżentelmen.

- Tak głęboko się w to wpakowałam, poruczniku. To jak siedzieć w jakiejś jamie bez wyjścia.

- Wyciągniemy cię... Czyli Monte chowa całe pudełko naładowanych pistoletów.

- Tak, proszę pana.

- A większe?

- Na pewno są. Nigdy się nie przyglądałam, nie lubię broni.

- Nie jeździsz z Montem na strzelnicę?
- Nie, jeździ sam.
- O pistolet dużego kalibru pytam dlatego, że taki wepchnięto w pochwę Doreen. Zanim została uduszona.
- Boże, nawet jak na niego to okrutne.
- Jeszcze jedną chusteczkę, Laro?
- Tak, proszę.
- A więc... Monte nie mówił, co zrobił Doreen. O dużym pistolecie.
- Nie, nigdy.
- A o tym, co się wydarzyło w wieżycze?
- Nie... po prostu wrócił do domu i powiedział, że to zrobił.
- To znaczy co?
- Zajął się Desem i Doreen. To jego słowa: „Zająłem się nimi”. Byłam zbyt przerażona, żeby o tym rozmawiać.
- Musiałaś się zastanawiać, dlaczego tak postąpił.
- Oczywiście.
- Jakież teorie?
- Nie wymyśliłam żadnych, poruczniku. Nic nie usprawiedliwia morderstwa.
- Cóż, to prawda... do czego zmierzam: zastanawiałaś się nad tą zadawnioną urazą? Sierścią rysia? Czy motywem Montego mogła być zemsta?
- To nie jest trochę nieproporcjonalne?
- Morderstwo zawsze takie jest. Ale przyszło ci to do głowy?
- Raczej nie.
- Raczej nie... w porządku, czyli robimy tu niezłe postępy, rysuje się nam pewien obraz. Że tak to ujmę... ale istnieje mały problem, Laro. Nic poważnego, powinnaś jednak wiedzieć.
- O czym?
- Aresztowaliśmy Montego i on twierdzi coś innego.
- Czyli co?
- Że to ty wszystko zaplanowałaś. Że to była twoja zemsta: Doreen i Des wyspali cię z tą rysią sierścią i zniszczyli ci karierę medyczną. Że prysnęli, kiedy cię wydali, ale domyśliłaś się, bo oprócz ciebie i Montego tylko oni wiedzieli.
- Nie, absolutnie nie. To Monte się zemścił. Ja już wtedy zrezygnowałam z medycyny.

- Tylko powtarzam zeznania, żebyś mi dała coś, z czym mógłbym pracować... podobno wcale nieprzypadkowo spotkaliście się z Desem i Doreen. Wytropili was w A.L., dostali informacje od kogoś w Seattle. Nie znaleźli was pod waszymi prawdziwymi nazwiskami, ale skojarzyli, że możesz używać panińskiego nazwiska matki, bo już to robiłaś. Masz swoją stronę na Facebooku, a Monte nie.

- Nie wiem, jakim sposobem, ale to z Montem się skontaktowali.

- Tamtej niedzieli w Venice.

- Tak.

- Ale może to nie był przypadek, że Monte ich spotkał.

- Może nie.

- Cóż, przynajmniej *to* się zgadza z jego wersją. Tyle że on przysięga, że ty umówiłaś was wszystkich. Bo miałaś doświadczenie z materiałami wybuchowymi takie samo jak cała reszta, a Des i Doreen szukali kogoś do pomocy w zleceniu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Monte powiedział też, że szykowało się wam sto tysięcy do podziału.

- Nigdy w życiu.

- Wiesz, że Des dostał pięćdziesiąt tysięcy. Zaliczkę, którą powinien się podzielić, ale nie podzielił.

- Pierwsze słyszę.

- Ale domyślasz się, o czym mówię.

- O jakiejś zapłacie?

- Za doświadczenie i sprzęt, na przykład wegańską galaretkę.

Cisza.

- O tym słyszałaś, prawda?

- Dawno temu.

- Nigdy jej nie używałaś.

- Nie!

- Prawda, w sumie po co... Muszę tylko porównać twoją wersję i jego, to on jest tym brutalem, pewnie zeznałby wszystko, żeby tylko ocalić swoją skórę.

- Broń należy do niego, ja nigdy nie posiadałam broni.

- Na pewno...

- Nie znoszę broni. Dlatego pracuję u koronera, a nie w laboratorium balistycznym.

- Fakt... Niech coś sprawdzę... o, jest. Skoro mowa o balistyce, oto raport. Znaleźliśmy pudełko Montego dokładnie tam, gdzie wskazałaś, nie kłamałaś i ja to doceniam. Monte natomiast wciska kit, że o niczym nie miał pojęcia. Jakbyśmy mogli nie zauważyć pudła ze spluwami.

- Cały on...

- To znaczy?

- Bezmyślny dureń. Wypiera się.

- Na pewno... w każdym razie widzieliśmy to pudełko, a w nim tę dwudziestkędwójkę, z której zastrzelono Desa Backera. Niestety, są na niej twoje odciski palców, nie Montego.

Cisza.

- Laro?

- To zupełnie bez sensu.

- To samo powiedziałem w laboratorium, więc sprawdzili jeszcze raz... twoje mają w bazie danych, pobrali je, kiedy cię przyjmowali, a odciski Montego wzięliśmy podczas aresztowania. Jego są na całym pudełku. I na paru innych pistoletach. Ale nie na tym.

- O rany, już wiem. Kiedy Monte wrócił, dał mi ten pistolet i kazał go odłożyć. Nie chciałam być jego współniczką, nawet po fakcie, ale jemu nie można się sprzeciwić. Na litość boską, w końcu właśnie zamordował dwie osoby.

- Więc schowałaś broń.

- Z powrotem do pudełka. Na pewno leżała na wierzchu.

- Właśnie tam ją znaleźliśmy.

- Chciałam, żeby od razu ktoś ją zobaczył w trakcie przeszukania.

- Przewidziałam, że będziemy przeszukiwać.

- Liczyłam na to. Niestety nie myślałam jasno, nie włożyłam rękawiczek. Nie żeby mi to uszło na sucho, Monte stał obok mnie.

- I kazał ci schować broń.

- Mógł to zrobić sam, ale kręciła go dominacja.

- Chętnie wydawał polecenia.

- Bez przerwy.

- Musiało ci być ciężko, Laro.

- Zabijało mnie to po kawałku.

- Tak samo jak wiedza, co Monte zrobił, i niemożność zdradzenia okropnej tajemnicy.

- Wszystko* co zrobiłam od chwili, kiedy się przyznał do popełnienia zbrodni, było formą samoobrony, poruczniku. Kiedy spotkaliśmy się na miejscu, myślałam, że może pan zdoła mi pomóc, ale... powinienam wcześniej zrobić ten krok, przepraszam. Dzięki Bogu, że w końcu się odważyłam.

- Porozmawiajmy o tym pierwszym razie, Laro. Jak trafiłaś na Bordini?

- Byłam następna w kolejce. Nigdy nie wierzyłam w zbiegi okoliczności, ale zaczynam zmieniać zdanie, bo ostatnio w moim życiu zdarzają się bez przerwy.

- Na przykład spotkanie z Montem na kempingu.

- Właśnie. Sprowadził w nasze życie Desa i Doreen. Musiał planować zemstę od lat.

- Czyli zostałaś wezwana na miejsce morderstwa, nic nie podejrzewając.

- To było zwykłe wezwanie, poruczniku.

- Kiedy Monte uznał, że zamordował Desa i Doreen, mówił, gdzie to się stało?

- Nie pytałam. Następnego dnia dostałam wezwanie i to byli oni. Niech pan sobie wyobrazi. O mało nie zemdlałam.

- Na moje oko trzymałaś się całkiem nieźle, Laro.

- Musiałam zmobilizować wszystkie siły, żeby nie zacząć krzyczeć. Jak tylko stamtąd wyszłam, rozkleiłam się.

- Za bardzo się bałaś, żeby mi powiedzieć.

- Przepraszam, to oczywiste, że powinnam, ale nie zrobiłam tego ze strachu. A potem doszłam do wniosku, że ukarzenie mnie za to, że nie zgłosiłam się od razu... sytuacja bez wyjścia.

- Rozumiem.

- To utrudnianie śledztwa, prawda?

- Szczerze mówiąc, Laro, może tak być. John Nguyen, to prokurator w tej sprawie, zdecyduje, czy postawić ten zarzut. Jeśli będziesz nam dalej pomagać, bez problemu wstawię się za tobą.

- Byłabym wdzięczna.

- Jasne... zbiegi okoliczności. Tak, sam w życiu parę widziałem. Niektórzy nazwaliby to przeznaczeniem, karmą czy po prostu losem. Jak określają to psychologowie, doktorze Delaware?

- Jeszcze jedną tajemnicą życia.

- Ha, ha... świetnie, idźmy dalej. Zjawiasz się na miejscu przestępstwa, odkrywasz, kim są ofiary, usiłujesz zachować spokój.

- Wnętrznosci mi się skręcały w supel.

- Straszny zbieg okoliczności... jedno tu nie pasuje. Postarałaś się, żeby dostać to wezwanie. Dowiedzieliśmy się, bo nie myśleliśmy w kategoriach zbiegu okoliczności i dociekaliśmy, jak to się stało, że pracowałaś przy ofiarach, które znałaś. Dlatego sprawdziliśmy grafik dyżurów, w krypcie. Potwierdziliśmy u Dave'a McClellana. Poprosiłaś o zamianę innego śledczego, Dana Paillarda. On to potwierdza.

Milczenie.

- Laro?

- Wiem, jak to wygląda, ale to nie miało nic wspólnego z tym, co się stało. Zupełnie nic, chciałam tylko jak najwięcej się nauczyć. Tutaj trzeba działać szybko, jestem nowa, czułam, że muszę się podciągnąć.

- Zamieniłaś się z Danem, ale nie skorzystałaś na tej zamianie.

- To znaczy?

- Nie poprosiłaś go o rewanz.

- Chyba nie... zapomniałam, że jest mi coś winien. Jak mówiłam, poruczniku, pamięć mi szwankuje.

- To pewnie tłumaczy, dlaczego nie ujawniłaś, że w ogóle dokonałaś z Danem zamiany.

- Czasami zapominam, gdzie postawiłam buty.

- Tam, gdzie mówiłaś, obok pudełka z bronią.

- Ja... tylko tak przykładowo. Ale... jasne.

- Czyli zamieniłaś się z Danem, żeby zdobyć doświadczenie.

- Właśnie.

- Uhm... no to chyba rozwiałaś moje wątpliwości. Problem w tym, że wszystko z osobna brzmi logicznie, ale jako całość nie podoba się Johnowi Nguyenowi. Wiem, bo mi to powiedział. John to porządny facet, ale bardzo podejrzliwy. Raz nie chciałem kierować pewnej sprawy do sądu, bo uważałem, że dowody są niewystarczające, ale John mimo to ją przepchnął. I doprowadził do skazania. Jest agresywny, bystry i cholernie dobry w przekonywaniu przysięgłych.

Cisza.

- Laro?

- No to co robimy, poruczniku?

- Szukamy innych wyjaśnień niż zbiegi okoliczności albo luka w pamięci.

- Przyznałam już, że znałam Carla w liceum. Nie wiedziałam tylko, że chodzi panu o znajomość przez duże „z”.

- Rozumiem. Ale John na pewno nie kupi tego kawałka, że zamieniłaś się z Danem Paillardem, żeby się dokształcić. Jest przekonany, że brałaś udział w morderstwie i chodziło ci o kontrolę nad sytuacją. To oznacza premedytację, a dla gościa takiego jak on to po prostu duże martini.

- Ale...

- Wysłuchaj mnie, Laro. Proszę, weź chusteczkę. Ważne, żebyś spojrzała na to z perspektywy oskarżyciela: każesz Johnowi wierzyć, że nie znałaś zamiarów Montego, że wrócił i oznajmił ci, że kogoś zamordował, że ukryłaś dla niego narzędzie zbrodni i nie zgłosiłaś niczego, bo się bałaś. John widział mnóstwo kobiet w trudnych sytuacjach domowych, więc pewnie to łyknie. Ale potem chcesz, żeby uwierzył, że przypadkiem pracowałaś przy zwłokach, żeby się rozwijać. Tego już nie kupi. I moim zdaniem przysięgłych też nie przekonasz. Oglądają za dużo telewizji, chcą, żeby wszystko się wyklarowało przed trzecią przerwą na reklamy. Dodajmy do tego twoje odciski na narzędziu zbrodni i mozesz...

- Domyślałam się.

- Czego?

- Tego wezwania. A raczej przeczuwałam. Jak jasnowidz. Ale nie wiedziałam na pewno. Szczerze? Nawet wątpiłam, że rzeczywiście ich zabił. Gadał o tym od tak dawna, że przestałam ten temat traktować poważnie. Potem, kiedy przyjechałam do krypty i przyszło wezwanie z Westside, naszło mnie bardzo złe przeczucie i poprosiłam Dana, żeby się zamienił.

- Bo...

- Właśnie powiedziałam, czułam, że nad niczym nie panuję, pragnęłam coś zrobić. Chyba gdzieś głęboko we mnie tliła się nadzieja, że to nie oni. Że Monte tak naprawdę skłamał i ten koszmar się skończy. I tak postanowiłam już od niego odejść.

- Więc rozmyślnie się zamieniłaś, żeby dostać tamto wezwanie.

- Wiem, że to źle, że nic panu nie powiedziałam. Jeśli mnie oskarżą o utrudnianie... cóż, muszę się z tym pogodzić. Ale kiedy się porówna

to, co zrobił Monte, z tym, co ja zrobiłam, chyba jest jasne, komu raczej uwierzycie.

- Oczywiście, Laro.

- Słucham?

- Uwierzymy raczej tobie. - Otworzył teczkę i zaraz ją zamknął. - Ee, właśnie zjrzałem do notatek... i musimy rozwiązać jeszcze jeden problem. Mówię o dacie.

- Czego?

- Kiedy poprosiłaś Dana o zamianę. To nie było rano w dzień morderstwa, tylko dzień wcześniej. Więc zamieniłaś się po to, żeby zapanaować nad sytuacją... rozumiesz, do czego zmierzam.

- Kto panu podał tę datę?

- Dan.

- W takim razie się pomylił.

- W innych okolicznościach powiedziałbym, że to możliwe, nikt nie ma doskonałej pamięci, zwłaszcza jeśli chodzi o drobiazgi. Ale Dan zaraz potem zmienił grafik, wpisał datę i ją parafował. Może popełnił błąd, ale dla Johna Nguyena i przysięgłych to dowód.

Bez komentarza.

- Lara?

- Już sama nie wiem...

- Zostawmy to na chwilę, może wpadniesz na jakieś rozwiązanie...

- Rany. W głowie mam mętlik. Psycholog, który mnie badał, mówił, że to się zdarza w chwilach stresu. Na pewno pan coś takiego widział, doktorze.

- Oczywiście.

- Co konkretnie ci się pomieszało, Laro?

- Kolejność. Powód, dla którego zamieniłam się z Danem, ten pierwszy, chęć zdobycia doświadczenia, był prawdziwy.

- A nie ten o psychologicznej kontroli nad sytuacją?

- To też prawda, ale to przyszło później, po namyśle, rozumie pan? Kiedy zgłoszono wezwanie, nie miałam pewności, czy to będą oni, ale się bałam ... Bo mieszkali w Westside, oboje, w Santa Monica...

- Des przy California. A Doreen? Wciąż tego nie wiemy.

- Nie podawała dokładnego adresu. Gdzieś w Westside. Więc było logiczne, że tam Monte zabił.

- Blisko domu.

- Tak chyba mówią profilerzy? Przestępstwa zdarzają się najczęściej w strefach poczucia bezpieczeństwa.

- Morderców, Laro, nie ofiar.

- Monte też mieszka w Westside, to się idealnie zgadzało. Musiałam po prostu zobaczyć na własne oczy. Tak więc nie ma tu żadnej sprzeczności. Chciałam zdobyć doświadczenie i psychologiczne poczucie kontroli.

- Czy na miejscu zbrodni dowiedziałaś się czegoś, co pomogło ci wzmocnić poczucie kontroli?

- Przekonałam się, że Monte jest jeszcze gorszy, niż sobie wyobrażałam. Twierdził, że tylko wyrównuje rachunki, ale potem zobaczyłam, że ona została uduszona rękami. Zauważyłam też tę plamę nasienia i zrozumiałam, że zrobił coś wstrętnego.

- Podejrzewałaś, że to nasienie Montego.

- Des używa prezerwatyw, a takie coś pasuje do Carla: okrucieństwo, dominacja. Dlatego właśnie ją panu pokazałam, poruczniku. Za bardzo się bałam, żeby powiedzieć wprost, ale miałam nadzieję, że podejmie pan ten trop.

- Współdział w śledztwie, tak?

- Od samego początku.

- Czyli doszłaś do wniosku, że nasienie należało do Montego, nie Desa? Dobrze... ee, skąd wiesz, że Des używał prezerwatywy?

Zero reakcji.

- Laro?

- Pewnie usłyszałam. W liceum. Des był niezłym podrywaczem, wszyscy o tym gadali. I że nosił w portfelu prezerwatywy.

- Przy zwłokach żadnych nie znaleźliśmy.

- Pewnie Monte je zabrał.

- Po co?

- To zły człowiek, może jako trofeum... chora męska dominacja. No i ten wytrysk na nogę Doreen.

- Jesteś pewna, że to nie było nasienie Desa?

- Niczego nie mogę być pewna. Pomyślałam tylko, że Monte zdolaby zrobić coś tak wstrętnego. Zabić Doreen, a potem ją poniżyć. Kiedy to panu pokazałam, miałam nadzieję, że oddacie to do analizy, dowiecie się, że to Montego, a *to* uzmysłowi, że trafiło się wam coś więcej niż proste morderstwo.

- Fakt, sprawa nie jest prosta*. John Nguyen codziennie mi o tym przypomina. Teraz wszystko wskazuje, że prędko się ona nie zakończy. Zwłaszcza że zniknęła plama nasienia. Jak myślisz, dlaczego?

- Ktoś schrzanił robotę. To się zdarza częściej, niż pan przypuszcza.

- Schrzanił, a nie stał rozmyślnie?

- Kto miałby to zrobić rozmyślnie?

- Tego właśnie chciał się dowiedzieć Bobby Escobar.

- Kto?

- Bobby Escobar, śledczy, pracował tu na stanowisku, które przejąłeś. Wrócił na studia zrobić magistra. Sympatyczny chłopak, więc pozwolili mu przychodzić po godzinach zbierać materiały.

- Powiedział panu o plamie?

- Zasadniczo tak.

- W porządku... świetnie, czyli ktoś się tym zajmie i wreszcie uszczelnia procedury. Dotyczące postępowania z dowodami.

- Przydałoby się... ale tu dochodzimy, Laro, do kolejnego nieprzyjemnego problemu. Bobby zgłosił Dave'owi McClellanowi, że parę dni po tym, jak trafiły tu ciała Desa i Doreen, pracował późno w nocy, przypadkiem wyszedł ze swojego pokoju i w tej samej chwili ty wymykałaś się z chłodni. Coś ci to przypomina?

- Niski Latynos? Wąsaty?

- To właśnie Bobby. Zajrzał do chłodni i zobaczył, że folia na jednym z ciał jest naruszona. Na Doreen. Dave się tym nie przejął, pracowałaś tu, może sprawdzałaś numery seryjne do dokumentacji. Ale teraz, kiedy wiemy o plamie, sama widzisz, jak to wygląda.

- Ale ja właśnie sprawdzałam numery!

- Ktoś inny się tam zakradł i usunął plamę?

- Albo zmył przypadkiem, poruczniku. Takie rzeczy się tu zdarzają, niech mi pan wierzy.

- Już słyszę, jak John Nguyen jęczy.

- To znaczy?

- Spójrz na to z jego perspektywy, Laro. Wychodziłaś z chłodni, folia była poruszona, zniknął materiał dowodowy.

- Więc on to zrobił.

- Kto?

- Ten Bobby. Chciał odzyskać posadę, więc próbował rzucić na mnie podejrzenie.

- Chłopak jest zajęty nauką i pracą na pół etatu.
- Może zmienił zdanie.
- Wszystko się zdarza, Laro, ale nie podsuwałbym Johnowi Nguyenowi takiej hipotezy. Zaczekaj, mam jeszcze problem: Bobby został zamordowany.

Cisza.

- Laro?
- A, tamto.
- Tamto?
- Słyszałam, że niedaleko zastrzelili jakiegoś śledczego, nie wiedziałam, że to on.

- Dostał strzał w głowę, tak samo jak Des Backer. Z dwudziestkidwójki, tak samo jak Des, i nie znaleziono żadnych łusek, tak samo jak przy Desie. Użyto małej broni, jak ten rewolwer, Smith & Wesson 650, który leżał w szafie. Oczywiście przeprowadziliśmy próby porównawcze i niestety prążkowania na kuli w głowie Bobby'ego pasują do tych z kuli w głowie Desa. Mówię niestety, bo teraz mamy twoje odciski palców na broni wielokrotnego zniszczenia ze się tak wyrażę. Monte ma na to wyjaśnienie. I ono nie opiera się na zbiegach okoliczności. Zgadniesz jakie?

- Coś, co obciąża mnie. Ale to socjopata i kłamca.
- Nawet jeśli, Laro, Johnowi Nguyenowi podoba się wersja Montego. Czyli że to ty napadłaś na Escobara. Monte przyznaje się, że śledził Bobby'ego, kiedy ten wyszedł z krypty, i że czekał, aż stanie na czerwonym świetle. Potem wyciągnął chłopaka z samochodu i zawiókł tam, gdzie ty go zastrzełaś. Przyznał się nawet, że wsadził Bobby'ego z powrotem. Ale to ty pociągnęłaś za spust. John akceptuje tę historię, bo nie ma w niej zbiegów okoliczności.

Cisza.

- To niedorzeczne, poruczniku.
- Tak samo jak przyklejanie sierści rysia tam, gdzie nie powinno jej być. Co, jak się nad tym zastanowić, nie różni się aż tak bardzo od starcia płamy nasienia. Monte, jako macho, nie chciał się jej pozbyć na miejscu morderstwa, to hazardzista, lubi ryzyko. Pewnie ci mówił, że nikt nie będzie tego analizował. Dwoje ludzi znalezionych w pozycji seksualnej, płama nasienia... Kto by podejrzewał, że pochodzi od kogoś trzeciego? Jestem skłonny uwierzyć, że cię tamtej nocy zastraszył,

dlatego właśnie pozbyłaś się tej plamy od razu. Oboje mieliście broń, ale Monte większą. Liczy się rozmiar i tak dalej. Celowałaś ze swojego rewolwerka w Doreen, kiedy Monte robił swoje dużym, prawda? A potem ją udusił, spuścił się jej na nogę. Cisza.

- Laro?

Cisza.

- Rysia sierść, plamy, zawsze chodzi o manipulację dowodami, Laro.

Cisza.

- Teraz zaczynasz się zamykać, tak samo jak według ciebie Monte. To nie leży w twoim interesie, John Nguyen tego nie doceni.

Cisza.

- Byłem otwarty na twoje wyjaśnienia i dalej będę. Ale musisz mi wyjść naprzeciw. Na przykład ta wycieczka do Port Angeles po pieniądze. Mamy Montego na wideo, jak wynosi walizki, ale na liście pasażerów do Seattle są nazwiska was obojga. W twój dzień wolny.

Cisza.

- Opowiedz mi, co się naprawdę stało. Zaczynaj od początku, dla swojego dobra.

- Skończyliśmy.

- Słucham?

- To koniec. Muszę dostać adwokata.

- Zdecydowanie żądasz adwokata.

- Skończyłam.

- Jak chcesz, Laro. Zawsze robisz, jak chcesz.

42

Pukanie do drzwi.

- *Entrez-vous* - zawołał Milo.

Nad Lara Rieffen stanęły dwie policjantki z biura szeryfa.

- Dziękuję paniom, zróbcie jej dokładną rewizję w pokoju naprzeciwko.

- Tak jest poruczniku - powiedziała niższa.

Milo odwrócił się do Rieffen.

- Do zobaczenia, Laro. Czy może mówić ci Kathy? Żeby było jak za dawnych lat?

W odpowiedzi spojrzała pogardliwie i odrzuciła blond włosy.

- Ładnie rozjaśnione pasemka - zauważyła wyższa policjantka. - Czego używasz, L'Oreal?

Milo wrócił do pokoju, zabrał ze stołu kurtkę, sprawdził minikamerę wideo ukrytą pod spodem. Nowoczesny sprzęt, pożyczony od przyrodniego brata Reeda, Aarona Foksa, dawniej pracownika wydziału zabójstw, teraz prywatnego detektywa z Beverly Hills, który lubi gadżety.

Krótki *replay* ukazał wyraźny obraz i dźwięk.

- Doskonale.

Milo włożył rękawiczki, przeszukał torebkę Lary. W środku legitymacja biura koronera, pięć zdjęć Rieffen i M. Carla Scoppia w turystycznych ubraniach na tle lasu. - Wygląda ci tu na zastraszoną?

- Ani trochę.

W portfelu znalazł sto dwadzieścia trzy dolary w banknotach i trochę drobnych, dokumenty i karty kredytowe na nazwiska Lara Rieffen, Kathy Lara Vanderveldt, Laura Vander, Kathleen Rieffenstahl, Laura Rice, Cathy Rice, Lara van Vliet.

W zapinanej na suwak kieszonce - dwa tampony, gaz pieprzowy w spreju i nóż sprężynowy.

- Aż się prosi o cięty komentarz - powiedział Milo. - Ale nie mam siły.

W drugiej kieszonce znajdowały się dwa kolczyki z opalami. Na jednym, z tyłu wygrawerowane: DF.

- Trofeum zabójcy, biedna Doreen.

W kolejnej kieszonce, głębszej i zamykanej na zatrzask, była pomadka do ust, miętówki, pojedyncza kartka papieru listowego, złożona na pół.

E-mail sprzed czterech miesięcy od montecarlo@bghlaw.net do KLV@pkmail.com.

„cześć mała ktoś w biurze powiesił dzisiaj taki głupi plakat zachętę do wewnętrznego spokoju i pomyślałem o tobie i wymyśliłem:

NAJWYŻSZA NEGACJA KATHY I MONTEGO C. (ZEWNĘTRZNY CHAOS)

Ja mówię prawdę. Oni kłamią.

Ja jestem silny. Oni słabi.

Ja jestem dobry.

Oni są źli.

niezłe podsumowanie, co, mała? co sobie zażyczysz tak będzie jesteś bombowa LOL kocham na zawsze podpalaj dalej mój lont"

Zjawił się Wimmers z dwoma policjantami w płowych mundurach. Po krótkiej, wesołej rozmowie z Milem Irvin i jego ludzie zabrali Rieffen, skutą przeprowadzili przez kryptę. Szła ze spuszczoną głową obok oszołomionych współpracowników i Dave'a McClellana, który patrzył z najwyższą pogardą. Kiedy go mijała, ostentacyjnie pokazał Milowi uniesiony kciuk.

Rieffen spojrzała na niego. Kobra obudzona z drzemki.

- Mistrzostwo manipulacji - powiedziałem.
- Wiele dobrego jej z tego przyszło - odparł Milo.
- Mówiłem o tobie.
- O *moi*? Jestem zdruzgotany. - Szeroki uśmiech. - No to jak wypadłem, Cecilu B.?
- Zaslugujesz na procent od dochodu i spory udział w zyskach marketingowych.
- Niech żyje Hollydziura. Nie żebym zmyślał...
- Gdzieżby tam.
- Pomyśl: Monte niedługo będzie aresztowany, ja tylko trochę wyprzedziłem fakty.
- Zaraz po powrocie zacznę rozkręcać twój komitet wyborczy.
- Jak go dostaniemy, czy są jakieś wątpliwości, że ją wrobi? A Bobby faktycznie ze mną rozmawiał. Zza grobu. To też jakaś forma dialogu, prawda? I popatrz, miał rację. Chyba zmyślanie o tej broni było trochę nieładne, ale musiałem, tak się bałem, że nigdy nie zamknę tej sprawy. Mój szef potrafi być wstrętny, okropnie się czuję, jak na mnie wrzeszczy. Ale się udało. I teraz mogę zabrać ten paskudny, zły rewolwer

i nikt już nikogo z niego nie zabije. Proszę, niech mi pan powie, że jestem dobrym człowiekiem, doktorze Delaware.

Kiedy doszliśmy do samochodu, wciąż się śmiałem.

Milo nie.

- Co się stało? - spytałem.

- Nic, życie jest piękne. Zastanawiam się tylko, jak zagrać z Montem jedną kartą.

43

Kancelaria prawna Baird, Garroway i Habib zajmowała potrójnej szerokości pawilon przy Soto, z zamalowaną na czarno witryną, na której w pięciu językach, jasnożółtą farbą obiecywano szybkie zakończenia spraw. Jak zauważył Reed, znajdowała się w odległości krótkiego spaceru od kompleksu szpitala hrabstwa.

- Nie trzeba za daleko gonić karettek - stwierdziła agentka specjalna Gayle Lindstrom.

Siedziała za kierownicą sedana chevy kupionego z federalnych podatków dochodowych, ubrana w białą bluzkę na ramiączkach, obcisłe dżinsy i japonki. Kolczyki kółka migotały. Więcej makijażu niż zazwyczaj, w tym nadmiar brokatowej różowej szminki.

- Widzę cię z nowej strony, Gayle - powiedział Milo.

- Uwielbiam czuć się dziewczyną.

Milo garbił się na przednim fotelu pasażera. Ja miałem dla siebie cały tył. Samochód był idealnie czysty, ale pachniało w nim wanilią, jakby ktoś wyrabiał tu ciasto na słodkie wypieki.

Mężczyzna, którego pracodawcy znali jako M. Carla Scoppia, nie wyszedł z kancelarii, odkąd się w niej zjawił, nie licząc dziesięciominutowej przerwy na papierosa na tylnym parkingu. Nie było możliwości zwinienia go na dymku - niedaleko stało troje innych fanatyków nikotyny.

Kilka razy Scoppio odprowadzał do drzwi ludzi o kulach. Dwoje kulejących faktycznie wyglądało na niepełnosprawnych.

O piętnastej, kiedy samochód cateringu zatrąbił *La Cucarache*, Scoppio nie pojawił się w grupce osób wychodzących coś zjeść.

- Może przyniósł drugie śniadanie ze sobą - zastanawiała się Lindstrom. - Oszczęda ciężko zarobioną krwawicę na czarną godzinę.

Siedmiu policjantów z zespołu pościgowego czekało rozstawionych w różnych punktach w okolicy. Miejsce nie najlepiej nadawało się na zasadzkę: gęsty ruch na Soto sprawiał, że szybkie przebiegnięcie przez jezdnię było niebezpieczne, a rzadki ruch pieszych uniemożliwiał śledzenie na piechotę. Parking, na którym Scoppio palił, od północy odgradzony wyższymi budynkami, miał tylko jedną drogę wjazdową. Na wschodzie rozciągał się labirynt mieszkalnych bocznych uliczek, na zachodzie przelotówka, z wjazdem na widoku, co zwiększało ryzyko ucieczki samochodem. Chociaż o szesnastej trzydzieści każdy mistrz kierownicy ugrzązłby w korku.

Kiedy Scoppio realizował się we wspianym świecie obrażeń ciała, dom, który dzielił z Lara Rieffen i Doreen Fredd, został przeszukany przez Moe Reeda, Seana Binchy'ego i technika policyjnego od szeryfa.

Ani śladu bytności Fredd, żadnej krwi oprócz kilku kropeczek pod lustrem w łazience, pewnie po zacięciach przy goleniu. Niczego, co by wskazywało, że w domu dochodziło do przemocy. Technik pozbierał próbki, pozdejmował odciski palców i pojechał.

Binchy i Reed znaleźli pudełko z bronią dokładnie tam, gdzie wskazała Rieffen. Na wierzchu leżał czarny, plastikowy futerał ze Smithem & Wessonem kaliber 22, z numerem seryjnym spiłowanym, ale prawdopodobnie do odzyskania metodą chemiczną.

Binchy zawiózł broń do laboratorium balistycznego. Na ostateczny raport trzeba było trochę poczekać, ale analityk zobaczył dość, by zaopiniować, że kule z głów Backera i Escobara pochodziły z tej samej spławy.

Pod łóżkiem Reed odkrył prawdziwy arsenał: trzy karabiny, strzelba, pudełko z amunicją. Może Rieffen mówiła prawdę o swoich koszmarach.

Na narzędziu zbrodni znalazły się odciski palców zarówno jej, jak i Montego. Rewolwerem o długiej lufie, który wepchnięto w pochwę Doreen Fredd, mógł być każdy z kilku w kolekcji, ale znalazł się tam charter arms bulldog, co potwierdzało tezę doktor Jemigan.

W górnej szufladzie biurka w drugim pokoju znajdowały się wycinki prasowe dotyczące epizodu z sierścią rysia oraz list z informacją o przyjęciu Rieffen na studia medyczne, mocno wyświechtany. Z dolnej szuflady wyjęto środki uspokajające na receptę i kryształki czegoś, co wyglądało na amfetaminę.

Szafka w spizarni była pełna mocnych, muślinowych worków wypchanych plikami banknotów.

Reed policzył je trzy razy - czterdzieści sześć tysięcy osiemset pięćdziesiąt dolarów.

- Sprawdziłem karty kredytowe obojga, szukając wydatków po powrocie z Washingtonu, poruczniku. Trzy razy wyszli na kolację, Monte zostawiał kiepskie napiwki, ogółem *sto* czterdzieści sześć dolarów siedemdziesiąt dziewięć centów. Poza tym żadnych większych pobrań z kart, około setki w drobnych sumach. Ale w szafce nocnej trafiłem na zapalki z trzech indiańskich kasyn, więc na to mogła pójść reszta.

- Opuuszczasz się, Moses.
- Słucham?
- Jak jedli kolację, co zamawiali na deser?
- Mam nadzieję, że coś, co im zaszkodziło.

O szesnastej pięćdziesiąt sześć z kancelarii odjechały poobijanym nissanem dwie Latynoski w średnim wieku, za nimi młodsza blondynka, zidentyfikowana jako Kelly Baird Englund, córka starszego partnera i też prawniczka, w niebieskoszarym jaguarze kabrio. Chwilę później tatko Bryan Baird, korpulentny, w kiepskim niebieskim garniturze, poczapłał do czarnego mercedesa. Ed Habib, w nie lepszym stroju, zyg-zakiem opuścił parking swoim czarnym lexusem lx, rozmawiając przez telefon, za nim zaś Owen Garroway, patrycjusz w prążkowanym garniturze, gładko wyprowadził porsche caymana.

- Czarny jest w modzie - zauważyła Gayle Lindstrom.

Ani śladu Carla Scoppia, także piętnaście minut później.

Lindstrom zaczęła się wiercić.

- Może próbował skontaktować się z Rieffen, nie udało mu się, i jakoś wywęszył, że została zamknięta.

- Zawieźli ją od razu na podwyższony rygor - odparł Milo. - Wimmers zajął się tym osobiście.

- Tylko głośno myślę...
- Tak trzymaj, Gayle.
- Co?

- Bądź małą dawką ludzkiego prozacu... dobra, jest.

Carl się nie pojawił, ale chudy, spłoszony, jasnowłosy mężczyzna z plecakiem poszedł na tył budynku, zajrzał do pikapa Scoppia, pod-

biegł do drzwi. Lornetka ukazała twarz zeszpeconą ropiejącymi purchlami i nieustanne spazmatyczne ruchy.

- Okoliczny diler amfy- stwierdziła Lindstrom. - Szybka dostawa.

Drzwi się uchyliły. Chudzielec zniknął w środku na półtorej minuty, pospiesznie wyszedł.

Milo wziął radio.

- Nasz cel właśnie kupił prochy, prawdopodobnie amfetaminę, może właśnie brać. Wliczcie to sobie we współczynnik zagrożenia.

Z terenu nadeszły potwierdzenia.

Cztery minuty później wyłonił się Carlo Scoppio.

Przebrał się z garnituru w dżinsy, adidas i luźną szarą bluzę z kapturem przydadającą masy. Małe, białe rozdarcie na lewym rękawie pasowało do tego, jakie widniało na powiększonym zdjęciu z magazynu.

W dłoni - sportowa torba.

Pospolity mężczyzna, zgarbiony, z miękką, kwadratową twarzą, ciemnymi kręconymi włosami. Oczy jak kolejka górską.

Otrząsnął się jak mokry pies. Potruchtął w miejscu. Pokiwał głową. Ruszył do samochodu.

- Jak dla mnie na sto procent zakręcony - oceniła Lindstrom. - Miejmy nadzieję, że w torbie nie niesie nic paskudnego.

- Może chce poćwiczyć - powiedział Milo.

- Pan Dosłowny.

- Robię się za stary na symbolikę. Furgonetka

Scoppia wytoczyła się z parkingu.

- Gotowy? - spytała Lindstrom.

- Zaczekaj, Gayle.

- Ty tu rządzisz. - Jej ręce podskakiwały na kierownicy. - Chociaż powinnam zauważyć, że jak za bardzo się oddali...

- Iak, skarbie, jak sobie życzysz, skarbie, pozmywam naczynia, skarbie.

- Ty i ja w domowej sielance - prychnęła Lindstrom. - Moją partnerkę na pewno by to ubawiło, tak samo jak twojego partnera.

Milo się zaśmiał.

- Jedziemy.

Carlo Scoppio minął wjazd na trasę, pojechał na południe do Washington, skręcił na zachód. Tuż za Yermont zatrzymał się przy ciągu

podupadających pawilonów handlowych. Dużo pustych lokali, ale pączkarnia i samoobsługowa pralnia radziły sobie nieźle. Tak samo jak siłownia Dynamit, z nazwą powtórzoną tajsakimi znakami. Szeroko otwarte drzwi ukazywały jasne wnętrze.

Scorpio zaparkował przed siłownią, wysiadł i wszedł do środka.

- Widać dosłowność wygrała - mruknęła Lindstrom.

Milo wziął radio.

- Ktoś tu wygląda jak paker?

- Chyba Lopez - odezwał się szef zespołu pościgowego.

- Gdzie on jest?

- Tutaj, poruczniku - zameldował się Lopez. - Przecznicę na południe.

- Co masz na sobie?

- To co zwykle - powiedział szef zespołu. - Bluzę bez rękawów, żeby się chwalić swoimi łapskami.

Z terenu - parsknięcia śmiechem.

- Jak się ma co pokazać, to się pokazuje - obruszył się Lopez.

- To wejdź do środka i poszpanuj - polecił Milo. - Przy okazji obserwuj cel.

- Jeśli to otwarty klub, powinno być łatwo, proszę pana. Jak trzeba mieć kartę członka, może być gorzej.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, funkcjonariuszu Lopez.

O osiemnastej jedenaście Jarrel Lopez z byczym karkiem, równie potężnymi bicepsami i umięśnionymi udami zniknął w drzwiach siłowni. Wyszedł chwilę później, podbiegł do federalnego radiowozu.

- Ładna otwarta sala, głównie sztuki walki, ale też zwykły boks.

Cel ćwiczy z workiem na szybkość.

- Pięściarz.

- Uderza jak dziewczyna. Kupić jednodniową wejściówkę i mieć na niego oko?

- Wolałbym, żebyś wrócił do kolegów, uzbrojony i niebezpieczny.

- To właśnie sobie powiedziałem dzisiaj rano, panie poruczniku.

Taka ładna pogoda, akurat dzień dla uzbrojonych i niebezpiecznych.

O osiemnastej czterdzieści osiem agentka Lindstrom wysiadła z samochodu, a Milo zajął miejsce za kierownicą. Gayle sprawdziła makijaż, poprawiła włosy i potruchtowała do pączkami. Wróciła z parującym

kubkiem. Jej bluza z kapturem, dopasowana, z brzoskwiniowego weluru, świetnie maskowała przewód wetknięty z tyłu za dzinsy. To nie była już pożyczka od Aarona Foksa, Biuro miało własne gadzety.

- Nazywamy to elektrycznymi stringami - poinformowała Lindstrom.
- Au - jęknął Milo.
- Niekoniecznie.

O dziewiętnastej czternaście Carlo Scoppio wyszedł z siłowni, wyglądał na zmęczonego, był lekko zaczerwieniony.

Zanim doszedł do samochodu, zbliżyła się do niego młoda kobieta w brzoskwiniowej bluzie z kapturem, uśmiechnięta, ale wyraźnie zdenerwowana.

- Przepraszam?
- Aha?
- Chyba się zgubiłam. Czy to niebezpieczna okolica?
- Bywa. Skąd pani jest?
- Z Tempe. W Arizonie. Miałam się z kimś spotkać na rogu Hollywood i Vine. To blisko stąd?

Kpiący śmiech.

- Raczej nie.
- Pan żartuje.
- To dość daleko, ma pani samochód?
- Przyjechałam autobusem. Z Union Station. Mówili, żeby wysiąść przy Jefferson i przesiąść się w... zapomniałam. Czyli tu jest niebezpiecznie?

- Nie przychodziłbym sam po zmroku.
- O rany... może mnie pan skierować na Hollywood?

Śmiech.

- Mogę skierować, to tam. Ale nie dojdzie pani na piechotę.
- Jeździ tu jakiś autobus?
- Nie mam pojęcia... co to...

Carlo Scoppio zeszytniał, kiedy Milo i sześciu innych potężnych mężczyzn zaczęło z krzykiem biec w jego stronę. Gayle Lindstrom wyciągnęła kajdanki, wrzasnęła: jesteś aresztowany. Scoppio odepchnął kajdanki, trafił ją w przedramię; straciła równowagę.

Przed pawilonami rozbrzmiał basowy chór poleceń. Scoppio rzucił torbę, przyjął postawę bokserką. Wysunął pięści, śmiesznie, nieporadnie.

- Policja, policja, policja, ręce na widoku, ręce do góry, ręce do góry!

Scoppio zamrugał.

Podniósł jedną rękę.

Drugą sięgnął pod bluzę, wyciągnął coś błyszczącego, z długą lufą.

Chór zmienił hymn:

- Broń, broń, broń, broń, broń!

Scoppio wycelował z prostej ręki.

Milo wymierzył swojego glocka.

Ten sam odruch, co kilka dni temu w Moghulu, gdzie skrócił o kilka lat przewidywaną długość życia funkcjonariusza Randy'ego Thorpe'a.

Thorpe był mądry.

Scoppio zmrużył oczy. Jego palec pobiełał.

Milo wystrzelił. Wszyscy inni też.

44

Mieliśmy ubaw podczas autopsji - powiedziała doktor Clarice Jernigan.

- Po pachy - mruknął Milo.

Gabinet patologa w krypcie mógł się mieścić gdziekolwiek indziej.

Żadnych próbek w formalinie, żadnego wisielczego humoru. Peruwiańskie lilie w doniczkach stały na niskiej, białej szafce na książki, obok nich radosne rodzinne zdjęcia. Jernigan i piątka świeżutkich dzieci plus mąż wyglądający jak bankier.

- Ubaw z perspektywy intelektualnej zagadki - wyjaśniła. - Wpa kowaliście w Scoppia dwadzieścia osiem kul z pięciu różnych luf, przy najmniej cztery strzały teoretycznie śmiertelne. Nie muszę wskazywać, która go załatwiła, bo umówmy się, kogo to obchodzi. Zrobiliście z nie go rzeszoto. Ale gdybym pisała o tym do „Journal of Forensic Medicine”, postawiłabym na frontalną ranę głowy. Kula dużego kalibru prze szła przez korę mózgową i utkwiała w pniu mózgu.

- Trzy pięć siedem?

Przytaknięcie:

- Pański?
- Mój ma dziewięć milimetrów.
- Jak dwóch pozostałych strzelających. Nie używaliście karabinów. Czemu? Ci z pościgowego zawsze przywożą karabiny szturmowe.
- Funkcjonariusz z karabinem nie doczekał się czystej linii strzału.
- Strzelanina w O.K. Pawilonach... cóż, jeśli pańska dziewiątka trafiła gdzieś powyżej klatki piersiowej, może pan sobie udzielić pochwały. Jeśli celował pan w nogi? - Wzruszyła ramionami.

Milo nic nie powiedział.

- Co do tego, dlaczego się stawiał w obliczu takiej siły ognia - podjęła Jernigan - to już działka doktora Delaware'a.

- Napiszę, że jego wrodzone problemy psychiatryczne zostały zwielokrotnione zażyciem amfetaminy, bo chcemy mieć wszystko na czysto. Lepiej żeby typki z ACLU nie zaczęły marudzić.

- Brał na całego? - spytał Milo.

- Jestem zdziwiona, że nie wyskoczył ze skóry, poruczniku. Tak czy inaczej, nie widzę problemu. Mam nadzieję, że ci od papierkowej roboty też go nie będą widzieli.

- Niedługo się dowiemy. Za godzinę spotykam się z komendantem.

- No to wesoło. Odprowadziła nas do drzwi.

- Dzięki, pani doktor - powiedział Milo.

- To ja panu dziękuję. Za to, co pan zrobił w sprawie Bobby'ego. Lubiłam chłopaka. Wiem, że powinnam być obiektywna, ale kiedy się dowiedziałam, że ten drań urządził na niego zasadzkę, pozwoliłam sobie na pewną przyjemność, kiedy ściągałam mu twarz z tej cholernej czaszki. A przy okazji, pamiętam, co obiecałam z sekcjami. Tylko niech pan nie przesadza.

45

Milo pojechał do biura komendanta, a ja do domu.

Zrobiłem objazd przez Borodi. Zgliszcza zniknęły, spychacze wyrównały wszystko na gładko, teren ogrodzono nowym, porządnym

plotem. Doyle Bryczinski siedział w swoim samochodzie przy krawężniku, wydawało się, że drzemie, ale pomachał mi, kiedy go mijalem. Wycofałem.

- Z powrotem w pracy?

- Firma w końcu się ogarnęła - powiedział. - Zrozumieli, że lepiej mnie tu trzymać cały dzień, codziennie. Czasami dostaję podwójną zmianę. Kiedy matka mnie nie potrzebuje, jestem tutaj.

- Dobra robota, oby tak dalej.

Zasalutował.

- Inaczej nie umiem.

Milo nie zadzwonił po spotkaniu z komendantem i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie poszło źle.

Prawdopodobnie jechał do Southwest Division. Może ten bar z żeberkami wciąż działał i Milo odda się rozkoszy zjedzenia siedmiu dań ociekających tłuszczem.

Wpadł następnego dnia rano, w fioletowo-brązowej hawajskiej koszuli, luźnych brązowych spodniach i wytartych butach. Pracowałem nad raportami w sprawach opieki nad dzieckiem, Blanche leżała zwinęta na moich kolanach.

Zeskoczyła, uśmiechnęła się do Mila.

- Mam się schylać? - obruszył się. - Następnym razem kup dogę.

Ale poklepał ją po łebku, o wiele dłużej niż wymagała uprzejmość.

- Wakacje czy pobożne życzenie? - spytałem.

- Dwa tygodnie słońca i zabawy, Rick skołował trochę wolnego, jutro rano lecimy na Wielką Wyspę.

- Pomyśl o mnie na luau.

- Na luau myślę tylko o jeszcze więcej luau.

Poszedł do kuchni, wziął z lodówki półlitrowy sok pomarańczowy i przeczytał datę przydatności.

- Tydzień po, robię ci przysługę.

Przechylił karton i zaczął łąpać.

Blanche przyglądała mu się z fascynacją. Jego zwyczaje przy stole nigdy nie przestały jej zadziwiać.

- Dwa tygodnie laby. - Pokiwałem głową. - Nie dali ci Southwest?

Milo zgniótł i wyrzucił pusty karton, wyjął talerz zimnej wołowiny, przyniósł go do stołu.

- Zmiana planów.
- Handlarze broni zniknęli z radaru?
- Wciąż są na radarze, ale to nie ja będę patrzył na monitor.
- Komendant szczęśliwy.
- Dla niego to nie jest istotna kwestia. Powiedziałem mu, że zakończyłem sprawę Backera i Doreen długo przed wyznaczonym terminem, dodatkowo zapobiegłem kolejnym podpaleniom, zamykając Helgę. Ale ja sam nie jestem zadowolony z powodu dwóch szkieletów w priusie. Tak, to była sprawa policji z Van Nuys, ale nikt jej nie prowadził. Skandal. Poinformowałem go także, że kiedy parę dni temu pojechałem wieczorem na lotnisko w Van Nuys, hangar numer 13A stał zupełnie pusty. Ani śladu po odrzutowcu, samochodach, futrach, złocie i diamentach za pierdyliony dolarów. W krypcie nie ma dokumentacji przyjęcia szkieletów, a FAA nie posiada żadnych danych o starcie tego samolotu. Nie wspominając już o braku choćby jednej literki w prasie. Odpowiedź Jego Najwyższości była jego wersją współczucia.

- Wiem, przez co przechodzisz?
- „Nie stękaj, Sturgis, obaj jesteśmy ofiarami polityków i dyplomatów, to wszystko pedałki z Ligi Bluszczowej rekompensujące sobie krótkie fiuty i nie obrażaj się o pedałów, mówię ogólnie”. Potem odprowadził mnie do drzwi, powiedział, że mam się skoncentrować na West L.A., nie wściubiać nosa w sprawy innych sektorów. Ja na to: „Czy powinienem przez to rozumieć Southwest tak samo jak Van Nuys, proszę pana?” A on: „Nie każ mi tłumaczyć, Sturgis, to źle robi na moją prostatę”.

46

Podczas przesłuchania Lary Rieffen Milo wykorzystał nieustępliwość Johna Nguyena jako straszak.

Trochę pokazówka, ale też trochę dokument.

Obróńcy Rieffen składali wnioski o uniewinnienie; Nguyen kontratakował z coraz większą zaciekłością, za każdym razem wygrywał.

Ich następny krok: zakwestionowanie dopuszczalności kolejnych dowodów. Przy okazji zostałem wezwany do złożenia zeznań na temat stanu umysłowego Lary w czasie przesłuchania, podczas którego detektyw Sturgis wyraźnie zastraszał pannę Rieffen.

- Nie reaguj, ja się tym zajmę - oznajmił Nguyen.

Kiedy obrona spróbowała utargować oskarżenie do serii pomniejszych, zagroził wniesieniem o karę śmierci. Podkreślił, że odciski palców Rieffen na narzędziu zbrodni są oczywistym dowodem, a na podobieństwie czekają jeszcze wyjątkowe okoliczności: więcej niż jedna ofiara, wyjątkowe okrucieństwo i zdeprawowanie, morderstwo dla zysku.

Rieffen przyznała się do jednego morderstwa drugiego stopnia w zamian za teoretyczną możliwość wcześniejszego zwolnienia.

- Mnie to wystarcza - powiedział Nguyen. - Jak komuś nie pasuje, to jego problem.

Wciąż szukałem w Internecie wzmianek o Dahlii Gemein i księciu Teddym.

Jego nazwisko nigdy się nie pojawiło, ale cztery miesiące po morderstwach w więzycze w azjatyckim portalu prasowym znalazłem doniesienie o „tragicznej śmierci księcia Tarika Bandara Asmana Ku'amaha Madzura w wypadku podczas nurkowania u wybrzeżu Sranilu”. Sułtan, „pogrążony w żalu i rozpacz”, ogłosił tydzień żałoby narodowej i oznajmił, że ośrodek onkologii dziecięcej, chluba międzynarodowego centrum medycznego na Sranilu, otrzyma imię księcia.

- Mój brat był wspaniałym człowiekiem, niezwykle serdecznym zwłaszcza wobec dzieci.

Tydzień później rebelianci przypuścili szturm na południowe plaże wyspy. Wojska sułtana ich odparły, ale kilkoro komentatorów uważało, że to dopiero początek.

Wylogowałem się, włożyłem strój do joggingu, pobiegłem na południe Glen. Po kilku pokonanych w dobrym tempie zakrętach znalazłem się na Borodi Lane.

Doyle'a Bryczńskiego nigdzie nie zauważyłam. Mężczyźni w kaskach uwijali się przy zbijaniu szkieletu olbrzymiego domu. Trzy kondygnacje, podziemny parking, liczne wykusze, ekstrawaganckie okna. Styl, który można by określić tylko jako: „Spójrz na mnie!”

Tam, gdzie w innej dzielnicy byłby chodnik, stała jakaś para, pokazywała coś sobie i rozmawiała.

Oszałamiająco piękna blondynka, pod czterdziestkę, świetna figura, rysy twarzy jak wyrzeźbione. Różowy kaszmir, jasnoniebieski jedwabny szal, brązowe crocysy, wielkie diamenty. Mężczyzna obejmujący ją ramieniem dobiegał sześćdziesiątki, nieco za szeroki w pasie, o falujących srebrzystych włosach w odcieniu wymagającym pewnych starań. Miękki niebieski blezer, białe lniane spodnie i czerwona chustka wystająca z kieszeni na piersiach tak, że wyglądała jak krew ciekąca z rany postrzałowej.

Oboje - designerskie okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy przebiegałem obok nich, usłyszałem słowa kobiety:

- Och, skarbie, będzie piękny.